

FRANCISZEK KLON

**ŁOWCY
MINIONEGO CZASU**



WYDAWNICTWO „ŚLĄSK” KATOWICE 1972

PECHOWY CHŁOPIEC

Romek Lukanek chodził do drugiej klasy licealnej. Swą wytartą ławkę dzielił z oryginalnym chłopcem, Józefem Prokszem. Józek powtarzał klasę, był więc o przeszło rok starszy od Romka. Niskawy, krzepki, mocny w barach, z muskularnymi ramionami, schludny i czysty z czarnymi oczami połyskującymi jak węgle, które potrafiły być zmienne, najczęściej jednak zasępiały się, ściemniały troską lub kamieniały w uporze. Zjawiały się w nich i radośniejsze promyki; wtedy Józek śmiał się piskliwie i krztusił gardłowym chichotem. Jakby dla spotęgowania tej czerni źrenic Proksz miał kruczy odcień włosów, ostrzyżonych na jeża oraz wyraziste sierpy brwi niby sadzą malowane. Sine, wąskie, zwykle zaciśnięte wargi ucznia wyrażały wolę i zawziętość. Wyraz zawziętości zniknął z jego twarzy tylko wtedy, gdy słuchał lekcji. Słowa nauczyciela chciwie łowił i wabił do swego pamięciowego magazynu i aby stamtąd nie wywietrzały, utrwalał je stromymi literami w zeszytach. Niestety, zawodziło to wszystko, kiedy trzeba było odpowiadać z danej lekcji. Magazyn zamykał się jak sezam, a zeszyt wypełniała bazgranina niezrozumiałych znaków. Wówczas Proksz opadał gniewnie na swoje miejsce i klął przez zęby:

— Niech to diabli! Bijcie, walcie tumana!

Romkowi żal się robiło kolegi, pocieszał go więc:

— Głowa do góry, Proksz. Na drugi raz odpowiesz lepiej.

— Odpowiem, odpowiem! Mam zakuty łeb! Nie krępuj się, powiedz mi to w oczy. Chyba nikt z klasy nie wałkuje tak matematyki, jak ja. I zawsze jestem przygotowany do lekcji. Umieję wszystko w ławce; kiedy wstanę, czuję pustkę w głowie, mieszam się, plotę głupstwa. Pechowiec! Pech!...

— Nie gadaj tak, ja też jestem w opałach — rzekł smętnie Romek.

— Ale nie w takich, jak ja. A wszystko zaczęło się od pewnej przygody... Jasny gwint! Nie dam się pokonać!

Romek nie wiedział o jakiej przygodzie myślał Proksz, ale widział, że jego sąsiad nie pozwolił sobie na minutę odpoczynku. Widział też jego nieustanne porażki w matematyce i fizyce. Skoro dzwonek obwieszczał szkole pauzę i dla odetchnienia można było wmieszać się w tłum na korytarzach i wypłynąć z nim na podwórze, a najchętniej na boisko, Józek Proksz biegł wielkimi krokami do ławki pod brązowiejącą topolą i przygotowywał się do następnej lekcji.

Romek prawie nigdy nie miał okazji, żeby ze swym nowym kolegą porozmawiać o sobie. Kiedyś Józek zdrzemnął się nad otwartą książką. Romek podbiegł do niego i szarpnął go za ramię. Józek zerwał się jak oparzony :

— Padam z nóg. Całą noc harowałem.

— Wkuwałeś lekcje?

— Iii, lekcje. Piekiełm całą noc kołacze na wesele.

— Ty piekleś?

— Robię to codziennie rano. Ojciec sam nie dałby rady. Choruje wiecznie na stawy. Taki to mizerak, że byle wietrzyk go wywraca. Rozumiesz, jestem piekielnie wypompowany. Na szczęście już niedługo niedziela. Muszę wreszcie odpocząć... Lukanek, wybierzmy się na wycieczkę w niedzielę. Mam motor, przyjadę po ciebie zaraz po południu... Myślę, że ci taka niedzielna przejażdżka sprawi przyjemność.

— Właściwie nie wiem... No, dobrze, jakoś się urządzę w domu... Ale dokąd pojedziemy?

— Nad Odrę. Przepiękna okolica, dziwię się, że nie odkryta dotąd.

Proksz podsunął Romkowi paczuszkę z piernikami. Zajadali je w milczeniu. Proksz zajęty zeszytem matematycznym, Romek rozmyślaniami o koledze-piekarzu. Nagle Józef odsunął gwałtownie zeszyt i rzekł odkrywczo:

— Mam pomysł! Jeżdżę dotychczas autobusem. Zawsze uważałem, że to oszczędność czasu. Mógłbym jednak autobus zastąpić pociągiem. Jasne! Przejazdy do szkoły i z powrotem będą trwały trochę dłużej, za to będę mógł powtarzać z tobą lekcje. Co ty na to, Lukanek?

— Dobrze, możemy się wspólnie uczyć.

W niedzielę zawarczał przed domem motor mnóstwem decybeli¹, tak że Romek wypadł natychmiast na podwórze. Stał jak wryty na widok potwornej maszyny, która wyła i dygotała, jakby rozsadzić pragnęła wszystko, co znajdowało się w pobliżu. Był to rupieć — weteran bez widełek teleskopowych, z siodelkami jak kulbaki, taki co to krążył kiedyś po koślawych szosach, gdy wojna się skończyła.

— Nie masz się czego obawiać — wyszczerzył Józek do niego zęby — to poczciwe bydlę. Złożyłem tego drania z tysiąca odpadków, które wałały się po śmietnikach. Wszystko jednak gra w nim, jak wiejska kapela. Nazwałem ten kombajn „Kometą”. Wsiadaj, jedziemy!

Proksz włożył na głowę Romka zapasowy kask, a motocykl zadrżał, skoczył naprzód i pomknął jak prawdziwa kometa za wieś, między opustoszałe pola ku cherlawemu borkowi, który wciąż jeszcze nosił ślady minionej wojny. Droga gładka i błyszcząca w słońcu wiodła „Kometę” i jej pasażera grzbietem wysokiej skarpy nadodrzańskiej na sam szczyt wzniesienia, skąd spojrzeć można było na baśniowo kolorową dolinę Odry. Szosę, drapiącą się wytrwale ku owej górze, strzegły rumiane pyzy jarzębin. Pola w lewo i prawo poszatowane były w pasy saradeli, krzykliwie gorejące łubiny i świeżo poradlone ścierniska, z których łoskot „Komety” wypląsał co chwila stada wróbli.

Dzień był ciepły, a słońce rozprawiało się zwycięsko z resztkami smużystych oparów na nizinie. Józek Proksz krzyknął do Romka:

— Parkujemy na chwilę!

„Kometą” stanęła na skraju drogi, a oni położyli się na wrzosowisku, odpowiadającym swe jesienne gody kwitnienia. Docierało tu balsamiczne tchnienie lasu z domieszką odurzającej woni łubinu, a gorzkawy aromat macierzanki mieszał się z cierpkim oddechem piaszczystych podorywek.

Józek wydobyl z podróżnej teczki papierową torbę z ciastkami, z nawyku rozłożył przed sobą książki, ale nie spojrzął na nie. Pociemniałe i błyszczące oczy skierował w stronę zielonej doliny.

— Lukanek, smacznego! Jedz, to poemat cukierniczy. Wszystko na maśle, specjalnie dla ciebie.

On sam machinalnie wpakował sobie do ust jeden z tych maślanych smakołyków.

— Wiele niedziel przesiedziałem tutaj sam albo ze swoim starym. Piękna kraina — rzekł niemal marzycielsko. — Gdybym był poetą, pisałbym sonety o niej. To królestwo moich myśli, mając ten obraz przed sobą, czuję się bezpieczny. Czy wiesz, jak powstała ta fantastyczna dolina?

— Czy to nie pan Matys nam ją kiedyś opisywał?

— Tak. Poczciwy staruszek. Wracając do naszej panoramy...

— Podobno działał tu niegdyś ogromny lodowiec. Jego lemiesz wyorał to ogromne koryto. Był czas, że Odra wypełniała je całkowicie. Przez pewien czas płynęła nawet do Dunaju, a potem wróciła do Bałtyku i wydrążyła tę nieckę do reszty.

— Tak, oczywiście. Opowiedziałem to mniej więcej tak samo mojej babce. Według niej w niepamiętnych czasach istoty żywe i martwe mówiły wspólnym językiem. Myślały jak my, ludzie. Zgadzała się, że Odra nie płynęła na północ, ale na południe do Beczwy, a z niej do

¹ Objaśnienia wszystkich trudniejszych wyrazów znajdują się na końcu książki.

Dunaju. Lecz Odra nie widziała naszej ziemi. Zasłaniały ją wielkie góry. Kiedyś jednak fale jej wezbrały i sięgnęły do skalistej przegrody. Rzekę zaciekawiała ta zaporą, nabrała więc tchu i tak długo się mozoliła, aż udało się jej zajrzeć za górzystą tamę. To, co zobaczyła, napełniło ją podziwem. Ujrzała bowiem śliczny krajobraz, pełen lasów i żyznych, zielonych łąk, zalanych słońcem. Droga do morza stała przed nią otworem, była prosta i nieuciążliwa.

— Dobrze myślała — śmiał się Romek — dzięki temu podziwiamy naszą dolinę.

— Tak. Rzeka rozpamiętywała swój ciężki żywot. Tam, na południe przedzierać się musiała przez góry. Dunaj, noszący nadmiar wód, niechętnie jej użyczał gościny w swoim szczupłym korycie. Pomyślała w końcu: zsunę się odrobinę na dół, poszperam trochę po tej nie znanej mi ziemi. Nic mi się chyba złego nie stanie. Tak też zrobiła. Szusnęła ostrożnie przez głązy i cichaczem wpęzła na łąki. Ale wtedy ciekawość rzeki jeszcze bardziej wzrosła. Posuwała się dalej i dalej, a wreszcie, gdy przekonała się, że kraj przed nią stoi otworem aż do morza, rzuciła się niby chciwy zdobywca na wartościowy łup. Rozumiesz, że po takim odkryciu zawładnęła po prostu całą tą doliną z jej cudownymi dębami...

Romkowi rozbłysły oczy, spojrzał zdumiony na swego kolegę.

— Nie przypuszczałem, że umiesz tak opowiadać.

— W klasie nie. Wiesz, ta diabła zasłona... Widzisz, to była właśnie nasza pra-Odra. Przyszedł taki czas, że rozbrykana rzeka ułożyła się w wąskim już łożu. Ustatkowała się na podobieństwo człowieka w starszym wieku, który nie ma już siły, by staczać bitwy ze światem. Więc wiała się zakolami spokojnie do matki wszystkich rzek: morza. Ale лихо w niej nie spało. Zrywała się jeszcze chwilami, a to ją ostatecznie zgubiło. Byli już wtedy ludzie. Wykopali dla niej proste, obwałowane koryto, a po dawnej włóczędze pozostało kręte łożysko, które nazywamy Starą Odrą.

— Wyobrażam sobie, jak wyglądała ta dolina, gdy rzeka zapełniała ją całkowicie. Morze, ocean. Co to musiał być za widok!

— I w ogóle, co się tu wszędzie działo. Jeden z tych panów, którzy rozgrzebują grodzisko, powiedział kiedyś, że ziemia jest księgą zamkniętą, trzeba tylko ją otworzyć, to znaczy: trzeba dobierać się do jej warstw, odkładać jedną po drugiej i... czytać, Lukanek. * Co się tutaj działo pod Bramą Morawską! Niesamowite rzeczy! Można się z tego, co teraz powiem, śmiać i nie wierzyć. Ale są tacy, co wierzą. Na prawo, pod tą skarpą znajduje się takie bagniste obniżenie. Miejscowi ludzie nazywają to Bródki. Według mojej babki, która w młodości pasła na tym ustroniu krowy, tam w bagnie zapadło się bardzo dawno temu miasto. Kiedy przyłożyć ucho do ziemi, to słyszy się szum ulic, krzyki i dźwięki dzwonów. Ona zawsze to słyszała. Ale to jeszcze nic. Pewnego razu ujrzała nagle między olchami grupkę niezwykle ludzi, którzy jakoby się wynurzyli z bagna. Były to dwie dziewczyny z długimi warkoczami, w lnianych sukienkach, które płacząc obejmowały się serdecznie. Siostry? Nie wiem. Wyglądało, że żegnały coś drogiego. Może ziemię, którą trzeba było opuścić. Za nimi stało trzech mężczyzn z mieczkami u boku, w krótkich kolorowych tunikach, w sandałach, których rzemyki pętały wydatne łydki. Istni Rzymianie, mówię ci. Naturalnie, że nie wierzyłem w te babcine bajki. Ale wyobraź sobie, że tam właśnie znalazłem w kopczyku parę bursztynów i monetę rzymską. Mam to jeszcze, pokażę ci kiedyś.

— Chcesz powiedzieć, że tędy ciągnął się szlak bursztynowy, owa legendarna droga, która prowadziła po bursztyn na wybrzeże Bałtyku.

— Tak, tędy wędrowali kupcy rzymscy do Kalisza i dalej na północ.

— Zbierajmy się jednak, Lukanek na poszukiwanie innych osobliwości. „Kometa”, do grodu słowiańskiego!

„Kometa” zawyła radośnie i rzuciła się naprzód: w dół, do góry, zdobyła zawadiackim wirazem nowe odgałęzienie drogi, przebyła wieś i zanurzyła się w gąszcz lasu. Józek Proksz

* Krótka charakterystyka poszczególnych okresów z dziejów Ziemi znajduje się na końcu książki.

zawołał do Romka:

— Zaraz tam będziemy!

Ale wtedy wyrósł na środku drogi człowiek, dając im znaki, żeby się zatrzymali. Józek przyhamował motor, a ten perkocząc gniewnie, zaczął się powoli zbliżać do nieznanego. Był to jegomość wysoki i postawny z posiwiałymi kosmykami włosów wymykającymi się spod szarego kaszkietu.

— Gajowy — mruknął Romek — pewnie motorem nie wolno tędy przejeżdżać.

— Zobaczymy — odparł Proksz spokojnie.

„Kometa” przystawała i znowu się zrywała z wściekłym jazgotem, a kiedy przylepiała się na moment do drogi, drżała nerwowo. W końcu utknęła przed człowiekiem, który niby skała zagradzał tor leśnej drożyny. No i co, zdawały się mówić jego surowe oczy. Wyglądał na takiego, z którym trzeba się liczyć. Był też ubrany nieco dziwnie, jakby nagle wynurzył się z otchłani starych, zapomnianych czasów. Miał na sobie szerokie pumpy, a od kolan prążkowane pończochy. Dodatkowo do tego sportowego odzienia były rude, mocno już znoszone półbuciki. Można się było założyć, że nie przywiązywał większej wagi do swej powierzchowności. Z nogawki bowiem uciekała długa, biała tasiemka, a kieszeń marynarki nosiła ślady rozdarcia, które niedbale spajała czarna fastryga. Bez słowa, surowym spojrzeniem oceniał chłopców:

— Dokąd to, koledzy?

— Tam — Józek wskazał ruchem głowy kierunek, w którym zmierzali.

— Przypuszczam, że do grodziska. Ja też w tym samym kierunku, co wy, koledzy. Wy pewnie dla rozrywki, a ja z innych względów. Jestem tutaj zresztą bardzo często. Zawsze mi się bowiem wydaje, że odkryję jeszcze coś, czego nikt nie wie. Jestem, można rzec, łowcą historycznych zagadek, osobliwości, sensacji przeszłości. I muszę się pochwalić, mam ich już sporo. Szukam jednak jeszcze „sekretu na siedem pieczęci”. Rozumiecie mnie, młodzi przyjaciele?

— Trochę, proszę pana.

Człowiek w pumpach usiadł na skraju drogi i objął swe kanciaste kolana mocnymi rękami. Kaszkiet na głowie zsunął mu się na bok i odsłonił część łysiny, podobnej w tej chwili do rożka księżycy, który ucieka przed zachłanną chmurą. Oczy nieznanego traciły stopniowo niedawny blask i zasnuwały się wyrazem jakiegoś nieoczekiwanego znużenia. Przytakiwał jednak głową, jakby spodziewał się takiej właśnie odpowiedzi.

— Niestety, nie możecie mnie zrozumieć, bo nie znacie sedna sprawy. „Sekret na siedem pieczęci”. A ja mam zamiar wyłamywać je po kolei.

— Przecież grodzisko to właśnie taki sekret — wtrącił Józek Proksz.

— Nic z tego. Z pieczęciami załatwili się uczeni. Nie ma tam już nic ciekawego. Ja wam to mówię! Znam się na tym, bo wiem o wszystkim, co dzieje się w promieniu trzydziestu kilometrów. Znam tu każdy kamień i wiem, co się pod nim znajduje. A jednak ziemia ta kryje tysiące rzeczy i wydarzeń, o których nikt z nas nie wie. Dowodem tego są kości przedpotopowych zwierząt w żwirowniach, a także ślady dawnego życia w węglu kamiennym, monety rzymskie, bursztyny, narzędzia kamienne naszych przodków, ślady bytowania Gołęźców na tym obszarze. Ale kto to wydobędzie spod warstw ziemi? Czy ów Kalemba, który kręci się wszędzie i szpera jak zły duch po zakątkach naszej czcigodnej ziemi? Kowal, jak i ja. Nazywa siebie kronikarzem. Odkrywa jednak tylko to, co ja mam już w kieszeni; żółć mnie zalewa, gdy pomyślę o tym wszędobylskim „kronikarzu”.

Nawet „Kometa” zamilkła, wpatrując się swym wolim okiem-reflektorem w mówiącego. Nie była to już teraz pogodna twarz. Błąkały się po niej cienie smutku.

— Tak... szepnął do siebie. — A jednak nie ma rady... Ziemia jest piękna, życie cudowne. Tylko nie dla niej...

Milczeli, nie wiedząc jak zareagować na te dziwne słowa nieznanego mężczyzny.

— Moja córka, chłopcy, straciła wzrok w trzecim roku życia.

Romek poruszył się żywo, oczy jego pociemniały. Proksz stał spokojnie, bębniąc jedynie palcami po kierownicy „Komety”.

— Aha! — mruknął.

— Teraz już wiecie, jaka to straszna tragedia. Ilu lekarzy ją badało! Leczyli ją znachorzy świetlikiem ². Wszystko na nic. Na nic! Poza tym, jest to dziecko zdrowe, przemile, mądre. Inteligentna, chciwa wiedzy...

— Dla niej pan szuka „sekretu na siedem pieczęci”? — zapytał Proksz.

— Jest bystra, rozumna — nieznajomy jakby nie słyszał uwagi chłopca. — Odczuwa każdy fałsz, więc jej nie mogę zmyślać bzdur w rodzaju gawęd niejakiego Kalemby. Rozumiecie, koledzy, niewidomy ma swój szósty zmysł. Jolka chodzi do szkoły dla niewidomych. Opanowała błyskawicznie alfabet Braille'a. Brajl! ³... Zwariowane pismo kropeczkowe. Ileśmy się z żoną namęczyli, by się tego brajla nauczyć. Ona nim pisze listy ze szkoły do nas.

Kowal zwiesił głowę. Widocznie przeprowadzał w duszny bilans wszystkich zalet swego uwielbianego dziecka. Może coś przeoczył, może przez to zniekształcił jej sylwetkę. Chłopcy również zamilkli. Ale Proksz szedł torem swych własnych myśli, stąpił uparcie po drodze swego własnego rozumowania. Nie dowierzał zupełnie mówiącemu.

— Jedno można powiedzieć — rzekł jakby na pocieszenie — że to bardzo dzielna dziewczynka.

— O tak, to prawda — odpowiedział nieznajomy. — Jest naprawdę dzielna. Ale ja czuję się podle. Często ogarnia mnie niepokój o nią. Nie mogę jednak na to zważać. Muszę udawać zadowolonego z życia. Muszę twierdzić, że warto żyć, że przyroda jest cudowna, choć tak okrutnie upośledziła moje dziecko. Mówię jej więc o ziemi, która nas wszystkich wydała, że jest kochana, droga. Że to wspaniała księga z kartami szalenie interesującymi. Trzeba więc tę księgę czytać, i trzeba ją umieć czytać.

„Kometa” stała rozkraczona na żelaznych protezach, a Józek Proksz, usiadłszy bokiem na odrapanym baku, gładził machinalnie swe jeżowate włosy. Nie był jeszcze przekonany o prawdziwości tego opowiadania.

— Właśnie, ojczulku — mówił — szukacie „sekretu na siedem pieczęci”. Znam się trochę na tym, bo szukam również takich tajemnic. Jestem też łowcą osobliwości... i znam trochę tych wszystkich hobbystów: filatelistów, filumenistów, numizmatyków, gołębiarzy...

— Ja nie należę do nich. Dla mnie istnieje tylko Jolka...

— Nie ma wśród zbieraczy takiego paragrafu. Liczy się tylko wymiana.

Romek był oburzony na Proksza. Nie przypuszczał nigdy, że może być tak twardy, nieustępliwy i nieprzyjemny. Toteż skoczył na niego ze złością:

— Jesteś bez serca. Jeśli rzeczywiście jesteś taką chodzącą encyklopedią historii, to powiedz, co wiesz. Co ci szkodzi?

Proksz pochylił się do niego i szepnął:

— Zamknij się! Każdy kolekcjoner to obłudnik, świętoszek. On nas nabiera. Ta jego córka to haczyk na wędce. Ja go nie połknę.

Obcy wstał, zrobił dwa kroki i ponownie znieruchomiał.

— Wszystko to robię dla córki — odezwał się. — Czy wiesz, że masz przed sobą człowieka w wyjątkowej sytuacji? Nie mogę nic wymienić, bo wszystko jest własnością mojej córki. Ostatecznie, nie ma rzeczy, której bym w końcu nie wykrył. Przekonasz się jeszcze o tym.

Józek Proksz nie odpowiedział. Twarz jego stała się odpychająca. Ześliznął się z baku i skoczył na siodło. Spojrzawszy zaś zimno na Romka, burknął:

— Startujemy!

— Zaczekaj jeszcze, kolego — zawołał nieznajomy.

— Szkoda czasu!

— Mógłbym ci na przykład pokazać pewne monety rzymskie z czasów Mieszka, znalezione nad Odrą.

Można było przypuszczać, że „Kometa” wyręczała w tej chwili Proksza, gdyż zahuczała drwiąco i rwała się w dal, chciała przecież w jakiś sposób wyrazić zbieraczowi osobliwości swoje lekceważenie, lecz Józek — nie wiedząc w jakim celu — trzymał ją wciąż jeszcze na uwięzi. Obracając się zaś do nieznanego, przekrzykiwał rosnący charkot motoru:

— Monety? Ha, nie potrzebuję nawet pytać, gdzie były ukryte. Pewnie tam, gdzie moje bursztyny...

— Nieokrzesany młodzieńcze, masz serce z kamienia.

— Józek, jak możesz!... — szeptał z wyrzutem Romek.

„Kometa” zachichotała piekielnie, a Proksz, nie zwracając uwagi na przyjaciela, ciągnął tę dziwną licytację i dalej:

— A dąb z rzeźbą Sobieskiego też pan ma w swojej kolekcji?

— Mam!

— Ale historii do niej nie ma, prawda?

— Jest. Szymek, co rzeźbił króla Sobieskiego sam do niego na zamek raciborski pojechał — odrzekł kowal spokojnie. — Bratku, nie mnie egzaminować. Znam tu każdą rzecz i o każdej umiem coś opowiedzieć. Mógłbym na odwrót zapytać cię teraz o sprawy księcia Wacława z Rybnika...

— Albo o wjazd króla Kazimierza Wielkiego na nasze ziemie...

— Widzę, że kolega mocno siedzi w historycznym siodle. A co ty wiesz na przykład o Tatarach?

— Że ich przechytrzył Pepik, chłop z Radlina... Tutaj znaleźli w roku 1241 swoją zgubę...

— Diabeł! — zdumiał się kowal, a potem mówił jakby do siebie: — On zna te historie, których nawet nie odkrył kronikarz Kalemba, choć łapie wszystkie opowieści, gdzie się tylko da. Kolego, nazywam się Czogała...

— Jedźmy! — rozkazał Proksz swojej maszynie.

A ona jakby tylko na to czekała. Wyjąc, podskoczyła i zaczęła umykać przed kowalem, który nagle się opamiętał i ruszył za uciekającymi. Został w końcu sam w lesie, a wtedy opadł na omszały karcz, grożąc bezsilnie temu, który był prawdopodobnie posiadaczem „sekretu na siedem pieczęci”.

ZAGADKOWA DZIEWCZYNA

Biegli całą drogę i skoczyli w ostatniej chwili do ruszającego już pociągu. Zawsze tak było w sobotę. Pędzi się po sześciu lekcjach na złamanie karku, bo planowy odjazd to trzynasta trzydzieści pięć. Romek popchnął swą wyświechtaną teczkę pod okno, Proksz ocierał pot z czoła.

— To nic — rzekł — grunt to nogi. Odsapniemy, Lukanek, i zaraz zabieramy się do roboty. Zdobyłem dzięki tobie pierwszą tróję z matematyki. Taak, klapnijmy na miejscach i bierzmy się do dzieła...

W tym momencie spostrzegli, że w pustym niemal pociągu jest jeszcze ktoś trzeci. Naprzeciw nich, wciśnięta w przytulny kącik, siedziała jakaś dziewczynka w ich wieku, a może nawet młodsza. Jej subtelna twarzyczka oblamowana była puklami jasnych włosów. Miała na sobie pomarańczowy kostium i śnieżnobiałą bluzkę z czarną broszką. Nie byłoby nic

osobliwego w jej wyglądzie, gdyby nie zagadkowy uśmiech fiołkowych oczu. Romek spojrział jeszcze raz na jej wiotką, wyprostowaną figurę, potem rzucił porozumiewawcze spojrzenie w stronę swego przyjaciela. Ale Proksz wyrzucił już ze swej przepaścistej torby książki i zeszyty.

Romek spojrział mu przez ramię do podręcznika, lecz po minucie znowu miał dziewczynkę przed sobą. Ten sam uśmiech, ta sama martwa słodycz fiołkowych oczu.

Pociąg dudnił raźnie po szynach, a w oknach śmigały drzewa i domy jak chińskie cienie. Słońce zalewało cały przedział, tak że widział ją jeszcze dokładniej. Uśmiech i... milczenie. Stukot kół pod podłogą rozluźniał się, rwał. Dziewczyna poruszyła się uśmiechając nadal. Po chwili zapytała:

— Zbliżamy się do stacji, prawda?

— Tak. Jest już bardzo blisko.

— Jaka to będzie stacja? Domyślam się, że to już ta, na której powinnam wysiąść.

Chłopiec odpowiedział i zapytał, czy nigdy tędy jeszcze nie jechała. Odrzekła jakby po namyśle:

— Tak. Zawsze tędy wracam do domu. Mnie tu wszyscy przecież znają.

Proksz, zatrzymując palec na równaniu algebraicznym, otwierał usta, by zagadnąć przyjaciela o pewną niejasność w zadaniu, gdy dziewczyna powiedziała coś tak zaskakującego, że chłopak rozdziawił usta i spojrział na nią zdumiony.

— Bardzo często jeżdżę pociągiem, ale ja... nie widzę. Jestem niewidoma.

Romek doznał dziwnego skurczu serca, zmieszał się i spojrział szybko na przelatującą za oknem piękny krajobraz, przywdziewający z lekka jesienny strój. Rozległ się zgrzyt hamulców, pociąg zwalniał, wreszcie stanął. Dziewczynka pochwyciła swą zgrabną walizeczkę i zwróciła się trafnie do schodów prowadzących na parter wagonu. Zawołała:

— Do widzenia. Dziękuję.

Romek skoczył za nią, odebrał jej pakunek i sprowadził ostrożnie aż na stopnie.

— Jolka!... Jolka!... — wykrzykiwał ktoś głośno na peronie.

Niewidoma stanęła na peronie obok... Czogały.

Właśnie wtedy zjawił się w drzwiach Józek Proksz. Na widok Czogały cofnął się jak oparzony, a Romek popędził do przedziału nieomal w popłochu. Tu usiadł, lecz nie potrafił się już uczyć. Wciąż myślał o uśmiechu niewidomej. Duszą jego zawładnęła burza uczuć, była to między innymi głęboka uraza do Proksza. Pod wpływem niechęci do niego rzekł:

— Widzisz!

— Co mam widzieć? Zabierajmy się lepiej do nauki.

— Nie będę się uczył. To była Jolka. Jesteś okropny!

— Wiem, co masz na myśli... Wiesz — rzekł po chwili — może masz rację. Czogała to rzeczywiście dla niej robi. Ale zirytował mnie swoją pewnością siebie. Dlaczegoś mnie wcześniej nie wyrwał z mojej „naukowej” zadumy? Byłbym się jej lepiej przyjrzał. Biedna dziewczynka...

— Dlaczego cię nazwał diabłem, gdy wspomniałeś o Pepiku?

— Później ci opowiem.

Nigdy mu tej historii nie opowiedział. Przeżył ją sam w dziwny sposób.

Obraz niewidomej dziewczyny prześladował Romka bez przerwy, nawet jeszcze w niedzielę nie mógł się wyzwolić z wrażeń poprzedniego dnia. Jadąc w poniedziałek do szkoły, przez okno dostrzegł stojącą na peronie obok ojca Jolę. Kowal liczył wagony, a potem doprowadził córkę do upatrzonych drzwi. Romek puścił się biegiem do następnego wagonu.

— Wariacie — zawołał Proksz — dokąd lecisz?

— Jola! — odrzyknął.

Józek zgarnął szybko swe rzeczy i podążył za nim. Dziewczyna siedziała na tej samej ławce i w tym samym kącie przedziału, gdzie ją w sobotę widzieli.

— Jola, to my — oznajmił Romek.

— Cieszę się, że jesteś, ale nie wiem, jak się nazywasz.

— Romek, Roman Lukanek, a to Józek Proksz.

— Tak, jadę znowu do szkoły. Jest to umówiony wagon. Ciotka czeka na mnie na miejscu i zabiera ze sobą. Zawsze wracam w sobotę do domu. Widziałeś mojego tatusia? Zbiera dla mnie niesamowite historie i śmieszne wydarzenia. Ostatnio bardzo zirytowali go dwaj niegodziwi chłopcy, którzy zadrwili sobie z niego.

Romek spojrział z wymówką na przyjaciela. Proksz chwilę kręcił się zakłopotany, wreszcie zagłębił się w książce. Tymczasem Jola szczebiotała dalej:

— I znowu poniedziałek, i znowu szkoła, i znowu brajl.

— Tak, trochę już wiemy, co to brajl.

— To od twórcy tego pisma: Braille'a. Oprócz brajla mamy wszystkie przedmioty jak w zwykłej szkole. Cieszę się, że się znowu spotykamy.

I zanurzyła smukłą rękę w walizeczce. Była dzisiaj w granatowym mundurku, który jeszcze silniej podkreślał jej delikatną cerę.

— Patrz, to jest brajl.

Rozpostarła na kolanach zeszyt z grubymi kartkami. Były wypełnione mozaiką bezbarwnych punkcików, wypukłych i uporządkowanych według jakiegoś systemu. Lecz poza tym chłopcy nic nie widzieli. Dziewczyna muskała papierowe wzniesienia wskazującymi paluszkami i deklamowała, jakby naprawdę z tego drobnego maczku czytała:

„Bolesława Prusa wielbić należy za dobroć, za serce dla słabych, ciemnych, bezradnych, dla tych wszystkich, którzy potrzebowali pomocy, opieki i światła...”

— Niece — śmiał się zdumiony Proksz — ależ to...

— Wiem, co chcesz powiedzieć. Przecież tam nic nie ma. Czytam przecież palcami. Bardzo dokładnie, szybko. Patrz, wyczuwam każdy punkcik. Widzicie?... Brajl zawiera sześćdziesiąt dwa grafemy, to znaczy: litery, znaki przestankowe i cyfry. Powstają one z sześciopunktowych wypukłych układów. Punkty duże oznaczają właściwe litery, a małe — ot, te — służą do oznaczania położenia wypukłości. Tak, to śmiesznie łatwe. To na przykład jest „a”...

Józek Proksz z natury rzeczy ciekawy wszystkiego, co nowe i niezwykle, zbliżył swe głodne oczy do figury punktowej wyobrażającej to proste „a”.

— Kapitalne! — zachwycił się Proksz. — Braille to geniusz.

— Wspaniały człowiek. Sam był niewidomy...

— A zadanie sama ułożyłaś? — wtrącił szybko Romek.

— Naturalnie. Bardzo lubię Prusa za „Antka”, za „Kamizelkę”, za „Katarynkę”...

Czytałaś „Katarynkę”?

— No chyba.

— A ty, Józek?

— Jaa? Ej, doprawdy nie wiem. Czytam przede wszystkim obowiązkowe lektury szkolne, na resztę mnie nie stać. Nie mam czasu.

Zwróciła się do Romka, głos jej był miękki, czujny.

— Ale ty przecież czytałaś i chyba wierzysz, że tak się właśnie stało z tą dziewczynką. Czy naprawdę odzyskała wzrok?

— Tak. Prus przecież nie kłamał. Wziął to z życia.

Jolka się zastanowiła, jej policzki lekko się zaróżowiły, oczy jak żywe spoglądały na chłopca.

— Tak, być może, że nie kłamał. Mój tatuś mówi, że na świecie dzieje się wiele niepojętych rzeczy. Medycyna idzie naprzód. Może przyjdzie taki dzień, że będę widziała to, co wy codziennie oglądacie. Cudowne kwiaty, czarującą wiosnę, rozkwitające czereśnie, czy nawet skrzający się śnieg. Czy mógłbyś mi powiedzieć, jak wygląda czerwony kolor?

Zapanowało milczenie. Kolor czerwony... Określcie jakikolwiek kolor temu, który nie

widział odcieni czerwieni od matowej do soczystej purpury, czy odcieni koloru żółtego.

— Wiem, że mi nie odpowiecie. Więc muszę się pocieszać moim Prusem. On mnie nigdy nie opuszcza i każe wierzyć, że dzieć się mogą cudowne rzeczy.

I jakby się pogodziła z tym, że nie ma czarodzieja, który umiałby jej wytłumaczyć, co to jest kolor, zwróciła się do swej walizeczki. Wydobyła z niej cynkową tabliczkę, obramowaną ruchomą listwą i przytwierdziła do niej kartkę papieru. Potem nasunęła na to wprawnie miedzianą linijkę z dwoma rzędami prostokątów, upstrzonych sześciopunktowymi otworami. Chłopcy bez słowa śledzili szybkie ruchy jej palców. Dziewczyna zaczęła wyciskać tęym rylcem na papierze grupy punktów. Proksz nie odrywał od nich oczu. Gdy się zdenerwował, głos jego nabrzmiewał piskliwymi tonami.

— Fantastyczne! Wspaniałe! — wykrzykiwał.

— Widzisz, to twoje imię, a to: Romek. Odczytuje się jednak z drugiej strony po wypukłościach.

— Piszesz z prawej na lewą stronę.

— Dlatego, żeby na odwrocie czytać normalnie, jak wy, to jest od lewej. Cieszę się, że was poznałam... Zawsze marzyłam o tym, by mieć takich przyjaciół jak wy.

Chwilę milczeli zaskoczeni, potem zawołali razem:

— Możesz na nas liczyć.

— Świetnie, może kiedyś was o coś poproszę.

I tak zrodziła się ich przyjaźń. Odtąd niemal w każdą sobotę wracali tym samym pociągiem, w tym samym przedziale do domu. Zawsze jednak towarzysze dziewczynki unikali spotkań z jej ojcem. Ale zdarzyło się kiedyś, że Proksz znalazł się niespodzianie naprzeciw Czogały. Z miejsca rzucił się do ucieczki.

— Nie wiedziałem, że masz takiego pietra przed kowalem — śmiał się Romek.

— Właściwie nie — odrzekł Józek po namyśle — ale mogłoby się zdarzyć, że zabroniłby Jolce naszych spotkań. A wtedy przepadłby brajl. Zabierajmy się jednak do nauki. Czuję, że już jestem na właściwej drodze. Mam drugą trójkę z historii. Niepokoi mnie jednak wciąż „Cyfra”. Przy nim tracę nerwy i zagrzebuję się w pyle zapomnienia jak kot w popielniku. Och, jaką ci ja miałem z nim przygodę. Haniebną. Od tego czasu głupieję!

— „Cyfra” odchodzi. Na jego miejsce ma przyjechać jakiś doktor z Warszawy.

— Chciałbym, żeby to był równy facet.

Wypowiedział swoje marzenia na chybił trafił, a mojry⁴ przędły już dla niego los, którego tak pragnął.

INSTRUMENTY MUZYCZNE DOKTORA IKSIIKA

— Lukanek, uwaga! Ciężarówka!

Ostrzeżenie przyszło w porę, zmobilizowało wszakże nie tylko chłopców. Na chodniku utworzyło się od razu prawdziwe zbiegowisko. Przyczyną tego była ciężarówka, załadowana ogromnymi skrzyniami i nieforemnymi walizkami, która ze zgrzytem hamulców wrosła w ulicę i utknęła na niej jak nieruchawy walec drogowy. W tej samej chwili wyskoczył z szoferki niesympatyczny dryblas i obrzucił człowieka siedzącego na jednej z pak stekiem przekleństw. Zaatakowany, młody, przystojny człowiek, zmarszczył czoło, potem zeskoczył z auta i stawiał odważnie czoła awanturnikowi. Gawiedź na chodniku miała pyszne przedstawienie.

— Co się stało? — zapytał atakowany. — Zobowiązał się pan zawieźć wszystko na

ulicę Polną i pobrał pan za to z góry zapłatę.

— Mam tego powyżej uszu — sierdził się kierowca. — Jadę z tymi gratami jak zółw na swoje wesele. Mimo to wali pan co chwila pięścią do okienka i nakazuje wolniej jechać, bo coś tam chrobocze w pakach. Szukaj pan sobie na taki zachlapany rejs wiejskiej kulawej szkapy, ale nie solidnego stara. Zwalaj pan swoje rupiecie. Muszę być za trzy minuty w bazie.

Rozzłoszczony szofer tracił zupełnie panowanie nad sobą. Pierwsza skrzynia zjechała z trzaskiem na chodnik. Wybryk kierowcy podziałał na niepozornego pasażera jak bolesny cios boksera. Odwrócił się błyskawicznie i odepchnął kierowcę, górującego nad nim wzrostem, a zapewne i siłą.

— Niech pan nie dotyka moich instrumentów!

— Pewnie muzycznych — szydził dryblas. — Potem dodał spokojnie: — Nie chcę przez pana stracić pracy. Spiesz się pan, do licha!

Młody człowiek zrzucił swoją welwetową marynarkę i powiesił ją na burcie samochodu, potem zwrócił swe szare oczy na gawiedź, której wciąż przybywało. Oceniał ją chłodnym spojrzeniem, nie widział jednak nigdzie chęci niesienia mu pomocy. Wtedy właśnie spostrzegł dwóch chłopców, którzy szeptali coś do siebie i popychając się wzajemnie, wysuwali naprzód.

— Hej — zawołał — chłopaki, chodźcie no tu na chwilę.

Stanęli przed nim: Romek, śmigły, uśmiechnięty szatynek i Józek ze swą wągrowatą twarzą, z czołem niskim, nieco pochylonym do przodu, jakby użyć go chciał jako taranu do usunięcia przeszkody, odsłaniający lśniące, śnieżne zęby w uśmiechu. I zaraz też potoczył się błyskawiczny dialog między młodym człowiekiem i chłopcami, któremu kierowca przysłuchiwał się z rosnącym niepokojem.

— Pomożecie mi, prawda?

Spojrzeli po sobie, potem skinęli głowami.

— Jeden z was popędzi co sił do inżyniera Plecionki lub Duszki do Fabryki Maszyn. Trzeba im powiedzieć o tarapatach, w jakich się znalazłem. To gdzieś tu w pobliżu. A drugi pomoże mi złożyć pakunki na tym niegościnnym bruku. Ty — wskazał na Józka — jesteś silny, więc zostaniesz...

Kierowca, który dotąd stał z założonymi rękami, zbliżył się do młodego człowieka.

— Mógł pan zaraz powiedzieć — rzekł — że inżynierowie są znajomymi pana. Załadujmy pakę, jedziemy dalej. Niech się pan nie dziwi, że mnie trochę poniosło. Ale naprawdę czas mój jest dokładnie odmierzony. Mam o drugiej łądować odlewy, a potem muszę wyruszyć do Warszawy. Ale chłopców trzeba wziąć ze sobą, żeby pomogli przy wyładowaniu wozu.

— Cieszę się, że zmienił pan swoje zdanie — rzekł jego pasażer. — Ponieważ zależy mi również na pośpiechu, przyjmuję pana ofertę.

— Proszę jednak o tej historii nie mówić panu inżynierowi Plecionce.

Właściciel skrzyń spojrzał na niego z lekkim uśmiechem:

— Zgoda. — A do chłopców: — A co wy na to, przyjaciele? Pojedziecie? Być może, iż w przyszłości rachunek z wami wyrównam. Jeśli chcecie mi pomóc, siadajcie obok mnie.

Wyglądał w tej chwili tak chłopięco i tak swoją młodością z nimi był związany, że uśmiechnęli się, skoczyli na samochód i usadowili się u jego boku. Star ruszył naprzód, a gapie zawiedzeni w swych nadziejach uczestniczenia we wspaniałym i bezpłatnym przedstawieniu, zaczęli się leniwie rozpraszać. Tymczasem ciężarówka wpadła z pośpiechem na rynek, stąd zaś przedzierać się zaczęła przez wąskie, stare uliczki. Wreszcie znalazła się za miastem. Kierowca bez zachęty skręcił na drogę polną, pozbawioną drzew i zabudowań i naraz zatrzymał samochód. Zza uchylonych drzwiczek, przy wtórze przyciszonego warkotu motoru, słysząc było wyraźnie jego głos:

— Panie, to już ulica Polna, ale jak pan widzi, nie ma tutaj nigdzie domów prócz tej

rudery na górze.

— Właśnie o nią chodzi. Niech pan się zatrzyma przed tą szopą.

Samochód poderwał się jeszcze raz i znieruchomiał po chwili we wskazanym miejscu. W szczerym niemal polu wyrastała istotnie samotna szopa z wielką okutą bramą oraz małymi okienkami z matowymi szybami. Józek Proksz, podniecony widocznie tą niecodzienną przygodą, wylądował gwałtownym susem na gliniastym ugorze. Jego zaciekawione oczy penetrowały pustkowie, a przede wszystkim badały drewniany budynek osiadły ciężko niby korab Noego na szczerbie żółtej ziemi. Wszystko bowiem dokoła zmuszało do myślenia, do snucia niejasnych wniosków oraz gubienia się w najfantastyczniejszych domysłach. Co, do licha, zawierały skrzynie? Zwłaszcza te, które opakowano w grube wołjoki, lub te dziwne futerały i walizy o najróżniejszych kształtach. Dlaczego składa się je na tym ustroniu? Kto to jest ten młodzieniec, co tak pieczołowicie się z tym bagażem obchodzi? W tej chwili nie było jednak czasu, by się tym bliżej zająć. Józek porwał obydwie torby szkolne i pobiegł w stronę szopy, by tam je zawiesić na hakach wystających z desek. Powstrzymał go jednak nieznajomy stanowczym wezwaniem:

— Rzuć torby na trawę!

Kto to jest ten młody człowiek, sprawiający chwilami wrażenie, że nie ma więcej niżli siedemnaście lat, a chwilami budzący respekt i poważanie? Proksz zawrócił posłusznie i zaczął pomagać w wylądowywaniu samochodu. W krótkim czasie urosła przed szopą sterta najrozmaitszych pak i skrzyń. Ciężarówka była pusta.

Szofer podszedł do swego pasażera z wyciągniętą ręką i z przeprasającym uśmiechem na ustach.

— Niech się pan nie gniewa — rzekł. — Powinien mnie pan zrozumieć. Wszystko by się inaczej ułożyło, gdybym wiedział, że to sprawa naszych inżynierów. Przykro mi tym bardziej, że mam wiele do zawdzięczenia panu inżynierowi Plecionce, a po prawdzie również panu inżynierowi Duszcze.

— Zapomniałem już o tym — odparł nieznajomy. — Szczęśliwy jestem, że jesteśmy na miejscu, a moje instrumenty nie doznały żadnego uszczerbku.

Star znikł na zakręcie, chłopcy pozostali sami z opiekunem bagażu. Usiadł on na chwilę na jednej ze skrzyń, potem wstał i podszedł energicznie do szopy. Zawiasy wielkiej bramy zaskrzypiały, a wkrótce odsłoniła się ciemna czeluść szopy. Proksz, trawiony wciąż gorączką tajemniczości przygody, zajrzał do jej wnętrza. Szopa była próżna po jednej stronie, drugą zajmował ogromny, stary samochód ciężarowy. Chłopak ocenił go krytycznie:

— To już kompletny wrak.

— Jeszcze nie — odparł młody człowiek — motor jest zupełnie dobry. Świeży lakier odnowi karoserię. Ale o to mniejsza, spełni on dobrze swoje zadanie, które mu przeznaczyliśmy.

Była to zachęta do dalszej pogawędki i do pogłębienia tej poufałości, którą nabrzmiały pierwsze, wstępne słowa. Józek oparł się o bramę i przyglądał się tym swoim głodnym, ciekawością zapalonym wzrokiem.

— Czy to naprawdę instrumenty muzyczne? — rzucił, a potem dodał: — Ten futerał mógłby na przykład zawierać wielki kontrabas.

— Kontrabas? — śmiał się tamten. — Podnosiliście go przecież... Zważywszy jego ciężar...

— Musiałby być napelniony rtęcią — rzekł Romek. — Znam się trochę na kontrabasie, bo ojciec mój na nim grywa, a i mnie usiłował skłonić do tego, bym się na nim uczył gry. Mam jednak do wszystkich instrumentów muzycznych pewną urazę.

— To niedobrze. Lubię muzykę, choć może inne sprawy pociągają mnie bardziej. To znaczy, że twój ojciec jest muzykiem?

— Raczej nie. Nie zawodowym. Muzykę uprawia w wolnych chwilach z amatorstwa.

Pracuje w Fabryce Maszyn, u pana inżyniera Plecionki.

— Naprawdę? A jak ty się nazywasz, jeśli wolno o to zapytać?

— Roman Lukanek.

— W takim razie ja też się przedstawię — odezwał się Proksz, wypinając swoją pierś jak żołnierz na defiladzie — Józef Proksz, druga licealna!

— Świetnie!

Dlaczego świetnie, Proksz nie wiedział, ale upoważniło go to do postawienia swojego własnego pytania:

— A pan, a wy... Zresztą, poznaliśmy się już trochę, mówmy sobie per ty. Jak się nazywasz?

— Masz rację — wybuchnął śmiechem młodzieniec — powinienem się przedstawić. Iks... Iksiński. Ludomir Iksiński.

— Co cię tak rozśmieszyło?

— Wesoło mi, bo najgorsze mam już za sobą. A na dodatek, ha, ha, ha... was poznałem. Czyż to nie zabawne?

— Iks... Iksiński — zdumiewał się Józef Proksz, a potem i on z kolei zaczął się niepo- hamowanie śmiać. — Lukanek, bo umrę. Iksiński... Dobrze, że nie Ypsylonowicz, albo — niech mnie kule biją — Igreciuk. Igreciuk... Lukanek, trzymaj mnie za uszy, bo skonam...

Iksiński tłumiąc w sobie całą swą wesołość zabrał się do przenoszenia pakunków. Chłopcy poszli w jego ślady, przenosząc skrzynie ostrożnie i umieszczając je w geometryczną pryzmę w szopie. Chłopcy zdołali stwierdzić, że szopa — czy też barak — mimo swego ze- wnętrznego ubóstwa, wyłożona jest częściowo idealnie wygładzonymi płytami betonowymi, częściowo — głównie w pustawej swej połaci — dużymi arkuszami pilśniowymi. Można było się zdumieć widząc nędzne ściany pokryte okładziną laminatową. Znajdowały się tutaj również dwa stoły z przyrządami mierniczymi i stosem papierowych projektów. Lampy biurowe świadczyły, że pracowano tutaj również wieczorami, a może i nocami. To wszystko i duży warsztat z narzędziami były obrazem jakiejś pracowni na wespół badawczej, na wespół konstrukcyjnej.

— No, Józek — zawołał Iksiński po skończonej robocie — siadajmy i porozmawiajmy trochę. Więć powiadasz, że chodzisz do drugiej licealnej.

— Chodzę drugi rok i nie mam powodzenia. Pozwolisz jednak, że będę do ciebie mówił: Iksik. Brzmi to lepiej.

— W porządku, Józek. Mówiłeś o tym niepowodzeniu. Brakuje chęci do nauki, co?

— Przeciwnie. Wszystko mnie interesuje. I wszystko, czego się niby nauczyłem, siedzi w głowie. Gdy jednak przyjdzie na lekcji do wyładowania towaru naukowego, nic u mnie nie ma.

— *Tabula rasa*⁵...

— Zupełnie. Najgorzej powodzi mi się w matematyce. Mówię ci, Iksik, rozpacz. Stanę przed tablicą i wszystko ulatuje z pamięci. Zazwyczaj wracam z pałą na miejsce. Dlaczego się śmiejesz?

— Jeśli mam być szczerzy, to z tego Iksika.

— Jeżeli ci to nie odpowiada, mogę skrócić do Iks. Ze względu jednak na sentyment, który czuję do ciebie, wolałbym Iksiątko.

— Dziękuję. Pozostańmy więc przy Iksiku. Powiadasz, że jesteś kolekcjonerem pał.

— Niestety. Najbardziej nieswojo czuję się przy profesorze „Cyfrze”.

— Cyfra?

— Profesor Karczewski, starszy pan. Niby wyrozumiały, ale zawsze trzęsę przed nim portkami. Być może, iż datuje się to od pewnego wydarzenia. Wyobraź sobie, Iksik, spotykam pewnego razu takiego biednego dziadula z kufrem niby twoja basetla na ramieniu. Więć się momentalnie nad nim lituję. Wiem przecież, co to starość. Odbieram mu kufer i nie wiem,

po jakie licho tytułuję go dziadkiem, starzykiem, wujkiem i stryjkiem. Właśnie, tylko nie tak, jak trzeba. I co się nazajutrz w klasie pokazuje? Ten dziadek, to nasz pan profesor Karczewski. I odtąd ile razy bierze mnie do tablicy, tyle razy pragnę zapaść się pod ziemię. Tracę wątek, nie widzę nic tylko czarną plamę tablicy.

— Pechowiec. Nic bym sobie jednak z tego nie robił. Grunt to nauka.

— Tak się mówi, ale ja jestem stracony. Pomyślałem, że profesor „Cyfra” wszystkim to już zakomunikował, więc lecę na łeb i w innych przedmiotach. Jednego się nauczyłem: stale mam się na baczości. I historia z dziadkiem nigdy się już nie powtórzy. W końcu zaświtała i dla mnie nadzieja: stary profesor odchodzi, a przychodzi nowy.

— Myślisz, że karta się odwróciła. Słuchaj, Józek: w życiu bywa różnie. Pełno w nim zasadzek i niespodzianek. A gdybym na przykład ja zjawił się w waszej klasie jako jego następca?

Józek Proksz zdębiał w pierwszej chwili, potem zaczął zanosić się piskliwym śmiechem.

— Ty? — krztusił się bez przerwy — Lukanek, słyszysz? Trzymaj mnie za włosy, bo tonę. Ha, ha, ha... Iksik naszym profesorem.

Iksiński śmiał się równie serdecznie, potem jednak rzekł ogromnie poważnie:

— Nie, nie śmiej się, Józek. Twierdzisz, że wyciągnąłeś pożyteczne wnioski z tej nauki. Żartowałem, ale... A ty, Romek? Niewiele o sobie wiemy, co?

— No... tak.

— Pewnie nie wierzysz, że jestem Iksikiem?

Romek milczał. Siedzieli na stole, mając przed sobą owoc swych mozołów: górę skrzyń, małych i dużych, i wciąż jeszcze tajemniczych. Wtedy Józek Proksz błysnąwszy okiem w stronę tego bagażu, uderzył Iksińskiego w kolano i zapytał poufale:

— Słuchaj, Iksik, co tu owijać będziemy w bawelnę. Jesteśmy bardzo ciekawi dla kogo te twoje basetle są przeznaczone. Gadaj, jak do dobrych kolegów.

— Basetle? Raczej radiobasetle, albo radiotelebasetle. Ale o tym kiedy indziej. Bardzo wam dziękuję za pomoc. Może w przyszłości jeszcze się spotkamy i wtenczas wyrównamy rachunek. Jeszcze jedna prośba. Wracacie do domu...

— Następnym pociągiem — objaśnił Romek.

— Poprzedni już odjechał. Wybaczcie. Wstąpcie po drodze do Fabryki Maszyn i postarajcie się, żeby przywołano pana inżyniera Plecionkę lub Duszkę. Zdajcie mu relację z tego, co wiecie i powiedzcie, że przyjechałem z instrumentami na stację. Miał tam czekać samochód inżynierów, których powiadomiłem telegraficznie o moim przyjeździe. Nie było nikogo. Teraz czekam na nich. Dobrze?

Proksz położył swoją ciężką, spracowaną dłoń na jego ramieniu i powiedział uspokajającym tonem:

— Iksik, możesz na nas polegać. Serwus, do zobaczenia.

— Fajny chłopak — rzekł Proksz z uznaniem. — Ma poczucie humoru. Nigdy jeszcze nie czułem się tak dobrze, jak dziś. Powiedz, Lukanek, czy nie jestem dyplomatą.

Romek czuł jakiś dziwny niepokój w duszy, ale nie podjął tego tematu. Wkrótce obaj dotarli do fabryki.

Zabębniłi do małego okienka portierni. Człowiek o szarej, pergaminowej twarzy, z szronem siwizny na skroniach, podniósł znad gazety pełne zniecierpliwienia oczy i zatrzymał swoje karcące spojrzenie na chłopcach.

— Inżynier Plecionka? — zastanawiał się marszcząc czoło, jakby wątpił, czy w ogóle człowiek o podobnym nazwisku istniał na świecie.

Powstał jednak z wysiłkiem i wsparł się mocno o stół, a wtedy zauważyli, że nie ma nogi, proteza zaś stoi oparta o ścianę. Spodziewali się teraz szorstkiej odprawy, on wszakże odezwał się nagle bardzo przyjaźnie.

— A o co chodzi?

— Pan inżynier Plecionka i pan inżynier Duszka mają się udać na ulicę Polną. Wszystkie instrumenty są już na miejscu — relacjonował Romek.

— Jakie instrumenty?

— Instrumenty muzyczne dla orkiestry fabrycznej. Same radiotelebasetle — dodał Proksz.

— Pierwszy raz o tym słyszę, choć znam wszystkie potrzeby fabryki. A jak się ten gość nazywa, ten, który to polecenie wydaje?

— Iksik... Iksiński, Ludomir Iksiński — powiedział Józek.

Portier pokręcił niedowierzająco głową, ale chwycił za słuchawkę i włożył palec w tarczę obrotową.

— Zabijcie mnie, nic jednak z tego nie rozumiem. Ale powtórzę panu inżynierowi to, co słyszałem. Halo, mówi portiernia! Pana inżyniera Plecionkę lub Duszkę proszę. Proszę?... Przy telefonie? Panie inżynierze, są tu dwaj chłopcy do pana. Czego chcą?... Hm, mówią, że miał pan wysłać samochód na stację po jakieś tam radiotelebasetle. Co to takiego?... Podobno instrumenty muzyczne dla orkiestry fabrycznej. W tej chwili basetle są już na ulicy Polnej. Dlaczego się pan śmieje? Aha, mam się zapytać, kto ich przysłał. Jakiś Iks... Iksiński. Co? Przesadna anonimowość?... Nie rozumiem. Dobrze, mają poczekać.

Chwilę później ukazał się w wąskim przejściu z fabryki człowiek w poplamionym kombinezonie, z rudymi włosami, które w dwóch miedzianych puklach tworzyły jakby daszki nad zaczerwienionymi uszami. Na mocnym, szerokim nosie usadowiły się krzywo okulary w złotej oprawce. Nie był to piękny mężczyzna, miał jednak mądre, przenikliwe oczy i pogodny uśmiech.

— Aha, to was przysłał pan Iksiński. Powiedźcie jeszcze raz, o co chodzi.

Obaj chłopcy, uzupełniając się, opowiedzieli jeszcze raz całą przygodę. Inżynier odparł:

— Nie było żadnego telegramu.

— Panie inżynierze — odezwał się portier od okienka. — Był tu posłaniec z telegramem na nazwisko Oleander Śledzionka.

Inżynier począł się śmiać. Widać było, że nie czuł się dotknięty tym zniekształceniem swego nazwiska.

— Znowu poczta przekręciła adres, a może i tekst. Raz jestem Święconka, raz Klecionka, a byłem już i Mieszanką. Dawajcie telegram, Pietras.

— Posłaniec zabrał go z powrotem.

— Nie szkodzi. Obejdzie się już bez telegramu. Jedziemy z panem Duszką na Polną! Dziękuję, zuchy!

W ŻYCIU JEST PEŁNO ZASADZEK I NIESPODZIANEK

Nie spodziewali się, że ujrzą Iksińskiego kiedykolwiek jeszcze w życiu. Spotkali go jednak już dwa dni później na korytarzu szkoły. Biegli jak zwykle z pociągu, by zdążyć jeszcze przed dzwonkiem do klasy. Pchnęli wielkie podwoje i wpadli wprost na niego. Iksiński zatrzymał się przed nimi, uśmiechając się do nich, jak do starych znajomych. W ręku jego ujrzeli kilka książek i duży zeszyt w twardej okładce. Te niepozorne rzeczy zmieniły jednak trochę postać znajomego z ulicy Polnej. Był też lepiej ubrany. Wydawał się wyższy, starszy, a oczy jego miały zgoła inny wyraz niżli przedwczoraj.

— No, Józek, zamieniłeś się w słup soli — przywitał Proksza. — Dlaczego? Nie

spodziewałeś się mnie w szkole, prawda?

Proksz przełknął ślinę, gdyż czuł, że wysycha mu gardło, potem przejechał palcami jak zgrzeblem po swoich jeżowatych włosach. Byleby zyskać na czasie. Tak, skąd wziął się tutaj Iksik? Spojrzał na Romka, w którego oczach malowało się bezgraniczne zdumienie. Wtedy Józka olśniła nagła myśl.

— Jesteś pewnie, Iksik, takim samym szkolnym „kłapouchem” jak my z Lukankiem.

— Iksik? Aha, rzeczywiście: Iksik — powtórzył przeciągle nowy „kłapouch” i parsknął cichym śmiechem. Proksz poczuł się nieswojo, toteż schował się przezornie za plecy Romka.

— Śmielibyśmy się — mamrotał niepewnie Józek — gdybyś do tego gniótł z nami ławki w drugiej klasie.

— Mówię ci, szkolny osiłku, że za chwilę rzeczywiście u was będę. Będę, daję słowo! Mieście się dobrze, kumple! — Iksiński trącił żartobliwie Józka w ramię, potem obrócił się i wszedł na schody. Chłopcy pomknęli szybko do klasy. Dopiero w ławce spojrzeli na siebie. Prokszowi drżały ręce, ocierał nimi spocone czoło. Romek położył się na ławce i zanosił się śmiechem podobnym do histerycznego płaczu.

— Udało ci się, Józek, z tym „kłapouchem” — rzekł wreszcie. — I co teraz zrobimy?

— Nie wiem, o czym mówisz.

— No, co będzie, jeśli to nie „kłapouch”?

— Więc kim jest?

— Ej, Józek, nie domyślasz się, że naszym profesorem. Mam przecucie, że za chwilę stanie tam na miejscu „Cyfry”. Zresztą, widzę, że też zaczynasz się niepokoić.

Proksz wydobył szybko podręcznik i zeszyt, ale nie potrafił się uczyć. Jego niepewny wzrok wędrował często do drzwi. Lecz nikt ich nie otwierał. Nikt nie zamierzał skrócić męki czekającego. Józek czytał kiedyś o ostatnim królu babilońskim, Baltazarze, któremu podczas uczyły się na ścianie słowa zagłady: mane, thekel, fares ⁶. Proksz widział je właśnie na drzwiach, gorejące, złowrogie.

A potem jednak te drzwi się zlitowały. Ustąpiły, a na progu ukazał się Iksiński, czyli Iksik. Pozdrowił lekkim uśmiechem Józka i Romka, tak że obawy Proksza rozproszyły się w jednej chwili. Był to znowu jego Iksik, sympatyczna gęba, wiarus z Polnej. Józek skoczył i zamierzał krzyknąć:

„Niech żyje Iksik, nowy bęcwał klasowy!”

Ale głos zamarł mu na ustach, w klasie nastąpiła cisza. Zjawił się bowiem dyrektor — korpulentna, szacunek budząca postać — i zmierzał prosto na środek sali. Wzrok jego poderał wszystkich na nogi, a po chwili ręka dyrektora opadając jak lizak milicyjny przytłoczyła uczniów z powrotem do ławek. Młody, nie znany ogółowi klasy człowiek, opierał się o stół. Licealiści czekali z napięciem na dalsze wydarzenia. Dyrektor zaś, z marszem na czole, zrobił dwa kroki ku oknu i dwa kroki w stronę drzwi, wreszcie odchrząknął, spojrzął z głębokim szacunkiem na swego młodego towarzysza.

— Lukanek — szeptał Proksz — jestem zgubiony. Och, Boże, co za pech. Ale ze mnie tuman!

Słowa dyrektora uderzyły w Józka Proksza jak pałka w bęben podczas pogrzebu.

— Tak, moi kochani, oto wasz nowy wychowawca. Pan doktor Ludomir Osiecki uczyć was będzie matematyki, a również fizyki...

— O rany, doktor... — jęczał Proksz.

A dyrektor ciągnął dalej:

— Pan Osiecki jest naukowcem wielkiej miary. Mam więc nadzieję, że skorzystacie dużo z jego wiedzy, no i z doświadczenia. Pan doktor Osiecki jest bowiem znakomitym praktykiem, który wiedzę potrafi wykorzystać. Mogę wam również zdradzić — pan wybaczy, panie doktorze, wiemy to z prasy — że wasz nauczyciel dokonał licznych wynalazków z dziedziny elektroniki.

Domyślamy się też, że jedno z wielkich odkryć pana, zdawać będzie właśnie w naszym regionie swój egzamin praktyczny. Kończąc, życzę panu zadowolenia ze swej pracy pedagogicznej, dalszych rewelacyjnych wynalazków, a wam dziewczęta i chłopcy, żebyście z wiedzy naszego profesora jak najwięcej skorzystali.

Dyrektor wyszedł już z klasy, ale milczenia nikt nie przerywał. Nauczyciel usiadł za stołem i zaczął przewracać kartki dziennika. Szelest papieru miał, zdawało się, siłę zgrzytającej piły tarczowej. Mimo tej przykrej ciszy, Józek Proksz potrafił nagryzmolić kilka słów na świstku, który podsunął Romkowi.

„Powieszę się na przerwie. Serio.”

„Trzeba odczekać” — odpisał Romek.

Potem naraz usłyszano po raz pierwszy głos nowego nauczyciela. Przyjaciele stwierdzili z trwogą, że nie był to dźwięk mowy Iksińskiego z ulicy Polnej. Wiało od niego chłodem, trzymał wszystkich w klasie nadal w napięciu i zmuszał do uwagi. Nauczyciel uważnie ocenił wzrokiem uczniów siedzących w ławkach.

— Chcę was trochę poznać — rzekł — zapamiętać, jak wyglądacie. Reszta przyjdzie później. Z dwoma waszymi kolegami zapoznałem się już dobrze. Myślę, że dobrze. Są to Józef Proksz i Roman Lukanek, którzy wybawili mnie z ogromnego kłopotu. Dziękuję wam jeszcze raz, chłopcy! Bardzo serdecznie. Nie zapomnę wam tego.

Obaj chłopcy stanęli ze spuszczoneymi głowami. Mimo zapewnienia nauczyciela, nie potrafili ze siebie strząsnąć resztek niepokoju. Stali więc jak skazańcy.

Nowy wychowawca utkwiał w nich swoje poważne spojrzenie, ale już po chwili jego oczy się rozweseliły.

— Panie profesorze — odezwał się nagle Proksz, nie podnosząc wszakże oczu — urodziłem się pod nieszczęśliwą gwiazdą...

— Przekonasz się niebawem, że nie jest tak źle. A ty, Lukanek, dlaczego buczysz?

— Nie wiem, ale gdyby mnie wylali z liceum, byłoby to dla mojej matki wielkie nieszczęście.

— Zaczynacie mnie nudzić, chłopcy. Siadajcie i słuchajcie!

Profesor Osiecki stał wyprostowany przed ławkami. Dwie głębokie zmarszczki na czole wypłoszyły ów chłopięcy wyraz oczu. Mówił o tym, co mu było najbliższe; o współczesnej epoce, wysuwającej matematykę i fizykę na czoło wszystkich nauk, przy czym, jak człowiek roztropny, nie pomniejszył znaczenia innych gałęzi wiedzy. Było to jakby adresowane do Józka Proksza.

Minęła więc pierwsza lekcja pełna nowości, ze świeżym tchnieniem innego wiatru. Młodzież to poznała i oceniła należycie. Ale w tej chwili wszyscy byli pod wrażeniem zagadkowego dialogu Proksza z profesorem.

— Wiesz, Józek — rzekł Paszenda, niski chłopiec o bystrych oczach — że mnie zaskoczyłeś. Co to wszystko znaczy? Co to za zagadka? A ty, Romek, dlaczego ryczałeś?

— Jeśli chcesz wiedzieć — odparł Proksz — prześladuje mnie nieszczęście. Nie mam chwili do stracenia, czuję, co to będzie za taniec. Muszę się uczyć.

— Zdziwiasz nas — powiedział Paszenda wężąc w sprawie coś, co mogłoby być bardzo interesujące. — Józek, gadaj, co to było?

— Nie urodziłem się w niedzielę. A Romkowi też nie za bardzo sprzyja szczęście.

— Mamy nauczkę — rzekł Romek ponuro — żeby słowa wypowiedane przesiewać przez gęste sito.

Było to następnego dnia. Znowu, jak codziennie, obaj chłopcy spieszyli do pociągu. Ale tuż przed stacją ujrzeni młodego eleganta w rozpiętym płaszczu, z ulizaną głową, w okularach na poirytowanych oczach, który stał nad dwiema walizkami i najwyraźniej nie wiedział, co z nimi zrobić. Właśnie, gdy go mijali, człowiek ten zwrócił na nich uwagę. Skinął na nich. Chłopcy przerwali swój bieg, choć słyszeli, że na peronie dyszy już niecierpliwie parowóz.

— Hola, licealiści, gdzie, do jasnego diaska, cumują taksówki? Nie widziałem jeszcze takiego grajdołka. Nigdzie taksówki ani na lekarstwo.

Poinformowali go, że taksówki owszem są, ale trochę wyżej, w rynku, trzeba tam z walizami pomaszzerować.

— Aha — rzekł wytworny pan — można się było domyślić, że w waszym cichym grodzie inne panują zwyczaje. Gdybym ja miał tutaj coś do powiedzenia, pokazałbym tym trutniom, gdzie powinni przystawać. Mówi się jednak: trudno. A wy dokąd, chłopaki?

— Do pociągu. Za chwilę odjeżdża — odparł Romek.

— Zaczekajcie. Może byście mi zanieśli walizy gdzieś w okolicę liceum...

— Liceum? — Proksz zatrzymał się jak pod wpływem magicznego hasła. — A kogo pan w tej okolicy szuka?

— Instaluję się tam na stałe, albo przynajmniej na parę latek.

Proksz wrósł już w ziemię. Było jasne, że to nie byle kto. Józek Proksz nie chciał być więcej pechowcem. Nowy profesor, nie ulega wątpliwości. Romek Lukanek przypomniał Józkowi, że jutro jest klasówka. Na to obcy pan skrzywił usta w uśmiechu i rzekł:

— Klasówka? Możecie się jej nie bać. Biorę to na siebie.

Ten argument przekonał wreszcie chłopców, porwali ochoczo walizy i ruszyli naprzód, pan zaś podążył za nimi statecznym krokiem. Niósł tylko aktówkę, cienką i wytworną jak skoroszyt. Właściciel walizek, jak się okazało, był człowiekiem rozmownym i towarzyskim. Interesowała go przede wszystkim szkoła, rozpytywał się bowiem o każdy szczegół życia szkolnego. Zdawało się chłopcom, że nikt tak nie zna jego tajników, jak właśnie on.

— Żeby nie zapomniał — rzekł w pewnej chwili — kto was uczy matematyki? — I przystanął, jakby pytał o najważniejszy odcinek organizacji szkolnej.

— Pan doktor Osiecki — odrzekł Proksz — bardzo mądry człowiek, jest podobno wynalazcą.

— Ach tak... Rozumiem.

— Pan profesor zna pewnie doktora Osieckiego?

— Doskonale.

— Pewnie to kolega pana profesora?

— Przyparłeś mnie do muru. Ale wołałbym na ten temat nie mówić. Rozumiecie, kamraci, nie mogę się jeszcze całkowicie ujawnić. Profesor Osiecki jest znanym wynalazcą: zapalniczki termostatowe, wszczynające alarm przy podniesieniu się temperatury otoczenia do sześćdziesięciu stopni, pantograf rytowniczy, odkrycia w dziedzinie światła, wychwytywanie promieni świetlnych w myśl zasady, że w przyrodzie nic nie ginie...

— I ta... radiotelebasetla...

— Naturalnie, to też jego wynalazek.

— A jakich przedmiotów pan będzie uczył?

— Fascynuje mnie matematyka i fizyka. Zresztą, jeszcze się rozejrzę. Kopruch nigdy się nie spieszy.

— Pan profesor Kopruch?

— Tak...

Chłopcy postawili obok spiczastych bucików profesora jego dwie ciężkie walizki. Byli już na miejscu. Kopruch sięgnął do kieszeni i wydobyl z niej dwa karminowe lizaki.

— Za fatygę — rzekł. — Bierzcie bez ceregieli. Nie uznaję usług bez zapłaty. Praca, to i płaca.

Nie można było odmawiać, tym bardziej że spojrzenie Koprucha było władcze i stanowcze. Chłopcy rumieniąc się wzięli lizaki i ukryli je szybko w kieszeniach. Profesor dał im znak, że mogą się już oddalić.

— Do zobaczenia — zawołał.

— Do widzenia, panie profesorze! — odkrzyknęli chłopcy.

Spojrzeni jednak ukradkiem za siebie i zobaczyli elegancką postać profesora Koprucha, stojącą jeszcze w tym samym miejscu. Nagle jednak profesor podniósł walizki i skręcił na prawo, gdzie mieszkał doktor Osiecki.

— Cholewa — zaklął Proksz. — Nareszcie człowiek do rzeczy. Co ty na to, Lukanek? To ci profesor, co? Nie trzeba odgadywać, jakby wyjęty z podręcznika. Widziałeś, za kogo on nas ma? Wtyka nam lizaki do buzi. Profesor... Nie ma co, Lukanek, w życiu jest pełno niespodzianek, ba, a również zasadzek.

— Józek, on mi się wcale nie podoba.

— A mnie tak. Lizakom mógł jednak dać spokój.

Po tej nowej przygodzie spodziewali się ponownego spotkania z profesorem Kopruchem, nie przypuszczali wszakże, iż nastąpi to tak rychło. Toteż, gdy jak zwykle wtargnęli do klasy, by powtórzyć jeszcze szybko lekcję, zdębieli na widok wczorajszego znajomego. Dziś profesor Kopruch ubrany był niemal po domowemu, miał bowiem na sobie gruby, zielony sweter z golfem i długie wążutkie spodnie. Opierał się zaś niedbale o stół i coś tam gadał. Widać było, że zadzierzgnął już żywy kontakt z klasą, bo tu i ówdzie rozlegały się śmiechy. Przyjaciele byli pewni, że spóźnili się do szkoły, pomni więc dawnych doświadczeń zgięli się niemal w pokornym ukłonie przed profesorskim autorytetem i wyrzucili ze siebie gromkim głosem pozdrowienie.

— Panie profesorze — usprawiedliwiał Proksz siebie i kolegę — my prosto z pociągu. Pan nas chyba sobie przypomina...

— Nie dyskutować. Proszę na miejsce. Zanotujemy was w dzienniku.

Klasa zatrzęsła się źrebięcym rzeniem. Spóźnialscy poczerwienieli, ale nie ruszali się z miejsc. Wtenczas Kopruch wyciągnął do nich rękę jakby na powitanie.

— Aa, to wy — rzekł swobodnie. — Cześć, kamraci! Proszę mi nie przeszkadzać. Powiedziałem przecież, że możecie siadać.

Salwa śmiechu. A on zwrócił się do klasy:

— *Silentium*. Czyli: cisza! A czy wiecie, ciotki, jak doprowadzić dętą orkiestrę do kompletnego milczenia? Nie?

Nikt oczywiście nie wiedział. Wtenczas Kopruch zamienił się w dyrygenta. Rozdzielił szybko role muzykantów. Jednemu dostała się trąbka, drugiemu fagot, kontrafagot, flet; puzon, waltornia, helikon usadowiły się w ławkach.

— Gramy uverturę do Halki. Wbić we mnie ślepią i nie rzucać spojrzeń na boki. Trzy, cztery! Ty tam z tym kozim lokiem nad aksamitną brwią, patrz tutaj!

Rozległy się rozmaite tony, imitujące dęte instrumenty muzyczne, a wtedy Kopruch wydobyl z kieszeni cytrynę, zaczął ją uważnie krajać i jeść. Twarz jego skrzywiła się, jakby pił ocet. Instrumenty poczęły się wyłamywać, strzępić, bulgotać, sapać. W końcu wszyscy zamilkli.

— No i co? — zapytał Kopruch. — Nie dajemy rady?

Zabawę przerwał profesor Osiecki. Wszystko ucichło, a Kopruch chyłkiem przekradł się do ostatniej ławki.

Kopruch był więc uczniem, czyli „kłapouchem”, jak to kiedyś Józef powiedział do swego nauczyciela. Romek słyszał, jak pan Osiecki informuje polonistkę, panią Dobrowolską:

— To syn mojej kuzynki. Ona i jej mąż pracują w przedsiębiorstwie, które nieustannie wędruje po całym kraju, a nieraz zagląda za granicę. Oni oczywiście z nim. Ojciec i matka nie mają nigdy czasu dla chłopca, więc opiekuje się Krzysiem jego babka, moja ciotka. Tak, proszę pani, moja ciotka, anielskie stworzenie, ma bardzo miękką rękę. A to wisus, który jej słabość wykorzystuje. No cóż, powtarza drugą klasę. W gruncie rzeczy nie jest złym chłopcem, do tego zdolny, potrzebuje jednak mocnych cugli.

CO SIĘ DZIEJE NA ULICY POLNEJ?

Odtąd więc nastąpiły nowe dni, z nowym wychowawcą, z nowym, niezwykłym uczniem, z nowymi wydarzeniami. Klasa otrząsnęła się ze swego zaskoczenia, przekonując się też wkrótce, że pan Osiecki rozumie młodych i jest ich wymarzoną opiekunem. Wychowawca bowiem lubił pozartować, a z wyrozumiałością pomagał tym, którzy gubili się w trudniejszych zagadnieniach.

Tylko Proksza nie pytano, nie niepokojono w ogóle. Jakby go nie było w klasie. A on przecież drżał wciąż na myśl, że zamieni się znowu w głupca przy tablicy ku uciesze całej klasy. Wiedział, co potem przyjdzie, *tabula rasa*, jak mu to odpowiedział wtedy Osiecki.

Razu jednego przyszło to, czego oczekiwał ze strachem. Oblął się od razu potem i wstał na chwiejnych nogach.

— No, Józek — rzekł pan Osiecki — chodź no do tablicy. Pogadamy sobie trochę o przyjemnych sprawach fizyki, którą urozmaicimy zadaniami matematycznymi.

Józek Proksz zakółsał się jak pijany, potem gładząc swą szczotkę smolistych włosów na głowie, podchodził wolno do przodu.

— Panie profesorze — rzekł nieprzytomny z przerażenia — obawiam się...

— Nic strasznego, Józek. Pogadanka i tyle. Chcę cię przekonać, że nie jest tak, jak myślisz. Potrzebuję cię bowiem do bardzo ważnych zadań. Ale o tym opowiem ci później.

Gdy Józek Proksz wrócił wreszcie po tej fizyczno-matematycznej pogadance na miejsce, skurczył się w sobie i trwał bez ruchu nad otwartym zeszytem. Grube krople potu spływały mu na nos. Otarł je wreszcie rękawem i spojrzał na swego sąsiada.

— Świetnie — szeptał Romek. — Odpowiadałeś wyśmienicie.

— Czuję się przy tablicy zupełnie inaczej. Romek, to wielki człowiek. Zobaczysz.

Osiecki jednak był nadal dla chłopców zagadką. Widzieli go bowiem w różnych nastrojach. Nierzadko był skupiony, wówczas jego oczy pozbawione były uśmiechu. W takich chwilach nauczyciel podczas przerwy nie wychodził z klasy. Siedział za stołem i wpatrywał się w arkusz z czerniejącymi na nim konstrukcjami i maczką niezliczonych liczb. Młody człowiek, zamyślając się, potrzasał głową i coś tam mruczał do siebie.

Osiecki zawsze starannie ubrany, zjawił się pewnego dnia z krawatem zawiązanym na opak. Zdarzało się też często, że zjawiał się w klasie nieogolony. Miał zmęczone, i gorączkowo pałające, ale szczęśliwe oczy.

Kiedyś na jednej ze swoich interesujących lekcji profesor rozpoczął, ni stąd, ni zowąd, opowieść o Newtonie, Michelsonie, Fizeau i Einsteinie — badaczach zjawisk świetlnych. Swój wykład nauczyciel zakończył stwierdzeniem, że szybkość światła jest największą szybkością we wszechświecie, a nic tej szybkości nie zdoła prześcignąć.

— Nie wiem, czy mnie zrozumieliście? — zapytał w końcu, a w dźwięku tych słów można było wyczuć jakiś czający się półton.

— Tak jest — odpowiedziało kilka niepewnych głosów, gdyż nie wiadomo było, do czego profesor zmierza.

— Prędkość światła — ciągnął dalej nauczyciel — jest więc stała. Jest to jedno z podstawowych praw przyrody, które wielki Einstein wziął za zasadę przy swoich rozważaniach...

Widać było, że jeszcze nie powiedział wszystkiego. Wielu ze słuchających wyczuło to wyraźnie.

— Wyobraźcie sobie, że ktoś... ktoś... nadał promieniowi świetlnemu większą szybkość od tych trzystu tysięcy kilometrów na sekundę, którą uregulowała przyroda. Co by się wtedy stało?

— Panie profesorze — krzyknął nagle Kopruch — to straszne, co pan mówi...

— Nie, Krzysiu, to nie straszne, ale cudowne — odparł pan Osiecki.
— Proszę pana — odezwał się również nieoczekiwanie Józek Proksz piskliwym głosem — jeżeli... jeżeli...

Wszyscy obrócili się do Proksza. Raptownie, gwałtownie. Co powie zahukany zawsze Józek Proksz.

— Mów, Józek. Odważnie — rzekł profesor.

— Jjjj... bbb... — bełkotał przejęty chłopiec.

Znowu podziały w nim wszystkie wsteczne hamulce. Widział czerń, mętne błyskawice, kłębowisko niepowiązanych myśli. Jak tu coś wydusić z siebie, kiedy w pamięci i wyobraźni nie miał nic.

— Bardzo się boję... — przedrzeźniano go z tyłu, a ktoś rzucił: — Proksz, włącz pierwszy bieg!

— Dudki — groził dokoła siebie Kopruch przyduszonym półgłosem — ja się z wami policzę!

Proksz wyprostował się i „włączył pierwszy bieg”.

— Proszę się nie śmiać. Nie chcę powiedzieć głupstwa, ale myślę, że jeżeli komuś się to udało, co pan profesor powiedział, to dokonał wielkiej rzeczy, rewolucji w nauce. Gdyby na przykład dokonał tego, że jego rakieta osiągnęłaby większą szybkość, wtedy... wtedy... czas by się dla niego cofał. Tak, cofał. Kiedyś tym się właśnie interesowałem...

Przez ławki przetoczył się głuchy grzmot śmiechu, ale Kopruch ostrym spojrzeniem w lewo i prawo uśmierzył nagłą wesołość. Profesor uśmiechnął się, jak człowiek wybawiony z kłopotu tłumaczenia trudnego zagadnienia i rzekł:

— Nareszcie. Właśnie o to mi chodziło. Co miałeś z fizyki?

— Niedostateczny, panie profesorze.

— Nie umiesz sprzedać swoich wiadomości — powiedział Osiecki. — Według teorii Einsteina czas nie jest bowiem pojęciem bezwzględny, gdyż zależy on od szybkości. Siadamy więc do pojazdu Proksza. W jego mknącej rakiecie minęłoby zaledwie parę lat, a na ziemi upłynąłby w tym czasie cały wiek. Im prędzej polecicie z Prokszem, tym wolniej upływać będzie czas. Ale to jeszcze nie wszystko. Słuchajcie! Pędząc na przykład z prędkością pięciuset tysięcy kilometrów na sekundę, doganialibyśmy promienie, które ziemia wysłała już przed setkami lat. Widzielibyśmy więc wydarzenia na ziemi, które działy się tam... w roku tysiąc dwieście czterdziestym pierwszym...

— Coś takiego — zachłysnął się ktoś ze zdziwienia — byłby to napad Tatarów.

— Tak, tak właśnie.

— Panie profesorze, to herezja! — wymknął się komuś prawie przerażony okrzyk.

— Lepiej siadajmy do rakiety Proksza — krzyknął Swadźba, sąsiad Koprucha.

Doktor Osiecki wciąż się uśmiechał, jak człowiek, który wie, że dotarł do celu i nic już nie może go zawrócić z drogi. Toteż odpowiedział takim samym tonem:

— Nie trzeba nam tej rakiety. Możemy przeszłe wydarzenia spokojnie oglądać na ziemi.

— Jak to mamy rozumieć, panie profesorze?

— Tak, jak to powiedziałem. Możemy przypuszczać, że istnieje już gdzieś urządzenie, które ściga oddalające się od nas wypadki. Jestem pewny, że je dogoni i... zatrzyma.

Zapanowało milczenie. Nikt tych słów dokładnie nie rozumiał, ale najbystrzejsi domyślali się sensu tej zapowiedzi. Ktoś nawet zapytał, jakby w pełni pojął wypowiedź profesora:

— Panie profesorze, czy mamy to rozumieć tak, że będziemy oglądali „na żywo” nasze ojczyście dzieje?

— Tak. Między innymi tak.

— Kiedy?

— Myślę, że już rychło.

I na tym nauczyciel urwał. Nie sprowokował go do bliższych wyjaśnień wzmagający się szmer zdumionych głosów. Rozpoczął lekcję opanowanym i spokojnym głosem. To jednak, co już powiedział, było jakby preludium polecenia, z którym zwrócił się po lekcjach do trójki chłopców: Proksza, Koprucha i Lukanka.

— Uważajcie, chłopcy — rzekł do nich trzymając w ręku dużą brązową kopertę — ta oto koperta zawiera bardzo pilny projekt, który trzeba doręczyć zaraz na ulicę Polną. Józek i Romek znają tę starą szopę. W szopie czekają na tę kopertę inżynierowie Plecionka i Duszka, moi przyjaciele. Proksz, nie chciałbym, żebym się pomylił. Uważam cię za chłopca rozsądnego. Ty więc zaopiekujesz się tą ważną pocztą. Nigdzie się nie zatrzymujcie, idźcie na Polną najkrótszą drogą. Jeszcze jedno...

— Słuchamy, wujku.

— Nie ma na Polnej żadnej sensacji. Na razie. Mimo to proszę, żebyście nikomu nie mówili, co tam zobaczycie, lub co tam w przyszłości zobaczyć można. Słowo harcerskie?

— Słowo — krzyknęli równocześnie.

— Nie pożałujecie tego.

Ruszyli razem, ale przyjaciele pomni przygody z „profesorem”, odsunęli się nieco od swego towarzysza. Kopruch kroczył środkiem chodnika między nimi, pozornie nie przejmując się ich obojętnością. Po pewnym czasie, w którym ani z jednej, ani z drugiej strony nie było widać pragnienia nawiązania rozmowy, „profesor” począł gwizdać, a wreszcie w ustach jego znalazł się czerwony... lizak. Ssał go w zamyśleniu. I tak przeszli przez miasto. Ignorowano w dalszym ciągu Koprucha.

— Mam tego dosyć — wybuchnął nagle Kopruch. — Jestem towarzyski, lubię pogaduszkę, a jeśli już jestem sam, mówię sam do siebie. Proksz, nie pogardzisz lizakiem?

— Nie jestem bobaskiem — burknął Józek.

— A ty, Lukanek?

— Ja też. Poza tym jesteś hochsztaplerem. Podawałeś się za profesora, kazałeś nam nieść szpargały, które nas nic nie obchodziły.

— Przepraszam, jeśli mam być grzeczny. Ja? Ja przedstawiłem się, że jestem profesorem? To wy zaczęliście mnie tak tytułować. To wy wyrwaliście mi walizy z rąk.

— Daj mu spokój, Lukanek — wtrącił pojednawczo Józek Proksz. — Lizaki lizakami, a ja podejrzewam go, że w drugiej kieszeni ma papierosy. Ale co nas to zresztą obchodzi. Lepiej zdradź nam Kopruch, co się dzieje na ulicy Polnej.

— Zrozumcie, że nie mogę tego wam powiedzieć. Tajemnica. Zresztą, słyszałeś, co mój wujek mówił. Chyba się domyślasz?

— Rakietą?

— Ehm.

— Sądysz, że nią polecimy?

— Może. Ale po co mamy sobie tym głowę zaprzętać. Są przecież przyjemniejsze rzeczy na świecie.

— Na przykład twoje lizaki — śmiał się Romek.

— Bierzcie. Niech one zamienią się w fajki pokoju między nami. Nie mam sumienia dziś gniewać się na nikogo. Dostałem bowiem bardzo ładną kartkę od mojej matuchny. Spojrzyj ty, który nazywasz mnie hochsztaplerem. Stempel pocztowy? Oran. Patrz, jaki znaczek. Przeczytajcie!

„Kochany Szczygielku — czytali — pozdrowienia od twej mamusi. Na widokówce malownicza oaza Figig. Podziwiał beduina z wielbłądem. To wszystko. Mam bardzo mało czasu. Bądź grzeczny. Sto całusów. Twoja mameczka”.

— Twoja matka przebywa w Oranie? — zainteresował się Józek.

— Ojciec także. Ale oni nigdy nie mają czasu. Ojciec pisze do mnie raz na dwa lata, a mama trzy razy do roku. Zawsze, gdy przychodzi karteczka, staję się bardzo grzeczny.

— Więc liżesz te swoje lizaki, co? Ale miałeś lizaki i wtedy pod stacją.

— Bo przed odjazdem z Warszawy dostałem widokówkę od tatusia. O, jest tutaj.

— Muszą być bardzo zajęci — odezwał się z kolei Romek po przeczytaniu widokówki.

— No tak. I zawsze im się spieszy. Ale nigdy nie zapomną przypomnieć, że mam się pilnie uczyć i mam być grzeczny.

— No tak — rzekł po namyśle Proksz — to zmienia postać rzeczy. Wobec tego jest to twój dzień grzeczności. To daj ten lizak... Słuchaj, Kopruch! Wracając do tematu...

— Do lizaków...

— Nie. Mam na myśli tamto. Wiesz przecież... Chciałbym wiedzieć, co się na Polnej dzieje.

— Zobaczysz przecież za chwilę.

Istotnie, z daleka już dostrzegli szopę na pagórku. Wielka brama była otwarta. Wychylił się z niej inżynier Plecionka. Był znowu w kombinezonie, a jego bujne włosy więził mały, czarny берет. Inżynier poznał od razu Koprucha, bo zawołał:

— Mały Krzysiu... Jędrak, mamy gościa. Co słyhać, Krzysiu?

— Zawsze to samo, panie inżynierze. Jestem grzeczny i uczę się pilnie.

— Pewnie dostałeś wiadomość od rodziców. Ale przychodzisz w asyście. Ha, poznaję tych chłopaków. Co się stało?

— Panie inżynierze — rozpoczął Proksz, grzebiąc w swojej torbie — pan doktor Osiecki przysyła panu i panu inżynierowi Duszcze tę kopertę. Ukończył to dziś...

— Wujek będzie o szesnastej — dodał Kopruch i rozejrzał się po szopie.

Dojrzał wychodzącego szczupłego, młodego mężczyznę w roboczym, granatowym fartuchu. Przykuł on od razu uwagę wszystkich chłopców. Był bowiem typem człowieka, na którym spojrzenie, czy się chce, czy nie chce, zatrzymuje się dłużej. Jego delikatną twarz zdobiła klinowata, ciemnobrązowa bródka i długie baki. Był to inżynier Duszka. Błyszczące oczy inżyniera spostrzegły naturalnie przede wszystkim Krzysia Koprucha. Zwrócił się więc do niego i zawołał:

— Cześć, Krzysiu. Ile razy zjawiasz się z twoim wujkiem, zaczyna się coś dziać, prawda?

— Tak, teraz na ulicy Polnej.

— Wszystko w porządku — zawołał Plecionka, który tymczasem studiował jakiś długi list. — Jędrak, zaczynamy! Tak, czekaliśmy na ten detal jak diabeł na grzeszną duszę.

— Pozwól — rzekł inżynier Duszka.

Palce Duszki, oblepione smolistą mazią, zaczęły się jej machinalnie pozbywać w fałdach kombinezonu Plecionki. Chłopcy na ten widok parsknęli śmiechem. Jednak obaj inżynierowie zatopieni w śledzeniu projektu, niczego nie zauważyli.

— Genialne — odezwał się Duszka. — Jest więc rozwiązanie kesonu translukacyjnego i poprawka do fonii.

„Boże — myśleli chłopcy — cóż to za dziwni ludzie. Nie widzą, że jeden z nich poplątał sobie smarem elegancki, tyrolski kapelus, a drugi nie zauważa, że jego kombinezon służy przyjacielowi za ręcznik.”

— Halo, wy tam, chłopcy, jesteście jeszcze?

— Tak, panie inżynierze.

— Czy wujek, czy wasz profesor powiedział wam coś jeszcze?

— Nie, tylko tyle — pospieszył z odpowiedzią Kopruch.

Goście mieli teraz przed sobą całą szopę z jej zawartością. Rzucił im się nade wszystko w oczy ogromny samochód ciężarowy, ale jakby odświeżony, wynurzający się z graciarni jak feniks z popiołów. Wielki wóz z lakierowaną karoserią dźwigał teraz na swym grzbiecie

jakieś dziwne urządzenie, w którym wyodrębniały się szerokie tuby, lśniące, paraboliczne zwierciadła. A wszystko to oplątane było zasiekami drutów, chromowanych rur z mnóstwem jakby palcowatych czułek anten.

— Widziałeś? — szepnął Proksz do Romka. — „Sekret na siedem pieczęci”.

Co się działo na ulicy Polnej? Odpowiedź nadeszła dwa dni później, liceum wyległo podczas dużej przerwy na podwórze. Dzień był ciepły, słoneczny, ale przetykany już melancholią zbliżającej się jesieni. Józek Proksz okupował jedną z wielu ławek, rozkładając na niej zeszyty i książki, obok niego stał Romek, a Kopruch wpatrywał się niemo w czub żółkniejącej topoli. Wtedy właśnie zbliżył się Paszenda z gazetą w rękę.

— Macie! — rzekł i położył gazetę przed Prokszem.

— Co niby mamy? — zapytał Kopruch, zbliżając się z rękami skrzyżowanymi na piersiach do ławki.

— Hiperbzdury, panie dzieju.

— W gazecie? — dowiadywał się Kopruch leniwie. — Wiesz, że gardzę gazetami.

— Chyba w tej chwili. Pewnie nie ma listu od mamusi?

— Więc o co chodzi?

— Fatamorgana na ulicy Polnej.

— Jakiej Polnej? — rzucił Romek, choć wiedział, że to właśnie ta, na której znajdowała się szopa.

— Na tej za Przychodnią. Znam ją dobrze, gdyż często udaję się nią do siostry. Rozumiecie? Fatamorgana na Polnej. Koń by się uśmieł...

— Dlaczego zaraz koń? — ożywił się Kopruch. — Paszenda, słyszałeś pewnie o niej jakimś Hamlecie, który powiedział, że dzieją się między ziemią a niebem rzeczy, o których filozofom się nie śniło.

— I to ty tak mówisz, ty, który z wszystkiego drwisz. Chelpisz się, że jesteś zimny drań, a wierzysz w zjawiska, które nigdy u nas nie występują.

— Paszenda, nie orientujesz się w rzeczy. To zupełnie inna kwestia, ale nie mogę ci tego przecież wyłożyć jak kawę na ławę. W każdym razie mogę cię zapewnić, że zjawisko takie może występować na ulicy Polnej.

Proksz słuchał, w końcu zgarnął pospiesznie swoje przybory szkolne i pochwycił gazetę. Czytał głośno, nerwowo, a głos jego przechodził jak zwykle w chwili podniecenia w cieni dyszkant:

„Niezwykłe zjawisko optyczne na ulicy Polnej. Jak nam donosi nasz korespondent, ulica Polna za Przychodnią Rentgenowską była wczoraj widownią niezwykłego zjawiska fizycznego. Około godziny siedemnastej rozległy, nie zabudowany dotąd teren za miastem, jakby znikł oczom przechodniów. Na pustej zaś przestrzeni pojawił się dziwny krajobraz leśny z potężnymi dębami. Obywatel B., który znalazł się właśnie na tej bezludnej ulicy, opowiada, że zgubił się w labiryncie drzew, a w pewnej chwili dojrzał zbliżającego się niedźwiedzia. Niezwykłość tego zjawiska polega jednak nie tylko na optycznych wrażeniach, które odnieśli wszyscy świadkowie widoku, ale... na plastyczności obrazu, na jego trójwymiarowości.

Obywatel B., opowiada, że nie ma tu mowy o fatamorganie, bo drzewa robiły wrażenie autentycznych, były naprawdę trójwymiarowe. Trzeba je było obchodzić. Nie wiemy, czy zaskakujące obrazy nie podziałały wyłącznie na wyobraźnię naszych sprawozdawców. Obywatel B. bowiem i również inni przechodnie twierdzą, że cały las tętnił życiem. Słysząc było wyraźnie stąpanie misia po ściółce leśnej; w zieleni śpiewały ptaki. Wielki głuszc, który runął nagle z gałęzi, byłby powalił obywatela B., gdyby nie był uskoczył w bok.

Przytaczamy relację zgodnie z opowiadaniem świadków tego wydarzenia w naszym mieście. Obywatel Rz. opowiedział korespondentowi naszej gazety, że podązał koło godziny

siedemnastej rowerem na swoją parcelę. Nagle znalazł się na kwitnącej łące, pełnej nieznanych kwiatów. Odczuwał wyraźnie ich zapach. W lesie rozchodził się aromat żywicy. Można by ostatecznie odnieść się sceptycznie do opowiadania jednego tylko obserwatora, ale zgodne relacje wielu widzów tego samego zjawiska każą nam się ustosunkować poważnie do tej sprawy. Sądźmy, że nauka nasza przejmie nasze sygnały i poświęci wydarzeniom na ulicy Polnej zasługującą na to uwagę. Chcemy zapewnić naszych czytelników, że do sprawy tej jeszcze powrócimy, gdy zasięgniemy o niej dodatkowych informacji.”

— Kaczka dziennikarska — drwił Paszenda. — Będą mieli łatwowierni pole do popisu. Będzie się robiło z igły widły.

— Sądź się więc, kolego — rzekł Kopruch niemal podstępny tonem — że to bujda na resorach? A ja myślę inaczej. Zobaczycie jeszcze więcej. Tam, gdzie się Kopruch zjawia, zaczyna się zawsze coś dzieć. Przypomnisz sobie to jeszcze, Paszenda.

NAD CICHĄ DOLINĄ ODRY

Czyżby więc był to nareszcie „sekretna siedem pieczęci”? Sprawa bowiem zjawiska na ulicy Polnej wcale nie ucichła. Przeciwnie, wróciła jeszcze raz na szpalty gazety „Echo Dnia”. Znowu bacny korespondent informował czytelników o drugiej fatamorganie na terenie zamiejskim. Tym razem jednak przechodnie ujrzeli inny obraz. Na miejscu dawnej puszczy stały drewniane chałupy bez kominów, koło których snuli się ludzie i domowe zwierzęta. Gazeta wymieniła teraz obywatela Fortunata Kalembę jako tego, który znalazł się w obrębie tych dziwnych zagród. Fortunat Kalemba ujrzał między innymi zaprzęg koński z lekkim nie okutym wozem, na który wsiadał brodaty chłop, ubrany w strój, jakiego nie znają nasze czasy. Korespondent wysnuł stąd zaskakujący wniosek, że obraz przedstawiał wieś, która — być może — znajdowała się w tym miejscu, według starych kronik, przed powstaniem miasta.

Byli oczywiście inni świadkowie kolejnego zjawiska, którzy wrócili do pierwszych spostrzeżeń, a mianowicie, że życie tej wsi odbierały wszystkie zmysły. Były więc dźwięki, słychać było nawoływanie, rozmowy w archaicznym języku, kucie żelaza w kuźni. Kowal, wybiegający z rozżarzoną sztabą na dwór, siał nią odczuwalne ciepło. Fortunat Kalemba okrążył jedno z gospodarstw i zajrzał do wnętrza chaty. Ujrzał w niej kobietę mieszącą ciasto w dużej dzieży.

Kalemba zauważył jednak, że napotykanii ludzie nie reagowali na jego obecność. Widocznie go nie widzieli. Pies wałęsający się przed tą samą chatą, zachował się tak, jakby obcego człowieka w ogóle nie widział.

Tym razem gazeta więc zaostrzyła jeszcze bardziej ciekawość tych, którzy szukali w niej sensacji. Pochylały się nad nią głowy chłopców i dziewcząt. Również doktor Osiecki przeglądał z wypiekami na twarzy „Echo dnia”. Chwilę później, już na korytarzu, nauczyciel zwrócił się do Romka i Józka, którzy go akurat mijali.

— Chwileczkę, chłopcy — zawołał. — Myślę, że dotrzy maliście słowa. No, w sprawie ulicy Polnej.

— Tak — odpowiedzieli nieco zdziwieni tym pytaniem.

— Tak, ale nie ma już spokoju za miastem. Przedwczoraj kręcił się tam jakiś jegomość w furażerce na głowie. W rękę trzymał zeszyt, jakby posłużyć mu miał do notatek. Wszędzie nos wścibiał. Nawet do okien szopy zaglądał. Czekał na coś wyraźnie. Wczoraj widzieliśmy

go znowu, ale chwilę później wynurzył się z wąwozu inny w kaszkiecie i w śmiesznych pumpach...

— Czogała!... — krzyknęli zdumieni.

— Kto to jest ten Czogała?

— Szuka „sekretu na siedem pieczęci.”

— Możemy mieć z nim kłopot.

Opowiedzieli więc swoją przygodę z kowalem. Profesor Osiecki zamyślił się, aż mu zmarszczki na czole wystąpiły, potem pełen zdecydowania zawołał:

— Nie ma rady, musimy szukać innych, cichszych zakątków, gdzie będzie można przeprowadzać spokojnie nasze doświadczenia...

— Więc ta historia w gazecie — odezwał się Proksz całkiem już zaskoczony — nie była zmyślona.

— Nie. W tej chwili jednak nie o to chodzi. Obaj mieszkacie gdzieś tam nad samą Odrą. Inżynierowie znają doskonale wasze okolice. Twierdzą, że są tam obszerne ustronia, prawdziwe zacisza, które sprzyjałyby naszym eksperymentom. Rozumiecie, że w toku takich prób, eksperymentów niepożądanymi są gapię. Wynalazki i wielkie dzieła rodzą się w samotnych pracowniach, z dala od ludzi.

— Tak — zawołał Romek — są tam pola i uroczy las. Pod nim ciągną się puste teraz zagony i wielkie łąki...

— Wymarzone miejsce, proszę pana — dodał Proksz.

— Doskonale. Pierwszą więc próbę przeprowadzimy w przyszłą niedzielę do południa. Drogę znają moi przyjaciele. Wy obaj zaś będziecie czekać tam u was na skraju drogi. Pojedziemy wolno, więc was zaraz zauważymy. Przyjedzie nas czworo, a w sumie widzów będzie siedmioro.

— Dobrze, panie profesorze.

Drżeli z emocji, ale czy oni będą wśród tych wybranych, nie wiedzieli i nie śmieli się dopytywać. Doktor Osiecki już się oddalał, ale nagle zawrócił i rzekł:

— Nie rozpowiadajcie jednak tego, co wiecie. Bardzo was o to prosimy. Szczególnie strzeżcie się panów z prasy, lub ludzi, którzy mają z nią kontakty. Myślę, że pogoda będzie nam sprzyjała.

Niedziela była istotnie cicha i łagodna. Październikowe już słońce przesączało się przez filtr jesiennej mgły, a oczyszczone z płomiennych strzał obrzucało subtelnym złotem las w całej jego przepysznej krasie. Sama przyroda pogrążona była we śnie i oddychała smutkiem przemijania. Było jednak ciepło, gdzieś za lasami koncertowały dzwony, w dolinie stukał pociąg po szynach.

Obaj chłopcy stali już na swym posterunku i zwracali czujne oczy ku wsi, skąd zjawić się miał samochód doktora Osieckiego. Za nimi, pod ścianą lasu, drzemała „Kometa” Józka po szaleńczej jeździe. Józek bowiem harował do nocy w piekarni i zbudził się dość późno, więc trzeba było „Kometę” nadrabiać czas.

— Będzie wszystkich siedmiu czy siedmioro — niepokoił się Proksz — jak myślisz, Roman, czy nas zaliczono do tej grupy? A może będzie tam jakaś pani?

— Też pomysł! Liczmy, Józek: pan Osiecki, inżynierowie, może Kopruch...

— Tak, ten na pewno. Zauważyłeś, jak kręci, gdy się go zagadnie o ulicę Polną? A jak Paszendzie gębę zatkał?... Patrz, to chyba twój stary tam na dole. O, tam na zakręcie! Wszystko się wyjaśnia. On pracuje u inżyniera Plecionki...

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Nic ci nie mówił?

— Neeee, nie gadamy ze sobą. Nie gadamy na takie tematy.

— Rozumiesz, wzięli go jako fachowca do szopy. Pamiętasz, co ci mówiłem ostatni raz?

— Że widziałeś tam kogoś podobnego do mojego ojca.
— Tak. Ale dlaczego się kryjesz za drzewo?
— Tak sobie.
— Hm!... Tak sobie?
— Nie śmiej się, bo tego nie znoszę. Więc powiem ci prawdę. On nic nie wie o tym, że wyszedłem z domu. Ale ja czekam przecież na profesora...
Proksz spojrział uważnie na swego przyjaciela, potem świsnął przez zęby.
— No tak, zauważyłem to już dawno, że unikasz swego starego.
— Ja?
— Szliśmy wtedy na stację. Twój ojciec wyszedł ze sklepu a ty rzuciłeś się w tłum, żeby cię nie spostrzegł.
— No i co?
— Nic. Trafiają się takie nieporozumienia.
Romek wyrzwał zza drzewa, potem rzekł opanowanym głosem:
— Kiedyś ci opowiem, ale dzisiaj nie. O, pewnie jadą.
Z zakrętu wypełził bezszelestnie wielki samochód ciężarowy z przyczepą. Pojazd ten wspinał się pracowicie w górę szosy. Chłopców jednak zbałamuciła jego przyczepa. Skąd przyczepa? Ojciec Romka podniósł rękę w kierunku lasu. Ciężarówka z przyczepą docierała już do chłopców. Potem zaczęła zwalniać. Ktoś z niej wyskakuje, macha rękami jak skrzydłami, lecz nie do nich, tylko do samotnego wędrowca zdążającego od dołu na ten pagórek.
Był to inżynier Plecionka. Zwrócił teraz swoje połyskujące okulary na jesienny krajobraz nadodrzański szeroko rozścielony u stóp wielkiej Bramy Morawskiej.
— Cudowna panorama! — zachwycił się głośno, a zwracając się do chłopców, dodał:
— Widzę tam drogę tuż pod lasem. Mam nadzieję, chłopcy, że można na nią wjechać naszym olbrzymem.
Wyjaśnili gorliwie, że tej niepozornej drodze można powierzyć nawet większy jeszcze ciężar. Proksz nie spuszczał z oczu wielkiego wozu, a gdy inżynier nieco się oddalił, zaczął powtarzać szeptem:
— Fatamorgana, fatamorgana, mówię ci, Lukanek, że to to... Och!
— Cześć, małpiszony! — wrzasnął ktoś z auta, a kiedy poszli za tym głosem, ujrzeli wytworną głowę i szkła Koprucha, wychylające się spod brezentowej płachty, którą nakryte były oba wozy.
— Cześć „profesorze”. Słuchaj no, Kopruch — zagadnął go Proksz — czy nas dwóch zalicza się również do ekipy obserwatorów fatamorgany?
— Tak, wy reprezentujecie ONZ — żartował Krzyś.
— A ty pewnie Uniwersytet Jagielloński — odciął się Józek Proksz.
Osiecki i Duszka okrążali wolno ciężarówkę z jej przyczepą, badali szczegółowo wzrokiem i dotykiem, czy ładunek ukryty w fałdach plandeki nie ucierpiał podczas transportu. Minutę później inżynier w swoim tyrolskim kapeluszu siedział znowu za kierownicą. Samochód zbliżał się do leśnej drożyny, podskoczył nagle jakby ukłuty żądłem, znieruchomiał na parę sekund, a potem zaczął się staczać powoli pod las.
— Świetnie — rzekł doktor Osiecki, jaśniejący głębokim zadowoleniem. — Cały ten ugó jak wymarzony dla eroeksplorera. ⁷ Nikt chyba nie będzie właśnie tutaj poszukiwał „sekretu na siedem pieczęci”.
— Nie bądźmy tacy pewni — śmiał się pan Plecionka. — Gdyśmy byli z Jędrkiem w wieku tych chłopaków, wyskakiwaliśmy zawsze tam, gdzie się nas najmniej spodziewano.
— Nie — uspokajał ojciec Romka swoich znajomych — jest to miejsce naprawdę zaciszne. Wścibskim jedynie mógłby się okazać pan Kalemba, którego trochę tutaj znamy. Ale przecież pomiędzy ulicą Polną, a tym punktem jest dobrych kilka kilometrów. Tych nie pokona się w oka mgnieniu.

— Zauważył cię — rzekł Proksz do Romka — i nic ci nie powiedział.

— Dlatego, że profesor do mnie zagadał. Wie już, że nie przyleciałem tu na gapę.

Ciemne i grube zasłony zsunęły się z szelestem na ziemię, a na obu wozach pojawiły się dziwne i tajemnicze segmenty. Inżynierowie i pan Lukanek weszli między tę aparaturę. Rozległ się tam teraz chrobot przykręcanych śrub, ku niebu pięć się poczęły liczne anteny, zasłaniając wkrótce skrawek błękitu siecią licznych drutów i prętów. Chłopcy na skinienie Koprucha zawlekli chropowate, ciężkie płachty na skraj lasu.

— Jak to się nazywa? — rzucił Proksz do Koprucha, wskazując oczyma na samochód.

— Słyszałeś: eroeksplorator.

— Co to znaczy?

— Tak w przybliżeniu: badacz nieznanych er.

— Nazwałbym to prościej: łowcą minionego czasu.

— To już chyba ludzie są tymi łowcami. Oni!

— Widać, Lukanek, że twego starego bardzo tutaj poważają — rzekł Proksz do Romka.

— Panie Lukanek — mówił właśnie Inżynier Plecionka — wiemy bardzo mało o tej ziemi przed nami, ale przypuszczamy, że działo się na niej wiele ciekawych rzeczy. Gdyby dzieje jej mieściły się w drukowanej książce...

— W grubej księdze, panie inżynierze...

— Może ma pan rację. Znajdujemy się przecież na historycznej drodze do Bramy Morawskiej. Wiele tu musiało być wydarzeń, których najlepszy nawet historyk nie przeczuwa.

— Jeśliby jednak pana namawiano — nalegał pan Osiecki — że warto tę poważną księgę otworzyć, którą by pan stronę wybrał?

Zbliżyli się wszyscy. Przeczuwano bowiem, że jest to wstęp do wielkiego wydarzenia. Romek, kryjąc się za plecy przyjaciół, obserwował ojca. Lecz ten milczał, przetrawiając widocznie w myślach to, co powiedział inżynier. Wreszcie padła odpowiedź:

— Wybrałbym pierwszą stronę historii. Co było tutaj, gdy nasza rzeka była skrzatem, albo gdy jej w ogóle jeszcze nie było, lub nie miała dzisiejszego koryta.

Tajemnicza księga w postaci przepięknej szmaragdowej doliny leżała przed nimi zamknięta. Na jej kolorowych okładkach unosiły się jeszcze resztki rannych oparów i jesiennych mgieł, z którymi słońce coraz skuteczniej się rozprawiało. Na pofałdowanym widnokręgu modrzyły się góry w delikatnych zarysach. Ogromne wody lśniły pośród drzew, a w dali miękka, aksamitna linia dębów, kryjących rzekę, wyrzynała się teraz ostrzej na rozległej nizinie.

A pod nią wszystko nieodgadnione, zakryte, nieznanne.

— Myślę — powiedział doktor Osiecki z przejęciem — że słusznie, byśmy zaczęli od pradziejów tej oto ziemi. Będzie to dla eroeksplorera gigantyczny wysiłek. W każdym razie spróbujemy.

Czekali. Nic się przecież nie działo. Pozornie... Wydawało się bowiem w tej chwili, że błyszczące spokojnie zwierciadła w kształcie odwróconych parasoli zmieniły naraz swe położenie, że je wciąż korygują. Badały kosmos. Obok nich ramiona licznych anten rosły, wydłużały się, poszukując w błękicie kopuły niebieskiej odpowiednich punktów zaczepnych, wsysając się swymi metalicznymi oczami w niezmierny wszechświat.

Napięcie wśród uczestników niewidocznej nadal eksploracji rosło, w chwili, w której budzić się zaczęły wątpliwości i niewiara w powodzenie eksperymentu, słyszeć się dał głos jednego z chłopców.

— Patrzcie w dal, patrzcie w dal! — mówił przez zęby Kopruch do swoich kolegów.

Oto właśnie ta dal pulsowała, zmieniała się stopniowo, góry jakby pod czarodziejskim retuszem purpurowiały, różowiały, potem zaświeciły cudownym seledynem, wreszcie zgasły. Stopniowo też zanikały kontury wzniesień, cienie dolin i wszystko, co jeszcze przed chwilą tworzyło nadodrzański krajobraz. Przed oczyma patrzących pojawiła się prawdziwa pustka z

ogromną perspektywą, barwna, żywa, choć na pozór objawów tego życia nie było.

— Pustynia? — zawołał Proksz.

— Fatamorgana z ulicy Polnej — triumfował Kopruch. — I taki Paszenda wąpił...

Nagle spostrzegli obok siebie pana Osieckiego. Był tak samo przejęty jak oni. Niebawem wyłonili się tuż przy nich obaj inżynierowie. Początkowo obraz przed nimi wydawał się olbrzymią, nieodgadnioną kurtyną, teraz stwierdzili, że to przecież najprawdziwsza ziemia, najprawdziwsza woda i najprawdziwsze rośliny.

— Fantastyczne! — westchnął Plecionka. — Ale dlaczego stoimy w miejscu. Ruszać się, panowie. Oglądajmy to, co wydaje nam się roślinami.

Inżynier przeszedł od razu do czynu. Widziano, że schodzi energicznie na spotkanie wielkiej przygody. Niebawem brodził już po kałużach i schylał się do roślin, które sięgały mu do kolan.

— Nędzne te rośliny — zauważył ojciec Romka i poszedł w ślady inżyniera. Za nim ruszyli spiesznie inni. Zobaczono też wnet, że rośliny rzeczywiście były bardzo mizerne, pozbawione były bowiem ulistnienia.

Istotnie, ani krajobraz, ani przedmioty, które nań się składały, nie były imponujące. Poruszano się po płachcie chudych kęp i połyskliwych brązowych topieli, z których wychylały się niskie wodolądorosty. Wyzierały one również z brzegów licznych kałuż. Nieco dalej napotkano karłowate drzewka, zupełnie niepodobne do tych, które znali. Gałązki ich, nagie, polerowane, wypuszczały nikłe, skąpe listeczki.

Słowem, wszystko to nie przemawiało na razie do wyobraźni chłopców. Zdawało im się, że są na jakimś kiepskim, zamazanym filmie, szalenie barwnym, ale nudnym. Na dodatek dokuczalo im ciepło, w pewnych chwilach zmieniające się w tropikalne gorąco, w żar. Było parno i duszno jak przed burzą. Jaskrawe bowiem słońce, może odmienne od tego, które codziennie oglądali, wisiało prostopadle nad nimi i bombardowało ich odsłonięte głowy ogniwymi wiechciami.

— Pocę się jak rak w ukropie — stękał komicznie Kopruch, wycierając rękawem marynarki spoconą twarz, i szyję.

Spośród tej trójki jedynie Proksz zdawał się nie cierpieć z powodu tego straszliwego upału. W tej chwili pochylał się nad mizerną łodyżką z kropeczkami liści.

— Proszę pana — pytał — czy to roślina?

— Psylofit⁸ — odrzekł Osiecki, a zwracając się do Duszki pytał: — Jędreku, dobrze trafiłem?

— Tak, roślina, która dopiero wyszła z wody na ląd. Bo to, co widzicie naokoło siebie, było niedawno morzem. „Niedawno” w pojęciu geologa — to miliony lat. Morze na polskich ziemiach!... Ej, będzie ono tu jeszcze nieraz szumiało... Teraz słońce, mocne i chciwe, ssie resztki wody z gruntu. Psylofit znalazł się wobec tego w skrajnie przeciwnym środowisku. Chce przetrwać, chce żyć, chce — bo nie ma na to innej rady — stać się trwałym mieszkańcem suchego lądu. Tak bowiem chce przyroda.

— Można powiedzieć, że tu oto rodzi się roślina lądowa — tłumaczył profesor Osiecki. — Patrzcie, nie ma jeszcze korzeni. Psylofit to przodek paprotników...

— Przodek wszystkich roślin na świecie — uzupełnił inżynier Plecionka.

Józek Proksz był już znowu gdzie indziej. Ogarnęła go jak zawsze w wyjątkowych okolicznościach pasja badania, pasja szukania, szperania, odkrywania. Opanowało go, jak Czogałę, żywiołowe pragnienie rozłamywania pieczęci na sekretach i tajemnicach. Rzucił się więc tu i tam, wskakiwał do wyrw, pędził do kałuż, schylał się nad krzewami i leciał w stronę brunatnozielonkawych kopczyków. Zachowywał się jak pies, szlachetny pies, który węszy, zastanawia się i nieruchomieje przed nagłymi zagadkami. Proksz robił to jednak z rozumnym zacierzowaniem, z instynktem kolekcjonera, który wyczuwa, gdzie znajdować się powinny skarby osobliwości.

A właśnie przytrafiło się mu coś, co taki skarb wydobyło na światło dzienne. Zawadził czubkiem buta o jakiś twardy przedmiot na dnie nowej kałuży. Była to olbrzymia muszla, blisko pół metra średnicy. Widoczne na niej były promienne rowki. Osiecki zbliżył się do chłopca, spojrzął na ten niezwykley relikw przeszości i wyjaśnił:

— Ramienionóg dewoński⁹.

— Co? — wrzasnął Józek. — Dlaczego dewoński?

— Bo nasza radiotelebasetla na samochodzie przeniosła nas do bardzo odległych czasów naszej ziemi. Jesteśmy w krainie dewońskiej*. Zsunęliśmy się blisko czterysta milionów lat w dół dziejów naszej ziemi.

— Jesteśmy w kolebce życia ziemskiego — dodał inżynier Plecionka.

Ramienionóg pochłoniął uwagę wszystkich prócz Koprucha. Chłopiec znudzony już otoczeniem, oddalił się, lecz po chwili pozostali pochwycili jakieś rytmiczne szybkie uderzenia stóp. To uciekał Kopruch z oznakami największego popłochu na przerażonej twarzy.

— Tam, tam... — bełkotał, pokazując rozczapierzonymi palcami za siebie.

— Co? — rżał donośnym śmiechem Plecionka.

— Potwór! Człapie tam na kępie... Wujku, wygramolił się... z wody i walił wprost na mnie.

— Ale mam nadzieję, że cię nie widział — uśmiechnął się Osiecki.

— Nie wiem. Wielki jak krokodyl, a jednak jeszcze szkaradniejszy od tej poczwary.

Zelektryzowało to jednak wszystkich pozostałych. Rzucono się na spotkanie z rzekomym potworem. Wreszcie go zobaczyli. Ogromną paszczę i troje przekrwionych ślepi. Ni to ryba, ni płaz. Szkaradny włóczęga, który nie zważał na przeszkody i posuwał się na... płetwach. Płetwy? Nie wiadomo, czy to były płetwy. Z każdej bowiem wyzierało pięć palców. Można było mieć łudzenie, że te tępe wypustki, to króciutkie nogi.

— Ichtiostege¹⁰ — rzekł nauczyciel po namyśle. — Ryba, która zmienia zbiornik wody. Albo wyjadła z kałuży wszystkie żyjące tam stworzenia, albo po prostu żerowisko wyschło, trzeba więc szukać innego topieliska, może nawet bardzo odległego.

— Ichtiostege — potwierdził Duszka — doświadczony tramp odwiedzający wszystkie okoliczne wody.

— Brr — otrząsnął się Kopruch — szkaradziństwo! Gdybym się obok niej położył, przerosłaby mnie o głowę.

Towarzysząc wolno ichtiostedze, odkrywano na niej coraz to nowsze szczegóły, wszystkie zaskakujące i niesamowite. Głowa potwora stanowiła jedną trzecią część ciała. Była chwila, że ichtiostege zmieniła jakby kolor i wygląd. Nie przypominała już ryby mimo swych płetw. Była płazem. Lecz po paru minutach odzyskała dawne rybie cechy. Myślano o tym, zdumiewało to wszystkich, ale nikt nie odważył się odezwać. Dopiero Plecionka skonstatawał:

— Trochę ryba, trochę płaz. Jest dwudyszna. To znaczy, że radzi sobie w wodzie i na lądzie. Ma zresztą jeszcze rybie łuski. I to duże.

— Nie bójcie się jednak — rzekł pan Osiecki — wszystkie te rybie przymioty znikną w ciągu kilkunastu... milionów lat i nasza ichtiostege przekształci się w doskonałego płaza.

I tak oto ichtiostege wyprowadziła wreszcie swoich konwojentów na szerszą kępę, skąd rozpościerała się rozległa perspektywa na moczarowaty, pustynny krajobraz. Lecz wszędzie wyskakiwały z ziemi i z wody psylofity tak, jak wydzierają się z grządek fioletowo-zielone szparagi. Gdziekolwiek wszakże pojawiały się inne rośliny: krzaki z pierzastymi liśćmi.

— Pierwsze paprocie — anonsował to odkrycie tonem niemal triumfalnym inżynier Duszka. — Są jeszcze niepozorne, ale i dla nich nadejdzie czas rozwoju, staną się wtedy olbrzymimi drzewami.

* Krótka charakterystyka poszczególnych okresów z dziejów ziemi (tabela stratygraficzna) znajduje się na końcu książki.

Tymczasem ichtiostega położyła nagle kres wycieczce. Zatrzymała się bowiem niespodziewanie przed dużym lejem z żółtą wodą, po chwili jakby oceny nowej sytuacji, potwór zsunął się do topieli, a zgniła ciecz zamknęła ją w bezpiecznym swym sezamie. Tylko na powierzchni tańczyć i pękać poczęły duże bańki powietrza. W końcu i one znikły.

Bezruch. Cisza. Nic się już nie działo, nic też w pobliżu nie zwiastowało nowych odkryć. Rozpoczął się więc odwrót na dawne miejsce obserwacji. Zawieruszyli się jednak gdzieś trzech chłopcy, a tylko starsi szli w zwartej grupce z powrotem. Jedyna osoba, która dotąd nie stawiała żadnych pytań, to ojciec Romka. Był widocznie zanadto przejęty tym, co przeżywał przez cały czas, by nurtujące go zagadnienia poruszyć. Jego nastrój odgadł w pewnym stopniu inżynier Plecionka, rzekł bowiem:

— I co pan na to, panie Lukanek?

— Czy na dole płynie Odra?

— Oczywiście, że płynie. Ale w tej erze nie ma jej. Nie mogło być. Jesteśmy tylko w wycinku krajobrazu dewońskiego. Na dole, gdybyśmy się w tym kierunku posunęli, widoczne są łąki, stawy, kolej, kolejka linowa żwirowni i inne zupełnie normalne części krajobrazu nadodrzańskiego. Samochód nasz musiałby się posunąć dalej ku dolinie, żeby i tam pojawił się pustynny obszar naszej doliny w tym czasie.

— Rozumiem. Widzieliśmy początki życia w tej części naszej pięknej ziemi polskiej...

Nie dokończył, bo spokój dziewiczy przyrody dewońskiej zakłóciły czyjeś bojowe okrzyki, a na przeciwległym krańcu wrzaski chłopców.

— Redaktorem pan jest? Błagującym gryzipiórkami...

— Ja? Licz się pan ze słowami. Ja pana...

— I fotografuje pan? Zmiataj pan, skądś pan przyszedł!...

— Hurraa! Nowe odkrycie!...

— Wujek, szybko!...

— Szybko, kumie, bo poznacie smak mego kostura! Wio!...

— Panie, jestem przedstawicielem prasy. Prote...

— Patrzcie, pan redaktor Kowal, co podkowy kozom kuje. Trzymaj się kuźni, a nie pióra, bratku!...

— Odkrycieeee!... Szybko!...

Szybko? Co należało teraz uczynić? Biec do chłopców, czy też rzucić się tam, gdzie ostry dialog doprowadzony został do punktu kulminacyjnego? Właśnie tam obrzucano się coraz dokuczliwymi epitetami. Jasne było, że wojujące strony prowadzą bój o prawo oglądania tego, co same nie stworzyły. A więc nie było już tajemnicy.

— Wyłączamy eroeksplorera! — rzekł Osiecki stanowczym głosem po krótkiej naradzie z przyjaciółmi.

Rzucili się wszyscy czterej w jego kierunku, lecz jeszcze w biegu inżynier Duszka dał upust swemu kipiącemu gniewowi.

— Nie ma schronienia przed współczesnym, cywilizowanym, wścibskim człowiekiem! — krzyczał.

— Niech tych dwóch kule biją! — klął zawsze pogodny Plecionka — och, żeby ich dostać w swoje ręce!...

Wdrapali się w oka mgnieniu na samochód — jedyna rzecz na tej części ziemi, która zachowała całkowicie neutralność wobec hałasu — a po chwili przytłumione brzęczenie na wozach umilkło. Po paru minutach dojrzeć można było sprawców dzisiejszego popłochu na odsłoniętej już szosie. Jeden z nich, chudy jegomość w furazerce, umykał, drugi w pumpach i kaszkiecie, wywijając kosturem, przepędzał swego rywala przy wtórze wyzwisk i grózb.

Należało teraz oczekiwać z niepokojem chwili, w której „Echo Dnia” rzuci na swoich czytelników nową porcję wieści i nowinek. Tak też było. Kolejny numer gazety krzyczał czerwienią wielkiego tytułu:

**„BEZ MIRAŻY!
GENIALNY WYNALAZEK PRZYCZYNĄ ZJAWISK OPTYCZNYCH”**

„Redakcję naszą odwiedził onegdaj nasz stały czytelnik, pan Fortunat Kalemba, który w niedzielę do południa był świadkiem nowego, optycznego wydarzenia. Tym razem było to nad samą Odrą. Zjawisko to znają już nasi czytelnicy dostatecznie z relacji o ulicy Polnej. Teraz wszakże dzięki przenikliwości i przytomności umysłu pana Kalemba zagadka została rozwikłana. Zjawiska są dziełem ludzi genialnych. Nasz sprawozdawca nie zetknął się wprawdzie z nimi, ale zdołał się przekraść przez kordon straży i ujrzeć fantastyczne rzeczy. Jeden ze strażników, silny drab z kosturem, przerwał brutalnie obserwacje naszego korespondenta. Wynalazcy bowiem otoczyli się ogniwem bezwzględnych stróżów, którzy alarmowali się okrzykami: „Mamy go! Łapać gnojka! Przyłożyć mu, żeby nas popamiętał!” Rozumiemy zapobiegawcze środki chronienia tajemnic wynalazków, ale trudno nam się zgodzić z tym, by rolę cerberów¹¹ powierzano sadystom, czyli ludziom bez serca. Tyle naszych uwag.

Co więc zobaczył nasz korespondent? Krajobraz nadodrzański, który pan Kalemba zna doskonale, przeistoczył się na jego oczach w teren moczarowaty z nędną roślinnością. Pan Kalemba jako rasowy reporter zapuścił się w to bezbrzeżnie smutne pustkowie, brodząc odważnie w mulistych kałużach między paprociami i skrzypami, robiącymi wrażenie małych choinek. Na ulicy Polnej przygodny świadek widział niedźwiedzia; tutaj stworzenia były monstrialne. Pan Kalemba natrafił w wodzie na stawonoga metrowej długości, który przerażał widza szkaradnymi oczyma i antenami na potwornej głowie. Ciało jego pokryte było solidnym pancerzem, przypominającym powłokę naszego raka. Niesamowite było spotkanie naszego korespondenta z innym, olbrzymim rakiem, odpoczywającym na brzegu brudnej laguny. Potwór ten sięgał trzech metrów długości. Z opisu jego mogliśmy wnioskować, że to jakiś straszliwy skorpion¹². Pan Kalemba widział jeszcze na swej drodze, zawsze w błotnistych dziurach, wielkie małże z rozwałkowanymi płaszczami. Przyznajemy, że potraktowaliśmy krytycznie sprawozdanie ob. Kalemba, tym bardziej, że wpłynął do nas list niejakiego pana Cz., który usiłuje zlekceważyć tę relację. Przytoczymy go niżej dla podkreślenia naszej bezstronności. Dlatego więc połączyliśmy się bezzwłocznie ze znanym u nas biologiem, panem Matysem. Pan Matys odrzucił kategorycznie wszelką możliwość istnienia podobnych stworzeń, ale zaznaczył, że istniały one czterysta milionów lat temu w okresie dewońskim. Opis ten odpowiadałby wtedy dokładnie takim zwierzętom dewonu jak trylobit¹³, wielkorak¹⁴ lub ramienionóg.

Nie zajmujemy oczywiście żadnego stanowiska w tej sprawie. Informujemy naszych czytelników o tym z obowiązku dziennikarskiego. Sądzymy jednak, że niedzielny miraż zaobserwowany został jeszcze przez inne osoby. Wiadomości, jakie do nas nadejdą, umieścimy na lamach naszej gazety w przyszłym numerze.

A oto list ob. Cz., który lojalnie przytaczamy bez jakichkolwiek zmian:

„Kolego Redaktorze!

Nie mam Waszej gazecie nic do zarzucenia prócz pewnej chęci rozdmuchiwania plotek i ploteczek. Są to między innymi tzw. zjawiska optyczne. Naiwne to, a nawet głupie. Nie dziwię się jednak temu, jeśli posługujecie się takimi miernotami dziennikarskimi jak niejakim obywatelem Kalembą. Mogłem się na własne oczy przekonać, jak ten pan fabrykuje dla was rzeczy, które istnieją tylko w jego fantazji. W niedzielę leżał dość podejrzanie w fosie, a mnie przechodzącemu właśnie koło niego, usiłował wmówić, że piaszczyste wzgórza nad Odrą zamieniły się w błota i moczary. Widział też w kałużach potwory i rośliny, których tam nie ma i nigdy nie będzie.

Pozdrawiam Pana uniżenie

Ignacy Cz.”

W tym samym dniu pan Osiecki wręczył Romkowi jasny, podłużny list adresowany do niego. Romek odwrócił go szybko i zobaczył na odwrocie zamiast nadawcy dziwne kropki. Rozdarł szybko kopertę. Znajdował się w niej przedziwny list bez liter, bez wyrazów, pełen za to kropek. Brajl, to był brajl! Zapomniał o przyrzeczeniu danym kiedyś dziewczynce.

Romek wpadł z listem w rękę na Proksza, aż ten się zatoczył.

— Józek — krzyknął — tragedia. List pisany brajlem, a ja go nie umiem odcyfrować.

— Dawać go tutaj — rzekł Proksz. — Całe szczęście, że jestem uparty. Brajl mnie zaintrygował, zmobilizował do nauki.

Nie była to jednak sprawa łatwa. Józek Proksz dukał z niezliczonych kropek jak pierwszoklasista z elementarza. W końcu jednak z jego składanki słownej utworzył się list tej treści:

„Mili Koledzy!

Wasza pomoc jest mi koniecznie potrzebna. Nie gniewajcie się, że zwracam się właśnie do Was. Zauważyłam w rozmowie z Wami w pociągu, że jesteście szalenie przedsiębiorczy. Dowiedziałam się także o Waszym uczestnictwie w pewnej interesującej wyprawie. Mój ojczulek, najwierniejszy przyjaciel, rozprasza moją noc wieściami, które zdobywa mozolnie, a Wy... bez kłopotu. Nie ma rzeczy, której by dla mnie nie uczynił. W jego nowinkach jednak zdarzają się luki. Najciekawsze zawsze ktoś połyka.

Ostatnio tatuś mój odkrył nieprawdopodobną historię. Jest to wynalazek przez wszystkich, którzy jego tajemnicę znają, strzeżony. Dwóch tylko ludzi przeniknęło tajemniczą zasłonę: niejaki pan Kalemba, którego nienawidzi mój ojczulek. Wynalazek pozwala po raz pierwszy ludziom spojrzeć w najodleglejsze czasy na naszej ziemi. Bystre oczy tatusia oglądały smoki trójjeczne i rośliny tak niezwykle, że trudno uwierzyć. Ale tu właśnie zdarzyła się luka. Ojciec nie wie, co się znajdowało w głębokim leju, który badało trzech chłopców..., ale wie o naszej przyjaźni. Właśnie dlatego proszę, byście powiedzieli, co znaczył Wasz okrzyk: odkrycie! Do domu pojedę dopiero po paru tygodniach, więc pilnie Waszego listu oczekuję. Jeśli byłyby trudności z brajlem, piszcie Waszym alfabetem. Ktoś przeczyta.

Pozdrawiam Was serdecznie

Jola Czogała”

— No tak, znalazła nas — rzekł Proksz, przypatrując się uważnie Romkowi, jakby go dopiero teraz odkrył. — Coś taki zwarzony. Gadaj, Romek, co ci dolega! Wiem, że było coś z twoim starym...

— Nie mówmy o tym.

— To ci ulży.

— Głupia historia z psem, przybłądą. Powiem ci to kiedyś, jak będę w humorze. Co zrobimy z Jolką?

Proksz obracał list i śmiał się do niego.

— Zuch dziewczyna — rzekł z uznaniem. — Sprytna i przebiegła. Wyciągnie wszystko od nas, przeszkolona przez tatusia.

— Wyciągnie? Myślę, że nic nie wskóra, wiąże nas przecież słowo.

— Racja. Wiąże również przyjaźń. Czy cię to nie wzrusza? Biedna, biedna dziewczynka. Zastanów się nad tym, Lukanek!

Milczeli kilka chwil.

— Tak, wiem — odezwał się w końcu Romek.

— I co?

— Dylemat ¹⁵. Słowo i przyjaźń. Wprawdzie dość luźna, ale wiążąca, bo druga strona słaba, niewinna... A z drugiej... Nie zawsze byłem w porządku, ale słowa dotrzymywałem.

— Zapytajmy Koprucha. Nie ufam mu całkowicie. Nabrał nas haniebnie. Chwilami wydaje mi się, że to porządny facet, ale czasami ma takie zagrania... I coś go dręczy.

— Na pewno. Samotność.

— Myśli, że nikomu nie jest potrzebny, więc zgrywa się na cynika. Cynik, co się wzrusza kartką mamusi. Chodźmy do niego. Jest, jak sam mówi, powiernikiem wuja.

Wielki łobuz wysłuchał ich grzecznie i cierpliwie, a potem poradził, by udali się do jego wuja, gdyż on, choć powiernik wuja, nie może się zdobyć na samodzielną diagnozę.

— Ostatecznie — rzekł — mógłbym w imieniu wuja wydać takie zezwolenie, ale to sprawa delikatna. A oto lizaki dla was. Życzę powodzenia.

— Pewnie znowu dzień grzeczności — drwił Proksz. — Zatrzymaj swoje lizaki.

— Czy może nie byłem grzeczny? — zapytał frant I włożył swoje lizaki z całym spokojem do kieszeni.

Odwrócili się i wpadli wprost na doktora Osieckiego. W wyglądzie profesora zaszły tak wielkie zmiany, że nawet Proksz zadawał sobie często pytanie, co mu strzeliło do głowy, by młodego uczonego nazwać Iksikiem. Lecz teraz pod presją nie załatwionej sprawy dojrzała decyzja obu chłopców. Podeszli do swego wychowawcy i podzielili się z nim swymi wątpliwościami. Doktor Osiecki odrzekł z uśmiechem:

— Chwalebne są takie skrupuły. Lecz tutaj nie ma co ukrywać przed dziewczynką. Przecież jej ojciec wie już wszystko. Poza tym mamy też pewien dług wdzięczności wobec kowala Czogały. Podważył przecież opis Kalemby. To też coś znaczy. Nie będziemy mieli w przyszłości gapiów przy doświadczeniu. Zresztą urządzimy się tak, że nie odkryje nas nawet Czogała.

Ale czy ten optymizm profesora sprawdzi się w przyszłości? Raczej nie. Przyjaciele jednak myśleli teraz jedynie o Jolce.

Tak oto więc wtajemniczyli niewidomą dziewczynkę w ostatni szczegół przygody, czyli w to, że w głębokim dole znajdowało się wielkie cmentarzysko olbrzymich ryb pancernych¹⁶ dewonu.

„...Ryby oczywiście były nieżywe — pisali — i wyschły jak mumie. Sprawił to suchy, gorący klimat. Pan D., który jest znawcą spraw geologicznych, wytłumaczył, że dół ten stanowią przed milionami lat zatokę, która w pewnym sensie stała się pułapką dla tych potworów. Potem zatoka odcięta została od morza. Woda jej wyparowała i dla jej mieszkańców nadszedł żalostny koniec. Oglądaliśmy z bliska taką rybę. Pokryta była wielkimi płytami kostnymi, a głową osłaniał ogromny hełm pancerny...”

NOWY UCZEŃ WCIĄŻ JESZCZE TAJEMNICZY

O nowym uczniu niewiele wiedziano w klasie. Nie był nawet skryty, raczej mówił to, co myślał i co czuł. Jedno było pewne, że nie był przeciętnym chłopcem. Umiał mówić logicznie, wyłapywał na lekcji problemy, rozwiązywał je łatwo, a celował w matematyce. Żył ze wszystkimi w przyjaźni, rozśmieszał chłopców i dziewczęta nawet własnym kosztem.

Mimo to był dla kolegów zagadką. Dlaczego powtarza klasę? Romek, który stale jeszcze boczył się na niego, rzekł do Proksza:

— Józek, założyłbym się, że dobry z niego gagatek. Na pewno gdzieś coś przeszkrobał...

Tak więc trzeba się było stale zastanawiać nad Kopruchem. Rozgrzeszał go jednak Józek Proksz, któremu imponowały zawsze odruchy dzielności i zaradności u znajomych. Proksz na podstawie własnych spostrzeżeń doszedł do przekonania, że nowy uczeń w gruncie rzeczy jest morowym chłopcem. Coś się tam w nim zwichnęło, ale o tym wyraźnie Kopruch wolał nie mówić, albo siląc się na dorosłość wygłaszał:

— Widzicie, jestem lekkoduch i gaduła. Ale nie możecie zaprzeczyć, że mam swoją filozofię życia. Analizuję siebie bardzo często i dochodzę do wniosku, że nie moja to wina, iż tak właśnie jestem ukształtowany. Człowiek bowiem zawdzięcza swoje przywary środowisku, które go wyprodukowało.

W klasie znajdował się Lonek Obartel, chłopiec o pyzatej twarzy, dobrze odżywiony i dostatnio ubrany. Na przerwach odwiedzał go często jego dziadek, stawał na progu klasy z wypakowaną torbą, którą kołysał zachęcająco:

— Lonek, znowu zapomniałeś śniadania.

Dziadek był siwy, miał wąsy jak szroniaste skrzydła szpaka i strzygł nimi, niby motyl wiotkimi skrzydełkami. Lonek wstydził się jego pieszczot i zawsze na niego fukał.

— Dobry z ciebie, Pyza, nicpoń — powiedział do niego lekkim tonem Kopruch po odejściu dziadka. — Masz rodziców, którzy tańczą dokoła ciebie, świetnego dziadka, którego sarmackie wąsy oglądam kilka razy w tygodniu, a ty jeszcze wydziwiasz. A ja...

— Co ty? — rzucił Romek, spojrzawszy szybko na niego.

— Eee, co ja. Ja jestem sam ze swoją babusią...

— Jaką babusią?

— Noo... babcia oczywiście. Wiecie, że moi rodziciele rzadko mnie odwiedzają. Nie skarżę się, mówię to tylko tak. Więc gdy przyjadą raz na dwa albo trzy lata, zawsze wtedy są bardzo zmęczeni. Zamykają się w pokoju, leżą i śpią, albo śpią i leżą, jakby pragnęli odrobić sto lat, w których nie będą spali. Potem palą i piją herbatę, przerzucają wszystkie gazety świata, jakby wyrównać chcieli zaległości dziesiątek lat. Wreszcie pakują błyskawicznie swoje manatki i jadą w nieznaną. Gdy przyjeżdżają, wołają obydwójce naraz: „Krzysiu, a byłeś chociaż grzeczny?” Przy pożegnaniu to samo: „Krzysiu, bądź grzeczny i słuchaj babci”.

Rozległ się gromki śmiech w całej klasie. Potem ktoś go zapytał, dlaczego mimo to jest zawsze wesoły jak szczygieł pod oknem.

— To bardzo proste — odpowiedział nieodgadnionym tonem — bo nie mam rodziców.

Lonek Obartel sądził, że nadarzyła się pora, by przypomnieć Kopruchowi, że nie jest Pyzą, że sobie wyprasza podobne określenia. I w ogóle co to znaczy: Pyza?

— Nie znasz się na niczym — odpowiedział Kopruch, nie czekając nawet końca zarzutu. — Jakże mam cię nazywać, jeśli masz takie śliczne pyzie. Moje ty, pyziątko kochane. Pyzia, daj pysia!

I wyczałował Lonka, szamocącego się niby złapany ptak w silnych rękach ptasznika.

— Wypraszam sobie — bełkotał zdenerwowany Lonek — nie chcę takiego przezwiska. Nie chcę, rozumiesz, arcyłobuzie!

— No, to jakże mam na ciebie wołać? „Kluska”, „knedel”, albo jeszcze pieszczotliwiej: „kajzerka”?

Miało to miejsce we wtorek, a w środę pedel szkolny wywołał Koprucha na korytarz. Stała tam ciemno ubrana kobieta z siwymi kosmykami włosów, wymykającymi się spod ciepłej chustki. Jej kamienna twarz zmieszała zawsze pewnego siebie Koprucha. Nie mówiła nic, tylko mierzyła go surowym spojrzeniem.

Nie życzę sobie — powiedziała wreszcie staruszka — żebyś pan nazywał mojego wnuka „knedlem”!

— Ależ, proszę pani, wcale go tak nie nazywałem... Niech pani posłucha...

— Ani „kluska”...

— Proszę pani, to jakieś nieporozumienie...

Albo „kajzerką”...

— Proszę pani...

— Milcz pan!

Postąpiła krok naprzód, jakby się chciała rzucić na chłopca. Kopruch wołał się wycofać. Wrócił do klasy i cały swój gniew wyładował na Lonku:

— Nie przypuszczałem, że z ciebie taki skarżypyta.

— Nikomu się nie żaliłem — krzyknął Lonek. — Dziadek stał na progu i wszystko słyszał. Powtórzył to babci, a ona nie lubi takich żartów.

— A szczególnie żartów na twój temat, papinkarzu.

— Coś powiedział?

— Papinkarzu! I co, może nie?... Precz z łapami!

Ale rozwścieczony chłopiec już wisiał na nim. Wysoki Kopruch odtrącił go jednak jak uprzykrzoną muchę. Przysadzisty Lonek skoczył znowu do jego szyi. Dokoła awanturujących się zrobił się doraźny amfiteatr widzów, ci z ławek okupowali pulpity, inni tłoczyli się wokół ringu walczących, rozległy się dopingi, wrzaski.

— Zabawa na sto dwa! — podniecał się ktoś z kibicujących.

Nagle wszystko umilkło. Jakiś krzepki chłopiec przeciął pierścień gapiów i krzyknął piskliwie na tłukących się zdrowo przeciwników.

— Rozstąpić się zaraz!

Był to Proksz. Proksz, siedzący dotąd jak zwykle nad podręcznikiem. Obaj chłopcy przerwali bój i zwrócili swoje roziskrzone oczy na Józka. Kopruch był blady, ale uśmiechnięty. Lonek Obartel spocony i zaczerwieniony.

— Nie lubię takich chamskich rozpraw! — krzyczał Proksz. — Kopruch, myślałem, żeś inny. A ty, nie rozpoczynaj bójek w klasie.

Lonek opuścił nagle ramiona, a jego rozbłyśnięte gniewem oczy przygaśły. Potem obrócił się nagle i runął jak kłoda na ławkę. Głowa jego opadła i wtuliła się cała w ramiona.

— Nie jestem papinkarzem! — zaczął szlochać. — Nie jestem. Czego on ode mnie chce? Wszyscy mają mnie za maminego synka. W szkole, w domu... Nienawidzę was wszystkich! Śmiejecie się ze mnie dlatego, że on tak chce. Wielki Kopruch!... Tak.

Kopruch nie ruszał się z miejsca. Był jeszcze bledszy, ale wciąż opanowany i uśmiechnięty. Uśmiech ten wszakże rozpraszał się jak przez sito. Wytrzymywał w ten sposób wiele tych ciekawych spojrzeń zwróconych na niego ze wszystkich stron. Co w nim siedzi? Co powie? On jednak milczał. Strzepnąwszy wreszcie rękawy, zwrócił się do Proksza:

— Proksz, po co się mieszasz do naszej sprawy? Naprawdę myślisz, że źle postąpiłem?

— Naturalnie, że tak myślę — odparł Józek Proksz bez drgnienia w głosie.

— Czy mam to rozumieć, że moja reakcja na zaczepki tego smarkacza była nie *fair*?¹⁷ Powiedz to właśnie ty, pierwszy raz to usłyszę.

— Powiedział: smarkacz! — krzyknął Lonek. — Nie jestem smarkaczem.

— Kopruch — odezwał się Józek. — Co myślę o tobie, to moja rzecz. Znam cię już trochę, choć nie ma takiej szybki, by zajrzeć przez nią do serca i duszy. Co tam w sobie kryjesz, to z kolei twoja sprawa. Lubię cię i chciałbym, byś był naszym przyjacielem. Cieszysz się sympatią wszystkich, od ciebie zależy, by cię... podziwiano...

Kopruch założył ręce. Nie można było wyczuć, czy słowa Proksza zrobiły na nim wrażenie. W końcu rzekł:

— Proksz, Józek...

— Mów.

— Słuchaj, apostołe pokoju, co mam według ciebie zrobić?

— Uścisnąć sobie łapy z Obartlem. Lonek Obartel, rusz się trochę.

— Nie chcę. Dajcie mi żyć! Nie jestem papinkarzem, nie jestem smarkaczem!

Dziewczęta zaczęły nalegać na Lonka, by przyjął rękę do zgody. Romek wypychał go z ławki. Tymczasem Kopruch poprawił okulary na nosie, a następnie zwrócił się do Proksza.

— Chcesz, bym pierwszy uczynił krok do zgody? Dobrze, co mi to szkodzi. W zasadzie lubię mieć dużo przyjaciół. Leonie Obartel, jeśli ci ubliżył, co nie było moim zamiarem, to przyjmij moją prawicę na wieczną zgodę.

Obartel, niesiony na rękach kolegów, znalazł się wbrew woli naprzeciw swego nieprzy-

jaciela. Ześliznął się więc błyskawicznie z ramion chłopców i wbił oczy w podłogę, by nie spotkać się z drwiącym spojrzeniem Koprucha. Pomylił się wszakże. Wielki przeciwnik był wprawdzie opanowany, lecz stał głupkowato uśmiechnięty z wyrazem pewnego zaskoczenia w oczach.

— Józek, gadaj, czy mam się z nim pocałować? — zapytał, nadrabiając miną. — Nie wrywaj się, pajacu. Proksz zwątpił we mnie, ale jeśli jeszcze coś dobrego we mnie zostało, to ci, męczenniku, wynagrodzę twoje cierpienia. I zrobi się jeszcze z ciebie mężczyznę!

PRZEZ KESON TRANSŁOKACYJNY

— Józeek!... Halo!... Tutaj jestem...

Na górkę wyjechała naraz „Kometka”, przesmyknęła się pod lasem i przyłgnęła do drzew, zapadając momentalnie w swój sen mechaniczny. Proksz, machając powitalnie czerwonym kaskiem, zbliżał się dużymi krokami do przyjaciela.

— Fajnie, jestem na miejscu. Twojego Starego jeszcze nie ma? — zapytał, opuszczając się ciężko, jak człowiek zmęczony pracą, obok Romka.

— Chyba zaraz będzie, ubierał się, gdy wychodziłem z domu.

— Chyba się już nie kryjesz?

— Raczej nie. Na pewno nie. Matka wie już, że należę do ekipy eroeksplorera. Widocznie tatuś jej powiedział.

— Powiedz nareszcie, jak to było z tym psem.

— Mówiłem, że głupia historia. Sam nie wiem, co mnie podkusiło, żeby iść na wagary.

— Co? Więc były i wagary? Lukanek, ależ to do ciebie niepodobne.

— Iii, właściwie nawet nie wagary. Ucieczka. Ucieczka z domu, a nie ze szkoły. Myślałem, że nie wytrzymam, jeśli choć godzinę jeszcze zostanę.

— Mówiłeś jednak coś o psie...

— Właśnie. Wiązało się to z psem i z wierszem, którego nauczyć się miałem na pamięć. A psa poznałem na naszej stacji kolejowej. Taki żółty nieszczęśnik, który czekał na jałmużnę. Pomerdał na mnie ogonem i już miał moje serce. Gdy go poczęstowałem resztą śniadania, polazł za mną aż do domu. No i co byś ty zrobił na moim miejscu?

— Przegnałbym dziada na cztery wiatry.

— Ja go ukryłem w stodole, bo u nas mama nie cierpi psów. Wścieklizna, tasiemce i różne choroby. Jemy sobie w najlepszą kolację, a ta oferma stoi w progu. Wypadło mi przyznać się, że to mój znajomy i prosić pokornie o azyl dla niego. Kazali go wyrzucić, czyli przegnać — jak to ty mówisz — na cztery wiatry.

— No i co?

— Umieściłem go u kolegi za pewną miesięczną opłatą... Dlaczego się śmiejesz?

— Bo wiem, co ten gość zrobił. Brał forszę i głodził lokatora.

— Tak też było. Więc znalazł się znowu w naszej stodole. W szkole cały czas myślałem o nim. Naprawdę go lubiłem i chciałem go mieć dla siebie. A gdy przyjechałem do domu...

— ... już go nie było. Przetrzepali mu skórę i wypędzili.

— Tak. I nigdy go już nie ujrzałem.

— I z tego powodu...

— Jeszcze nie. Właśnie nazajutrz miałem na uroczystości szkolnej wygłosić wiersz na pamięć. Nie umiałem go, więc przyznałem się do tego pani Dobrowolskiej, Powiedziała do mnie: Idź i nie pokazuj mi się więcej na oczy!

— Poszedłeś.

— Tak, z domu, ale wróciłem już następnego dnia wieczorem. I tego tatuś nie potrafi mi przebaczyć.

— Tej ucieczki?

— On nie wie, w jakim stanie się znajdowałem. Przecież przychodzą na człowieka takie chwile. Krzywda, niesprawiedliwość — to boli. Józek, zachowaj to jednak przy sobie. Nie chcę, żeby inni o tym wiedzieli.

— Możesz być spokojny. Ale ja na twoim miejscu pogadałbym ze swoim starym. Zawsze tak robię ze swoim i doskonale się zgadzamy. Tylko, że u nas role się odwróciły. Stary lubi psy i ma swojego Rekxa, a ja je gonię i biję czym popadnie. Każdy kundel to oprych, złodziej. Ile mi kołaczy nakradły, to bym nie zliczył. Obrócisz się, a taki... haps i ucieka z brązowym krążkiem w krzaki. I nic go nie parzy. Do rąk byś kołacza nie wziął, a on połyka...

— Z głodu...

— Być może.

Proksz przerwał i rozglądnął się dokoła.

— Niby wszędzie tu cicho — rzekł — a gdzieś tam w zaroślach lub w jakimś dołku siedzi sobie taki Kalemba. I zerka, i strzyże oczyma, i nastawia uszu. A z drugiej strony robi to samo pan Czogała. Ten to jednak musi, robi to wszystko dla Jolki...

— A Kalemba może powiedzieć: wszystko ze względu na moją kronikę. A redaktor wreszcie: wszystko dla prasy. Żeby ludzie wiedzieli.

— A my?

— Z ciekawości.

— I dla nauki... Lukanek, założyłbym się, że to oni. Za chwilę powinni się ukazać na zakręcie. Kochany Iksik, mój zbawca, który potrafił zreperować sprężynę w mojej pamięci!

Gdy tę pochwałę kończył, warkot na dole stawał się silniejszy, a po minucie wielkie wozy wynurzyły się z perspektywy drzew i ruszyły żwawo w kierunku góry. Zdobyły ją też wkrótce i zrosły się z jej szczytem. Z auta wysunął się inżynier Plecionka, rozejrzał się i rzekł:

— Jasne, nie warto eksperymentować w pobliżu traktów i dróg...

— Chociaż nie potrzebujemy się już obawiać bystrych oczu Kalemba — żartował doktor Osiecki, dziś widocznie w doskonałym humorze.

Ojciec Romka, który zeskoczył z samochodu, potrzęsął głową.

— Kalemba? Wiecie, panowie, jaką ma tutaj opinię? Lis to chytry, przebiegły, a w dodatku inteligentny. Cierpliwy i wytrzymały na trudy. Zna każdą dziurę w naszej okolicy. Wie, co każda kobieta gotuje na obiad. Nowinkarz, który zaniedbuje kuźnię, a goni po powiecie za plotkami. Ostrożność więc nie zawadzi. Sto metrów w lewo znajduje się ustronie — jakby wymarzył dla panów.

Zrobiono tak, jak radził. Dotarli niebawem na drogę leśną, całą skrytą w gąszczu młodych sosen. Był to pachnący, zielony tunel. Ogromny wóz, wyjąc i pomrukując, wsunął się posłusznie w tę kosmatą rurę i wypłynął nagle z cienia na jaskrawe światło polany. Otaczały ją ramy wielobarwnych drzew i zarośli. Podłoże jej wymoszczone było materacem spłowiałych wrzosów. Dwa pasma obok, z rzadką brzoźową młodzią, znaczyły blizny zmurszałych skib, które kiedyś kroił tu pług. Oracz, zniechęcony snadź jałowością gruntu, dał tym szczerym piaskom spokój. Samochód jeszcze nie stawał. Kołysząc się ciężko, człapał niby potężny zwierz po kępach wrzosu.

Rychło też powtórzyły się wszystkie czynności z ubiegłej niedzieli. Krzątano się jednak gorączkowo. Wpłynęły widocznie na to jakieś ważne czynniki. Zabłyśły wkrótce duże żrenice luster i prostowały się anteny ku niebu. Chłopcy zobaczyli nagle, że z burty przyczepy zjechała jakaś szara skrzynia podobna do budki strażniczej.

— Tak — powiedział Osiecki, badając ją spojrzeniem — jesteśmy znowu nieco bogatsi

i mądrzejsi. Uważajcie, chłopaki! Pan Lukanek zna już przeznaczenie tego nowego urządzenia. To jest tak zwany keson translokacyjny. Każdy z nas przejdzie w nim coś w rodzaju prześwietlenia rentgenem, oczywiście bez uszczerbku dla zdrowia. Pan Duszka zbombarduje nas bowiem promieniami wieków. Keson spełnia mniej więcej rolę kesonu nurka, którego zamierza się spuścić na dno morza. Po przejściu przez keson doznania nasze w erze, której złożymy wizytę, będą bardziej rzeczywiste. Będziemy niejako częścią tej archaicznej przyrody. Rośliny i zwierzęta będą miały masę, ale wy podobnie widzialni będziecie dla tamtych istot. Nie wiem jeszcze, co z tego wyniknie. Jedno jest pewne, że przybędzie nam moc emocji. My pierwsi a wy po nas!

Widziano, że w kesonie znikł pan Osiecki, a jego miejsce zajął inżynier Plecionka, potem ojciec Romka. Gdy przyszła kolej na Koprucha, ten poprawił okulary na nosie, potem uśmiechając się, jakby dodając otuchy swoim kolegom, wkroczył zuchowato do kesonu.

— Jak się czujesz, Kopruch? — zapytał go Proksz, kiedy znowu pojawił się przed nimi.

— Nie uwierzycie. Jak człowiek, który ma dwieście osiemdziesiąt milionów lat. Mam starcze gnaty, patrz na moje kolana, jak mi obrzękły.

Był to oczywiście żart kpiarza, ale Proksz i Romek, znalazłszy się w ciemnej kabynie, odczuli, że dzieje się z nimi coś niezwykłego. Coś drążyło ich ciała, coś w nich tężało, spajało z owymi milionami lat.

Potężne zwierciadła na samochodzie mrugały i rozmawiały z kosmosem, chyboczące anteny drgały i zmieniały wciąż swe położenie. A potem wyłaniać się poczęły z otoczenia, z dali, plamy, barwy. Szaleństwo barw, bujność, przepych zieleni, słońce, jego fantastyczne refleksy, orgia światła. I obraz. Obraz nigdy nie oglądanych drzew, niesamowitych w kształtach, wielkości, kolorze

— O, do licha! — wyrwało się Kopruchowi na widok tej przeogromnej zjawy. — Co to wszystko znaczy? Rozumiecie co z tego wszystkiego? Drzewa nabijane guzami, bliznami, pieczęciami.

— A liście jak wiechcie paprociowych liści.

— Bo też to istotnie są paprocie — wyjaśnił inżynier Duszka. — Górny karbon ¹⁸.

Szli po zielonoceglastym wilgotnym podłożu mchu, który ugiął się pod ich stopami jak sprężysty tapczan. Wystrzelały z niego drzewa ze zdumiewającymi naroślami, niżej w bagnie inne prawie bezlistne, o gałęziach powykręcanych, kosmatych niby gąsienice. W końcach włochatych ramion usadowiły się wielkie szyszki. I w wodzie wreszcie straszliwie wielkie skrzypy. Drzewa, po których pięć się można było do nieba.

— Rany boskie! — westchnął Józek Proksz — wędrująca skała...

— Nie, to nie skała — rzekł Plecionka. — Skała na nogach, mój kochany, to zwierzę — monstrum ¹⁹. Jaką jednak etykietę zoologiczną nosi, powie wam kolega Duszka. Jędrak na ciebie kolej.

— Taak — zastanawiał się Duszka — to... stegocefal ²⁰.

— Wciąż mi się wydaje — wtrącił ojciec Romka — że gdzieś tu ktoś nas podgląda. Zdawało mi się, że widziałem czyjeś oczy...

— Nie ma obawy — uspokajał go Osiecki — najmniejszej nawet. Dobre pole do doświadczeń. Obserwujmy lepiej, uważnie stegocefala.

Rany boskie! — zdumiewał się nadal Józek — prawdziwy stegocymbał. Człapie w naszym kierunku nieustępliwie, pewnie. I podobny do tego w dewonie.

Tak, był podobny do tamtego, ale głowę miał bardziej spłaszczoną. Znikła też jakby pletwa grzbietowa, pozostał grzebień pancerny. I... były nogi, pięciopalcowe jak u człowieka. Kopruchowi zapatrzonemu w ten archaiczny stwór wydawało się, że to gigantyczna salamandra, albo jaszczurka. Ale gad to, czy płaz?

— Oczywiście płaz — stwierdził autorytatywnie Duszka. — Stegocefal to przecież łącznik między rybą dwudyszną i gadem.

O słuszności tej tezy świadczyła również skóra stegocefala. Natłuszczona była śluzem i poznaczona licznymi brodawkowymi naroślami ropuch. Lśniła wilgocią.

Stegocefal znieruchomiał. Jego krwawoczerwone ślepia zwróciły się na nieznane mu istoty. Szczególnie jedną z nich obserwowały jego mroczne oczy. Kopruch bowiem przykucnął do samej ziemi, a jego długa postać zgięła się w dziwny kabłąk, połyskiwały okulary w żółtych oprawkach, białe zęby szczyrzyły się w okropnym grymasie, i słychać było śmiech, przerywany szumem niezrozumiałych jakichś słów. Obok tego skulonego szkaradzieństwa drugi potworek z ciemnym kleksem na głowie. Co to może być? Żywe to, rusza się i zwija, brzydkie ślepia wybałusza, no i te cztery kończyny. Tyle, że nie ma trzeciego oka.

— Możecie nie wiem co o mnie powiedzieć — rzeki Kopruch — ale jest coś ludzkiego w jego spojrzeniu, Ach, ta straszna paszcza! Istne wrota stodoły; połknąłby mnie jak nic.

— Jest za powolny jak na ludożercę — śmiał się Romek. — A poza tym, może w ogóle mięsa nie lubi.

— Zgadłeś, to jarosz — oświadczył inżynier Duszka.

Jeśli tak, to trzeba to sprawdzić. Kopruch wydobył z pobliskiej wody wielki liść i podsunął go pod sam pysk smoka. Lecz potwór zachował się jak prawdziwy głaz. Zdawało się, że nadal pogrążony jest w kontemplacji²¹ nad nieznanymi mu stworzeniami. Gdy liść jednak zadrgał w ręku chłopaka, zwierzę nagle go porwało i wepchnęło do przepastnej gardzieli.

— A więc roślinożerny — stwierdził Osiecki. A tamto trzecie oko...

Istotnie, w środku opancerzonej czaszki widoczne było trzecie, szczątkowe oko. U ichtiostegi żyło jeszcze.

Opuszczono wreszcie nieruchawego ślamazarę, posuwając się wzdłuż bagnistej laguny, która była cmentarzyskiem skrzypowatych kalamitów²². Jedne stały jeszcze i nurzały swoje czubki w żarze słonecznego nieba, inne zapełniały poplątanymi pniami wielką, mulistą topiel, reszta zaś, którym wiek nadwątlił korzenie, opierała omdlałe filary o tę barierę.

Stegocefal śledził ich poczynania z coraz większym zdumieniem. Tymczasem wycieczkowiczów pochłonał nowy widok. Na omszałym głazie, wystającym z zielonkawej wody, wylegiwał się długi, żółty wąż z głową geometrycznie trójkątną.

— Wąż z antenami — dziwił się Proksz — co on nimi łapie?

— To wcale nie wąż — tłumaczył Plecionka. — Płaz. A szczoteczki na głowie — to skrzela.

— Na odmianę przydałaby się jakaś krowa — dowcipkował Kopruch — albo świnka, a może koń...

Ledwo to powiedział, a powietrze przeszył straszliwy ryk, chwilę później zadudniła ziemia, jakby ktoś ją młócił parzystymi cepami. Wszyscy zastygli w miejscu.

— A mówiło się, że w karbonie zwierzęta są nieme — zauważył podniecony nie mniej od innych Józek Proksz. — To okropne. Jakiś drapieżnik.

Nowy ryk, nowe bębnienie w sąsiedztwie. Ale podczas tego, gdy głowiono się nad zagadką tego hałasu i powtarzającym się coraz częściej rykiem, rozległ się głos człowieka: ostry i przerażający. Chwilę potem zjawił się wśród egzotycznej roślinności jakiś cień, który potykał się, upadał, podnosił; wreszcie znikł jak kamień w wodzie.

— I człowiek w karbonie — zdumiał się Kopruch.

Nie było jeszcze końca niespodziankom, bo zdumionych wędrowców uderzył inny widok. Oto przeleciała jakaś bestia z podniesionym ogonem i również przepadła. Potem wszystko ucichło.

— Wiecie, co to było? — zapytał spokojnie ojciec Romka i roześmiał się głośno. — Pod skarpą pasła się krowa.

— Co, krowa? — wrzasnął Plecionka i począł się śmiać jak szalony.

— Tak, pasły ją tam moje dzieci: Pawełek i Tadzio.

— A ten, który uciekał?

— Tego już nie wiem. I nie wiem, co się stało, ale nasza Strokula zrywa się często, gdy podejść ją zniemacka. Miałem rację, że ktoś się tutaj czaił. Ale chłopcy dadzą sobie z nią radę i zaraz ją ujarzmią.

Zartowano jeszcze i dowcipkowano, gdy niespodzianie ich uwagę ich przykuł inny, teraz już prawdziwie karboński obraz. Na pewnej polaci ziemi, pstrzącej się od nieznanach roślin, przykuł ich widok jakiejś fantastycznej purpury. Czyżby to były olbrzymie kwiaty? Może krzewy ozdobione wachlarzowatymi kwiatostanami? Ale kwiatów przecież również jeszcze nie było w tej epoce. Szybko zwrócili swe kroki w tym kierunku.

— To nie kwiaty — rzekł ojciec Romka, walcząc jeszcze z wciąż wzbierającym w nim śmiechem.

— Ależ nie — zawołał Proksz swoim wysokim tonem w głosie — to zupełnie coś innego.

— Może plumpuding? — zapytał nieco uszczypliwie Kopruch.

— Co to jest plumpuding? — Józek z niedowierzaniem spoglądał na przyjaciela.

Kopruch odpowiedział przy wtórze ogólnej wesołości:

— Brr, obrzydliwy budyń angielski, góra budyń.

— Kopruch, musisz mi kiedyś podać przepis na ten budyń...

Nikt go jednak już nie słuchał, bo byli wreszcie tak blisko, że mogli już dokładnie przyjrzeć się „plumpudingowi”. Zdumienie wszystkich nie miało granic, gdy odkryli, że to zwierzęta. Długi czas wpatrywali się bez słowa w grupę nie znanych im stworzeń, przystrojonych jak do zwariowanego tańca w krwawe wachlarze na grzbietach.

Milczenie to przerwał znowu Kopruch:

— Czy to aby nie latające krokodyle?

— Gady, pierwszy raz je widzimy. Ścisłej mówiąc jaszczury — oznajmił Duszka i dodał z wahaniem: — Edaphosaurus²³ — według podręcznika. Nie wyobrażałem sobie jednak, że są tak bajecznie kolorowe.

— Józek — odezwał się Kopruch półgłosem, niemal pieszczotliwie — jest okazja do popisu. Będziemy obaj zuchami, jeśli to zrobimy.

— Co niby?

— Pogłaskamy te bydlątka paznokciem.

— A jak was chapną? — rzekł Romek.

— Patrz, pierwszy edafozaur żuje źdźbło badyła...

— Masz nas za frajerów. Kot też na deser skubie trawę, a najchętniej obzera się mięsem.

— No to: uwaga!

Kopruch zaczął schodzić energicznie z pagórka. Wtedy i Proksz, a za nim Romek, zaczęli podążać za nim. Kopruch dotarł już do łysej polany, na której w spiekocie słońca wygrzewały się cztery czerwone jaszczury. Najbliższy zarośli, wystraszony nagłą napaścią, puścił się kołyszającym biegiem ku swoim towarzyszom. Kopruch przystanął jak desperat, który gotuje się na nieobliczalny czyn. Józek Proksz przecesał ręką swoją ciemną szczęć na głowie i — potem przylgnął nagle jak cień do Koprucha. Romek trzymał się na uboczu.

— Gdyby nie ta przepiękna kryza — mrucał Kopruch — powiedziałbym, że to warany²⁴. Proszę pana, warany, czy nie warany?

Za Duskę odpowiedział jednak Osiecki.

— Nie wygłupiaj się, Krzysztof.

Tymczasem jaszczury utworzyły ze swych potężnych ciał fortecę nie do zdobycia. Ich piłowate ogony trzepały wściekle ziemię, a smocze paszczęki kierowały się gniewnie na ludzi. A oni właśnie z tej bliskości mogli należycie ocenić owe kryzy. Były jakby mocnym, nakrochmalonym kołnierzem, zatkniętym zawadiacko na grzbiety zwierząt. Potwory nastroszyły je tak znacząco, że stały się tematem rozważań obserwatorów.

— Założyłbym się — rzekł pan Lukanek — że służą do odstraszenia...

— Zgadł pan — odpowiedział Duszka. — Są tu na pewno drapieżce, przed którymi trzeba się okazać groźniejszym, niżli się jest w istocie. Kryza jeży się jak sierść napadniętego psa czy też kota.

— No i co, Józus? — rzucił Kopruch.

— Nic. Czekam na twoją odwagę, Krzysztofie. Wciąż tylko gadasz. A ja chcę je dotknąć.

— Brr — wzdrygnął się Romek.

Nagle Kopruch skoczył i przeciął jak grom całą polanę. Nim się powolne jaszczury spostrzegły, było już po wszystkim. Chłopiec z ogromną przytomnością umysłu porwał w garść pierwszy z brzegu ogon i zaczął nim wywijać. Potem odbił się od nich jak piłka i — wylądował przy swoich kolegach.

Nie podobało się to panu Osieckiemu.

— Wariat! — karcił go. — Dlaczego je straszysz? To niewinni roślinożercy. Bardziej męskim byłby pieszczotliwy dotyk twojej dłoni.

— Nic się im nie stało. To tak dla rozgrzewki, wujku — odparł Kopruch z zadyszka w głosie. — Żeby... żebym nie był za miękki, żebym nie był... Krzysiu... dla paru osób... Ot, wujku, taka sobie sportowa zaprawa.

Proksz tkwił w tym samym miejscu. Był równie skryty jak Kopruch, ale rozważna, analizująca natura chłopca i wrodzony upór nie pozwalały mu na powtórzenie manewru kolegi. W postanowieniach swoich kierował się przy tym pragnieniem szukania nowości. Dziwiło go trwożne zachowanie się gromady potworów. Badał więc jak anatom każdy szczegół opancerzonego ciała, dziwaczność stroju i wreszcie te niezwykle, intensywne barwy. Ruszył wolno naprzód, szedł z zaciśniętymi, sinymi wargami, z oczyma, które zapalało podniecenie. Hipnotyzowały go kryzy zwierząt, które nasilały się krwią, rosły i pęczniały.

Stanął. Dotykał i gładził pancerze antycznych dziwolągów.

Tylko Romek jeszcze się wahał. Zrobił jednak krok dwa, trzy. Potem stąpał coraz pewniej, choć panować musiał nad swym straszliwym obrzydzeniem. Czuł zawsze wstręt do myszy, szczurów, a przede wszystkim do gadów. A przecież nie pragnął ich krzywdy. W tej wszakże chwili zrodziło się w nim podniecające uczucie, by pokazać, że jest odważny. Zachodził zwierzęta ostrożnie, ale pewnie. Był w końcu przed tymi gorejącymi stworzeniami. Ręka jego dotknęła bez drżenia gadziego ciała. Nie odrywał jej teraz, trzymał na zimnym, oślizłym pancerzu.

Obrócił się do ojca i spostrzegł, że oczy jego pojaśniały.

Pocieszający był fakt, że ostatni eksperyment nie miał świadków i w przyszłości gapiów takich mieć też nie będzie. Lecz pewności takiej nikt nie miał. Ba, można się nawet było obawiać o utrzymanie tajemnicy wynalazku. Na ciężarówce bowiem znaleziono ślady butów, a na stopniu jej leżał niedopałek papierosa, choć nikt z uczestników wycieczki do karbonu nie palił. Ojciec Romka nie mylił się więc, twierdząc, że ktoś śledzi wypadki na polanie. Zresztą nawet szopa na Polnej nie była już pewna. I tam usiłowano skruszyć pieczęcie tajemnicy. Jedna szyba w oknie była rozbita. I wreszcie człowiek uciekający przed krową na polanie.

— Ale dlaczego mamy kryć się ze swoim wynalazkiem? — zastanawiał się Józek Proksz. — Przecież oddaje się go w końcu na użytek człowieka. Według mnie tak też powinno być. Niech służy dla dobra ludzkości. W ten bowiem sposób dotarły one od najdawniejszych czasów do nas. Każda jedna rzecz w ręku człowieka to przecież czyjś wynalazek. Weźmy choćby na przykład najprostsze użytkowe przedmioty jak guzik, agrafka, szpilka, igła itd.

— O ile wiem — mówił Kopruch — to wujek po to właśnie stworzył swój eksplorator. Sprawa jednak nie jest tak prosta, jak się wydaje. Doktor Osiecki przesłał do pewnego naukowego czasopisma poważny artykuł, w którym obala teorię Einsteina. I wiecie co? Zwrócono

jego pracę z uwagą, że jest niedorzeczna i pozbawiona podstaw naukowych.

— Więc trzeba nareszcie ujawnić swój wynalazek i zatrząść trochę światem, by udowodnić, że Einsteinowie wciąż się rodzą i będą nadal rodzić dopóki świat będzie istniał.

— Może to słuszne — odezwał się Romek — ale pan Osiecki i inżynierowie muszą najpierw przeprowadzić szereg eksperymentów.

— Właśnie, kolego, a oni są przecież w trakcie takich doświadczeń. Powiedzmy na dodatek: w trakcie ciągłego ulepszania „łapacza” promieni e r a.

— A czy ty, Kopruch — rzekł Józek — orientujesz się choć odrobinę w tej całej historii łapania promieni?

— Nawet dość dobrze. Grzebię przecież w tych kółeczkach bardzo często. Moim pomysłem jest na przykład ów keson translokacyjny...

— Bujda! Ty? Pewnie przekupujesz panów lizakami, by pozwolili na wmontowanie twoich konceptów. Jeśli już jednak masz taki wpływ na twego wujka, to namów go, by pozwolił ci ulepszyć wynalazek urządzeniem pozwalającym na wychwytywanie obrazów, na przykład w Krakowie lub Poznaniu.

— Możesz na mnie liczyć, Proksz. Wszystko dla przyjaciół.

— Nowa rewelacja — rozkrzyczał się Paszenda za ich plecami. — Posłuchajcie, co donosi „Echo Dnia”.

Obrócili się raptem i słuchali czytającego.

„Niepowszednia historia nie ma końca.

Pan Fortunat Kalemba poczuł się dotknięty naszym brakiem wiary w jego relację i przesadną podejrzliwością profesora Matysa. List jego do nas ze względu na swą niecodziennność podajemy in extenso ²⁵:

Panie Redaktorze!

Podejrzewam, że poczytujecie moje opowiadanie o mirażu na ziemi śląskiej za wierutne bajki. Trudno, Kopernik też nie od razu przekonał świat, że ziemia się kręci. Bolesniej jednak dotknęła mnie nieufność uczonego, który mędrkowaniem usiłuje podważyć moją prawdę. Jestem trzeźwym człowiekiem, nie miewam halucynacji. Powtarzam jeszcze raz, że wierzę tylko moim oczom i rozsądkowi. Gniewa mnie również, że użyczenie swego cennego czasopisma takim ślepcom, jakim jest niejaki Cz. Pan Ignacy Cz. nie ma odwagi, by podpisać się pełnym nazwiskiem. Muszę też zaznaczyć, że trudnię się reporterką z amatorstwa, poza tym piszę ludziom podania i prośby do władz. Czasami sporządzam różne notatki kronikarskie. Stąd też moje zainteresowanie sprawą ulicy Polnej. Po Pańskim pierwszym artykule postanowiłem to zjawisko optyczne, jak je Pan uczenie określił, całkowicie wyświecić. A teraz do rzeczy! Jestem pewny, że po moim opisie uczone pan profesor Matys znowu mnie wyśmieje. Nie wzrusza mnie to jednak. Galileusz i Giordano Bruno też cierpieli za prawdę. I tak oto w ostatnią niedzielę byłem jeszcze raz świadkiem waszego „cudownego mirażu”. Tak, widzę, że się Pan uśmiecha. Wstrzymaj Pan jednak ten uśmieszek do czasu, aż wszystko opowiem. Aby lepiej obserwować zjawisko, wspiąłem się na szczyt najwyższej sosny, rosnącej na skraju placu, gdzie pojawiały się obrazy. Nie czekałem długo. Około wpół do dziesiątej wyrosły przede mną niesamowite drzewa. Nasze kościoły łatwo by się pod nimi skryły. Drzewa były opacznie ulistnione. Trudno temu uwierzyć, kto tego sam nie widział. Jedne były kosmate, a proste jak lance ułańskie, zakończone, wielkimi pędzlami. I nic więcej. Inne wysiliły się na bujne trzymetrowe liściane pióra, tworząc nad placem jakby płaski dach. Wreszcie woda! W wodzie spostrzegłem około dwudziestometrowe i wyższe choiny. Rzekłbym, że oglądam pod ogromnym mikroskopem paprocie i skrzypy. Były też drzewa dyniowate jakby z bermycami, beczkowate ze szpadami. Nic to jednak jeszcze wobec barw, jakimi mienił się ten dziwny las. Głowa z tego bolała. W powietrzu śmigwały potworne szerszenie, a może ważki wielkości bocianów, które w rozpędzie łatwo by mogły mnie strącić z mego punktu obserwacyjnego.

Tak, Panie Redaktorze. Niech się Pan dalej uśmiecha, niech pan profesor dalej drwi i niech niejaki Ignacy Cz. w dalszym ciągu mnie ośmiesza. Bo ja właśnie teraz przeżywam na nowo moje niedzielne przerażenie. Proszę sobie wyobrazić, że z brązowej wody wygramolił się prawdziwy smok! Prychała ta bestia parą, ciągnąc za sobą straszliwy korbacz. Jeśli Pan nie wie, co to korbacz, to muszę to zaraz wytłumaczyć. Była to za moich dziecinnych lat diabelska dyscyplina w rękę tatula, który chłostał nią niegrzeczne dziatki. Wisiała ona zawsze na ścianie ku przestrodze maluchów. Ale korbacz smoka nabijany był dużymi kolcami. Jeszcze nie ochłonął z wrażenia, gdy na scenie ukazała się dwumetrowa żaba z krótkim, jakby uciętym ogonem. Wreszcie z małego bagienka wydostał się trzymetrowy wąż, który poruszał się na króciutkich nóżkach.

Wiem, co by Pan zrobił na moim miejscu. Ja też tak zrobiłem. Zsunąłem się z drzewa i — wkładać się zacząłem między dziwne drzewa. Jestem z zawodu kowalem. Pan wie, Panie Redaktorze, że kowale uczynili już na świecie wiele zamętu. Wszystko ich bowiem ciekawi. I dlatego pozostawiłem dziwy w spokoju, a rozpocząłem poszukiwanie tego, co te dziwy stwarza. Byłem tam już. Właśnie wtedy, gdy postawiłem nogę na tej rzeczy, spotkała mnie najstraszniejsza przygoda. Nagle spostrzegłem nadbiegającego strażnika: ordynarna, zwierzęca gęba i ręka uzbrojona w maczugę. Z dali rozległy się inne głosy i szczęk łańcuchów. Wiedziałem, co to znaczy. Chcą mnie spętać. Co robi człowiek rozsądny w takim wypadku? Ucieka. Nie zwlekałem. I teraz rozpętało się za mną piekło. Słyszeć się dały potworne ryki, bębnienie i straszliwy chichot. Moje przerażenie nie miało granic, gdy ujrzałem cwałującego na mnie potwora. Były to okropne rogi i czarna jak smoła masa z wężem zamiast ogona. Nie chcę twierdzić, że z nozdrzy tej bestii buchały płomienie, ale na pewno były to kłęby pary, gorącej pary. To potwór wydawał te straszliwe ryki. Rzuciłem się do ucieczki, ale wtedy z boku zaatakowały mnie dwie mniejsze bestie. Znowu rogi, wylupiające ślepia i — straszne brodziska.

Uszedłem ledwie żywy, ścigany przez przedpotopowe stworzenia. Niech mi Pan jednak wybaczy że na tym skończę. Za dużo wrażeń!... Jedno na dodatek zaznaczę, że jestem na tropie tego, co montuje te niezwykle obrazy. Ale o tym następnym razem. Proszę pozdrowić pana profesora Matysa i niejakiego Ignacego Cz.

Od redakcji: Nie kwestionując ani jednego szczegółu podanego przez naszego czytelnika, zwróciliśmy się jednak tym razem do pana profesora Matysa z prośbą o informację, jakie drzewa i jakie zwierzęta wystąpiły tym razem w „mirażu”. Pan profesor Matys oznajmił, że chodzi prawdopodobnie o okres karboński, w którym wyrastały paprotniki w rodzaju lepidodendronów²⁶, kordaitów²⁷, sygilarii²⁸ i kalamitów²⁹, czyli prościej mówiąc: paproci, skrzypów i widłaków. Rośliny te osiągały wtedy rozmiary olbrzymich drzew, które dały początek naszemu węglowi. W opisywanym „smoku” nasz autorytet rozpoznał płaza tarczogłowego, a w owadzie przedstawiciela palaeodictyoptera³⁰. Natomiast nie udało się panu profesorowi zidentyfikować ryczącego potwora, gdyż nauka zna z tego okresu tylko okazy nieme. Zgodnie z naszą zasadą informowania naszych czytelników w sposób bezstronny, wstrzymujemy się i tym razem od wszelkich komentarzy. Mamy nadzieję, że tajemnica „miraży” dojrzeje i doczeka się ostatecznego wyjaśnienia. Dla przykładu, jakie kontrowersje wywołuje ta sprawa, przytaczamy znowu bez zmian krótki list pana Ignacego Cz.

Drogi Redaktorze!

Chcę znowu uprzedzić fakty, spodziewam się bowiem nowej kapitalnej kaczki Waszego „korespondenta”. W przyszłym numerze „Echa Dnia” zapewne będą to fantastyczne drzewa wysokości drapaczy chmur i dziwotwory chorej wyobraźni. Byłem i tym razem przypadkowo w miejscu, gdzie lęgną się koszmarnie wizje pana Fortunata Kalemby. Piękna nasza dolina nic się oczywiście nie zmieniła. Widziałem natomiast Waszego reportera, który haniebnie uciekał przed krową i dwiema kozami. Muszę jednak bezstronnie przyznać, że był szybszy od tych „potworów”. Muszę w końcu jeszcze dodać, że jestem kowalem, a kowale, wiadomo, mają trzeźwe spojrzenie na świat. Kowale, Panie Redaktorze, to ludzie postępowi, którym świat

zawdzięcza niejedną zdobycz. Myślę, że jestem i człowiekiem światłym. Jako taki piszę obywatelom prośby i podania do władz. Prowadzę też całkiem prywatnie kronikę wydarzeń w okolicy. Nic więc nie ujdzie mojej uwagi, co jest ważne z punktu widzenia przeciętnego obywatela.
Pozdrowienia i szacunek. Ignacy Cz.”

— Boże — krztusił się ze śmiechu Proksz — dwaj kowale o jednakowych zamiłowaniach i ambicjach. Lukanek, Kopruch, czy kowale rzeczywiście są tacy mądrzy?

— No, ci pokazali już, co umieją. Wiemy, że jeden siedział na sośnie, ale gdzie krył się drugi?

— Znałem jednego kowala, który był tak zręczny — rzekł Kopruch — że podkuwał kozy. A te potem szły przy dyszlu przed wózkiem jak koniki...

Niespodzianki są jak magnesy, lubią się wzajemni przyciągać. Józek i Romek czekali więc jeszcze na list niewidomej dziewczynki. Ona jednak milczała, wywołując tym ich zdziwienie. Zrozumieli już trochę niewidomą, odgadywali, że dziewczynka pragnie ich zdrowymi oczyma śledzić przejawy bogatego i bujnego życia. Lecz w sobotę ujrzeni Jolkę jak zwykle w kąciku pociągu. Poznała ich natychmiast po głosie.

— Myśleliśmy — rzekł Romek — że będzie list od ciebie.

— Pisał tatuś do mnie, ale byłam nieco znużona jego sprawozdaniem.

— Dlaczego? — dopytywał się Proksz, rozglądając się za swoją pękatą teczką.

— Lepiej wy opowiedzcie mi swoje wrażenia. Jak było w niedzielę?

Proksz spojrział jeszcze raz na swoją teczkę, gdzie czekały na niego trudne lekcje. Odsunął ją jednak z rezygnacją i rozpostarł na swoich kolanach gazetę z relacją Kalemby. Gdy skończył, zapytał:

— Nie śmiesz cię to?

— A co ma mnie śmieszyć?

— Przygoda Kalemby. Wyobraź sobie, jak wrywał przed krową, którą wziął za potwora!

— Nie jest to takie zabawne!

— Nie? Posłuchaj drugiego głosu w tej sprawie. Proksz, krztusząc się ze śmiechu, odczytywał list pana Czogały. Dziewczynka siedziała sztywno, lekko się uśmiechając.

— Tak — rzekła w końcu — poznaję jego styl.

— Ale mu dopiekł!

— Nieszusznie. Mnie żal Kalemby... Po co go jeszcze ośmieszać. Tatusia tłumaczy to, że... mnie kocha. Pewnie tego nie rozumiecie, ale nie chcę, bym widziała takim kosztem.

Czy ją rozumieli? Byli może innego zdania, ale nie chcieli się jej sprzeciwiać. Proksz chrząknął, a potem zaczął opowiadać o tym, co widzieli.

W PERMIE * LICHO DRZEMIE

Następny seans, jak nazywał Proksz niedzielne eksperymenty wynalazców, zapowiadał się od rana niepokojąco. Gdy przyjaciele spotkali się na szosie, dopędził ich na motocyklu młody człowiek w białym kasku, wyglądający ze swymi wypukłymi szklami jak kosmonauta. Przyhamował on swą wufemkę, a wtedy ujrzeni śmiejące się oczy, żółte od papierosów zęby i przedsiębiorczość w każdym rysie odsłoniętej twarzy.

* Krótka charakterystyka poszczególnych okresów z dziejów ziemi znajduje się na końcu książki.

— Haloo! — zawołał. — Lecę na złamanie karku. Nie wiecie, gdzie to się odbędzie?

— Co?

— No te hocki-klocki optyczne. Gdzieś na Gławie. Pewnie i wy w tym kierunku, co?

— Tak — odparł Józek Proksz. — Trzeba jechać w górę, a potem w dół.

— *Merci bien* *. Czy jeszcze ktoś tą drogą zasuwał?

— Nieee!...

Motocyklista zapalił prędko papierosa, zaciągnął się zachłannie dymem i rozejrzał się po malowniczej okolicy.

— Zapowiada się ciekawie, he? A może Kalemba wystrychnie nas znowu na dudków. Wziąłem sobie na wszelki wypadek aparat fotograficzny. Zobaczymy się jeszcze. Trzymajcie się!

— Co to wszystko znaczy? — zastanawiał się Romek, gdy motor załomotał, a potem puścił się w pogoń za czymś nieuchwytnym.

— Wyobrażasz sobie — chichotał Proksz — co się będzie działo, gdy ci pielgrzymi wtargną na pole eksperymentalne naszych panów. Strach pomyśleć!

Uszli znowu kilka kroków, a już dogonił ich rowerzysta. Wyglądał na człowieka z werwą, nie uśmiechał się, a oczy błyszczały mu żądzą przygody.

— Na Gławę którądy?

— Do góry, i na dół — informował Proksz, śmiejąc się szparkami przymrużonych oczu.

— Ma się tam odbyć dzisiaj fajne widowisko. Warte chyba będzie tej fatygi?

— Czy ja wiem?

Rowerzysta nie czekał na dalsze wyjaśnienia, podskoczył jak gumowa kukielka i naciśnął wściekle na pedały. Wpół minuty później nadjechała szara warszawa, z drzwiczek wychyliła się długowłosa głowa z wąsikami i bródką.

— Chłopaki, Gława?

— Do góry, i ostro na dół!

Od tej chwili sunąc poczęły w tym kierunku różne pojazdy. Każdy dążył do jednego celu: do Gławy. Wśród tej powodzi wehikułów wynurzył się i czarny mercedes, Stanął. Otworzyły się drzwiczki... Śnieżny mankiet, rękaw pepita i przylizane jasne włosy.

— Ee, boys, gdzie Gława?

— Bardzo daleko.

— *Sehr weit. Ja! Rozumiem, eee... Danke!*

Auto pomknęło dalej, chłopcy spojrzeli na górę i struchleli. Było tam już pełno ludzi. Wzdłuż szosy ciągnął się sznur samochodów i motocykli. Miedzami podążali piesi. Wszystko na Gławę.

— Józek — krzyknął Romek — bierz motor i pędź na nim, co sił naprzeciw naszym. Niech wracają i uciekają. Lub... zaczekaj jeszcze sekundę! Jest wyjście! Jest! Przemkniemy się pod pagórkem i dostaniemy się na dolinę. Tam nikt nas nie zobaczy. Leć, Józek! Nie ma i chwili do stracenia.

— Wiem. Spokojna głowa. Zobaczymy, kto wygra...

Proksz uwinął się szybko i ruszył na „Komecie” ostro z miejsca. Widział przed sobą tylko szlak wiejskiego gościńca, nie dostrzegał aut, motocykli, rowerów i przechodniów, których wciąż mijał. Nie widział purpurowych bukietów jarzębin, uciekających w tył i układających się w dwa szerokie, kolorowe lampasy. Parł naprzód, żeby przędziej, żeby ostrzec, żeby zniweczyć plany Kalembi...

Romek odprowadzał go wzrokiem, aż znikł w dali, Wzdrygnął się, gdy ktoś go nagle zagadnął znajomym głosem:

— Hej, kawalerze, czy to tam na górcie mamy być świadkami tego niezwykłego zjawi-

* merci bien — franc. dziękuję bardzo.

ska optycznego?

Z szosy spoglądał na niego starszy pan w jesionce. Był bez nakrycia głowy, a od jego popielatych włosów odbijały się złotem promienie słoneczne. Pan ten miał niebieskie, roz-targnione oczy, przy tym robił wrażenia człowieka, któremu się wcale nie spieszy. Wypoczy-wał przecież, wędrując wśród wspaniałego krajobrazu, skąpanego w przepysznych barwach jesieni.

Romek, oszołomiony jego widokiem wyjąkał:

— Dzień dobry, panie profesorze. To tam, gdzie ludzie czekają.

— Patrzcież! Zapewne wiesz też, jak się nazywam?

— Tak. Pan Matys...

— A skąd ty mnie znasz, chłopaczku?

— Z lekcji pana profesora. Pan profesor uczy mnie już drugi rok...

— Niebawem. To ty jesteś chyba ten Obartel, co mi kieszenie płaszczka nappełnił chrabą-szczami...

— Nie, panie profesorze, jestem Lukanek. Siedzę razem z Prokszem. Taki czarny chłopak z jeżem...

— O, już wiem. Jeż! Powiedział kiedyś do mnie: dziadku! Jakie masz u mnie stopnie, jeśli można wiedzieć?

— Czwórki i piątki, panie profesorze.

— Coś podobnego... Co się tam na tej górcie dzieje? Zbiegowisko! Nienawidzę tego. Jak można tak zakłócać spokój tej pięknej przyrody... Nie, ruszam nad Odrę.

Profesor ruszył z powrotem. Gdy zniknął na zakręcie drogi, wypełzło stamtąd ogromne auto z przyczepą. W tej też chwili wystrzeliła spoza niego „Kometa” jak pies spuszczonej z łańcucha. Proksz wrzeszczał:

— Uwaga, atakują!

Atakowali! Z góry waliły motocykle, rowery, auta.

— Józek — dyrygował Romek — zatarasuj im drogę. My zaś skręcamy w tę stronę, zmylimy wszystkich. Jedź, jedź!... Hej, hej, panie inżynierze, trzeba zawracać.

Romek wdrapał się w mgnieniu oka do kabiny kierowcy i usiadł obok Koprucha. Ku swemu zdziwieniu baczył za sobą Lonka Obartla i Janka Paszendę. Nie było jednak czasu na rozmowę. Samochód, skowycząc cicho, wykonał zadziwiający manewr, by na niezbyt szerokiej szosie zakręcić i uciec przed prześladowcami. Stary gruchot oddalał się pospiesznie i pewnie.

Jedno spojrzenie przed siebie przekonało wszystkich, że trzeba milczeć. Że trzeba nie tylko milczeć, ale gwałtem panować nad różnorodnością uczuć, które wyzwalały się w duszy na widok koloru piasku nagromadzonego wszędzie dokoła.

— Sahara! — krzyknął Lonek.

— Obartel — odezwał się Kopruch — mówiono mi, że jesteś genialnym rymopisem w klasie. — Powiedz coś o permie.

— W permie licho drzemie — odpowiedział poeta szybko bez zastanowienia.

— Jak na geniusza, nie za genialnie!

Ale „Sahara”, którą oglądali, przywitała ich jeszcze czymś innym. Muzyką wiatru, w którego poświstach wybijał się szklany pisk wędrującego piasku. Po zwałach i barchanach pu-styni toczył się czerwony obłok, a na zmętniałym niebie żarzył się talerz zapyłonego słońca. Było sucho, a zarazem straszliwie gorąco.

— Coś niedobrze z tym klimatem — narzekał Lonek Obartel. — Czuję się, jakbym był smażony w kotle przez ludożerców.

— Pyszna mieliby z ciebie potrawę — docinał mu Kopruch.

Nogi chłopców to grzęzły, to ślizgały się jak na odłamkach szkła. Buty nappełniły się

piaskiem po brzegi. A marsz zaczynał być coraz bardziej uciążliwy. Mimo to zachwycała ich przedziwna barwa pustyni, jej fioletowomiedziane obłoczki tarzające się po zmarszczonej i płachcie piachu. Nagle przystanęli. Na różowosinawym niebie jaśniała coraz wyraźniej wspaniała tęcza.

— W permie — powiedział półgłosem Osiecki, zapatrzony jak i chłopcy w bajkowe piękno pustyni — ziemia pokryta była czerwonymi piaskami.

— Trafiliśmy trochę niefortunnie — rzekł inżynier Duszka — wszystko zwiastuje tutaj burzę.

Pięli się z trudem na pagórek, który nurzał się w rudawej kurzawie i zarazem migotał, jakby się sypał na niego rój świętojańskich robaczków. Gdy stanęli na szczycie, spotkało ich nowe rozczarowanie. Widzieli tylko pustynię. Pustynię żywą, falującą, a jednak martwą. Kopruch wytarł okulary i stęknął:

— Beznadziejna!

— Przeciwnie — odparł Osiecki. — Niesamowita, urzekająca różnorodność. Zobaczysz jeszcze.

Była to zapowiedź czegoś nowego, nie widzianego. W tym samym momencie wyłonił się z barwnego oparu obraz, który przez chwilę chwiało się, trząsało. Zdawało się, że ktoś w oddali przybija go do ściany.

— Las, woda!... Och, jak cudownie! — zawołał Romek.

Pięciu chłopców zbiło się w gromadkę. Spoglądali zdumieni w dal. Po pewnym czasie chłopcy usłyszeli głos pana Plecionki:

— *Bahr el-afrid!*

— Co to znaczy, proszę pana.

— Woda szatana. Słyszałem na własne uszy — tak nazywają to Beduini u siebie.

Milczeli, ale ciszę bez przerwy mącił silny szmer wiatru i zawodzący śpiew piasku. Wędrowcy spoglądali jak urzeczeni na obraz, który — zdawało się — szedł im na spotkanie. Był wreszcie tak bliski i tak niesamowicie wyrazisty, iż wystarczyło chyba jedynie rzucić się z wydmy, aby się od razu zanurzyć w tej zachwycającej zieleni.

— Wiem już, co to jest — odezwał się po raz pierwszy Janek Paszenda. — To oaza.

— *Bahr el-Gazal* — powiedział Plecionka, wpatrując się z uwagą w obraz.

— Nic z tego nie rozumiem, panie inżynierze — zdumiewał się coraz bardziej Kopruch.

— To tyle, co oaza szatana. Chyba pojmujecie, chłopcy, co mamy przed sobą.

— Ależ nie. Chodźmy szybciej sprawdzić, co się za tym kryje!

— Nie wiem, jak długo, ile dni należałoby iść, żeby tam wreszcie dotrzeć. Mogę się także mylić, oaza — by może — znajduje się tuż za horyzontem.

— Postawmy sprawę jaśniej — przemówił teraz pan Osiecki. — Macie przed sobą prawdziwą fatamorganę. Fatamorgana pustyni permskiej.

Milczeli. Widok czarodziejskiej panoramy pochłaniał ich całkowicie. Zapomnieli o skwarze i duszności. Stwierdzali, że coś tam w dali wciąż się zmienia. Obraz umykał, tracił na ostrości, potem znowu nabierał ostrych konturów. Obraz jednak nie przypominał w niczym przepychu puszczy karbońskiej. W ułudnym malowidle widoczne były wysokie drzewa podobne do szpilkowych inne przypominały smukłe cyprysy. Ponad nimi górowały czupryniki leśnych olbrzymów, których pnie srebrzyły się w promieniach słońca.

— Och — wykrzyknął któryś z chłopców — to przecież rzeka!

Zastygli też zaraz w zdumieniu. Wzdłuż wody posuwało się coś dziwnego. Ogromny, szary blok.

— Słoń, słoń — entuzjasmował się pyzaty Lonek.

Słoń? Ci, którzy orientowali się trochę w faunie permskiej mocno w to wątpili, a inżynier Plecionka skory do wesołości, parsknął śmiechem. W wodzie odbiło się cielsko tej wędrującej góry.

— Dałbym sobie rękę uciąć — mruzczał Kopruch — to jakiś przedpotopowiec.

Moi drodzy chłopcy, to... gad — odezwał się inżynier Duszka po głębokim namyśle — ale gad ssakokształtny. Hm, może to rodzaj permskiego pareiozaura³¹ z Transvaalu. Kolos!... Mierzy na pewno około trzech metrów.

Tymczasem gad, czy nie gad, podnosząc słupy nóg, to zbliżał się, to oddalał od wody. Pancierz jego usiany był drobnymi tarczками kostnymi i gwiazdkowymi wyrostkami. Pysk potwora ścinał niby kombajn zbożowy przybrzeżne rośliny. Zwierzę poruszało się ociężale, wreszcie znikło w zielonej dżungli.

— Czy ten gad przywędrował aż z Transvaalu? — zapytał naiwnie Lonek. — To przecież południowa Afryka.

— Nie — informował inżynier Duszka bardzo poważnie — tam tylko znaleziono jego szkielet.

Wszystkich zajął na nowo bezkres pustyni z jej ryżawymi i czerwonymi dunami, wynurzającymi się jak z morza płynnej miedzi, która pulsowała w tej bezmiernej pustce, pustce tak przeraźliwej, że jeszcze raz zapragnęli pożegnać tę ziemię bez życia. Ale czyż tak było naprawdę? Przecież nadal poddawali się niezwykłemu, surowemu urokowi owego egzotycznego permu. Sprawiał to bez przerwy wędrujący piach, zmarszczone pagórki w świetle zamazanego słońca; sprawiał to jeszcze w większym stopniu ten bajkowy miraż rozpięty jak akwarela malarza na siedmiobarwnym pałaku tęczy.

— I pomyśleć — drwił Kopruch — że dla pana Kalemby wstęp tutaj wzbroniony.

— Najzupełniej! — potwierdził pan Plecionka. — Zabezpieczyliśmy się dobrze przed jego wścibstwem, Każde dotknięcie obcych rąk wyłącza automatycznie nasz eroeksplorator...

— Chyba, że wśliźnie się do kesonu — dodał z humorem Osiecki — ale tam nic już nie zobaczy.

Dialog ten przerwał nagły podmuch wicheru. Z głowy Plecionki zleciał beret i poszybował w dal.

— Ratunku! — wrzasnął zaskoczony inżynier i rzucił się z wyciągniętymi rękami za czarnym latawcem.

Z pomocą pospieszili mu chłopcy. Przekrzykując się wzajemnie, przy wtórze przekleństw Plecionki, rozbiegli się na wszystkie strony. Wkrótce pochłonął wszystkich miedziany opar. Słysząc było, że łowcy beretu się nawołują, potem zaległa raptowna cisza. Na chwilę. Bo zaraz wybuchł nowy zgiełk głosów. Pozostali panowie ruszyli w kierunku hałasu.

Inżynier Plecionka i chłopcy stali zdumieni przed beretem zawieszonym na kołku. Wszyscy wpatrywali się ze zdumieniem w tabliczkę, która wyzierała jak blada, szydercza twarz spod nakrycia głowy Plecionki.

— Żebyż to ktoś z nas wiedział — odparł inżynier. — Przeczytaj!

Ojciec Romka przeczytał głośno, dobitnie, z czkawką wstrzymywanego śmiechu.

— UWAGA MINY!

— Rozumiecie co z tego? — wołał Duszka. — Strzeżonych strzeże ktoś trzeci.

— Ignacy Cz. — ryknął śmiechem Plecionka, porwał swój beret i wbił go obiema rękami na czupryniastą głowę. — Arcykomedie, można się serdecznie ubawić. Kalemba ostrzeżony, więc możemy dalej wędrować.

— Przeciwnie — odrzekł Duszka. — Nasi chłopcy znaleźli coś nowego.

Lonek i Janek stali rzeczywiście nie opodal ze wzrokiem wbitym w ziemię. Podbiegli więc szybko do nich.

I zastygli w podobnej pozie obok chłopców.

— Rewelacja! — wykrzyknął Duszka i dodał objaśniająco — pięć palców i mocne pazury. Pięć palców, moi panowie!...

— A w środku ślad czegoś, co za sobą wleczono — dodał pan Lukanek.

— To ogon, horrendum! — stwierdzał gorączkowo Duszka. — Ot, ta bruzda!...

Wyrzeźbił ją czyjś krótki ogon, nie ma wątpliwości, że był to zwierz. Jakież to wspaniałe odkrycie...

— Do diabła! — zaklął pań Plecionka, poprawiając niesforny beret — powiedzcie no, czym się to tutaj żywi? A może to ślad z innej, bardzo odległej epoki.

— Iii, dawno by go już nie było. To świeży trop. Na pewno pustynne zwierzę. Widocznie gdzieś niedaleko znajduje się zieleń, życie, może oaza. Idźmy dalej tym wgłębieniem. Stopy są potężne, więc gad wielki.

— Pięć palców, pięć palców — zastanawiał się Kopruch. — Obartel, co ty na to?

— Że to twój przodek — odpalił z miejsca chłopiec i spojrzał na wszystkich, jakby coś naprawdę mądrego powiedział.

— Niece... chyba nas wszystkich.

Gdy uszli jeszcze kawałek drogi wzdłuż tej piaszczystej rynny, zauważyli nagle drugi palik z tajemniczym napisem: Uwaga! Miny!! Wywołało to kolejny śmiech. Parę kroków dalej zetknęli się z pierwszymi roślinami. Były to twarde, suche miotły, przypominające prawdziwie drucianą szczęć. Ojciec Romka schylił się, szarpiąc bezskutecznie ich żelazne łodygi.

— Tego nie zmiażdżyłby nawet hutniczy młot — zauważył. — Stalowe szczotki!

— A jednak żywiły się tym zwierzęta — rzekł Duszka. — I dzięki temu przetrwały ogromny czas suszy na kuli ziemskiej. Nadzieję przetrwania tego niekorzystnego dla siebie okresu miały te stworzenia, które najlepiej umiały się przystosować do tych trudnych warunków.

Wkrótce też przepowiednie Duszki zaczęły się stopniowo sprawdzać. Czerwony bowiem piasek wykazywał coraz liczniejsze ślady jakby zwilgocenia. Nawet wiatr, który przesmykiwał się po tym obniżeniu, nie przynosił tutaj lotnego materiału z okolicznych pagórków i nie wysał ziemi tak bezwzględnie, jak to rob tam, na górze.

I teraz jeszcze raz opanowało wszystkich podniecenie na widok nowych śladów jakby ludzkich palców Szli ostrożnie wzdłuż tych pieczęci, które miliony lat temu pozostawił po sobie gad permski w dolinie Odry. Zjawiły się też inne, jak na zawołanie, pustynne rośliny, niektóre ścięte niby ludzką kosą. Niespodzianie wyrósł przed nimi spory kopczyk zmierzwiionych badyli. Paszenda kopnął w niego i natychmiast krzyknął głośno. Ze stożka potoczyły się gładkie, żółte kamienie.

— Hej, hej! — ostrzegął Duszka groźnym głosem — Nie ruszać! Nie kopać! To nie kamienie!!!

— Czterdzieści dwa — liczyli chłopcy. — I wszystkie jednakowe.

— Ach — unosił się inżynier — mamy prawdziwe szczęście. Czy wiecie, co to jest? To jaja gada, który tędy krótko przed nami defilował.

— Skorupa jak beton, choć cienka niby porcelana.

Okazało się parę minut później, że osobnik, który zostawił owe ślady, nie był budowniczym kopca. Oni jednak postąpili jak prawdziwi miłośnicy przyrody, choć w tej sytuacji nie miało to zapewne sensu. Zabezpieczyli na powrót gniazdo z jajami, a potem ruszyli spiesznie naprzód. Wszystko bowiem przemawiało za tym, że natkną się nareszcie na pięciopalcowego uciekiniera, ujrzeni go w końcu. Oto wystawał za obrzmieniem wiśniowego piasku.

— Wygląda jak żuk-monstrum — orzekł Kopruch.

— Podobny do *Cacopsa Aspidophorusa*³² — objaśniał Duszka z tą ostrożnością, z jaką naukowcy stają wobec problemów wielkiej wagi. — Hola, przystanął. Co on tam robi? Widzicie?

Oczywiście, widzieli jak rozrzucał kopiec, jak roztrącał go szuflą swej płaskiej paszczęki, jak turlają się z góry żółciuskie jaja, jak je wyłapuje rabuś i połyka chciwie niby mrówkojad termity.

— Panowie, to złodziej — powiedział Plecionka.

Cała piątka chłopców ruszyła bez sygnału do ataku. Gdy jednak dopadli roztarmoszonej kępki, potwór znikł, a po nim zostały jedynie szczątki gniazda. Zawiedzeni rozpoczęli marsz powrotny, ale tutaj nagle wyrosła przed nimi trzecia tabliczka z ostrzeżeniem: Uwaga Miny! Rozśmieszeni puścili się na przelaj w stronę swoich opiekunów, którzy stali nad niedużą kałużą wody. Właśnie kiedy do nich dobiegali, powietrzem targnął ostry wybuch, po nim nastąpiła druga detonacja.

— To działa Ignacy Cz.! — śmiał się inżynier Plecionka.

Nastąpiła znowu dawna cisza, maćona tylko jękliwym śpiewem pustyni. Uspokojeni spoglądali do wody. Na jej dnie spostrzegli barwne stworzonka podobne do salamander i traszek. Miały one dziwne, tarczowate głowy. Długi cień Koprucha spłoszył je nagle, pierzchły na kształt ognistych przecinków pod korzenie przybrzeżnych krzaków.

— Ejże, cicho, cicho! — nakazywał Duszka. — Są przed nami!

Ale kto? Odwrócili się. I wtedy zdawało im się, że śnią, że ich sen jest pełen koszmar-nych zjaw.

— Rozumiecie? — szepnął Osiecki. — To przecież ich jaja stały się łupem rzezimieszka.

— Bliżej, bliżej — zachęcał Duszka. — Widzicie, jak się spokojnie pasą na tej nędznej murawie?

Były to tak potwornie brzydkie zwierzęta, jakich nawet Grecy nie wymyślili w swoich mitach. Niosły swoje ogromne cielska na nieprawdopodobnie krzywych nogach przednich, dłuższych od tylnych. Chłopcy tym razem rozpoznali w nich bez trudu gady. Skóra bestii pstrzyła się od rogowych ćwieków. Nawet grzbiet ich uzbrajały piłowate zęby.

Przyglądali się stadku gadów bez słowa. Oryginalna bowiem brzydota fascynuje również jak nieskalane piękno. Stąd też nie umieli nasycić swej ciekawości.

— Pryskajmy! — rzekł Lonek półgłosem. — Otwierają na nas paszcze.

— Ładny mi z ciebie mężczyzna! — mruknął Kopruch pogardliwie.

— Są tak powolne — objaśniał Duszka — że z łatwością im ujdziecie, gdyby na was ruszyły. Są zresztą całkiem nieszkodliwe.

— Jędek — odezwał się Plecionka — gadaj lepiej, jak się nazywają.

— Trudno na to odpowiedzieć. Nauka nie znalazła dotąd na naszej ziemi takiego gada, ale uczeni — jak sobie przypominasz — wykopali w południowej Afryce szkielet moschopsa³³, który mógłby być podobny do tych, co się przed nami pasą, to już, oczywista, gady ssakokształtne. Wybacz. Olek, ale nie jesteśmy uczonymi, tylko amatorami. Mogę się więc mylić...

— Jestem pewny — rzekł pan Lukanek — że pan inżynier się nie myli. Co innego mnie jednak dziwi. Że w trzecim rozdziale dziejów naszej ziemi mieszczą się takie stwory...

— Mogą w nim być i inne, jeszcze szkaradniejsze, ale łowimy przecież tylko te, które kryją się na tym odcinku.

— Brr — wstrząsnął się Kopruch — nogi jak bumerangi.

— Ale interesujące — powiedział Józek w zamyśleniu, a nachyliwszy się do Romka, dodał półgłosem: — Będzie to znowu dla Jolki bardzo interesujące.

— I gęby mają uśmiechnięte — zauważył Paszenda — więc są nam przyjazne.

— Jeśli tak — zawołał Krzyś — to chodźmy ich przywitać. Kto ze mną?

Chłopcy ruszyli ławą, lecz Kopruch wyprzedził już wszystkich. Ach, cóż to za widok! Oto jest już na miejscu, nieruchomieje przed grupką niezwykle zdumionych gadów, schyla się, jakby je po kolei chciał całować. Jego towarzysze byli tuż za nim.

— Jak się masz, stary zbóju? — powitał Krzyś pierwszego moschopsa.

I klepie go dobrotliwie po łopatce, ale wtedy dostrzeżono z przerażeniem, że brzydal wyszczerza do chłopca groźnie zęby. Równocześnie daje się słyszeć głos podobny do syku gęsi. Jest to wyraźne ostrzeżenie nie tylko dla Koprucha, ale i dla jego kolegów. Drugie

ostrzeżenie zawarte było w chaotycznych okrzykach starszych obserwatorów. Stało się ono hasłem dla gada do ataku. Podrzucił łeb, jak gdyby się zachnął na tak niesmaczny żart. Lecz Kopruch czuł się, niby aktor na scenie. Ponowił swą pieszczotę. I wtedy kuzyn afrykańskiego moschopsa podniósł łapsko i wymierzył chłopcu celny cios w... siedzenie. Kopruch rozłożył się jak długi na mokrym piasku.

— Zabity! — zawyli jego przyjaciele.

Kopruch pozbiierał jednak błyskawicznie swoje kości i skoczył na nogi, otrzepał spodnie z piasku i — zdrętwiał. Odbiło się to tak wyraźnie na twarzy, że zauważyli tę zmianę jego wierni kompani. Podnieśli naraz oczy i spostrzegli, że są otoczeni przez potworów. Z wrażenia pobledli. Lecz potem nastąpiło coś, czego przez cały tydzień nie mogli zrozumieć. Wyjaśniło to dopiero następne sprawozdanie pana Kalemby.

Padł strzał jak z dubeltówki, a może tak się im tylko zdawało. Grupa moschopsów rozwarła pierścień i chłopcy rzucili się do ucieczki.

— Czyżby ktoś posiadał tajemnicę kesonu? — zastanawiał się pan Osiecki, zaniepokojony reakcją gadów. Rzekłszy to, ruszył spiesznie w kierunku eroeksplorera.

— Bardzo cię poturbował? — pytał Paszenda, ale bez zbytnej troski w głosie.

— Można wytrzymać — odparł Krzyś. — Zdzielił mnie wszakże siarczyście, całą konstelację gwiazd wtedy ujrzałem. Wstrętne bydlę!

— Patrzcie, jak się rozwydrzyły — wołał Proksz — tańczą dokoła swych ogonów, gryzą je wściekle. O co się złością?

— Na siebie — żartował Kopruch. — A wiecie dlaczego? Że przyroda stworzyła je jaroszami.

Wracali jakby trochę markotni. Wielkie oko słońca mrugało za kotarą kolorowego pyłu, a rozhukane wietrzyisko, ukradzionym od niego żarem, poczęło na nowo smalić lica odchodzących.

Myliłby się ktoś, sądząc, że pokonano wreszcie pana Kalembę. Twórcy eroeksplorera nie docenili jego żelaznego uporu, jego żądzy pokonywania przeciwności, wreszcie lisiej przebiegłości w zdobywaniu cudzych tajemnic. Wszystko zresztą wskazywało na to, że pan Kalemba znowu się odezwie. Tak też było. Reporter — amator tak pisał do redakcji gazety:

„Drogi Panie Redaktorze!

Czy pan jeszcze nadal powątpiewa w zjawiska na ulicy Polnej? A może traktuje Pan mój raport jako zwykłe bajdurzenie? Nie zwariowałem, niech się Pan nie obawia. Okaże się w końcu, że moja prawda wypłynie jak oliwa na wierzch. I nic tu nie pomogą żadne wstrzeżliwe opinie pewnych uczonych lub oszczerstwa niejakiego Ignacego Cz., który wciąż jeszcze naciera na mnie z przyłbicą na twarzy. Niech nareszcie podpisze się pełnym nazwiskiem.

Z tonu moich słów domyśla się Pan jednak, że nie zawiodłem się w moich oczekiwaniach. Nie z mojej winy poszli do domu ci, co całą niedzielę czekali pod lasem nad Odrą na pojawienie się „mirażu”. Postąpiłem inaczej. Zakradłem się pod wielką dolinę, i stąd. przeprowadzałem bardzo skuteczne rekonesanse. Nagroda mojej cierpliwości i przenikliwości była wspaniała. Byłem więc w końcu świadkiem prawdziwie fantastycznych rzeczy. Teren doświadczeń niedzielnych był jeszcze silniej obwarowany. Niech Pan sobie wyobrazi, że otaczał go pierścień min, a tablice z czerwonymi napisami ostrzegały przed, nimi przechodniów w kilkumetrowych odstępach. Zdarzały się i wybuchy. Ofiarą ich mogły być leśne zwierzęta. Tak, Panie Redaktorze, istna warownia, twierdza. Należałoby jednak zapytać, czy za zgodą władz wojskowych. Miny w czasie pokoju!... Miny przeciwko bogu ducha winnym ciekawskim. Wyobraża Pan sobie, co by się stało, gdyby tłum zebrany na szosie, natarł na ten niebezpieczny kordon? Wzdrygam się na myśl o tej masakrze.

I w dodatku owi nieokrzesani strażnicy uzbrojeni byli w potężne kostury, a kto wie, czy nie w broń palną. Jeden z tych drabów, z którym zawarłem już poprzednio „znajomość”, zastąpił mi znowu drogę pytając, czego tam szukam. Groźne indywiduum! Dlatego ustąpiłem, ale czając się w krzakach, wróciłem do tego samego punktu. A straszny jegomość wyrasta znowu groźnie przede mną. Pytam:

— Jakim prawem?

A on łapie mnie za gardło, a drugą ręką wywija sękatą lagą i krzyczy:

— Prawem mocniejszego, ty ogryzku, który podajesz się za dziennikarza. Jeśli cię jeszcze raz w tym rejonie spotkam, to — jak Boga kocham — skończę z tobą. I zapamiętaj sobie jeszcze jedno: spróbuj jeszcze raz sknocić jakąś informację o mirażach, to duszę z ciebie wytrzęsę!

Zacząłem od nowa. Obserwowałem zjawisko leżąc ukryty w olszynowym chruście. Znajduję się wskutek tego w łóżku, piję herbatę po herbacie i... kicham. Zgubiłem też sztuczną szczękę, co znowu przeszkadza mi w mówieniu.

Niech Pan sobie więc wyobrazi teraz, że nie było, tego wszystkiego, co Pan nazwałby czarującym krajobrazem. Widziałem natomiast rozszalale kolory, fiolet, purpurę, seledyn. Pustynia! Straszna!... Piaski, które sypała piekielna wialnia, piaski śpiewające jęczące, zawodzące. Słońce, jakiego Pan nigdy na naszej ziemi nie oglądał. Jakby upaprane otrębami. I nigdzie śladu życia. A potem przyszło nagle to, co nazywają fatamorganą. Na niebie — prawdziwa z życiem, z diabelskimi bydlętami, z drzewami o szpilkach jak szewskie szydła, o szmacianych liściach, o wachlarzowatych koronach, o czupryniastych głowach. No i wreszcie woda. Niestety tylko w niebieskim kolorze. Gapilem się, zapominając o moimi mokrym łożu. Dopiero gdy to wszystko znikło, zająłem się na powrót pustynią. Nie byłbym kronikarzem, gdybym biernie sterczał w miejscu. Toteż wykradłem się z mego barłogu i wyruszyłem między ćwierkające wydmy, a stąd na rozległe obniżenie. I co Pan myśli, co w nim znalazłem? Białą sól, Panie Redaktorze! Sól... I wtedy przyszło mi na myśl, czy na tej naszej ziemi nie szumiało kiedyś morze. Słyszałem, że gdzieś tam w trójkącie między Rybnikiem, Orzeszem i Żorami znajdują się w głębi bogate pokłady soli. Nasze zaś kopalnie węgla podobno nie wiedzą, co robić ze słoną wodą. Mówiłem Panu, że na pustyni panowała martwota, ale zauważyłem w pewnym miejscu odcisk potwornego łapska z siedmiu palcami wielkości dobrej miednicy, z soli wychylał się czerep ogromnej ryby. Potworne! Znalazłem też skorupę muszli, która by w talerzu się nie zmieściła. Gdy wyszedłem wreszcie z tego cementarzyska, napotkałem czołgające się trzymetrowe stworzenie, które ślizgając się na brzuchu po ziemi, przebierało krótkimi nóżkami o sześciu palcach spiętych błonami. Pysk tego potwora podobny był do łyżki mechanicznej koparki. Brr! To jednak nie koniec moich przygód. Wiem, co Pan powie. Wobec takiego ubóstwa ziemi niczego więcej spodziewać się nie można. Z taką też myślą zacząłem mój odwrót. I wtedy właśnie pojawiła się przede mną szatańska pieczęć archaicznego świata: trop pięciopalcowego nożyska, ludzako podobnego do dłoni ludzkiej. Ale jaka to była dłoń! Jeśli nie miała trzydziestu centymetrów, to rezygnuję z dalszego wyświetlania tajemnicy ulicy Polnej. No cóż, miałem parę minut później zobaczyć to zwierzę na własne oczy. Stało na wzgórk: blisko półtora metra wysokie z rozstawionymi nogami, około dwa i pół metra długie z płaską paszczką. Bestia cała w pancerzu z rogowymi guzami. Spojrzenie ciężkie. Mogę powiedzieć, że przyprawiło mnie o dreszcze, choć nie należę do ludzi bojaźliwych. I tu, Panie Redaktorze, spotkała mnie najbardziej przykra, a również śmieszna przygoda. Kichnąłem jak działko przeciwczołgowe. I wystrzeliłem moją szczękę. Szukałem gorączkowo mojej zguby, a gdy wreszcie podniosłem oczy, potwora już nie było. Zszedłszy niżej, widziałem jeszcze mniejsze poczwary. Czyli, że pustynia nie była tak wymarła, jak się wydawało.

Panie Redaktorze, wydostałem się wreszcie z tej pustynnej matni. Obrzydła mi ona po dziurki w nosie. Myślę teraz, że dobrze by było, gdyby Pan następnym razem towarzyszył mi w tej „wycieczce”. Mam przecucie, że odbędzie się ona nie w niedzielę, ale prawdopodobnie w

sobotę. Radziłbym Panu, by zabrał Pan swoje aparaty fotograficzne.
Ciekawym, co powie na moje sprawozdanie pan Matys”.

Redakcja czasopisma, jak się tego można było spodziewać, zamieściła pod listem pana Kalemby następujące słowa:

„Nie będziemy ukrywali, że treść listu pana Kalemby wprowadziła nas w zdumienie. I tym razem nie ośmielamy się zająć w tej zagadkowej sprawie konkretnego stanowiska. Zwróciliśmy się więc tak, jak i poprzednio, do pana profesora Matysa, który — jak tego oczekiwaliśmy — zaufania naszego w nim pokładanego nie zawiodł. Tego rodzaju baśniowo-kolorowe piaski, stwierdził pan Matys, mają rzeczywiście miejsce w historii naszej ziemi. Było to jednak dwieście pięćdziesiąt milionów lat temu! Okres ten nauka nazywa permem od przeduralskiej guberni permskiej, gdzie osady tego typu występują. Zresztą również Polska ma niektóre pokłady soli z tego czasu. Wymieńmy choćby Wapno i Inowrocław na Kujawach. Prawdą jest i to, że naszą ojczyznę przejściowo wtedy pokrywało płytkie morze. Wysychające wówczas zatoki, jeziora i jeziorka dały początek naszym pokładom soli. Jeśli chodzi zaś o zwierzęta, to wymienione znamiona charakteryzują je jako wybitnie permskie. W pierwszym wypadku mógł to być jeden z labiryntodontów³⁴, a opis drugiego wskazuje na permskiego pareiazaura trawożernego.

Sądzymy, że nasza następna relacja przyniesie jeszcze więcej interesujących faktów, tym bardziej iż przyjmujemy propozycję pana Kalemby. Nasz kolega redakcyjny, znany reporter pan Pogorzalek, uda się z aparatem fotograficznym i magnetofonem na sensacyjne spotkanie z przeszłością naszego powiatu. Jesteśmy bowiem prawie pewni, że czyjaś genialna ręka ją wyczarowuje”.

PRYZNANIE SIĘ DO WINY

Ostatnia przygoda kowala Kalemby wzbudziła u czytelników gazety różne odczucia. Najczęściej gruntuwało się w ludziach przekonanie, że coś w tej całej historii musi być.

Doktor Osiecki także czytał miejsce, zakreślone przez Koprucha czerwonym ołówkiem. W trakcie czytania na czole czytającego pojawiła się głęboka, pionowa zmarszczka. Ale już uśmiechał się pod koniec tej lektury. Widocznie ubawiła go zapowiedź, że tropić się będzie tajemnicę eroeksplorera.

Proksz, który go obserwował, zaczął Romka klepać po plecach.

— Zauważyłeś — szeptał radośnie — że przestałem pleść głupstwa przed tablicą? Unormowała się moja jaźń. Profesor Iksik to dusza człowiek, swój chłop, genialna jednostka! Polski Einstein!... I taki wydobył mnie z matni. Będę mu wdzięczny do grobowej deski. Rozumiesz, Lukanek, ani jednej pały na okres. A pojawiły się stopnie — rodzynki. W ogóle co to za ludzie!... Dla nich istnieją tylko cyfry i znaki. Gdy ostatnio byłem na rolnej, widziałem, że inżynier Plecionka z braku tablicy wyprowadzał wzór matematyczny na plecach pana Duszki. Gdy o tym opowiedziałem swojemu staremu, zdumiał się strasznie, potem zawołał: „Józek, słyszałem o takim jednym, co kreśląc te swoje uczone kółka na piasku, nie zauważył, że go żołnierz przebił mieczem. O, ci kreślarze!”

— Ha, ha, ha — śmiał się Romek — miał na myśli Archimedesza.

— Tak. Mój stary jest praktyczny, uznaje tylko kółka wyobrażające kołaczki i chleb. A jak tam twój konflikt rodzinny?

— Z mamą dobrze. Tatuś podarował mi jeden uśmiech. I coś jeszcze. Nie śmieję się teraz z tego, co ci opowiem. Mój tatuś przyprowadził do domu psa podobnego do tamtego. Wiesz, do tego Łaty. Nazywałem go Łatą. Ale gdzie mu tam do Łaty. I co ty na to?

— Chyba rozumiesz, że to ustępstwo ze strony twoich rodziców. Brytan nie Brytan, ale jest to nawiązanie do twego Łaty.

Na progu pojawił się Kopruch z żółtą kopertą w ręku. Promieniał.

— Pękniecie ze śmiechu — pokrzykiwał wesoło — Krzysiuniu dostał liścik od mamusi. Autentyczny. Przylatuje ich coraz więcej. Wróbelki.

— Auu! — jęknął Proksz — wiem, co teraz nastąpi.

Kopruch wsunął się bez ceremonii do ławki i położył na niej list.

— Jakie znaczki? Syryjskie! Ale co mi tam znaczki. Ważniejsze to! W tej kopercie są widokówki. O, spojrzycie, giaury: widoczek z Aleppo, widokówka z Damaszku. Oto derwisz, oto szejka, a to bazar z typami orientalnymi.

— Sama egzotyka — powiedział Romek. — Jaki wspaniały turban, o tu! Ale co ci twoja mama pisze? Zawsze dostajesz kartki, a dziś jest list. Pewnie cały elaborat.

— Niewielki, ale pełen konkretów. Ona jest logiczna, zwięzła. Zresztą, wiesz, że nigdy nie ma czasu. Pewnie obłożona gazetami, przed nią herbata i kopa niedopałków papierosów. Ale jest list! Czytajcie, niewierni!

Więc „niewierni” czytali na głos, na dwugłos:

„Kochany Krzysztofie!

Korzystam z chwili wytchnienia i piszę tych kilka słów. Na tarasie hotelu stoi arabski chłopak z pomarańczami. Boże, Twój sobowtór. Myślę dużo o Tobie. Pozdrawiam serdecznie.

Twoja matka”.

Kopruch wpatrywał się w list matki i mówił entuzjastycznie dalej:

— Rozumiecie moje wzburzenie? Nie pisze już: Krzysiuniu, ale rąbie: Krzysztof. To mi się podoba. Obartel, hej, Lonek, rzucaj gniew. Chodź w moje objęcia. Zawiniłem i wszystkich przepraszam. Moja babcia pisze sążniste listy, dziś nadszedł znowu jeden z nich. Ona mnie kocha, ale matka jeszcze bardziej. Widziała mego sobowtóra i napisała.

— Rzeczywiście — rzekł Romek — to bardzo ciekawe.

— Prawda? Mam matkę. A ja durny myślałem, że o mnie zapomniała. Mam nosa. Wiecie, co? Tylko czekać, a odezwie się mój papuncio. Zobaczycie. Powiem wam nawet, jaka tu do mnie przyfrunie kartka: „Krzysztofie, widziałem dzisiaj Żydka podobnego do ciebie. Bardzo się tym przejąłem. Cześć. Całus i pozdrowienia. Ojciec”.

— Jesteś w doskonałym humorze, Krzysztofie — powiedział Proksz — tak, jak ja. Jednak chyba trochę przesadzasz...

Nie przesadzał. Jeszcze bowiem przed sobotą przyszła kolorowa widokówka. Treść na niej była również lakoniczna, ale nieco inna od tej, którą chłopiec przeczuwał. Ojciec pisał:

„Krychna! Wielki dryblas-Syryjczyk, który Mamusi przypominał Ciebie, wyciągnął mi ze spodni portfel i przepadł bez wieści. Są z tego powodu kłopoty, bo nie mam paszportu. Bardzo się tym przejąłem. Cześć! Ucałowania i pozdrowienia.

Ojciec”.

Koprach szalał z radości i zaśmiewał się z przygody ojca do łez, ale już następna kartka, tym razem matki, przyniosła wyjaśnienie sprawy.

„Krzysztofie, Ali niewinny. Przyniósł dzisiaj portfel Taty z całą zawartością. Ojciec,

kupując pomarańcze u niego, zgubił portfel. Kochany Ali. Myślę bez przerwy o Tobie. Całuję mocno.

Twoja Matka”.

— Taak... — rzekł Kopruch, zamykając na chwilę oczy, jakby swą duszę prznosił tam, daleko do matki, do ojca. — Można się uśmieć, co? Zgubić portfel i posądzać biednego Alego.

— A szydziłeś ze mnie — mówił Lonek Obartel z nutą pewnego zadowolenia w głosie — żem maminsynek. A ty...

— Ja? Nie, jestem w dalszym ciągu sam. I nie rozczulam się nad sobą. I nigdy moją osobą nie zwracałem nikomu głowy... Jestem mocny!

— Ja też.

— A pozwalasz obsługiwać się swojemu dziadkowi, staremu człowiekowi, któremu trzęsą się ręce... Na pewno ci buty czyści. Wsadza do autobusu...

— Nie kłóćcie się, dzieciaki! — krzyknął Proksz. — Kopruch, milczeć! Bomby i kartacze, jak mówi mój stary. Zgadzą się doskonale ze sobą, nie ma między nimi żadnych awantur, bo każdy robi to, co do niego należy. Ja mu czyszczę buty, a on mi je od czasu do czasu naprawia. Symbioza³⁵ rodzinna, koledzy. Będzie nam z tym dobrze.

— Niech będzie więc symbioza! — rzekł Kopruch.

CHIROTHERIUM³⁶

— Oczywiście — śmiał się pan Osiecki — nie możemy wiedzieć, jak z nami zagra pan Kalemba następnym razem. Wyzначył redaktorowi Pogorzalkowi spotkanie na sobotę, ale my pozostaniemy przy naszej niedzieli. I przeniesiemy się w zupełnie inne miejsce. Jest to według twego ojca, Romek, Kępa nad Odrą.

— Tak, wiemy z Prokszem, gdzie to leży.

— Że też to trzeba się aż tak cackać z tym Kalembą! — oburzał się chwilę później Proksz.

— Mamy go bombą plastikową wyprawić na tamten świat? — śmiał się Romek.

— Gadajcie sobie, co chcecie — rzekł Kopruch — ale jeśli teraz trafi na miejsce, to ktoś z nas musi mu to zdradzać.

— A panu Czogale? Nie, to są spece. Chytrusy. Kto wie, czy nie śledzą już wyjazdu eroeksplorera z ulicy Polnej. A kto wie, czy Kalemba nie przyczepia się do samochodu i nie przebywa drogi autostopem na teren eksperymentowania.

— Może to i prawda. Więc będę sam uważał w niedzielę.

W niedzielę, w cichym, nieco poszarzałym krajobrazie, nie było widać żywej duszy. Z wielkich dębów kapały ciężkie krople rosy i spływały na kraczące przeciągle chmury wron. Było chłodno, choć nie przejmująco zimno. W dali, na południu, pod ramieniem Odry, kryły się w siwym puchu mgieł małe wioski nadodrzańskie. Eroeksplorera pojawić się miał właśnie z tamtej strony, a więc z kierunku zgoła przeciwnego. Mimo to, trzeba się było liczyć z przekorną naturą kowala, z jego fenomenalną zdolnością odgadywania wydarzeń i przenoszenia się z miejsca na miejsce.

Chłopcy znaleźli się w pobliżu dębów. Tutaj przebijała się szeroka, polna droga ku nizinie, a ślad jej znaczyły nagie czereśnie aż hen w niewidoczną dal.

— Dobre miejsce — rzekł Kopruch, rozglądając się ciekawie na wszystkie strony.

W tym momencie, Lanek — chełpiący się swoim bystrym wzrokiem — zwrócił uwagę kolegów na ruchliwy, czarny punkcik, podskakujący pod burą pręgą drzew. Ta kropeczka, zmieniająca się nieustannie, jak się nadymała, rosła, wreszcie przekształciła się w niewyraźną plamę człowieka. Człowiek ten zachowywał się bardzo dziwnie. Oto ujrzeni już wyraźnie, że uzbrojony jest w laskę, którą podnosi jak sztucer do twarzy, potem wykrzykuje wronom kolebiącym się na podorywce gromkie: „pif-paf!” A wtedy podrywały się ku niebu czarne, niezdarne szmaciska, błękały się tam krótko i opadały znowu przed wędrowcem, by pozwolić mu na kontynuowanie zabawy ze „sztucerem”. I historia oczywiście się powtarzała. „Pif-paf” podchwytywało echo i rozbijało je o pnie dębów jak drewniana kula pozorną masywność kręgli. Można było bez głębszego namysłu ocenić tego człowieka, jako żartownisia, figlarza, który potrafi swoim bliźnim soli nasypać, gdzie nie trzeba.

— Kalemba!... — szepnął Romek z obawą w głosie.

— Tak. to on, Romek, on na pewno! — potwierdził Lonek.

— Rzeczywiście — rzekł Kopruch — tak go sobie wyobrażałem. Wiejmy więc między drzewa.

Wsiąkli bajecznie cicho w zarośla i obserwowali stąd samotnego człowieka. Widzieli go dokładnie. Był to rosły jegomość w ciepłej kurtce z rudym, futrzanym kołnierzem. Śmiech brał chłopców na widok czarnej, baraniej czapy, która zdobiła głowę nieznajomego.

— Ten ci się wybrał — drwił Kopruch — jak w najcięższy mróz.

— Przygotowuje się na różne ewentualności — śmiał się Romek.

Tymczasem Kalemba, okrakiwany przez wrony, docierał do szczytu polnej drogi. Był to już starszy człowiek, który zdobywał górkę powoli w częstych postojach. Wydmuchiwał on w chłodne, jesienne powietrze kłęby pary, nie przestając przy tym ani na chwilę zabawy z wronami. O, teraz jest już na szczycie wzniesienia. Stoi i wyteża oczy w kierunku przysiółka wyłaniającego się zza drzew. Widocznie czeka na kogoś. Ale na kogo? Nagle chłopcy poczęli się znacząco trącać. Od dalekich bowiem domów zbliżał się młody pan w lekkim, jesiennym palcie, z gołą głową i dymiącym papierosem w ustach. Na piersiach miał zawieszoną leicę, a w ręce magnetofon.

— Idę o zakład, że to dziennikarz! — oznajmił Kopruch.

Jego przyjaciele tak samo sądzili, pod wpływem tego odczucia wycofali się ostrożnie kryjąc się w dąbrowie, skąd bezpiecznie obserwować można było jasny szlak drogi z dwoma poruszającymi się punktami.

— Ale, ale — rozpoczął powątpiewająco Józek Proksz — to nie Kalemba. Obejrzyjcie sobie dobrze tej gościa. Niech to kule biją!..

— Czogała! — stwierdził Romek. — Tak! Ojciec Jolki. O, kryje się w lesie.

— Wobec tego jak właściwie wygląda Kalemba? — rzucił Paszenda. — Wyście go kiedyś widzieli...

— Tak. Jak wyglądał? Mimo że ujrzeni przelotnie jego cień przeganiany kosturem Czogały, nie umieli sobie dokładnie przypomnieć. A więc był w dalszym ciągu zagadką.

— W każdym razie — śmiał się po cichu Proksz — hojny to pan, chce by wszyscy oglądali to, co wynalazł dla nich. Oburza się na wynalazców, że kryją swoje dzieło. Nie jest skromny, chce, by i jego podziwiano. Co innego Czogała. Nienawidzi tych, co naruszają „sekrety siedmiu pieczęci”. Nie cierpi w pobliżu eroeksplorera nikogo prócz siebie.

— Ciekawy jestem, jak oni to robią — zastanawiał się Romek Lukanek — że są zawsze pierwsi na miejscu doświadczeń?

— Myślą logicznie — rzekł Proksz, wielbiciel matematyki i logiki. — dobrze dedukują, jak się to mówi, Kalemba popełnia jednak błąd...

— Mobilizuje wynalazców — podchwycił Paszenda — reportażami w gazecie. Powinien raczej milczeć i miałby wtedy wszystko w jednym miejscu.

Zamilkli, bo oto kowal wydostał się na drogę i skierował się w stronę eleganckiego

pana. Robił to z planem. Tuż przed młodym panem Czogała zerwał z głowy swój barani stożek i począł nim machać na powitanie. Lonek parsknął śmiechem, gdyż czapka kowala podobna do wroniego gniazda.

— Przestań rechotać — ofuknął go po cichu Kopruch.

— Kłaniam się panu redaktorowi — mówił kowal na drodze.

— Pan Kalemba? Bardzo mi miło. Byłem już wczoraj ma miejscu...

— Wiem, i nic pan nie widział. Bo tutaj nigdy nic nie wiadomo. Koszałki-opałki, mój panie. Hokus-pokus, bum, tum, drum!

— Panu wesoło, ale ja nic nie rozumiem.

— Nic nie szkodzi. Na dwoje babka wróżyła. Może być słońce, może być deszcz, a może nie być nic. To tak, jak w cyrku, nie wiadomo jak numer wypadnie. Safandula spada z muła...

— Nie, naprawdę. Żartuje pan. Powiada pan, że nic się nie odbędzie?

— Gdyby coś zaszło, to lepiej wziąć nogi za pas. Żegnam pana!

— Trias, trias ³⁷! Boże, tak wygląda trias. Proszę pana, o! Jaszczurka na dwóch nogach. Jak człowiek. Niech pan patrzy!

— Gdzie? — dopytywał się pan Duszka.

— Pod zielonym piaskowcem.

Czyżby to rzeczywiście była jaszczurka? Sięgałaby im przecież do pasa. Poruszało się to „coś” kaczym chodem, podpierając się tępym, mocnym ogonem i wystawiając niby do prośby dwie krótsze kończyny, dwie rączki.

— Ba, warto się jej przyjrzeć — powiedział inżynier. — To tekodont ³⁸, przodek późniejszego dinozaura ³⁹, ściślej mówiąc: wszystkich gadów naczelnych. Oto przykład, chłopcy, jak płetwy zamieniły się na kończyny. A jak się wydłużyły! Mamy nareszcie tekodona który swymi długimi nogami mógłby iść w zawody nie tylko z Prokszem, ale i z Kopruchem.

— To przesada.

— A co dalej z tymi kończynami?

— Muszą się tak przekształcić, aby mogły służyć wspinaczce.

— Mają wejść na drzewo?

— Przyjdzie na to czas.

Tekodont błysnął jeszcze raz w ich stronę ciekawym ślepiem i zniknął za wyłomem skalnym. Po tym krótkim, niespodziewanym wystąpieniu tekodonta oczy wszystkich zwróciły się na nieznane drzewa. Nie były to wprawdzie już owe przedziwne paprocie jakby z baśni, ale ciążyło na nich takie samo piętno osobliwości, jak na drzewach z puszczy węglowej.

— Jakie szmaciane liście są na tym drzewie — zauważył Romek.

— To miłorząb. Spotykamy te drzewa jeszcze u nas. Rosną na przykład w parku cieszyńskim.

Na pilniejszą uwagę zasługiwały jednak niskie, barylłowate twory z bukietami pierzastych liści, z zagadkowymi pieczęciami kwiatów na krępych pniach, Naokoło rosło zresztą wiele kwiatów, których nie było w poprzednich okresach ziemi. Szata roślinna zaskakiwała wędrowców swoim ubarwieniem i urozmaicała niebywale cały krajobraz. Zbliżona jednak była do naszej współczesnej. Chłopcy stanęli obok barylkowego pnia sagowca. Wkrótce wszakże oczekiwały ich nowe niespodzianki. Oto ukazały się pierwsze paprocie. Porastały szczerze skamieniałe zbocza pagórka, który mijali. Lecz w przylegającym do niego zapadli-sku paprocie te chyliły się nisko ku ziemi od nadmiaru obfitych soków. Krótkie i krępe ich pnie znaczone były ornamentem blizn, a ogromne wachlarzowate liście tworzyły nad kotlinką jeden wielki baldachim.

— Nie są to już jednak te olbrzymy, które widzieliśmy w karbonie — stwierdził Plecionka.

Lecz znowu zelektryzował wszystkich krzyk Lonka, który w obawie przed docinkami Koprucha wysunął się daleko naprzód.

— Jakie śmieszne stworzonko! O, patrzcie, tam na tej kwiecistej łące. Czyści sobie spiczasty pyszczek. Rude jak wiewiórka!

I byłby cisnął w zwierzątko grudką ziemi, gdyby nie był go od tego powstrzymał bardzo stanowczo inżynier Duszka. Rzeczywiście, nieduże to ladaco z ostrym pyszczkiem, mniejsze nawet od królika, stało bardzo pociesznie na dwóch nóżkach i głaskało pięciopalczastymi łapkami bardzo zadzierzyste wąsy. I wtedy właśnie spostrzeżono na jego brązowoszarym brzuszku dziwną torbę, z której wychylały się dwa łebki z bystrymi paciorkami ślepiąt. Obserwowano się wzajemnie.

Duszka założył ręce i przyglądał się chwilę bez słowa nie byle jakiemu zjawisku, wreszcie rzekł radośnie odkrywczym głosem:

— Macie nareszcie przed sobą prassaki.

— Proszę pana — jęknął dość komicznie Kopruch — czyżby... czyżby to byli nasi przodkowie?

— Zgadłeś!

— Nie! Nie, trzymaj mnie P..., chciałem powiedzieć Obartel. Wszystko ci przebaczam. Podtrzymaj mnie, bo mi się słabo robi. Takie maleństwo!...

— W ciągu milionów lat zmężnieje.

— O Boże!

— To fakt. Przypominacie sobie, jak życie wyszło z morza? Były to psylofity bezkorzeniowe, które później przerodziły się w widłaki, skrzypy i paprocie. Ale z wody wyszła też ichtiostega...

— Tak, tak. Potem był stegocefal, płaz, gad i pierwszy gad ssakokształtny — recytował któryś z chłopców.

Tymczasem zabawny torbacznik ruszył dalej w podróż. Posługiwał się sprężystymi skokami podobnymi do susów kangurowych. Wtedy chłopcy wybiegli na najbliższe wzniesienie. W oddali ujrzeli olbrzymie drzewa. Postanowili iść w ich kierunku. Gdy jednak znaleźli się u stóp pagórka, załśniła przed nimi spokojna toń wody, z której wyrastały lichtarzowe skrzypy z brązowymi pałkami na czubach. Za jeziorkiem widać było zdruzgotane drzewa, postrzępione pnie, wreszcie całe cmentarzysko olbrzymów, poległych w walce z wicherami. Niektóre ich cielska, obdarte całkowicie z kory, taplały się w wodzie. I tu na takiej kłodzie zaczęła się pierwsza ich przygoda. Oto Lonek skoczył na jeden z tych zgrzybiałych pni, w pół zapadnięty w ziemię, drugim końcem nurzający się w bagnie.

— Prosimy o spokój! — zawołał Kopruch. — Mamy kaznodzieję przed sobą, zaraz usłyszymy kazanie. No, Obartel, zaczynaj!

— Tak — odparł Lonek — zaraz!

I zgiął kolana jakby wprawiał w ruch huśtawkę. Za każdym przysiadem kłoda pod nim bekała śmiesznie, a na wodzie bulgotały szkliste bańki. Pobudziło to Lonka do silniejszych wyczynów gimnastycznych. Kolana robiły swoje, a stary pień reagował gardłowym pobekiwaniem, woda zaś pluskała pęcherzykami powietrza. Potem raptem stało się coś niespodziewanego. Kłoda pod naciskiem nóg odezwała się przydługim gulgotaniem — jakby przepłukiwała gardło — i nagle wtoczyła się błyskawicznie do wody. Chłopcy na brzegu ujrzeli, jak „kaznodzieja” machnął porządnego koziołka i plasnął jak gruda do wody. Kłoda zaś z oznakami niebywałego życia prula zawzięcie lustro jeziorka, oddalając się szybko od brzegu.

— O rany! — wrzasnął Kopruch przerażonym głosem. — To krokodyl!

Wrzask ten przyciągnął momentalnie twórców eroeksplorera na brzeg wody. Ktoś z nich powtórzył zdumionym głosem:

— Krokodyl, krokodyl!

— Uwaga! — zawołał Osiecki — płynie wprost na nas.

Istotnie, do brzegu zbliżało się pośpiesznie jakieś zwierzę, bałwanilo falę i prychało strugami wody. Biło kończynami sinawą topiel aż strzelały fontanny na wszystkie strony. Można się było przerazić samego tylko szumu zbliżającego się potwora, toteż wszyscy zaczęli się ostrożnie wycofywać. Nagle z jeziora wyskoczył... Lonek ociekający strasznie wodą. Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Chłopiec zaś spojrział jak nieprzytomny za siebie i zawołał, otrzepując się z wody:

— Co to było?

— Tamto? Krokodyl!

— Twoja kazalnica była grzbietem krokodyla, który plumsnął z tobą do jeziora i posterował na przeciwny brzeg. Piękny widok!

— O, wypływa, wypływa — krzyknął Romek — dociera do brzegu!

Mimo że widzieli skołtuniony, brązowy płyn, który posuwał się naprzód, nie byli pewni czy to istotnie krokodyl. Wyglądał bowiem w pierwszej chwili jak płynący bal. Dopiero gdy się gramolić począł na brzegi ujrzeli, że to potwór z przerażającym, spłaszczonym pyskiem. Grzbiet jego znaczony był dwiema poprzecznymi pręgami tarcz kostnych.

— Ależ ten pysk, to prawdziwy dziób — dziwił się Romek.

— To prawdopodobnie belodon⁴⁰ — rzekł Duszka, osłaniając ręką oczy przed jaskrawym promieniowaniem! słońca. — Hm, pośrednik między krokodylem i dinozaurem.

— No, Lonek — żartował inżynier Plecionka — żał mi ciebie było. Wolałbym, żeby przygoda ta spotkała pana Kalembę. Myślę jednak, że i on miał dzisiaj dosyć akcji.

Ale belodon dalej był w ich polu widzenia. Zauważyli, że jego nogi były szybkie, szybsze od tych, które miały zwierzęta w permie. Tę wielką ruchliwość gad zawdzięczał nogom odsuniętym daleko od ciała.

Belodon po przeciwnej stronie również się już opamiętał. Wczołgał się między karłowate kordaity i zwrócił swój kaczypysk do ludzi. Jego fosforyzujące ślepiec obserwowały bacznie nieznane mu istoty.

Rozstali się wreszcie z belodonom i ruszyli na spotkanie olbrzymich drzew. Zdawało im się, że ich stożkowate korony dziurawią ostrzami wierzchołków czysty błękit nad sobą. Zadzierali głowy do góry, wysoko, w sam zenit.

— Cóż to za drzewa? — zapytał któryś z chłopców.

— Sekwoje — wyjaśnił krótko Plecionka.

— Słusznie — potwierdził to Duszka — przeszło sto sześćdziesiąt metrów wysokości. Średnica kilkanaście metrów. Wyobrażacie sobie, jaki to sędziwy wiek?

— Tysiąc lat.

— Kilka tysięcy. Niestety, na zegarze ziemi to ułamek sekundy. W triasie więc, na ziemi nadodrzańskiej rosły sekwoje.

Szli wzdłuż tego bajecznego częstokołu niebotycznych drzew, które ronili rozkoszny aromat żywiczny. Zapach ten towarzyszył im w dalszej drodze. Sekwoje ustąpiły miejsca żalobnym cyprysom. Cień ich i powaga ścieliły się pod nogi ludzi. Równocześnie balsamiczne powietrze nasiąkało delikatną wonią cyprysowego lasu.

Szukano jednak innego objawu życia tej baśniowej krainy. Rozglądano się za zwierzętami. Spotykali je też co chwila. Były to bzykające owady, wielkie ślimaki na kobiercu ziemi, zrywające się często spod nóg szcziurowate stworzonka, niektóre wielkości zaledwie myszy. W pewnej chwili wypadł spod cyprysów duży jaszczur, podobny do tekodonta, ale skaczący jak kangur. Znikł niebawem w zagajniku miłorzębów.

— Tak — rzekł Osiecki — mimo tylu zwierząt, panuje tu wszędzie głucha cisza. Trochę to nieprzyjemne, prawda?

— Nawet najmniejszego pisku nie słyszałem — dodał Kopruch.

— To dlatego — tłumaczył Duszka — że wciąż jeszcze nie ma ptaków.

Urwał naraz i zaczął nasłuchiwać. Oto bowiem nadeszła odpowiedź na dręczące wszy-

stkich pytanie, czy trias naprawdę milczy. Czy upiorną ciszę, która denerwuje i przytłacza, nie przerywa żaden żywy głos? Trias się odezwał. Milczenie lasów, wód i pustkowi zakłócało głośnie wołanie.

— Cóż to? — pytano się wzajemnie.

Wszyscy spoglądali zdumieni na siebie, lecz na pytanie to nie było odpowiedzi.

— Rrraup!... Rrraup!... — brzmiało gdzieś w zagajniku skrzypów w dolinie.

— Biegnijmy tam! — zachęcał Kopruch swych kolegów.

Ruszyli jak do ataku na wroga. W tym czasie zagadkowe „rraup, rraup”, głuche, zachrypnięte, rozlegało się bez przerwy w rytmicznych odstępach. Wtedy i dorośli podążyli za chłopcami. A długi Kopruch stał już na zielonym kopcu. Machał bardzo żywo w ich kierunku, zrozumieli to jako zapowiedź czegoś osobliwego. Zdobyli niebawem Kopruchowe podium i zamarli z głowami pochylonymi ku wodzie, która drzemała w dole. Nikt nie mówił, nikt się nawet nie poruszył. Rozmawiano oczami. Na brzegu bowiem spoczywało zwierzę, które w triasową przyrodę wysyłało swoje grzmiące: „rraup”. Gdy w trwożnym prawie milczeniu pochłaniano wzrokiem przeogromny, dziwaczny twór, okazało się nagle, że sygnały jego znalazły gdzieś daleko swoje echo. Brzmiało tam podobne: „rrraup”.

— Przecież to żaba — szepnął wreszcie Obartel. — Straszna żaba!

Żaba? Było to potworne żabsko o rozmiarach trudnych do wyobrażenia, gdyż oceniano je na trzy metry długości. Sama głowa „żaby” stanowiła jedną trzecią część cielska. Zdziwiło chłopców, że ogromne żabsko miało w dodatku okazały ogon. Potwór otworzył paszczę z ostrymi zębami i wyrzucił ze siebie jeszcze raz owo: „rraup”. Zastanawiano się na widok tych zębów, czym się gigantyczna żaba żywi. Można się jednak było domyślić jej trybu życia po krótkich, krzywych kończynach i niezgrabnym, lśniącym od śluzu ciele. Stworzenie to mieszkało w wodzie, a wyszło z niej tylko na chwilę. Teraz płaz wyczuwając ciekawe ludzkie oczy, zsunął się niespodzianie do wody i przepadł tam bez śladu.

Rozwiązało to wszystkim ruchy i języki.

— Żaba, czy co innego? — odezwał się pierwszy doktor Osiecki.

— Jeśli żaba — rzekł Plecionka wesoło — to żaba — smok. Jędrak, uczony paleontologu ⁴¹, czekamy na twój głos. Mów, co o tym myślisz.

— To jest chyba płaz, i zdaje się, mastodonzaur ⁴² którego kości znaleziono w Opoczyńskim i Kieleckim. Uчени jedynie domyślają się jego wyglądu, a wy widzicie go na żywo. Mastodonzaur przebywa główni w wodzie. Jak widać, kryje się w resztkach kałuż pozostałych po dawniejszych wielkich zalewiskach.

— Więc naprzód, wiaro! — zakomenderował pan Plecionka.

Lecz Lonek dokonał jeszcze jednego odkrycia. Zatrzymał sporego żółwia w jego powolnym marszu i usiłował go przewrócić na grzbiet. Wielki żółw schował niezgrabne nogi i węzowatą głowę, wystawiając bez protestu wypukły pancerz na widok ciekawych ludzi.

Trias po kolei odsłaniał swoje dalsze tajemnice. Był jakby żywą księgą, której karty wypełnione były żywymi stworzeniami. Właśnie teraz chłopcy stali zdziwieni przed drzewem, bardzo nieforemnym, z pokracznymi konarkami. Romek wyciągnął ręce, by objąć zrudziały pień, gdy drzewo nagle jakby odtajało, zadygotało i skoczyło naprzód jak żaba.

— Jak się to dziwactwo nazywa? — zwrócił się Kopruch wprost do Duszki, który stał się w sprawach dotyczących paleontologii wyrocznią dla wszystkich.

— Scleromochlus ⁴³, gad zbliżony do dinozaura, tylko mały — odparł inżynier rzeczowo jak encyklopedia. — Słuchajcie, szukajmy jeszcze gadów żyjących na drzewie.

— Czy istnieją w ogóle? — powątpiewał Romek.

— Czy istnieją takie gady w tej epoce? Nie wiem. Ale podobno dinozaury i ptaki mają w nim, to znaczy w gadzie na drzewie, wspólnego przodka. Nie pozostaje nam nic innego jak zaobserwować, czy to prawda.

Teraz krajobraz dokoła nich zaczął się raptem zmieniać. Z bujnej zieleni wypęzły

wiśniowe piaski, te znowu ustępowały borom z drzewami podobnymi do współczesnych sosen lub świerków. A przyroda bez przerwy bombardowała wędrowców nowymi sensacjami. To zjawiał się przed nimi jaszczur, biegnący chodem ptaka, a wyciągający małą, niemal kaczą głowę przed siebie i przyciskający małe kończyny przednie jak kulaki do opancerzonego ciała, to spostrzegano zwierzę, skupiające w sobie cechy anakondy i żółwia, wolno czołgające się ku najbliższej wodzie, to wreszcie przemknął w kangurowych susach śmieszny torbacz w stronę lasu, pachnącego intensywnie żywicą.

— A przodka ptaka nie ma — zauważył ktoś jakby z żalem w głosie.

— Na pewno hasa raźnie po tych ostępach — pocieszał go Duszka.

Byli właśnie pod lasem, którego drzewa łudząco przypominały rodzime sosny. I wtedy to stanęli jak wryci. Nikt też nie śmiał przerwać ciszy, która nastała. Tam, gdzie się zaczynała korona, w rosochatej jej części, czaiło się niezwykle zwierzę z wąską klatką piersiową i szeroką miednicą. Przy odrobinie wyobraźni mogło uchodzić za sylwetkę ptaka...

— To on! — odezwał się w końcu Duszka, szeptem. — On, mówię wam... Na Boga, jeszcze ciszej! Nie trzeba go absolutnie płoszyć!

— Przecież nie ma skrzydeł.

— Spokojnie, urosną mu w ciągu... milionów lat. Zauważcie jednak, że ma już wiele cech wspólnych ptakom.

— Proszę pana, ale to wciąż jeszcze gad, bez piór.

— Nie mamy się czym martwić. Przyroda o nim nie zapomni. Najważniejsze, że udało mu się wspinać na drzewo. Jest więc już na nim. O, jak trzyma się gałęzi.

Profesor Osiecki najmniej w tej wycieczce zabierał głos. Jego uczniowie zauważyli, że bardzo często przystaje, obraca się w stronę eroeksplorera, łowiąc jego ledwo, ledwo uchwytnie wibracje. Coś go jednak niepokoiło. Było już widoczne, że nadchodzi kres wyprawy. Oto doktor daje nagle ręką, że trzeba pomaszerować z powrotem. W drodze powrotnej inżynier Plecionka śmiał się i mruczał coś pod nosem.

— Co cię tak śmieszy? — zapytał pan Osiecki.

— Kalemba — rechotał teraz na głos Plecionka. — Kalemba dostał prztyczka w nos. W dodatku, jak tu Krzych opowiadał, Czogała spławił redaktora. Jest więc powód do uciechy. Wyobrażacie sobie rozczarowanie wszędobylskiego kowala? Pęknie ze złości.

— Tak — rzekł pan Osiecki — gdyby tak było, gazeta nie miałaby co pisać. A trzeba nam jeszcze odrobiny spokoju, żeby eksperyment doprowadzić do końca.

— Nie bardzo wierzę w klęskę Kalemby — rzekł Duszka. — Zobaczmy.

Można było jednak na razie wierzyć w niepowodzenie Kalemby. Oczekiwano wszakże ukazania się nowego numeru gazety z rosnącym napięciem. Doznano raptownej ulgi, gdy w oznaczonym dniu czasopisma w kioskach nie było.

— Ale, żebyż tak można było odetchnąć, nie być tropionym i podglądanym. Doprowadzić wynalazek do końca — marzył Osiecki. — Wreszcie odetchnąć, odpocząć i nabrać nowych sił do dalszej pracy.

— Okazuje się — telefonował inżynier Plecionka do Osieckiego — że ulokowaliśmy się nareszcie w wymarzonej miejscy. Zaciszna Kępa służyć nam będzie za doskonały azyl.

Ale gazeta zadała temu kłam. Była w chwili tej rozmowy już w kioskach, a pędził z nią do parku Paszenda, by ją doręczyć czekającym przyjaciołom. Rzucili się z nią na ławkę. Przewracali do spółki, chaotycznie i nerwowo pachnące drukiem karty czasopisma i odetchnęli z ulgą. Redaktor Pogorzałek zaprezentował czytelnikom żywo napisany reportaż z pracowni wiejskiego malarza, Antoniego Brzdąkały. Widocznie dziennikarz tylko tyle złowił w niedzielę.

— A to co? — wrzasnęła nagle Proksz.

Przeczytali wszyscy naraz szokujący nagłówek:

„Z OSTATNIEJ CHWILI! — NA PROGU FASCYNUJĄCEJ TAJEMNICY”

— A to pech! — stwierdził Romek, opadając ciężko na ławkę.

— A to kuglarz! — powiedział Kopruch, a w jego głosie brzmiało uznanie dla wytrwałego wiarusa. — Nie narzekajmy, dzięki niemu ujrzymy to, czegośmy sam nie mogli zobaczyć.

— Ratujcie! — krzyknął Lonek Obartel. — Jego fotografia!

Był to zupełnie nie znany im człowiek. Niski, drobny, o chudej, kościstej twarzy z dwoma szydełkami wąsów. Oczy żywe, przenikliwe, nos jakby skrzywiony. Był to portret niepozornego człowieczka, który przechodzić może obok nas wcale nie zauważony. Zaniechali jednak tych oględzin i poczęli czytać zachłannie, jednym tchem:

„Gościmy w naszej redakcji niemal legendarnego pana Kalembę. Wprawdzie nie wszystko nam poszło tak, jak to sobie zaplanowaliśmy, ale plon naszej wyprawy jest obfity, a niektóre szczegóły — rewelacyjne. Ze względu na to i z powodu obfitości materiału organizujemy inną formę przekazania tych wiadomości naszym czytelnikom. Już jutro, a więc w środę, odbędzie się publiczna dyskusja przy okrągłym stole w świetlicy Związku Zawodowego Górników, w której uczestniczyć będą pan Kalemba, pani redaktor Pogorzałek i pan profesor Matys.

Na tę dyskusję, którą rozpoczniemy o godzinie siedemnastej, zapraszamy wszystkich, których interesuje sprawa ulicy Polnej”.

Był to więc tylko komunikat, ale zrobił on jeszcze większe wrażenie na chłopcach, niżli długi artykuł.

— I co teraz? — zapytał Proksz, przenosząc spojrzenie z jednego, na drugiego przyjaciela.

— Idziemy — rzekł Kopruch.

— Wprawdzie roboty w domu jest moc — rozpałał się Józek — ale stary mnie zastąpi. Więc dobrze. Zdobywamy miejsca w pierwszych rzędach. Zjawiamy się pół godziny przed dyskusją.

Tak też zrobili. Sala jednak w większej części była już zajęta. Toteż dostały się im miejsca na samym końcu sali. Spostrzegli tam swoich opiekunów, a obok nich pana Lukanka. Wkrótce też zobaczyli tego, który wynalazcom nieustannie deptał po piętach. Człowiek ten stanął obok redaktora Pogorzałka. Czekano jeszcze na pana Matysa. Minęła jednak siedemnasta, a profesor nie nadchodził. Dopiero w kwadrans później zjawił się on w asyście dwóch innych redaktorów.

Zebranie zagał krótko redaktor Pogorzałek, a potem wstał zaraz Kalemba. Uśmiechnął się i zaczął mówić:

— Jestem, drodzy zebrani, jak to się często teraz mówi, „człowiekiem wojskowym”. Dwie bowiem wojny są już poza mną. Jako były wojskowy rzadko ulegam panice. W niedzielę jednak pech mnie szczególnie prześladował. To, com widział, było tak straszne, że nie ma się memu przerażeniu co dziwić. Oczywiście, nie byłoby tego, gdyby nie urządzenie, które stworzył ludzki geniusz.

Profesor Matys poruszył się za stołem, a uśmiechając się sceptycznie, rzekł:

— Chwileczkę, o ile dobrze zrozumiałem, ma pan na myśli całe to widowisko na ulicy Polnej.

— Właśnie to mam na myśli. Na szczęście jest już dwóch świadków, którzy także oglądali wszystkie obrazy. Powiem więcej: Usiłowano redaktora Pogorzałka odsunąć od tych wydarzeń. A ja wyciągnąłem go z pracowni malarza Brzdąkałły...

— No, mówcie, panowie, dalej — wtrącił się Matys.

— Wiem — odezwał się teraz redaktor — że nie będzie pan tym zachwycony, ale cóż będę ukrywał... Oglądaliśmy dolinę nadodrzańską taką, jaką była przed milionami lat. Przy

tym skorzystaliśmy bez aprobaty panów wynalazców z kabiny, gdzie promienie wieków adaptowały⁴⁴ nas do przebywania w tych odległych czasach.

Pan Osiecki chrząknął na swoim miejscu tak głośno że wielu z obecnych obejrzało się na niego. Podejrzewano, że to swoisty protest przeciwko stwierdzeniu redaktora.

— Tak — rzekł następnie Kalemba — znaleźliśmy się w następstwie tego w takim krajobrazie, że trudno dać temu wiarę. Dostyc, że pot się z nas lał. Było straszliwie gorąco, a ja we flanelowej koszuli. Za to pan redaktor używał sobie, jak na bułgarskiej plaży. Ułożyliśmy się więc na rozgrzanym piasku. Wokoło drzewa bez gałęzi, jakby z puszkami z konserw na czubkach.

— Kolorowy piasek — zabrał głos redaktor. — Pustynia. Na dole tylko niby-sadzawka z paprociowymi drzewkami. Przypiekało niesamowicie...

— Możecie sobie, państwo, wyobrazić — ciągnął dalej Kalemba — ile przypuszczeń nawiedzało naszą wyobraźnię. Nakłaniałem pana redaktora, aby pstryknął krajobraz swoją leicą. I wtedy...

Kalemba mocował się przez chwilę ze swoim uczuciem, więc redaktor dodał, ilustrując swoje wrażenie odpowiednią mimiką:

— Kolosalne, nie do odtworzenia!

— I wtedy... — powtórzył kowal, gdy przyszedł do siebie — widzę nad sobą jakiś cień. Myślałem, że to pan Pogorzałek celuje obiektywem w jakieś drzewo. Nagle spostrzegam, że coś się do mnie nachyla, co wcale nie jest podobne ani do redaktora, ani do innej, żyjącej istoty.

— Czółg, stalowy czółg z lufą wymierzoną w nos pana Kalemby! — zawołał redaktor i pod wpływem tego wspomnienia zerwał się z miejsca.

Na sali widać było poruszenie. Ktoś zachichotał, ktoś znowu chrząknął. Gdy się uciszyło, mówić zaczął znowu pan Kalemba.

— Być może, iż tak było. Mnie jednak wydawało się, że lufa zwrócona jest na redaktora. Włosy mi się zjeżyły, gdy z lufy wysunął się fioletowy gałgan i umył buzię pana Pogorzałka. A on się śmiał. Wtedy krzyknąłem z całych sił: „Rany, panie, to diploo!”⁴⁵ Więcej pan, więcej!” Daliśmy drapaka, co sił w nogach. Podziwiałem pana redaktora, nim ja nogi rozkrochmaliłem, on już szturmował daleki pagórek.

Pan Matys potrzasał podczas tego opowiadania kilka razy głową, a jego roztargnione oczy napełniały się skupieniem i uwagą. Teraz już nie wytrzymał:

— Panie Kolumb...

— Kalemba, panie profesorze...

— Panie Kalemba, niech pan operuje konkretami. Może by nam pan opisał wygląd tego potwora.

— Dobrze panu tak spokojnie mówić, bo pan tego nie przeżywał. Ja czułem na karku jego rogowe wargi, wachałem siarkę i czosnek... Obrzydliwość! Dodałem gazu...

— Ha, ha, ha — śmiał się profesor.

Za nim rozszalała się sala. Śmiech, tumult, rechot jak z karabinu maszynowego. Trwało długo, nim się uciszyło. Gdy wreszcie zapanowała znośna cisza, Kalemba relacjonował dalej:

— Ocaliło nas drzewo. Jeden z tych wysokich masztów, podobnych do okrągłych szczytek, jakich używamy! do czyszczenia butelek.

Redaktor Pogorzałek zrozumiał, że nadszedł odpowiedni moment, by zebranych doprowadzić do punktu kulminacyjnego komizmu sytuacji. Wiedział, że czytelników trzeba sobie kupić. Więc przejął teraz rolę narratora:

— Tak, podziwiałem wigor pana Kalemby — wołał głośno — zdobywał pierwszy maszt jak najzręczniejsza małpa. Siedział już na wierzchołku, kiedy ja utknąłem z moją fatalną jesionką w połowie drzewa. Było mi w tej chwili wszystko jedno. Zrezygnowany spojrziałem w dół. Widzę, że pode mną stoi potwór. Była to jakby barka na czterech słupach. Smok!

Znam się cośkolwiek na permskich gadach, ale ten wyglądał zupełnie inaczej. Okrążał moje dziwaczne drzewo kołyszącym krokiem, lecz nie miał powolnego, włóczęgo chodu „permiaków”. Straszne filary nóg wzbijały chmury czerwonego pyłu. Wyobrażałem sobie, że w czerwonej rzece płynie szeroki, żywy galar⁴⁶. Za nim unosił się ogon-ster.

Kalemba przejęty do żywego opowieścią towarzysza niedoli, wstał zza stołu i zaczął człapać dokoła, naśladując ruchy smoka. Spowodowało to znowu ogromny wybuch śmiechu w rzędach krzesel.

— Panowie, panowie — mówił kowal — koszmar! Widziałem, jak bestia podnosił szkaradny pysk na redaktora Pogorzałka. Widziałem dokładnie. Przednie nogi krótsze od tylnych, skóra szklista, gadzia, węże ślepia, obwarowane łukowatymi fałdami, dziobowaty pysk, głębokie otwory w miejscu nozdrzy. Syczał!! Dotykał kieszeni redaktora. I wtedy pan Pogorzałek upuścił swoją jesionkę. To nas uratowało. Potwór zaczął się nad nią znęcać, a nasz redaktor, jak wiewiórka wdrapał się na wierzchołek masztu.

— Panie Kalemba! — krzyczał pan Matys — obaj usiłujecie rozśmieszyć audytorium, a nie wiemy prawie nic o wyglądzie zewnętrznym tego okazu. Do licha, skoncentruj pan swoją uwagę na „smoku”. Ile miał palców? Palców, panie Kaleta?

Sala świetlicy zamieniła się w wielki kocioł gromkiego śmiechu.

— Przecież cały czas mówię: pięć palców! Widziałem ślady na piasku.

— Więc co tu, panowie, mówicie o permskich gadach. To przedstawiciel triasu. Chirotherium, chirotherium! Słyszycie?

Redaktorowi i kowalowi nic to nie mówiło. Co to jest chirotherium? Sensacja, okaz wydobyty z zarania dziejów ziemi. Nic więcej. Dlatego też nie zrozumieli wzburzenia starego profesora. Więc dalej prześcigali się w wliczaniu tych nadzwyczajności. Mówili o tym, że potwór skierował potem swe „siedmiomilowe kroki” w stronę ogromnie wysokich drzew, chyba sekwoi, i o tym wreszcie, że nie mieli odwagi zjechać z masztu na dół.

Pan Matys ku ucieście zebranych opędział się ręką od tych „bajek”, ale nic nie mogło powstrzymać zapału opowiadających. W pewnym momencie widać było, że pana Matysa coś zaciekało w opowiadaniu; począł znowu słuchać. Mówił pan Kalemba:

— I wtenczas pod nami wynurzył się nowy zwierz. Ii, panie profesorze, bardziej już podobny do ssaka. Ale paszcza zębata, niech Bóg broni. Przeszło dwa metry długości. Zupełnie podobny do tych, które oglądamy na znaczkach pocztowych.

— Cynognathus⁴⁷ — wyjaśnił profesor Matys lakonicznie. — Ale, panowie, mam pretensję do was, że zabieracie się do rzeczy tak po partacku. Trzeba patrzeć na wszystko pod kątem widzenia użyteczności, a nie taniej sensacji. Chirotherium! Wam to nic nie mówi? Nauka nie znalazła dotąd jego szkieletu. Mamy tylko ślady jego pięciopalcowej stopy. Panowie, zaryzykuję stwierdzenie: Wygląda na to, że byliście w triasie, który istniał dwieście dwadzieścia milionów lat temu! Jedna tylko szkoda, że nie znam tych ludzi, którzy obraży te umieją wydobyć z przeszłości naszej ziemi.

— Panie profesorze — odezwał się Kalemba — niesłusznie nas pan karci. Oto rysunki chirotherium, cynognathusa i innych zwierzaków. Oto drzewa, zarośla. Oto stopa chirotherium. Rysunki wykonałem sam. Może to trochę wydaje się dziwne, że gonię bez tchu za tymi dziwami... Warte tego. Jestem przywiązany do tej ziemi. Więc nie mogę zrozumieć, dlaczego tak skrętnie ukrywa się przed ludźmi ten cudowny wynalazek. Muszę też zaznaczyć, że nagabują mnie ludzie, bym ich podprowadził pod aparaturę. Miarkuję, że to tacy, co to umieją w razie potrzeby wykonać szkic, plan, projekcik i tym podobne. Pan mnie rozumie, panie profesorze. Może to zazdrośnicy, może rywale. Sam nie wiem.

— Słyszeliście? — powiedział Kopruch, gdy chłopcy znaleźli się już po zebraniu na ulicy. — Ładne rzeczy. Ktoś chce nawet szkicować eroeksplor... Któż to taki? Przecież wynalazek ma czysto naukowe znaczenie.

— Nie zapominaj — odezwał się Proksz — że komuś może się nie podobać prawda

historyczna, którą w przyszłości eroexplorer może wydobyć na światło dzienne. Dopóki wynalazcy zajmują się wychwytywaniem obrazów ziemi z tej ogromnej odległości, nie będzie to groźne dla nikogo, ale gdy przyjdzie kolej na wypadki historyczne, nie tak dalekie, to dopiero będzie heca.

— Rzeczywiście, Józek. Może masz rację. Trzeba o tym wujowi powiedzieć. Jeszcze jedno sobie przypomniałem... Nie było Czogały. I co wy na to?

— Nic. Mógł nie wiedzieć, mogło mu coś wypaść — rzekł Proksz. — Nie widzieliśmy też z Romanem od dawna Jolki. Czy przestała się interesować naszymi wydarzeniami?

— Może Jolka chora — dodał Romek Lukanek.

Nie przeczuwał, że tak właśnie było.

CZY MOŻLIWE JEST SPOTKANIE Z MAŁPOLUDEM W JURZE

Późnojesienne dni wciąż jeszcze były ciepłe, słońce pokonywało niemal codziennie ranne tumany mgieł w dolinie, potem wydobywało się na ciemny granat nieba i dobrze przygrzewało. Przyroda w tym oświetleniu czarowała baśniowym strojem lasów i zagajników. Tej prawdopodobnie pogodzie przypisać należało, że pan Osieckiemu zapowiedział swój przyjazd jego stary ojciec z Warszawy. Kopruchowi zlecono, by pojechał na stację kolejową po gościa. Ponieważ była to znowu sobota, jedyny dzień w tygodniu, w którym można było sobie składać wizyty bez przeszkód, Krzys dość łatwo nakłonił swoich bliskich kolegów do pozostania i towarzyszenia mu na dworzec „po odbiór” — jak mówił — zacnego staruszka.

— Nie wiem, czy ten starszy pan będzie zadowolony z tak licznej asysty — rzekł Proksz. — Może będzie się nas wstydził?

— Nie ma obawy. On bardzo lubi z młodymi pogadać.

— Słuchaj, Krzysiu — odezwał się Paszenda — zapomniałeś o jednym, że nie zmieścimy się w taksówce.

— Idziemy pieszo na wyraźne jego życzenie. Mój dziadek chce sobie obejrzeć panoramę nowego miasta i spojrzeć na kopalnię i hałdy.

— Czym wobec tego jest twój dziadek? — zapytał Lonek.

— Odkąd pamiętam, zawsze był lekarzem.

— Lekarzem? — zdziwili się wszyscy przyjaciele naraz.

— Dlaczego was to dziwi? Dobry lekarz, okulista, Profesor. Specjalista chirurg. Muszę powiedzieć, że fajny chłop, ale...

— Ale co?

— Jest trochę dziwny w obejściu. Wszystkich zaraz bada, wszędzie podejrzewa jaglicę lub zezą, którego nawiasem mówiąc doskonale leczy.

— Iii — drwił Lonek Obartel — przecież nas niej będzie badał na drodze.

— Właśnie, że i to się zdarzyć może. Jaglica, zez, rozumiesz? Zawsze w zanadru ma strzykawkę z penicyliną, streptomycyną lub terramycyną. A ponieważ chłop to potężny, więc nie robi ceregieli, bierze pacjenta między kolana i bzz... wtrzymania gościowi antybiotyków w pośladek. Ale to nic. Sam się zawsze u niego dopraszałem tych szpryc...

— Dziękuję. Ładna mi zabawa. Mogłeś to zaraz powiedzieć.

— Masz przynajmniej tę satysfakcję, że zbada cię bezpłatnie. Może ci nawet okulary przepisze. Masz nieco zaczerwienione powieki. Dlaczego tak na mnie patrzysz?

— Dobry z ciebie kawalarz.

— Mam inne obawy — rzekł Proksz — jeśli nie wygląda na lekarza, mogę znowu się

wygłupić.

— Jak?

— Przecież znacie moje pechowe historie. Na widok siwych włosów stają się poufały, głupio poufały. Wymykają mi się słowa, takie różne słowa. Lepiej zawrócić z drogi...

— Ja bym też wolał wrócić — zgłosił się Lonek. — Dacie sobie zresztą radę sami...

Byli jednak już na stacji. Kopruch manewrował tak, że dostali się w sam środek podróżnych, których przed minutą odprawił pociąg piętrowy. Ani w lewo, ani w prawo. Objęli się w tłumie jak ruchliwe cząsteczki w podgrzanym gazie, a wtedy zaskoczył ich czyjś głęboki i przyjemny głos:

— Ha, mam cię wreszcie, zuchu!

Chłopcy ujrzeni przed sobą dość wysokiego, starszego pana w włochatym płaszczu i pilśniowym kapeluszu na głowie. Lonek przeraził się jego wielkiej, szpakowatej brody, ale ciepłe, wesołe oczy łagodziły jej poważny wygląd. Kopruch wpadł w objęcia starca i obdarzył go serią głośnych pocałunków. W trakcie tych czułości stracił lekarzowi kapelusz. Proksz, który był najbliżej zguby, podniósł go szybko, oczyścił gorliwie łokciem i trzymał w pogotowiu. Doktor odebrał swoją zgubę z miłym uśmiechem, podając rękę Józkowi na powitanie.

— Jak się masz, drogi chłopcze? — rzekł.

— Świetnie, dziadku...

Fatalne. Stało się i nie można było już tego odwrócić. Proksz zaczerwienił się i oblał potem. Poprawił więc rozpaczliwie:

— Bardzo dobrze, panie profesorze.

— Doskonale — powiedział zacny lekarz i podawał po kolei swą szczupłą rękę przyjaciółom Krzysztofa.

Kopruch bawił się wyśmienicie, nie dając tego jednak poznać Józkowi. Nic też nie zwiastowało, że starszy pan skłonny jest wziąć pacjenta między kolana, by zaaplikować mu porcję zastrzyków.

— To, dziadku — anonsował Krzyś — są moi najbliżsi przyjaciele. Wiarusy, jak się patrzy. Ten tutaj to Leon Obartel. Dziadku, co znaczą te jego zaczerwienione powieki? Przemęczenie? Choroba?

Lekarz powiódł swoimi dobrymi, wyrozumiałymi oczyma po chłopcach i zatrzymał się nieco dłużej na Lonku. Puciołowaty chłopiec nie wytrzymał tego badawczego spojrzenia i spuścił wzrok.

— Jesteście wszyscy zdrowi, jak rybki w jeziorze — rzekł wreszcie starszy pan wesoło, chowając skrętnie uśmiech w brodzie. — No, Krzysiu, bierzemy się do walizek. Ta tutaj jest specjalnie ciężka. Zawiera zastrzyki dla twego wuja i jego przyjaciół... Dalej do dzieła!

— Loni, jesteś pierwszy w kolejce — rzucił figlarnie Kopruch.

Lonek schował się za plecami Proksza. Oczywiście niepotrzebnie, lekarza bowiem interesowały zupełnie inne rzeczy. Rozglądał się ciekawie po kopalnianej panoramie okolicy. Zdziwiły go granatowe hałdy, bure, kędzierzawiejące w górze dymy, tak dziwnie sączące się z wysokich kominów, jakby wydmuchiwała je pierś olbrzyma. Łunami i czernią znaczone było niebo nad wielką koksownią. Wszystko to działało na lekarza jak egzotyka pierwszy raz oglądanego kraju. Niezwykłość tego obrazu potęgowały rosnące nowe osiedla, szalony ruch uliczny, mrowie ludzkie przetaczające się tam powrotem po chodnikach.

— Idźmy pomału — rzekł lekarz, chłonąc tę różnorodność widoków oczyma i wrażliwym sercem. — No i co tym waszym eroeksplorerem? Nie mieliście nawet odrobiny czasu, by nagryzmolić kilka słów do mnie...

— Tak właśnie było, dziadku. Widzieliśmy dzięki niemu niesamowite rzeczy. Odkryliśmy stare epoki w dziejach ziemi — wyjaśniał Kopruch, jakby sam osobiście w tworzeniu tego wszystkiego współdziałał, a zerknąwszy na swych przyjaciół poganiając ich rzekł: — Dalej, chłopaczki, a żywo! Imajcie się walizek. Ja poprowadzę dziadka.

Więc zabrali się posłusznie do waliz, a Kopruch swobodny, uśmiechnięty, podtrzymywał łokieć starszego pana, jakby się bał, że dziadek stworzony z kruchego szkła, może się rozłuc przy potknięciu.

— Stop! — powstrzymywał wszystkich inżynier Duszka. — Głazy! Uwaga!

— Ostrożnie, dzieci! — ostrzegął również poczciwy lekarz.

Przywarli natychmiast zdumieni do miejsc, na których stali, gdyż ujrzeli coś, co odbiegało od dawnych obrazów i dlatego nie mogło się pomieścić w ich wyobraźni.

Był to olbrzymi zalew fal. Ogromna woda. Jaskrawe słońce odbijało się w pofałdowanym, szumiącym, huczącym, bijącym z wściekłością o brzeg tumanie wód. Ten kamienisty brzeg, na którym stali, był częścią dużej wyspy, która mocną pierś wysuwała się daleko w morze. Boć to było bez wątpienia morze. Upłynęło sporo czasu, nim oczy chłopców przyzwyczaiły się do bezkresu fal, tańczących hulaszczko naokoło.

— O rety! — wrzasnął Kopruch.

— Cie choroba! — zdziwił się Proksz. — Gdy to opowiem mojemu staremu, to się stuknie w czoło i powie: Widzicie, jak się Józkowi klepki poprzestawiały w głowie? Nie ma niedzieli, żeby mnie nie zajął jakaś bajka.

— Opowiesz mu wszystko? — zapytał Kopruch.

— Bez podania adresu. Mówię mu, że to w kinie widziałem albo w szkole. Ale często myślę o tym, by go gdzieś na uboczu takiego krajobrazu ustawić. Żeby się nasycił widokami, dzikimi bestiami. On to strasznie lubi.

— Gdyby umiał trzymać język za zębami, mógłby z ukrycia wszystko to obserwować.

— Stary mój to beton. Stal. Nie lubi plotek ani tego...

A fale wściekle tłukły się o brzeg. Trzeba było krzyczeć, żeby się porozumieć.

— Ciekaw jestem, czy uwierzyłyby w to mój dziadek — śmiał się Lonek. — On, który jeszcze dzisiaj nie jest pewny, czy muzyka wychodząca z radia nie jest czasami diabelską sprawką. Warto, żeby i on sobie tu przykucnął.

Stali teraz wszyscy razem. Jak to się jednak stało, że znaleźli się na takiej właśnie reducie? Osiecki i inżynierowie nękani ciągle przez wszędobylskiego Kalembę, zwrócili się o pomoc do pana Lukanka. Trzeba było dobrze poszperać w notesie pamięci, by wybrać na miejsce „seansu” to ustronie. Był to głęboki jar, biegnący wśród lasów ku dolinie Odry. Legenda wiąże szerokie zakole Odry z istnieniem grodziska w zamierzchłych czasach.

Przybyli tutaj przez las, zdawało się nie zauważeni, w kolejny ranek niedzielny. Czy dotrą tu tropiciele? Nie można było być tego pewnym, ale istniała nadzieja, że eroeksplorer pozostanie w ukryciu.

— Oto morze jurajskie ⁴⁸, które zalewało naszą ojczyznę przed stu siedemdziesięciu czy stu osiemdziesięciu milionami laty — ogłaszał niemal uroczyście głos Inżyniera Duszki. — Słowem: jura *!

— Jura, jura — wzdychał któryś z chłopców — ale to tylko woda i woda. I nic więcej.

— W tej wodzie tętni życie. Poza tym jest jeszcze zielona wyspa, a może zielony półwysep. Widzicie? — zauważył lekarz.

Lecz niewiele obchodziły teraz patrzących inne widoki. Byli przejęci tym, co było przed nimi, co tak potwornie szalało, wrzało i kołtuniło się wściekle. Im dłużej patrzyli, tym łoskot żywiołu ściszał coraz bardziej ich serca trwogą. Groźne fale, kłębiące się aż do widnokręgu, miały kolor rtęci.

— O — krzyknął Osiecki — patrzcie w niebo! O, tam! Za minutę już coś więcej zobaczymy niżli wodę.

— Samoloty! — darli się wniebogłose chłopcy, podnosząc ręce ku niebu. — Prosto na nas. Och, ten największy szuka lotniska. Zabiera się do lądowania.

— Nie traćcie głowy, panowie — zanosił się śmiechem Duszka. — To przecież zupeł-

nie coś innego...

— W każdym razie statek powietrzny, może szybowiec. Kołuje...

— Samolot w jurze? — rechotał Plecionka. — To gad, gad... Tak, gad!

— Gad, który lata, proszę pana? — rzekł z niedowierzaniem Paszenda.

— No, ma przecież skrzydła. I to jakie! Ciemne płaty, które by mogły iść w zawody ze skrzydłami niektórych naszych awionetek. A ten jegomość, który nic sobie z nas nie robi, to już jakiś pteranodon⁴⁹. Och, co za potwór!

Olbrzymie gadzisko zniżyło swój niezdarny lot i zatoczyło nad częścią wyspy szeroki krąg. Chłopcy widzieli już dokładniej, że te skrzydła są opierzone; długie płaty błon rozpięte na ogromnym palcu. Na łuku skrzydeł rozpoznano cztery dalsze palce ze szponami. Gad nie miał ogona, i temu zapewne zawdzięczał swe ociężałe ślizgi. Nastąpiła druga krzywa jego lotu, a wtedy zobaczono, że gigantycznymi błonami steruje ten stwór podobny do sporej ja-szczurki. Obserwował on bacznie dziwne istoty na ziemi. Zauważyli, że podobnie, jak wszystkie zwierzęta paleozoiku⁵⁰ i mezozoiku⁵¹ i ten jest odrażająco brzydki. To, co poczytywano za załogę statku, było jedynie długimi uszami gada.

Widzieli w swych przedziwnych wyprawach życie, które się rozwijało, widzieli ruch zwierząt od powolnego czołgania, potem chodu aż do tego właśnie lotu gada. Raz tylko zabrzmiał im w uszach donośny dźwięk: „rraup”. Zwierzęta jednak milczały. Czy tamto, nad nimi, też jest nieme? I zaraz przysła na to odpowiedź. Pteranodon wydawał z siebie chrapliwe rżenie, może był to wyraz niecierpliwości, może gniewu, a może głodu.

— Ma ochotę gdzieś opaść — zauważył lekarz. — Na wyspie, czy też na morzu? Ma wygląd dobrego rabusia. Ale czy jest groźny?

— Nie jest aż tak duży, żeby się go bać — osądził młody Osiecki. — Popatrz, ojczulku, to tylko skrzydła go wyolbrzymiają. Kto wie, czy to nawet nie przodek naszych nietoperzy.

— Być może. Ho, ho, nadciągają jego towarzysze.

Istotnie, pod szafirowoszarzym dachem nieba pojawiły się inne „samoloty”, kierując się tam, gdzie uparcie krążył ich przewodnik. Decyzja już zapadła. Czarny pteranodon plasnął o falujący pęczek morza i... oderwał się ku górze z wielką rybą w pysku. Jak za uderzeniem gongu rozpoczęło się teraz niepowtarzalne widowisko. Przy oszalałych pomrukach morza nadciągnęły cicho pteranodony, które w oka mgnieniu zaciemniły niebo. Wszystkie ruszyły do ataku na szczęśliwego łowcę, usiłując zdobyć jego łup. Nieszczęśnik, nie wypuszczając zdobyczy, krążył początkowo między prześladowcami, to uciekając od nich, to znowu wracając. Wreszcie nie mogąc się wyrwać z tej potwornej kotłowniny, runął na wyspę prosto pod nogi chłopców. Pteranodony nacierały dalej. Zamieniły się w koszarne spadochrony, które kołowały, ślizgały się w dół, by znowu wystrzelić pod niebiosa, skąd ponownie pikowały na swą ofiarę.

— Brr — otrząsnął się Janek Paszenda. — Co za fetor! Co za paskudne pyski!

— Walka o byt, o życie — zauważył filozoficznie pan Lukanek. — Choć, być może, straszniejsze jeszcze rzeczy dzieją się w przyrodzie.

— No — podjął tę myśl stary lekarz — zwycięża ten, który nie ma skrupułów. Ten, który kieruje się instynktem życia.

Miało się wkrótce okazać, że niedalecy byli prawdy, Tymczasem jednak straszliwe pteranodony zapędziły się aż do chłopców. Jeden z nich stał się szczególnie agresywny. Kopruch i Paszenda trzepnęli go równocześnie z całych sił. Napastnik jednak nie odczuł należycie tego podwójnego ciosu. Odplynął wprawdzie, ale dla uzyskania rozpędu, zatoczył łuk i rąbnął opancerzonym pyskiem w obu chłopców. Koprucha omotała paskudna w dotyku zasłona, więc łomotał w nią rękami, ale jednocześnie czuł, że nie da rady. Obezwładnił go przede wszystkim odrażający zapach, dławiący, nie do zniesienia, więc krzyczał rozpaczliwie:

— Ratunku, duszę się... aaa...

Rzucili się wszyscy na odsiecz. Pteranodon skapitulował, szczęknął i poszybował w

stronę morza. Było to hasło do ogólnego odwrotu. Wszystkie straszycła, uporządkowawszy się w długi szereg, poszły jego śladem.

— Brrr, wzdrygał się Kopruch, ocierając twarz połą marynarki — czy wiecie, com wycierpiał? Myślałem, że to już koniec.

— Nie byłoby tak źle — śmiał się pan Plecionka. — Powietrze jest już czyste, wracajmy do naszego gościa. Zwrócili więc oczy na pteranodona leżącego wciąż jeszcze w tym samym miejscu.

Ryby już nie było. Wielki gad, korzystając z chwili spokoju, połknął ją bez ceregieli. Teraz wybałuszał ślepią na ludzi, którzy do niego się zbliżali. Otoczyli go wreszcie i stanęli nad nim pełni zdumienia.

— Co za okaz! — zawołał jeden z chłopców. — Widzicie, jak mu skrzydła drgają?

Drgały, kurczyły się i znowu rozszerzały. Budził mimo swego przykrego położenia pewien respekt, toteż młodzi łowcy przeszłości okrążali go w bezpiecznej odległości.

— Tak — odezwał się stary pan — siedzi nieborak i nie podniesie się więcej. Fatalna sytuacja!

— Dlaczego?

— Bo nie ma pola do startu. Chłopcy, zmierzcie no rozpiętość jego skrzydeł.

Robili to krokami. Gad towarzyszył tym ruchom swym ciężkim spojrzeniem. Gdy pomiary te wykonywał ponownie Kopruch, pteranodon zatrzęsł się cały, poruszył gwałtownie swymi płachtami i zagadał krótko.

— Dziewięć metrów — oznajmił Plecionka — większego okazu nie dostarczy chyba żadne wykopalisko.

— Boże — rzekł Romek — to pteranodon skazany jest na śmierć głodową, przecież nie może się podnieść.

— Może odlecieć, gdy się zawiesi gdzieś swymi szponami, albo jeśli się wczółga na jakiś wystający głaz.

Przyglądano się bacznie gadowi. Wszyscy zauważyli, i że jego dziwna głowa, z pyskiem niemal bezzębnym, ale za to uzbrojonym w rzadkie haki, jest dłuższa od reszty ciała. W oczach latającego gada czaiła się obawa przed nie znanymi mu istotami, które otoczyły go tyralierą. Gad zrywał się i wydymał równocześnie peleryniaste skrzydła niby do lotu. Potem nastąpił rozpaczliwy skok. Pod szkliste błony wsunęła się poduszka powietrza i potwór spłynął na niej skośnie nad samo morze. Rozpęd jednak był za słaby, gad runął w przepaść, w wodę. I teraz zaczęło się tam dzieć coś niesamowitego. Woda w tym miejscu zagotowała się, zbulgotała, wrzała, pryskała na wszystkie strony, strzelała fontannami, chlastała bryzgami w zdumionych ludzi. A w tej kotłowaninie piany i fal miotał się pteranodon: zapadał w toń, wychylał i obracał się, wydając z siebie coś pośredniego między sykiem i urywanym, ochrypłym skrzeczeniem, w którym wyczuwało się ból oraz przerażenie.

— Rany! — denerwował się Kopruch — co się tam dzieje?

— Widocznie morze nie jest takie niewinne, jak wygląda — rzekł pan z brodą wzdrygając się, jak i jego wnuk.

Jakby na potwierdzenie tego przypuszczenia wydostały się z wody naraz trzy nieduże, gładkie głowy z długimi szyjami. W wąskiej paszczęce, rozwartej drapieźnie, jeżyły się ostre zęby.

— Wężę — wykrztusił z siebie z odrazą Lonek.

— Zobaczycie — rzekł stary Osiecki z przejęciem — co jest przyczepione do tych wężów.

Ujrzeni to prawie w tej samej chwili. „Wężę” bowiem wspięły się jak rumaki nad wodę i uderzyły młotami pysków w ofiarę. Zdumieni chłopcy ujrzeni, że „wąż” przyrośnięty jest do olbrzymiego tułowia koszmarnego gęsi lub żółwia. Morskie potwory miały cztery płetwowe wiosła jak fok. Najbardziej przerażająca była długość ich węzowatych szyi.

— Dałbym głowę — rzekł znowu lekarz, obserwując z ogromnym zainteresowaniem mieszkańców jurajskiego morza — że ta szyja ma około dziesięciu metrów. Biolog Cuvier porównywał plezjozaury⁵² do węzów przeciągniętych przez szkielet żółwia.

— Ale ja się na to nie mogę patrzeć, dziadku, choć na ogół jestem twardy. To straszne!

Naprawdę straszne było to, co działo się we wzburzonych odmętach. Latający gad podobny teraz był do boi-pławy, urwanej z kotwicy, która stała się igraszką fal. Skakał i tonął, przechylał się i wywracał.

— Tak — przyznał lekarz — niesamowity widok. Tylko silniejszy przetrwa...

— Odkąd wędrujemy po tych piekielnych krainach — powiedział Plecionka melancholijnie — nie widzimy nic innego, jak pożeranie się wzajemne.

Tymczasem „pożeranie” miało się widocznie ku końcowi. Znikły bowiem strzępy błon na wodzie, a plezjozaury wyprostowały łuskowate szyje na kształt monstualnych peryskopów w stronę wyspy.

— Rzuć się na nas — rzekł Lonek, odsuwając się ostrożnie od wody.

— Nie ma mowy, odpłyną w poszukiwaniu nowych ofiar.

Tak się też stało. Plezjozaury zanurzyły się ponownie, przez pewien czas widać było ich małe głowy, oddalające się niby pływaki na fali, wreszcie i one znikły.

— Nie znoszę krzywdy — zżymał się Kopruch — a tu jeden drugiego zabija.

Wyznanie to było tak niezwykle w ustach szyderczego zazwyczaj chłopca, że koledzy spojrzeli na niego zdziwieni. Lekarz inaczej zareagował na słowa Koprucha:

— Baczno obserwatora natury — rzekł tonem uspokajającym — taka walka nie wzrusza. Prawa rządzące przyrodą...

Te niewesołe medytacje przerwał nagły okrzyk Romka.

— Łąd, łąd! Widać tam pełno zieleni. Na prawo...

Istotnie, był to łąd połączony z miejscem, na którym stali, pręgą kamiennych progów. Przez ten skalisty; „ozór” śmigły wprawdzie bicz morza, ale nie tak silnie, by mogły podbić nogi wędrowcom. Chwila namysłu... i ruszono na spotkanie zieleni, pełnej zapewne tajemnic. Za firaną pryszniców morskich zacierały się kontury postaci chłopców. Wkrótce byli daleko od reszty towarzystwa. I wtedy rozległ się ich gromadny okrzyk:

— Plezjozauryyyy!...

Starsi przyspieszyli kroku i nagle ujrzeni przerażające stworzenia groźniejsze jeszcze i potworniejsze niżli w wodzie. Pod grupką cykadowców⁵³, rozpościerających nad swymi kadziowatymi pniami potężne pióra i palmowych liści, leżały plezjozaury. Jeden z nich obwijał skrętami swojej węzowatej szyi pień drzewa i myszkował głową w jego liściach. Obserwujący to zadrżeli. Byli pewni, że gdyby wyprostował te elastyczne skręty, osiągnąłby ich z łatwością. Toteż odruchowo zawrócili. Powstrzymał wszystkich głos Koprucha.

— Wujku, one ledwo, ledwo suwają się po łądzie. Widzieliśmy, że ostatni czołgał się jak foka przy pomocy płetw.

— Rzeczywiście — przyznał mu rację Duszka — wychodzą często na łąd, składają na nim swoje jaja. Ale... Wiecie co? Nie było jeszcze rybojaszczura-ichtiozaura. Dałbym się porąbać za to, że gdzieś i on w tej wściekłej wodzie buszuje.

Na razie jednak nie było na to konkretnego dowodu. Wszyscy więc pilnie lustrowali wspaniałe otoczenie. Roślinność jurajskiego krajobrazu niewiele się różniła od triasowego. Znowu zetknęli się z drzewami szpilkowymi, znowu były miłorzęby i skarłowaciałe paprocie. W ogóle, wyspa czy też łąd, była siedliskiem bujnej runi i bujnych pięter krzewów i drzew. Pod ich stopy ścieliły się prawdziwe kobierce kwiatów: pachnących, różnokolorowych. Powietrze upalne, tropikalne, rozedrgane, wibrujące życiem małych i wielkich owadów. Ale poza tym nie było bardziej widomego znaku życia na tym pstrym pustkowiu.

— Szukajmy przygody — zawołał Kopruch — gdzieś ona tutaj na nas czeka. Byleby nie było cmokania gadów, bo tego przysięgam, nie znoszę.

— Może oprócz tamtych ptaków spotkamy jeszcze inne — rzekł Lonek.

— To nie ptaki, tylko gady — wtrącił poważnie I)uszka.

Szli spacerkiem rozglądając się na wszystkie strony. Nad fiołkowym kwiatem zatrzymała ich spora ważka o ogromnych oczach, tak wyrazistych i tak przenikliwych, że można się jej było przeleknąć. Nieco dalej oderwała się od drzewa olbrzymia jętka z czułkami jak anteny telewizyjne. Potem znowu furknęło coś jak ptak w powietrzu. Była to olbrzymia szarańcza.

Znawali się wciąż pod wrażeniem tego prawdziwie egzotycznego krajobrazu. Oto wspaniały gaj z uroczymi palmami, jakby wyjętymi z barwnych ilustracji. Zapatrzeni, urzeczni tym widokiem, nie zauważyli, że z korony jednej z palm oderwał się jakiś cień, który poszybował do morza. Lecz wtedy, gdy już miał zniknąć w dali, Lonek krzyknął przeraźliwie:

— Oj, szybko, szybko!... Leci... ptak-latawiec! Jaki ma ogon! Latawiec!...

— Rzeczywiście — rzekł młody Osiecki. — Mignął mi tylko przed oczami... Pocieszmy się jednak: jeśli był jeden, znajdzie się drugi... Jędreku, czyżby to był jaszczur latający, ów paleontologiczny Rhamphorhynchus⁵⁴, czyli po naszymu ramforynch?

— Zobaczymy...

Nagle długi Krzyś rzucił się gwałtownie do gładkiego pnia palmy i chwycił za coś, co z niego zwisało. Lecz w tej samej sekundzie krzyknął z obrzydzenia i cofnął rękę. Był to dziwny chwost, który szybował teraz z brązową płachtą prosto w słońce.

— Co to było? — dopytywali się jego koledzy.

— Brr, umrę chyba — odparł Kopruch, wycierając rękę o spodnie. — Nie widzieliście? Obrzydliwy gad. Myślałem, że to daktyl, a to nagi szczurzy ogon. Widzieliście jego zęby?

— Trochę przesadziłeś, Krzysztofie — rzekł jego wujek. — Ogon był owłosiony. Różnił się więc bardzo od tamtych gadów latających.

— Po co mu ten długi ogon?

— To ster — pospieszył z wyjaśnieniem inżynier Duszka. — No, obserwujcie go dobrze.

— Brzydzą się tymi moimi przodkami — rzekł Kopruch.

— To nie są twoi przodkowie, Krzysztofie — śmiał się lekarz. — Nie, na pewno nie.

— Pokazano ci ich podczas naszej wycieczki do triasu — odezwał się teraz Plecionka. — Pamiętasz?

W chwilę później przekonali się, że sprzyjało im wyjątkowe szczęście, lub też — być może — ziemia ta obfitsza była w oryginalne stworzenia. Z nastroszonych listowiem palm wydarł się inny ramforynch. Był to okazały jaszczur z brzydkim, dziobowatym pyskiem, w którym straszyły sztyletowe zęby. Z jego gardzieli wydzielały się osobliwe dźwięki: chrapliwe rechotanie. Za ramforynchem płynął długi szczurzy ogon z błoniastym listkiem.

— Wygląda na to — powiedział któryś z chłopców ponurym głosem — że wcale nie ma tutaj ptaków. Ciągłe gady i gady. Oszaleć można. Gady w morzu, na lądzie i na dodatek jeszcze w powietrzu.

— Bo to rzeczywiście era gadów — tłumaczył Duszka. — Tak, cała era mezozoiczna, albo jak ją nazywają — średniowiecze ziemi — to prawdziwa era gadów. Może napotkamy jakiego diplodoka lub tutejszego dinozaura, który wzbogaci nasze wyobrażenie o tych właśnie czasach. Być może, iż na naszych oczach załopocze wreszcie ów praptak, przodek wszystkich upierzonych stworzeń.

— Szukajmy więc praptaka! — zawołał Romek. — Poznamy go pewnie po pierzastej szacie.

— Oczywiście.

Akurat w tym czasie otoczenie zaczęło się raptownie zmieniać. Po pięknym gaju palmowym przyszła kolei na dziwaczne drzewa podobne do paproci, w końcu w zagłębieniu z lśniącymi kałużami wody ukazały się ostre sylwetki karłowatych skrzypów. Nieco dalej, przez

azurową ścianę trzciniowatych roślin, przeświecało srebro wielkiej tafli wodnej. Nad nią zaś kołowały jakieś strzępiaste łachmany, którymi — zdawało się igrał swawolny wiatr. Chłopcy i lekarz nagle gdzieś się zawieruszyli.

— Krzysztof! — wołał profesor Osiecki. — Krzysiuuu!...

Puszcza jurajska, odpowiedziała na to osobliwym echem. Echo to, splątane w chaotyczną płataninę głosów odpłynęło het na morze, a natychmiast po nim zjawily się głosy skłócone, popychające się, rosnące i przybliżające coraz bardziej:

— Małpolud! — nagle doszło do profesora głośnie wołanie.

— Małpolud! — był to teraz głos Lonka. Ryczał jak opętany.

— Nie przesadzacie czasami? — zawołał nauczyciel. — Zejdźcie no do nas.

— Wujku, to prawda — mówił Kopruch zbiegając w towarzystwie swoich przyjaciół na dół. — Potwornie kudłaty małpolud pędził w naszą stronę. Wyglądał jak półczłowiek, półmałpa.

Wynalazcy eroeksplorera spojrzeli po sobie, potem ryknęli nagłym śmiechem. Gdy się wreszcie uspokoili, Osiecki wyjaśnił:

— Chyba tylko gad. Nie ma innych zwierząt prócz gadów i małych torbaczy-ssaków. Nie ma!

— Ależ widziałem go wyraźnie — kłócił się Kopruch. — Chodźmy do góry.

I od tej chwili chłopcy zaczęli przekrzykiwać siebie, bombardując zacisze lasu zawodzącymi jękami i głośnymi okrzykami.

— Dlaczego wrzeszczycie? — starsi zaczęli się niepokoić.

— Wujku, słyszysz, to ten sam ryk tego małpoluda!

— Powiedz jeszcze — dodał szybko Obartel — że podnosił na nas pięści, bębnił nimi po swojej piersi i ryczał. Jak prawdziwa małpa. Słyszałem, że wył: aliooo!... aliooo!...

— Nie — poprawił go Paszenda — rżał jak opętaniec: hohohooo, hohooo!

— Coś takiego — śmiał się inżynier Plecionka — może jakiś dinozaur na dwóch nogach. A czy zwróciliście uwagę na echo ?

— Słyszycie? — Kopruch przyciszył głos i spojrział w górę. — Znowu to „hohohoooo”! Wujku, to ludozerca!

Po tych słowach Kopruch obrócił się gwałtownie w kierunku tajemniczego głosu, nappełnił płuca potężnym haustem jurajskiego powietrza, i ryknął jak tyranozaur⁵⁵.

— No, teraz chyba się przestraszy i ucieknie — rzeki bardzo poważnie jego wujek.

— Wujku, śmiejesz się, a on naprawdę ucichł...

Nie zdążył dokończyć, kiedy między drzewami zamajaczyła jakaś wysoka postać z dzikimi oczyma i straszną, rozmierzwioną brodą. Chłopcy zawyli równocześnie:

— Małpolud! — i pomknęli w popłochu ku skrzypom.

Ale wtedy małpolud wydał ze siebie tak niesamowity rechot, że wszyscy na dole zadrżeli. Kopruch, który już, już zniknąć miał w zielonym gąszczu, obrócił się na pięcie i zarżał jak źrebię wypuszczone po raz pierwszy ze stajni.

— Rany! Dziadku! Bo pękne!... Dziadku! Dziadku!

Lekarz ocierał czoło kolorową chusteczką i osuszał śmiejące się oczy.

— A to tchórze! — grzmiał. — Ja krzyczę na nich, by zaczekali, a oni pędzą na oślep. Rwą jak szybkobiegacze. Krzyczę co parę minut „halo”, a oni zwiewają, jakby ich kto batem smagał.

Gdy się w końcu wyczerpała wesołość wszystkich, ruszono w stronę jeziora. Okrążano je, bacznie obserwując zielonkawą wodę. Podnosiły się z niej kalamity z rudymi czubkami. Właśnie z jeziora wydostał się ów aksamitny strzęp łacha, zauważony uprzednio przez Osieckiego i jego przyjaciół. Domyślano się już teraz, że to jeden z tych dziwnych potworów szubujących w powietrzu.

— Czy wiecie, co tu jest? — zagadnął Duszka chłopców.

— Jeszcze jeden jaszczur latający — Kopruch wzruszył lekceważąco ramionami.

— Niby tak, ale ściślej pterodaktyl ⁵⁶.

Na szczęście bez szczurzego ogona.

I Pterodaktyl płynął w górze, jak łódź żaglowa na cichej fali. Po chwili zniknął. Ruszyli więc dalej, wypatrując jakiejś wyrwy w roślinnym kołnierzu jeziora. Wkrótce też skrzypy ustąpiły, a ukazała się ogromna, metaliczna płyta jakby poradlona gąsienicami czołgu. Wszystko na niej stało się jaskrawo widoczne: nisko nad wodą pterodaktyle, uwijające się, maczające swe „kadłuby” w toni, a potem kołyszące się znowu w powietrzu. Nie były wielkie. Patrzącym z dala wydawało się, że to jaskółki igrając muskają wodę. Tymczasem pterodaktyle kontynuując śmiałe loty, dotarły bliżej brzegu. Można je było już dokładnie oglądać. Przypominały płachty wydarte z parasola i przypięte między palcem i bokiem potwora. Pterodaktyle były co chwilę lustro wody i pierzchały z upolowaną rybą w zębatej paszczęce.

— Są zgrabniejsze niż tamte — orzekł lekarz. — I mniejsze.

— Ciekawy jestem, czy i one wzajemnie się pożerają? — zastanawiał się Kopruch.

Naraz uwagę wszystkich zwróciły jednocześnie dwa wydarzenia: jedno tuż na brzegu, drugie na jeziorze. Oto dwunożny, mały jak krasnoludek gad, atakował podskakując zadzierny raka, wydobytego zapewne przed chwilą z wody. Rak, wielka, wojownicza sztuka, bronił się nożycami, gad nie zważając na świadków swego boju, poszturchiwał przeciwnika krótkimi przedni kończynami, a w dogodnych chwilach zatapiał w nim ostre zęby. Natomiast na wodzie budziło uwagę jakieś obłe skalisko, lśniące w jurajskim słońcu. Wraz z ruchem tego ciała zmieniały się dwa rogi sunące ku ludziom na brzegu.

— A cóż to znowu za dziwoląg? — mruknął inżynier Plecionka.

— Patrzcie, zrywa rośliny wodne!

— Chciałbym toto wreszcie zobaczyć.

— Musimy trochę poczekać, bo to jest stworzenie które nie potrzebuje się wynurzać.

— Jak to?

— Widzicie, chłopcy, te rogi? To nozdrza, którymi zwierzę wciąga powietrze.

A szary, lśniący nurek zbliżał się coraz bardziej do brzegu. Już, już widać było cały grzbiet, wychylały się też rogi. W końcu gad podniósł głowę, a wtedy ujrzano oczy ginące w fałdach skóry. Fantastyczne rogi wyglądały jak dwie sklejone ze sobą rury z otworami na górze.

— Ależ nozdrza! — szepnął Osiecki do chłopców.

Olbrzym wychodził człapiąc powoli z wody, ciągnąc za sobą długi, gruby, zwężający się ku końcowi ogon, A jakie potężne miał nogi!

— Większy niżli chirotherium. Jak się nazywa?

— Znam się co prawda tak na paleontologii, jak Krzysztof na małpoludach — żartował stary lekarz — ale wygląda na to, że to dinozaur. Prawda panowie?

— Tak — odpowiedział Duszka — to będzie chyba takk zwany parasaurolop ⁵⁷. Chociaż taki pasowałby bardziej do kredy ⁵⁸...

Parasaurolop zwrócił na moment swą niemal koźłą twarz z rurowatymi rogami w stronę przybłądów z innego świata. W jego wypukłych, gadzich oczach zalśniło zdumienie. Nigdy nie widział takich stworzeń!

Inaczej zachowywał się pocieszny skrzat, który zjadłszy właśnie odwłok raka, ocierał łapkami pyszczek. Następnie drobnymi skokami podchodzić zaczął do komicznych istot. Zamarł wreszcie i jął obserwować nieruchome postacie.

— Ejże — zawołał nagle nie wytrzymując Kopruch — ten pajac wcale się nie boi. Cóż to za stwór?

— Być może, że to compsoognathus ⁵⁹, mały dinozaur — rzekł Duszka.

Po tej prezentacji „pajac” zrobił w tył zwrot, umykając wzdłuż brzegu krótkimi hopsańcami, aż go przykryły najbliższe krzewy. Wielki dinozaur znikł w jeziorze.

Inżynier Plecionka objął spojrzeniem całą połąć niezwykłego jeziora:

— Jednego tutaj nie rozumiem. Zauważyliście, jaki tu wszędzie spokój? Istna sielanka, a mimo to, wszystkie gadziska są ciągle czujne. Dlaczego wolą przebywać w wodzie niżli na lądzie, gdzie pełno soczystego zielska?

— Spokój ten jest złudny — opiniował Duszka. — Pterodaktyle polują na ryby, dinozaurowaty pajacyk chrupie skorupiaka. Być może, iż w zaroślach czai się drapieżca na parasaurolopa lub na diplodoka. Gdzie są zwierzęta roślinożerne, muszą być i mięsożerne. To, że wielkie gady chronią się w wodzie, ma jeszcze inną przyczynę. Są to przecież potworne cielska, trudno je przez czas dłuższy nosić na nogach, choćby nawet na kolosowatych filarach. Woda, jak wiadomo, ciężar ten skutecznie amortyzuje.

Było to znowu wypowiedziane w porę. Chłopcy bowiem, stanowiący jak gdyby przednią straż pochodu, skoczyli gwałtownie naprzód, a potem zamienili się w słupy soli. Na niewielkim placyku toczył się zaciekły bój nie znanych im zwierząt. Stały na dwóch nogach, dorównywały wzrostem człowiekowi.

— Dinozaury — rzekł młody Osiecki — to te, które lubią mięso.

Dwa potwory wspierały się tylnymi kończynami w udeptane podłoże, a rozdawały ciosy przednimi oraz atakowały groźnymi paszczami. Dinozaury spychały się wzajemnie, potem odskakiwały. Miały one szerokie miednice, ruchy kaczkowate, ptasie.

— Niemiły widok — rzekł Plecionka — posoka z nich płynie, ale walczą uparcie. Wiadomo, jaki będzie wynik. Jeden drugiego zagryzie. Wiejmy do lasu.

Pożegnali więc ostatecznie „zaciszne” ustronie i weszli w las miłorzębów, przetykany gdzieniegdzie strzelistymi iglastymi drzewami. A wtedy zobaczyli to, co nie dawało im długo spokoju. Z najbliższej gałęzi oderwał się ptak...

Chłopcy zaczęli krzyżeć:

— Ptak, ptak, ptak!

— Ojciec wszystkich ptaków, czyli praptak — stwierdził inżynier Duszka. - Ale wciąż jeszcze gadoptak. Archeopteryks⁶⁰...

— Przecież jest upierzony.

Praptak nie był tęgim lotnikiem. Spłynął jak szybowiec na ziemię. Tutaj przysiadł i prostował się jakby do nowego lotu. Bezskutecznie. Potem podbiegł do najbliższego drzewa i zaczął się po jego pniu wspinać do góry. Była to doskonała okazja, by przyjrzeć mu się dokładnie. Archeopteryks nie rozstał się jeszcze z wszystkimi cechami gada. Mówiła o tym dziwna głowa z dziobem pełnym zębów, mówił też o tym jaszczurzy ogon, choć pokryty już piórami. Ojciec wszystkich ptaków pomagał sobie przy wspinaczce pazurami skrzydeł i szponami nóg. Wreszcie skoczył na konar i pokiwał ogonem jakby na pożegnanie chłopcom. Wiedzieli, że biedak mógł startować do lotu jedynie z drzewa.

Archaiczny ptak siedział teraz na gałęzi i spoglądał okrągłymi oczyma na gapiów.

— Pozostaje nam jeszcze poszukać naszego pratatusia — powiedział Kopruch z głową zadartą ku górze.

— Siedzi na drzewie — oznajmił lekarz.

— Kto?

— Praczułowiek.

— Gdzie?

— Nieco wyżej niż archeopteryks. Przytulony do drzewa.

— Ha, ha, ha... — śmieli się serdecznie chłopcy, a Kopruch dodał przekornie: — To stworzenie jest podobne do wiewiórki, czy szczura albo nawet do tego torbacza z ostatniej wycieczki...

— No właśnie — wesołość ogarnęła również panów.

Trójka przyjaciół wpatrywała się długo w niepozornego przodka. Wzrok chłopców często wędrował do lekarza i twórców eroeksplorera, ale nie można było dostrzec żadnej drwiny

w ich oczach.

— Tak, chłopcy — odezwał się Duszka — nasi praprzodkowie byli tylko małymi zwierzątkami.

— Myślałem, że dorównywały wielkością słoniom czy mamutom.

— Tych zwierząt nie ma jeszcze na świecie. Jest praczłowiek.

Podczas tej rozmowy praprzodek, oceniwszy nieufnie sytuację na dole, począł się czołgać na brzuchu do brodawkowatego pnia. Wkrótce też jego spiczasty łebek zagłębił się w niewielkiej dziupli, a za nim wsunęło się podłużne ciało. Rozśmieszyło to bardzo Koprucha.

— Ha, ha, ha... nasz pradziadek wlaź do dziupli. Ha, ha, ha...

Wracali w kierunku morza. Widzieli je znowu w całej potędze. Fale nacierały na wysepkę, perliły się tam bezustannie w miliardach cząsteczek. Schodzili po czerwonozielonym piasku na kamienne katarakty, kiedy drogę przeciął im nagle jakiś dziwny stwór. Na głazy wkroczyła straszliwie wielka ryba z pyskiem zakończonym długą piłą.

— Mamy naprawdę szczęście — wykrzyknął inżynier Duszka. — To przecież ichtiozaur ⁶¹! Ichtozaur, praprzodek delfinów. Gad, który żył już na lądzie, ale ostatecznie wrócił znowu do wody.

Gad-ryba pomagał sobie w wędrówce mocnymi klockami płetw, które przenosiły jego długie cielsko przez kamienną zaporę. Ichtozaur mierzył około pięciu metrów. W końcowej fazie swej krótkiej peregrynacji zjechał po prostu do wody, podobny do wodującego statku, który z chłuszczącym bryzgiem zanurza się w morski żywioł.

— I już dalej płynie — rzekł Romek.

Fioletowy grzbiet ichtiozaura ślizgał się po wodzie jak stalowa kresa łodzi podwodnej. Wreszcie pochłonęła wszystko zacierająca się dal.

LEKARZ I PACJENT

Romek rozejrzał się po okolicy, budząc się jakby ze snu. Wszystko bowiem znikło. I wszystko było jak dawniej: pofałdowany, późno jesienny krajobraz z lasem tak czerwonym, jakby skropionym purpurą krwi. W gardle wąwozu, rozszerzającego się jak olbrzymia tuba w stronę uroczej doliny, stał samochód z przyczepą, nieco niżej, podobna do powiększonej biedronki, odpoczywała „Kometa” Józka Proksza. Widać było, że eroeksplorator przygotowywał się do drogi powrotnej. Romek ujrzał ojca, skracającego anteny na wozach. Na jego widok westchnął z cicha. Widział też jak na dłoni doktora i inżynierów, którzy dyskutując ze sobą, zapelniali kredowymi zapisami burty samochodu. Były to wszystko niezrozumiałe znaki, liczby, wykresy, parabole wiodące zapewne do nowych rozwiązań i ulepszeń eroeksplorera.

To, co widział przed kilkunastu jeszcze minutami i to, co dostrzegał teraz, wydawało się sprzeczne, nie do zrozumienia.

Zainteresował go znowu las. Z drzew kapwały złote i czerwone liście, pomnażając barwne plamy kobierca leśnego.

— Roman — zagadnął go Proksz. — Mam piekielną naturę. Nawarzyłem sobie znowu piwa. Powiedziałem do starego doktora: wujku. Zauważyłeś?

— Doktorowi się to nawet podoba. Lubi młodych, sam to chyba wyczułeś! Krzyś mówi, że w jego klinice chorzy go nie nazywają inaczej, jak właśnie dziadkiem.

— Całe szczęście, że nie powiedziałem mu „stary”. Nie robię tego wszystkiego z braku szacunku do starszych. Przeciwnie...

Byłby się Proksz jeszcze dalej dręczył, ale z góry, z drogi przywoływał obu Kopruch.

Trzymał on swego dziadka pod rękę, a obok niego stali Janek i Lonek.

— Hej, hej — nawoływał — chodźcie szybko do nas, dziadek chce sobie trochę pospacerować.

— Tak, przejdźmy się trochę, chłopcy — rzekł lekarz. — Widzę naokoło przepiękne krajobrazy: ciche wsie, kryjące się w złotych sadach, malownicze runie zbóż z łubinami, a dla kontrastu hałdy, szyby, kominy...

Byli daleko za Wsią i jeszcze się od niej oddalali. Szli na spotkanie z lasem. Czuli jego orzeźwiający tchnienie. A wszystko to spływało na nich szeroką strugą, działało kojąco na ich wyobraźnię, pełną jeszcze wspomnień o surowości, dzikości i okrucieństwie pierwotnej ziemi. Tej, której jeszcze nie okrzesała wola, dążenie i ręka człowieka-cudotwórcy.

Weszli już w las: sędziwy człowiek w otoczeniu młodych, jak dziadek z gromadą wnuków. Rozmawiali, śmiali się, zachwycali otoczeniem, jego przepyszną, godową szatą. Tu bowiem rozwierały się przed nimi drzewa, robiąc miejsce żółtej porębie z czarnymi karczami, tam zaś dalej, pod jej wzniesieniem przyciągała ich spojrzenie wielka pasieka złożona z dziesiątek lub setki niskich uli. Jeszcze kilka kroków, a mijali przydrożną starą kuźnię z zamkniętymi drzwiami, nad którą leciwy dąb rozpościerał swe powykęcane ramiona. Potężny zmarszczony pień nosił na sobie gablotę ze świątkiem, tak schłostanym przez deszcz i słoty, że wyglądał jak znoszony medal na starczej piersi weterana.

Ten widok kuźni rozbudził nagle pamięć chłopców. Przypomnieli sobie naraz charakterystyczną postać kowala Kalemby. Czyżby tutaj właśnie mieszkał? Parę metrów dalej ujrzeli w głębi, za spłowiałymi sztachetami, schludny, biały domek z gankiem. Okna ganku błyszcząły w słońcu pełne jesiennych kwiatów.

— Mówię wam, że tam pewnie mieszka Kalemba — powiedział Lonek półgłosem.

Lekarz przystanął i zwrócił swe łagodne, dobre oczy na wiejską zagrodę z jej brązowo-purpurowym ogrodem.

— Pięknie tutaj, prawda, chłopcy? — rzekł po chwili, a wspominając zgiełk i nerwowość wielkich miast, dodał z nutą zazdrości: — Szczęśliwi ludzie, którzy mieszkają w takim zaciszu.

Było to wszakże westchnienie na w pół prawdziwe, gdyż zdawał sobie sprawę, że szczęście nie zawsze obiera sobie za przytułek urodziwe, zaciszne miejsca.

Pod ścianą kuźni stały nagie szkielety naprawionych lub czekających na naprawę wozów. Na dyszlu najbliższego siedział skurczony człowiek w narzuconym na ramiona płaszczu. Twarz miał markotną, a oczy bez wyrazu.

— Lukanek, to przecież pan Czogała — szepnął Proksz do Romka — ale już nie ten, którego widzieliśmy pod grodziskiem. Co się z nim stało?

— Może chory. Wygląda na apatycznego. Pewnie nas dzisiaj nawet nie podpatrywał.

Stary pan doktor Osiecki nie odrywał się od płotu. Jego uważne spojrzenie spoczywało na człowieku, który ich nie spostrzegł, choć — jak wiedzieli chłopcy — nic przedtem nie uchodziło jego uwagi. Można się było domyślić, że lekarz pragnął nawiązać rozmowę z osowiałym gospodarzem.

— Dzień dobry panu! — zawołał.

Czogała nie zareagował.

— Czy to pana ta pasieka?

Teraz dopiero podniósł zagadnięty głowę i burknął niechętnie:

— Być może. Dlaczego pan pyta?

— Tak sobie. Interesuję się pszczołami, a tu uderzyła mnie nowoczesność i ład tego pszczelego miasteczka. Pszczołki pana produkują zapewne pierwszorzędny miód...

— Dobra, dobra. Idźcie sobie, dobry człowieku. Nie mam ani czasu, ani ochoty na pogwarki.

— Przepraszam...

— Nie stać mnie na uprzejme słowa.

— Widzę właśnie. Choroba albo zmartwienie?

— Eee... to mało. Klęska!

— Wobec tego jeszcze raz przepraszam. Niech pan traci głowy, może wszystko obróci się na lepsze.

— Nie ma nadziei, szanowny panie. Wiem, co mówię. Ale pan mnie i tak nie rozumie.

Lekarz oparł ręce na płocie i czekał. Jako znawca ludzkich dusz wiedział, że trzeba teraz właśnie być cierpliwym. Odgadł bowiem, że ma przed sobą człowieka, który bardzo rzadko odsłania swe serce. Była to natura silna, opancerzona wolą łamania przeciwności, pragnieniem zapanowania nad uczuciami, ale ostatecznie i w niej, jak w przegrzanym kotle, wzrosło takie napięcie, że trzeba było je w jakikolwiek sposób wyzwolić.

— Och, klęska, panie! — powtórzył gwałtownie Czogała. — Jakże cierpię ja, którego wszyscy mają za człowieka twardego. Co się we mnie dzieje! Nawet żona moja tego nie rozumie. I kamień, okazuje się, ma serce, Jeśli tylko dobrze weń ugodzić.

Lekarz milczał, choć słuchał ogromnie uważnie. Jeszcze przecież nie nadeszła jego pora, żeby wkroczyć, żeby zachęcać do życia, do wytrwania, do czepiania się nawet nikłej nadziei, dopóty się ona jeszcze tli.

— Wczoraj zawiozłem moją córkę do szpitala. Nie mogłem patrzeć na to, jak bardzo cierpi. Te jej nieszczęsne oczy...

Pan Osiecki wsparł się mocniej o płot, na jego twarzy nie było widać śladu wzruszeń. Był spokojny, zrównoważony, gotowy do przyjęcia skarg, jak zawsze wtedy, gdy wysłuchiwał swoich pacjentów w klinice.

— To znaczy, że pana córka nie widzi?

— Jest niewidoma, straciła wzrok w trzecim roku życia.

— Czy przyczyną utraty wzroku była może zakaźna choroba?

— Tak, ale po co pan pyta? I tak jej pan nie pomoże. Nikt jej światła nie przywróci. Gdzie ja już z nią nie byłem i wszystko na nic.

— Pytam, bo jestem lekarzem.

— Co?

— Profesorem, sławnym lekarzem — huknął entuzjastycznie Józek za jego plecami. — Pan profesor leczy oczy.

— Dziadek może pana córkę uratować!

Pan Osiecki podniósł rękę ze zniecierpliwieniem. Kopruch znając dobrze swego dziadka, uciszył towarzyszy. Kowal wstał ociężale i zaczął się zbliżać powoli do starego pana z brodą patriarchy. Nie odrywał pełnego nadziei i oczekiwania wzroku od twarzy lekarza.

— Jest pan lekarzem?

— Tak. Zajmuję się okulistyką. Czy mógłbym zobaczyć pana córkę?

— Nie ma jej w domu, panie doktorze. Mówiłem przecież. Sala numer dwadzieścia sześć, pierwsze piętro na prawo. Doktor Antoni Kołodziej, salowa Ewa Bednarczyk...

— Dziadku — wmieszał się Kopruch do rozmowy — ci dwaj moi przyjaciele, Józek Proksz i Romek Lukanek znają dobrze tę dziewczynkę, można powiedzieć, że się z nią nawet przyjaźnią.

Oczy kowala stopniowo łagodniały, wzruszony dziękował profesorowi.

— Nie, nic panu nie obiecuję — rzekł stary lekarz. — Tyle, że będę u niej jutro o godzinie dziesiątej rano. A potem zobaczymy.

— Aha — zwrócił się pan Czogała do Proksza — ty jesteś tym, który zna historię Pepika.

— Tak, i mogę ją panu opowiedzieć. Znam wiele podań, legend i historii. Ponieważ znam pana córkę, gotów jestem jeszcze więcej dla niej zrobić...

Czogała stał chwilę wyprostowany. Jego szeroka twarz zmieniła się nagle:

— Która godzina?

— Już dawno po dwunastej.

— Co? — krzyknął gwałtownie. — Żartujecie. Przegapiłem pewną sprawę. Gdy Jolka wyzdrowieje, nigdy mi nie przebaczy tej opieszałości. Obiecałem jej, że będę oszczędzał Kalembę. Szanuję jej litościwe serce, ale nie mogę nie wiedzieć, co się na mojej ojcowiznie dzieje. Proszę mi wybaczyć, panie profesorze, byłby mi pan najdroższym gościem, gdyby nie ta sprawa. Muszę pana pożegnać. Dziękuję za otuchę i nadzieję.

I nie tłumacząc się więcej, zakręcił się w miejscu i rzucił do furtki. Wszyscy z rosnącym zdziwieniem widzieli, jak pędzi z rozwianymi połami płaszcza, podobnym do żydowskiego chałata, z łysą głową, w jednym bucie i jednym pantoflu na nogach przez drogę, potem wzdłuż pasieki, aż wreszcie zagłębia się w las i znika.

— Ciekawy człowiek — powiedział stary doktor, potrząsając głową, jakby nic z tego nie rozumiał. — Co mu się stało?

— Och, dziadku, opowiem ci to później. Rywalizacja. Polecił tropić niejakiego Kalembę, o którym trochę już słyszałeś. To jest właśnie zdumiewające, że wszyscyśmy tutaj opętani jedną manią: łowienia minionego czasu. Dodałeś mu otuchy i pan Czogała odzyskał znowu wszystkie siły.

Nazajutrz Kopruch zawiadomił czwórkę swoich przyjaciół, że wszystko dzieje się według zapowiedzianego planu. Dziadek poszedł do szpitala. Gdy go nie było po skończonych lekcjach, Kopruch zmobilizował swoją gromadkę i wyruszone razem w odwiedzinach do Jolki. Chłopak poruszał się po korytarzach lecznicy, jakby się w niej urodził. Wzbudził tym jeszcze większy podziw u kolegów. Dyżurujący lekarz wysłuchał cierpliwie ich prośby i odpowiedział, że wie, o kogo chodzi. Polecił młodej pielęgniarence, by gości zaprowadziła do poczekalni.

— A nie wprost do chorej? — zapytał Kopruch w drodze.

— Nie — odparła pielęgniarka. — Dziewczynka jest ubrana i czeka na ojca, który zabrać ją ma do domu. Jest zdrowa. To nie było nic poważnego.

— A to niespodzianka! Może pani nam powie, czy był u niej dzisiaj starszy, bardzo poważny pan z imponującą brodą?

— Oczywiście, pan profesor Osiecki z Warszawy. Jest jeszcze zresztą u pana dyrektora, który kiedyś był jego uczniem.

Kopruch przystanął, wyprostował się, przybrał nieco teatralną pozę, i poprawiając swoje okulary, oznajmił prawie uroczyście:

— Hm, może zdziwi to panią, ale muszę pani powiedzieć, że to mój krewny, a ściślej mówiąc dziadek.

Byli teraz w grupce, pielęgniarka w środku, trochę drwiąco uśmiechnięta, a wokół niej Kopruch i jego towarzysze oczarowani jej świeżością, ładną buzią i powagą jej zawodu.

Uśmiechając się, rzekła:

— Pan doktor zbadał dziewczynkę i polecił, by ją przeniesiono do jego kliniki.

— Co? — wrzasnęli nieomal wszyscy naraz.

— To znaczy, że będzie ją leczył.

— Tak to rozumiem.

— Bo nasz dziadek — wtrącił Proksz nabożnie, kiedy już ruszyli dalej — jest, proszę pani, nie byle jaką sławą w stolicy.

— To panowie — śmiała się ona — jesteście wszyscy jego wnukami.

— Poniekąd tak — odpowiedział Kopruch. — Ale ja jestem jego najbliższym wnukiem...

Widać było, że dziewczynie te koligacje rodzinne wydały się niesłychanie zagmatwane. Milcząc dotarli do hallu i zobaczyli siedzącą za stołem Jolkę. Na jej subtelnej twarzyczce nie

było widać żadnych zmian. Uradowała się, gdy się jej przedstawili. A kiedy pielęgniarka znikła za drzwiami, Jolka zaczęła tłumaczyć przyczynę swego pobytu w szpitalu:

— Cały tydzień bolała mnie strasznie głowa, a w końcu dostałam gorączki. W domu bali się panicznie zapalenia opon mózgowych. Najwięcej gwałtu narobiła mamusia, wtedy to tatuś wezwał karetkę pogotowia. Dostałam zastrzyki i było po wszystkim. Ale najważniejsza nowina: jadę do Warszawy!

— Po co? — zapytał Romek udając zdziwienie.

— Po... sprawcę mego dnia — odparła dziwnie przekornie, a w głosie jej zabrzmiała nuta dziecinnej radości. — Jak myślicie, czy mogę się naprawdę tym cieszyć? Romku, a kim jest ten pan, który mnie badał?

— To Krzysia Koprucha dziadek, sławny lekarz.

— Ale skąd on wiedział, że jestem tutaj?

— Dowiesz się od swego ojca...

Nie zdążył dokończyć zdania, gdy drzwi rozwarły się gwałtownie i do obszernego hallu wtargnął jak burza barczysty człowiek z kaszkietem w ręce, a jego łysina pokryta była kroplami potu. Za nim wzbił się w powietrze szpitalne, przesiąknięte zapachami leków, podmuch listopadowego dnia: ostry i orzeźwiający. Proksz schował się za plecy Koprucha. Był to bowiem ojciec niewidomej dziewczynki.

— No — krzyknął przybyły — czuję, że mi kamień z serca spada. Widzę, że chodzisz, rozmawiasz, jeśli mnie słuch nie myli, nawet wesoło. Jolka, mów, jak się czujesz? Czy był pan profesor? Czy cię badał?

— Wszystko w porządku, ojczulku — odpowiedziała pewnym głosem dziewczynka. — Znalazł się cudowny lekarz, który mnie uleczy...

— Dałby Bóg, kochana. Dałby Bóg — ojciec Jolki wcisnął się w szczypty fotelik, zdenerwowany uderzył czapką w stół. — Niestety, dziecko, przegapiłem pewną sprawę. Wiesz, o co chodzi. Byłem wtedy nieprzytomny ze zmartwienia, czego nie mogę sobie wybaczyć. Trzeba być mocnym, zawsze i wszędzie, nawet w krytycznych chwilach. Trzeba być mocnym...

Chłopcy wyczuli, że pan Czogała jest wyraźnie czymś poirytowany. Widzieli, że energiczne zazwyczaj jego ruchy stały się dzisiaj jeszcze bardziej gwałtowne, kręcił się na swym miękkim siedzeniu, podnosił się w górę, to znowu opadał nerwowo na fotel, jakby się na nim za coś mścił. Może przyczyną tego było niepowodzenie jego niedzielnej wyprawy, może drażniła go obecność chłopców. Zresztą wykrzykując co chwila mocne słowa i podniecając się nimi nieustannie, nie zwracał na nich w ogóle uwagi. Toteż pierwszy Józek Proksz zaczął kolegów cichaczem alarmować.

— Na co czekacie? Wiejmy!

Zrozumieli, że tak będzie najlepiej. Dopiero na progu krzyknęli:

— Cześć, Jolka!

— Do widzenia! Będę o wszystkim pisała! — zawołała. — Dziękuję za dobre chęci.

— I za dobre serce! — mruknął suchym głosem jej ojciec. — O tym nie powinno się zapominać, Jolu.

DLACZEGO PAN MATYS SIĘ SPÓŹNIA

Pan profesor Osiecki zdecydował, że jego pacjentka musi wyjechać do kliniki już w piątek, ale wtedy zjawił się u niego pan Czogała i jał sławnego lekarza przekonywać, że lepiej

podróż przyspieszyć o dzień wcześniej, Lekarz spojrzał ciepło na swego gościa, z uśmiechem zgodził się na to przyspieszenie.

— No dobrze, przecież to niewielka różnica. Jeden dzień... Nie przyspieszy to wyleczenia pana córki. Rozumiem pana, ale...

— Panie profesorze — odparł ojciec niewidomej, miętosząc w garści swój wyświechtany kaszkiet — na pewno mnie pan niezupełnie rozumie. Dowiedziałem się, że jest pan ojcem naszego nauczyciela Osieckiego. I to mnie jeszcze bardziej mobilizuje...

— Do czego?...

— Powiem to panu kiedyś. Dzisiaj jednak proszę, by wyjechać już w czwartek. Muszę być w niedzielę w domu.

Po tej rozmowie Czogała wyruszył w kierunku szkoły. Ponieważ wielki, jasny budynek pogrążony był w kompletnej ciszy, co znaczyło, że lekcje jeszcze trwają, kowal, założywszy ręce na plecach, przechadzał się po podwórzu, a gdy zadźwięczał dzwonek, stanął pod topolą i czekał. Nareszcie zobaczył tych, z którymi pragnął porozmawiać. Krzyknął na nich:

— Chłopaki, chodźcie no tutaj! Mam tu coś dla was.

Romek i Józek zbliżyli się ostrożnie i przystanęli, czekając z pewnym napięciem, w milczeniu, na to, co usłyszą dalej.

Ojciec Jolki szukał czegoś w głębokiej kieszeni płaszcza, po chwili wydobyl z niej zmiętą kopertę. Przyjrzał się jej bardzo uważnie, wreszcie obrzuciwszy niespokojnych chłopców przenikliwym spojrzeniem, podał ją Prokszowi.

— Wahalem się — rzekł siląc się na obojętność — wahaliśmy się długo, nim go napisaliśmy... Przeczytajcie ten list dokładnie i wtedy zróbcie to, co uważać będziecie za konieczne, a co zapewne ja zrobiłbym na waszym miejscu. Mnie nie wypada kolegę po fachu... Zresztą, sami ocenicie. Żegnajcie!

Oddalał się powolnym, utykającym krokiem. Coś pętało mu nogi, niemal przylepiały się do ziemi. W końcu jednak stary kowal obrócił się i zawołał:

— Pamiętajcie o niej!

— O kim? — zapytał Proksz Romka.

— Chłopcy, miejcie tak dobre wyobrażenie o mojej córce, jak ona ma je o was. Jolka ma złote i litościwe serce, nawet Kalembę broni... Bywajcie zdrowi!

Stali jeszcze chwilę, odprowadzając tego dziwnego człowieka oszołomionymi spojrzeniami. Gdy wreszcie znikł im z pola widzenia, odetchnęli z ulgą i usiedli na ławce. Proksz rozpieczętował ostrożnie list.

— Od Jolki? — zagadywał Romek Lukanek.

— Chyba tak. Ale nie jest pisany brajlem. O, jest podpis: Jolanta. Czytajmy więc!

„Drodzy koledzy!

Zastanawiam się, czy dobrze robię, pisząc do was o pewnych tajemniczych sprawach. Codziennie słyszymy o ulicy Polnej, a denerwujemy się nią poniekąd wszyscy. Jedni chcą, żeby Polna pozostała tajemnicą tak długo, jak będzie potrzeba. Drudzy domagają się jej natychmiastowego wyjaśnienia. My jednakże powodujemy się bezstronnością, a w pewnej mierze życzliwością do wynalazców. I dlatego posłuchajcie, mili koledzy. W niedzielę mój znajomy wybrał się na spacer. Ujrzał on na brzegu lasu dwie znajome osoby: pana K. i pana P. Pan K. mówił właśnie:

— Fiasko, panie redaktorze. I nic na to nie poradzę. Zawinił ten naukowiec pan M. Niech pan sobie wyobrazi, że polował na jaskółkę. Listopadowa pogoda to tragedia dla takiego ptaka jak jaskółka. Tak też to pojął pan M. W pogoni za ptakiem zapomniał o całym świecie, nawet o mirażu. Nie przepadam za naukowcami, ale grzeczność, którą wpajano mi od dzieciństwa, nie pozwalała mi odmówić panu M. pomocy. Gonilem jak wariat, zapominając, tak samo jak profesor o czasie. Ocknąłem się dopiero wtedy, gdy pan M. tulił ptaszka w

dłoniach.

— Dla mnie — rzekł pan P. — jest to prawdziwy cios. Tracę bowiem wierszówkę za reportaż. I nie ma drugiego malarza Brzdąkały, który by mi dostarczył materiału zastępczego. Trzeba jednak coś sklecić... Słuchaj pan, nie mogę do tej pory zrozumieć, w jaki sposób zawsze pan zdąży na miejsce mirażu...

Pan K.:

— Była to moja tajemnica. Zdradzę ją jednak dzisiaj panu. Przyczepiam się do samochodu i jadę bez biletu z Polnej na miejsce przeznaczenia. Dzisiaj było trochę trudniej. Pewien wysoki chłopak w okularach badał szczegółowo auto i przyczepę. Przyklepiłem się do wozu w ostatniej chwili.

Obaj panowie rozstali się wreszcie. Pan P. udał się do przystanku, a pan K. ruszył drogą w stronę wsi. I wtedy właśnie nadjechał stamtąd czarny samochód. Wysiadł z niego elegancki pan, wyglądający na cudzoziemca. Rozmawiał on przez pewien czas z niejakim panem K. Wyglądało, że jeden z nich przekonywa drugiego. Mój znajomy nie usłyszał ich rozmowy, za duża odległość ich dzieliła. W końcu pan K. krzyknął coś i puścił się biegiem z powrotem w kierunku lasu. Elegancki pan stał jeszcze parę minut, potem wsiadł do swego wozu i odjechał.

Dobrze by było, żeby pewni panowie o tym wiedzieli. Ktoś gorszy i niebezpieczniejszy od naiwnego pana K. stale ich podgląda. Trzeba im to powiedzieć. Mógłby to zrobić mój znajomy, ale niezręcznie by mu było to uczynić.

Pozdrawiam Was, przyjaciele, bardzo serdecznie. Do widzenia! Piszę tak, ponieważ wierzę mocno, że będę widziała. Chcę ujrzyć Wasze szczere, dobre i życzliwe mi twarze!”

— Roman, i co zrobimy? — zapytał Proksz ze ściągniętymi brwiami, a trąc potem zawzięcie czoło, dodał: — A to ci zagadka.

— A ja ci mówię, że to pisał pan Czogała. To jest jego sposób mówienia, jego styl.

— Ja miałem na myśli ostrzeżenia zawarte w liście.

— Domyślaliśmy się przecież, że ktoś stale śledzi naszych panów. Dlatego Krzyś sprawdzał auta przed odjazdem. Pan Osiecki wie też, że na ulicy Polnej ktoś się nieustannie kręci.

— Ja myślałem o tym drugim facecie.

— Tak, to naprawdę zagadkowe...

— Co sądzisz, o tym szpiegu? Trzeba zacząć działać.

— Iii...

— Ruszajmy! Nie możemy próżnować.

KREDOWE IGUANODONY ⁶²

Dwa dni później dokonano włamania do schronienia eroeksplorera. Włamywacz rozbił okno, a otworzywszy je, przedostał się do wnętrza szopy. Tutaj zajął się głównie stołem z jego stertą bezwartościowego papieru i niektórymi projektami. Widocznie spłoszony przez kogoś rzucił się do ucieczki, gubiąc po drodze niektóre dokumenty. Nie miały one wielkiego znaczenia, gdyż podstawowa dokumentacja eroeksplorera znajdowała się w bezpiecznym schowku u jednego z wynalazców. Pan Osiecki i jego wierni druhowie przypuszczali jednak, że włamanie okna w szopie było dziełem ludzi, których wiodła tam ciekawość i żądza zbadania jądra tajemnicy. Ha, kto wie, czy nie byli to osobnicy z otoczenia samego Kalemby!

Fakt włamania się wszakże do drewnianej budy na ulicy Polnej podziałał na trójkę przyjaciół mobilizująco. Jeśli tak się stało, to w przyszłości liczyć się można było z tym, że pewnego dnia cicha ulica Polna stać się może celem wycieczek miasta, powiatu i dalszych okolic.

— Prawdę rzekłszy — mówił doktor Osiecki — to mnie już męczy ta cała historia. Piętrzą się trudności, prześladowców coraz więcej, organizuje się nawet publiczne dyskusje na temat naszego wynalazku. A co będzie dalej? Mamy za sobą dopiero połowę serii naszych doświadczeń, a przed nami długa zima.

— Tak — rzekł inżynier Plecionka — a przed zimą chcemy jeszcze w eroeksploracje zastosować nasze nowe pomysły. Myślę, że do tego już nie dojdziemy. A propos tego włamania... Nie mamy podstaw, by sądzić, że ten kawał urządził nam ktoś spoza kręgu zainteresowanych eroeksploracją, ale przyszła mi właśnie taka myśl... Przypominacie sobie tego eleganckiego Pappenheima z Krakowa, o którym nigdy dokładnie nie wiedzieliśmy, jakiej jest narodowości?

— A tak — odezwał się Duszka — zawsze się wkręcał w nasze towarzystwo. I zawsze wyciągał nas na słówka. I zawsze grzebał w papierach Ludka, rozłożonych na stole.

— Właśnie. Może to nonsens, że o nim myślę, gdyż nie przypuszczam, by w naszej okolicy przebywał, ale... tak mi to wpadło do głowy, gdy ujrzałem nasze papiery rozrzucone w szopie...

— W każdym razie — powiedział pan Osiecki — coraz częściej myślę o tym, by się przenieść z eroeksploracją w inne miejsce. Ale gdzie?

— Do mnie — odparł pan Lukanek, gdy mu to później powtórzyli. — Eroeksplorator będzie stał bezpiecznie w mojej stodole. Nikt nie odkryje jego kryjówek. Za to ręczę słowem. W nocy trudno do nas dojść, bo zagrody pilnuje dobry brytan.

Propozycję tę przyjęto. Postanowili, że na Polnej dokonają najbardziej potrzebnych napraw i uzupełnień, a następnie przeniosą się do dalekiej wsi Romka.

I oto znowu w niedzielę eroeksplorator wyruszył, by z otchłani wieków wyłowić to, co minęło bardzo dawno temu. Wielka maszyna zajęła swoje ustronne stanowisko pod lasem i rozpoczęła niezwykle działanie.

Wszyscy naraz stanęli przed kolczastymi krzewami, które wznosiły się przed nimi na kształt wielkiego żywopłotu.

— Scrub⁶³ australijski — zawołał zdumiony ojciec Romka. — Znam to. Widziałem to podczas wojny, gdy jako polski marynarz zawijałem do portów australijskich.

— Prawdziwa forteca — zawołał Paszenda. — Nie do przebycia, proszę pana.

— Zobaczmy — pocieszał go inżynier Plecionka. — Za scrubem zwykle przychodzi step, sawanna⁶⁴, a może co innego... Czy nie tak, panie Lukanek?

— Tak. A jakie tu powietrze...

— Jak ze złego pieca — rzekł podnieconym głosem Proksz, oceniając ten dziwny zapach z punktu widzenia znawcy pieców. — Czad, tlenek węgla.

Nie uszli nawet dwudziestu kroków, gdy zaskoczyło ich inne zjawisko. Oto zdawało się wszystkim, że pod ich nogami drży trawiaste podłoże jakby z zimna. Zauważyli nadto, iż powietrze mimo silnego nasycenia słonecznego jest niezwykle mętne, zamglone. A słońce zawieszane wysoko pod kloszem nieba podobne było do przypieczonego krążka kołacza świątecznego. Nie było jednak czasu na wymienianie swych spostrzeżeń, bo przyroda zaskakiwała ich wciąż nowymi widokami. To, co nazywali scrubem, znikło nagle, a przed oczyma zdumionych widzów otwarła się szeroka, prawdziwa sawanna z rzadkimi przypłaszczonymi drzewami.

— Oto macie dowód, jakie przemiany przechodziła nasza ziemia — rzekł Duszka — roślinność zbliżona do naszej, współczesnej. Tak było przed stu czterdziestu, a może stu milionami lat. Wszędzie, gdzie spojrzeć, pojawiają się rośliny okrytozalążkowe. Będą na pewno już liczne ptaki i... ssaki. Na razie...

Nie dokończył, bo nikt go już nie słuchał. W tej chwili zaabsorbowały wszystkich dwa zjawiska; jedno to jakby odpowiedź na twierdzenie Duszki. Oto nad scrubem leciały dwa ptaki, spłynęły one niby czarne sierpy na najbliższe drzewo. Drugie mogło wywołać niepokój, pod nogami odczuli bowiem znowu owo lekkie drzenie, które łowców minionego czasu już dawniej zaskoczyło.

— Co to było?

— Chyba burza — wyjaśniał niezbyt pewnym głosem inżynier Plecionka, obserwując z uwagą nieboskłon z jego białymi obłoczkami — ale powietrze tego nie zwiastuje — a potem dodał żartobliwie: — Chyba, że to pomruk jakiegoś kredowego dinozaura. Mógłby to robić na przykład z nudów.

— Ha, wszystko możliwe — podjął w tym samym doktor Osiecki, zazwyczaj nieskory do dowcipów. — W tym przecież czasie dochodzą do głosu największe gady. Mezozoik, to wciąż era reptilii⁶⁵, prawda, Jędrzek? Wcale bym się nie dziwił, gdyby skądś tu wynurzył się jakiś miejscowy tyranozaur.

— Widok na pewno nie byłby przyjemny — zabrał głos Duszka. — Ale widzieliście, są już ptaki. Prawdziwe ptaki. Pięknie leciały, nie jak ramforynchy.

Ptaki, a także niezwykle drzewo, na którym siadły, Wzbudziły w chłopcach nadzieję nowych przygód. Podsycala ją jeszcze bardziej zapowiedź Duszki o spotkaniach z oryginalnymi gadami. Oddalili się więc spieszenie od reszty towarzystwa i obrali sobie za cel swej marszruty samotne drzewo. Wkrótce też stanęli pod zielnym, olbrzymim parasolem. Pomogło im to w ocenie korony drzewa. Tworzyły ją wielkie, zbite szpilki długości niemal dwóch dłoni.

— Przypominacie sobie obraz takiego drzewa? Czy to aby nie pinia? — wykrzyknął Paszenda.

— Pinia nie pinia — rzekł Kopruch, zadzierając mocno głowę pod pułap pachnącego niezwykle baldachimu — bardziej interesują mnie ptaki. Gdzież one się podziały?

W odpowiedzi pacnęła na ziemię duża, jajowata szyszka z wyszczerbionymi łuskami. Proksz podniósł ją spieszenie, wydłubał z niej czerwonorządowe nasienie i włożył do ust.

— Wiecie, że to pyszne — rozkoszował się smakiem nasienia. — Pycha! Nadałoby się to do tortu urodzinowego.

Cała ziemia pod drzewem zasłana była mnóstwem bliźniaczych szyszek, lecz wszystkie były puste. Koprucha ogarnął gniew na widok tej „rupieciarni”, złość jego pierzchnęła jednak momentalnie, gdy z góry spadły naraz jeszcze dwie szyszki. Nikt wszakże nie schylił się po nie, oczy chłopców powędrowały ku piniowatemu olbrzymowi.

— Są — szepnął nabożnie Lonek, którego doskonały wzrok potrafił wyłowić ptaki spośród gęstych szpilek. — Widzicie? O, ślepie z żółtym krążkiem wpatruje się we mnie. To one łuskają te nasionka, Kopruch.

I jeszcze raz — byłże to żarcik, czy przypadek — ostra szyszka grzmotnęła wielkiego chłopca w nos. Kopruch potarł zadrażnione miejsce i pogroził kułakiem figlarnemu ptaszysku. Wtenczas z zieleni rozległo coś w rodzaju niepoohamowanego rechotu.

— Ha, ha, ha... — zaśmiewali się chłopcy.

A góra odpowiadała weselej:

— Recho, recho, recho, ho, ho...

Na głowy chłopców leciały nowe pociski z gradem niezrozumiałych wyzwisk.

— Hej, kawalarze — wołał warszawiak — choć się bawicie nieprzyzwoicie, a śpiew wasz przypomina murzyńskie tam-tam, podobacie mi się i witam wasze rechotanie jak słowicze flectiki.

— Popatrzcie na nich, popatrzcie! — darł się ucieszony Lonek. — Mają zęby w dziobach. Smocze zęby!

To jeszcze bardziej rozradowało upierzone czupiradła na pinii, rechotały i weseliły się

bez końca, zginając się przy tym jak ludzie, którzy trzymają się za brzuchy od niepowstrzymanego śmiechu. Można było wtedy dokładnie obejrzeć wnętrze ich pysków: miały naprawdę zęby. Cała ta orkiestra radosnych głosów: rejwach na drzewie i zaśmiewanie się młodych chłopców pod nim, przywabiła resztę towarzystwa. Zadarłszy więc głowy, jęli się przypatrywać ptakom.

— Ha, tak przypuszczałem, mają zęby! — orzekł zwięźle inżynier Duszka, mając przed oczyma szeroko otwarte dzioby ptaków. — Wiecie, co to znaczy? Że są gadziego pochodzenia.

Ptakom, które zamilkły w tym czasie, jakby dość było tej zabawy, rozpostarły bowiem ciemnobrązowe skrzydła załopotaly nimi gwałtownie i odleciały w siną dal. Ich przenikliwy przy tym skrzek zbudził na dole w trawie jakiegoś ryżawego śpiocha, który zerwał się i począł umykać na dwóch nogach kangurowymi skokami. Był to poczciwy torbacz wielkości psa.

W głębi zamglonej krainy odezwał się jeszcze raz ów zagadkowy bełkot, a z nim ziemia pod nogami wędrowców wibrować zaczęła niby struna skrzypiec trącana lekko palcami.

— I co wy na to? — zapytał Plecionka oczyma wskazując na niespokojną ziemię. — Czy to nie wygląda jak trzęsienie ziemi? Jędrak, to twoja domena. Mówże wreszcie!

— Nie, nie sędzę. Drgania są słabe. Zresztą, pierwsze zwierzęta zareagowałyby na nie w odpowiedni sposób. A one, jak widzieliście, zachowują się spokojnie, a nawet wesoło.

Naraz nastąpiło coś, czego nikt nie oczekiwał. Zza rozłożystej pinii wynurzył się jakiś masywny cień, podpierający się mocnym sękaczem. Czarna poruszająca się plama nie miała twarzy, bo jaskrawe słońce biło w oczy patrzących, toteż w pierwszej chwili osłupienie sparaliżowało wszystkim nogi. Wrosli więc w ziemię, a chłopcy skorzy zwykle do odkrywczych wybuchów, teraz również zamarli. Co to było? Nowa, nieznaną istotą kredy? Czy może oczekiwany już teraz zawsze podczas wędrówek małopod?

Drgnęli. Z bezruchu wyzwolił zdumionych okrzyk bystrego Lonka.

— Dinozaur!

Właśnie, gdy się nad tym zastanawiali, doleciał ich ludzki głos. Trochę przytłumiony, trochę niewyraźny, jakby wychodził z dna beczki:

— Haloo! Proszę się nie obawiać, to ja...

Nie mogli otrząsnąć się ze zdumienia. Czogała! Widać go już było wyraźnie. Chłopcy poznali go natychmiast, wynalazcy eksplorera domyślili się z szeptu licealistów, że chodzi o człowieka, który obok Kalemby, deptał im stale po piętach.

Czogała zatrzymał się w pewnej odległości od nich.

— Panie profesorze — przemówił niemal uroczystym głosem — jest pan synem tego, który ratuje mi córkę. Nie mam złych zamiarów w stosunku do was, panowie. Znajduję się tutaj, by ochronić was przed niepowołanymi oczami. Rozumiem bowiem doskonale, że nic tak nie krzyżuje naszych zamysłów, jak ludzka ciekawość. Pozwoliłem sobie też zamknąć pewnego korespondenta w mojej kuźni, panu Matysowi zaś dałem do obejrzenia znalezione przeze mnie turze rogi, ząb i łopatę mamuta. Możecie być spokojni, że nie będzie was zadrażać swą obecnością...

— Bardzo panu dziękuję — rzekł dopiero po dłuższej chwili doktor Osiecki — ale jeśli chodzi o pana Matysa, to nie mamy takich zastrzeżeń, jak do pana Kalemby. Zgodzimy się nawet, by nam towarzyszył.

— Bardzo to ładnie z pana strony, ale nie radziłbym zabierać pana profesora, gdyż ma bardzo cenną zaletę, która w pewnych okolicznościach staje się przykrą wadą. Gdy się zainteresuje jakimś okazem, zapomina o całym bożym świecie. Jestem pewien, że stracilibyście go prędko z oczu, bo strawiłby wszystkim czas na oglądanie, dajmy na to, tego małego kangurka, który przed chwilą sadił przez step. Ba, jestem całkiem pewny, że goniłby za nim aż na kraniec świata. Zastanówcie się nad tym, moi panowie. Teraz wycofuję się i rozpoczynam

moją służbę strażniczą.

Czogała znikł tak samo dyskretnie, jak się zjawił. Łowcy minionego czasu stali wciąż jeszcze w tym samym miejscu i nadal byli pod wrażeniem jego słów. Rozśmieszało wszystkich położenie pana Kalemby, z drugiej jednak strony nie mogli stłumić w sobie odruchu współczucia dla uwięzionego w kuźni. Kopruch zaś był pełen podziwu dla obu kowali, trwających ze sobą w nieustannej waśni:

— Dwa fenomenalne zuchy, co Proksz?

Być może, iż ten mały incydent pobudził silnie wyobraźnię chłopców. Wszak tęsknili za przygodą. Postanowili iść na jej spotkanie. Oderwali się więc od swych starszych towarzyszy i ruszyli przed siebie. Wkrótce też już spod nóg raźnie maszerujących wysmykiwały się małe, szare ssaki nieco większe od myszy. Lonek Obartel, rozbijający swym potężnym, rozkołysanym tułowiem fale suchych traw, wypłoszył strasznie długiego węża z osłonecznionej kępy, i aż odskoczył z przerażenia. Wąż ten pomykał na czterech malutkich kończynach. Przed norami wygrzewały się kolorowe jaszczurki, powietrze suche i przegrzane pulsowało życiem buczących i bzykających owadów.

— E, co to za przygody — złościł się Kopruch, stanąwszy rozkraczony nad wysokim badylem z krwawym okiem kwiatu. — Nieciekawa ta kreda.

— Rzeczywiście — stwierdził Józek Proksz — nic frapującego się tutaj nie dzieje. Wiem już z doświadczenia, że najbujniejsze życie koncentruje się nad wodą Chodźmy więc tam.

Przyznano mu rację. Niebawem też ziemia przed nimi zaczęła się obniżać, a wraz z tym pojawiać się zaczęły przedziwne galerie puszystej zieleni. Gdzieniegdzie wydzierały się z niej pióropusze liści palmowych. W końcu ujrzeli to, czego pragnęli. Woda! Biegli więc jeszcze kilka kroków, i naraz przystanęli.

Zdawało im się, że gdzieś w pobliżu zatrzeszczały gałęzie. Chwilami przekształcał się ten trzask w głośnie chrobotanie. W innym znowu miejscu dźwięczały dziwaczne ptasie głosy. Lecz jakże inne od tych, które dotąd znali. Nie był to rozkoszny gwizd zakochanych szpaków, nie głosy przypominające dźwięk fletów, kosów i drozdów, ani też słodkie kwilenie, czy dźwięczny trel sikorek. Ptasi ten rozhovor był czymś pośrednim między rechotaniem ptaków na pini i wołaniem wilgi.

— Dobre i to, kamraci — rzekł Kopruch. — Przypominacie sobie tę diabelną ciszę w karbonie?... Cicho, słyszycie? Znowu ten trzask. Idźmy za tym odgłosem.

Po dwóch, trzech minutach zagadka trzasków się wyjaśniła. Na garbie, jakby przyklepionym do zbocza, rosła grupka iglastych araukarii⁶⁶ opartych o nieforemny, szary głaz. Właśnie ten głaz wydawał ze siebie te dziwne odgłosy.

— Cholera! — przyciszył Proksz głos i przykucnął na i piętach. — Widzicie coś? Bo ja bardzo dobrze.

— Zwierz! — powiedział Kopruch jeszcze ciszej. — Horrendum *, co za kanalia. Stoi na dwóch łapach jak człowiek i łamie gałęzie. Nie, nie uciekaj, Obartel. Skryjmy się i obserwujmy! Bądź nareszcie mężczyzną!

Wsunęli się po cichutku za rudy pień krzywej sosny i wystawili głowy. Zwierzę było prawdziwym kolosem, sięgało bowiem wzrostem jednej trzeciej drzewa. Objadało ono straszliwą paszczką, nabijaną zębami niby końskimi hacelami, drzewo z gałęzi. Widok tej bestii był przerażający. Wpatrzyli się więc oszołomionymi oczami w tę drapieżną skałę, a wtedy ich wyobraźnia rysowała prawdziwie koszmarnie obrazy. Nie ulegało wątpliwości, że był to dinozaur. Ogromny gad dreptał dokoła drzewa, poruszał tylko brzydkim łbem, wysuwając szary jęzor, którym zagarniał wiechcie szpilek, a nawet większe gałęzie araukarii. Dinozaur przestępował z nogi na nogę jak ptak, ptasie ruchy miała również jego miednica; kończyny dolne

* horrendum — straszna rzecz, okropność

wyposażone były, podobnie jak u ptaków, w trzy palce.

Zdumienie chłopców rosło coraz bardziej. Dinozaur był posiadaczem potężnego, spiczastego ogona, którym posługiwał się jak łódź sterem. Było jeszcze coś innego, co łowców minionego czasu niezmiernie zajęło. Roślinożerny olbrzym posługiwał się przy jedzeniu swymi „rękami”, zakończonymi pięcioma palcami. Zadziwił chłopców również kciuk, który odstawał, tworząc coś w rodzaju sztyletu.

Dinozaur odslaniał coraz to inne szczegóły swego ciała. Skóra na nim zwisała luźno, podobna do ubrania uszytego na wyrost. Gad pokryty był brodawkowatymi wypukłościami. Oryginalny kształt miała również głowa, przypominała ona pewne cechy ptasich głów. Józek Proksz nie wytrzymał:

— Mógłbym tu tkwić cały dzień — szeptał przejęty jak kolekcjoner osobliwości, który odkrył raptem nowy rarytas do swego zbioru — i nie znudziłbym się patrzeniem.

Nie był to jeszcze koniec widowiska. Oto z cienia araukarii oderwał się drugi osobnik. Ruszył on w ich kierunku ptasimi podskokami. Był mniejszy od tamtego.

— Chłopaki, w nogi — alarmował po cichu Kopruch — zmiażdży nas, jak walec drogowy kostkę cukru.

Mieli się rzucić do ucieczki, ale mniejszy dinozaur zbliżył się do większego. Chłopcy zajęli poprzednie stanowiska obserwacyjne. Siedzieli na piętach i wyciągali szyje, by lepiej jeszcze widzieć. Kopruch bił się z emocji dłońmi po kolanach. Tymczasem nowy osobnik wydał z siebie urywane rżenie, jak gdyby na powitanie, a jego wielki towarzysz odpowiedział przyjaznym syczeniem.

— Pewnie mamusia i jej dzidzius — komunikował Lonek ucieszonym głosem.

Przypuszczenie to potwierdziła pieszczota, jaką obdarzył „malec” swego krewniaka. Począł go lizać ozorem, wreszcie pocierać swoim ptasim łbem, jakby oskubanym z pierza. Mylny sąd Obartla rozwiął dopiero później pan Duszka. Wyjaśnił on, że chłopcy spotkali iguanodony, i przy tym „malec” był samcem, a samicą olbrzym. Teraz jednak obserwatorom wydawało się, że są świadkami jakiejś niezwyklej, rodzinnej idylli. Wielki iguanodon przyciągał gałęzie i podsuwał je pod pysk małego.

Lecz idylle najczęściej kończą się brutalnie. Tak było i w tej chwili. Ciszę zielonego zapadliska zmaćcił najpierw ów przytłumiony bełkot spoza wzniesienia, ale dinozaury nie okazywały niepokoju. Nie popadały również w popłoch przy silniejszych drganiach ziemi. Wyprowadził je natomiast z równowagi inny hałas na zboczu. Było to niby nawoływanie, niby bojowe okrzyki, które się zbliżały i potężniały. Wreszcie głosy te stawały się wyraźniejsze, a w końcu zupełnie zrozumiałe.

— Tra, la, la., tra, la, la... Wišta, heta, tra, la, la, la...

Ktoś sobie beztrąsko za ich plecami śpiewał, a echo w kredowym lesie odbijało szaleńczo te okrzyki.

— Ktoś się tam porządnie wygłupia — szepnął Janek.

Ogromne iguanodony obróciły się gwałtownie w kierunku hałasu. Tymczasem zbełtane dźwięki formowały się teraz w słowa, które echo wciąż roznosiło po całej okolicy.

— Kopruch!... Kooo... pruuuch! Christofoorus! Hej, hej, stary dinozaurze!... Tra, la, la... Odezwij się, tropicielu minionego czasu! Hej!

— Rozumiecie coś z tego? — zapytał zirytowany Kopruch. Potem jednak, jakby się opamiętał, rozejrzał się dokoła i zapytał: — A gdzie Obartel?

— Nie ma go. To pewnie on!

Kopruch zaklął z cicha, a potem spojrzął z obawą na dinozaury. Te rzeczywiście ruszyły do ataku. Mniejszy zasłaniał sobą wielkiego, wystawiając swoje ostre kciuki, jak noże do obrony. Zrozumiano wreszcie do czego służą sztyletowate palce.

— Cholewa! — jęknął Proksz z wargami zbielełymi od strachu — dzidzius przedziurawi go, jak szewskie szydło skórę.

Dziwne było wszystko w tych odległych czasach. Nie tylko obrazy zmieniały się tam jak w kalejdoskopie, ale sytuacje również ulegały gruntownym, błyskawicznym przemianom. Zwariowany kalejdoskop barw, głosów i wydarzeń. Ujrzano nagle, jak wielki iguanodon znika w młodzi araukarii, a mniejszy zostaje, by przyjąć postawę obronną. O, robi dwa, trzy kroki i nieruchomieje. Naraz trzęsie się ziemia, kołyszą drzewa, a z gąszczu koniferów⁶⁷ wali jakiś potworny grom bez błyskawic w iguanodona. Wszystko się kotłuje, wrze, widać splątane ciała, kończyny, obnażone zęby, wreszcie wyłania się sprawca zamieszania. Jest to napastnik tej samej wielkości co iguanodon. Ten zaś stoi już znowu na nogach. Jego śmiercionośne kciuki obracają się to tu, to tam. Drapieżca zije uzbrojoną paszczą, z gardła wydobywa się straszliwy ryk, pierwszy ryk gada, jaki chłopcy słyszą.

Przeciągły grzmot głosu drapieżcy i znowu głos Lonka:

— Hejże, heeej, dino... diplodok!...

Lecz zuchwały drapieżnik nic z tego nie słyszał, pochłaniała go walka z iguanodonom, który swe ostrza trzymał w ciągłym pogotowiu. Rabuś atakował, podskakując na trójpalczastych nogach. Rozwierał swą paszczę i wydawał z siebie potworne ryki, które przesywały słuchających do szpiku kości. Lecz cóż, niegroźnie wyglądały jego przednie kończyny: dwa skarłate ramiona z czterema patyczkowatymi zadziarami.

— Hej, Koper, Koper, nie musisz tak wyć na mnie!

— Niech go wszyscy diabli! — złorzeczył Kopruch. — Umarłych zbudzi!

Mięsożerny dinozaur płaśał nadal dokoła iguanodona, lecz ruchy jego słaby i choć gniewny pomruk potwora szarpał jeszcze nerwami słuchaczy, ataki ustawały. I wtedy właśnie pojawił się na widowni znowu wielki iguanodon: ciężki, powolny, nic sobie nie robiący z obecności drapieżcy. Wgryzał się w zieleń drzew, pochłaniając strawę płaskimi żuchwami. Wielka samica przestała się również zajmować „dzidziusiem”. Tymczasem dinozaur, postępując głucho, oddalał się i znikł wreszcie w gęstych zaroślach.

Inżynier Duszka wyjaśnił później, że agresorem był megalozaur⁶⁸, krewniak ceratozaura⁶⁹. Teraz jednak chłopcy cieszyli się jego porażką. Można było spokojnie odetchnąć. Kopruch nie krępując się już dzielnych, ale nikomu nie zagrażających iguanodonów, zawołał:

— Hej, Obartel! Obartel!! ... Hukaj sobie zdrowo, aż się nadziejesz na kindżały dinozaura. Wracaj, natychmiast wracaj!

Już po chwili Lonek wyłonił się z krzaków. Wtedy Kopruch natarł na niego, nie szczędząc mu gorzkich słów:

— Obartel, powinienes wiedzieć, że znajdujesz się w rezerwacie przyrody. Postępujesz jak profan⁷⁰. Płoszysz czcigodnych przodków i robisz zamieszanie wśród ich krewniaków. Właśnie przed chwilą nasz prapapusz zabierał się do śniadania, ale przeszkodziłeś mu swym idiotycznym wrzaskiem.

— Wcale nie wierzę w tych prapapusiów.

— Nie lubię takiego gadania — rzekł Proksz. — Za mało macie szacunku dla waszych przodków. Ale mniejsza z tym, ruszamy dalej. Najchętniej wybrałbym znowu jakąś wodę.

Woda ta wkrótce się znalazła. W drodze do niej spotykali tu i ówdzie drzewa szpilkowe, nie mające jednak tego magnetycznego działania, co kordaity, sygilarie lub inne okazy puszczy karbońskiej. W pewnej chwili zatrzymał ich jakby znajomy dźwięk.

— Gek, gek... gegege... — te dziwne tony zlatywały z najbliższego drzewa.

— Co to? — zdumiał się Obartel.

— Pytasz — burknął na niego Kopruch — jak gdybyś tego odgłosu nie słyszał nigdy.

Słychać było krótki gwizd, nie kunsztowny co prawda, ale zbliżony do głosu dzisiejszych ptaków. Podnosili więc głowy coraz wyżej, by pochwycić obraz twórcy tej prostej, a jednak tak do serca człowieka przemawiającej melodii. Po chwili zobaczyli go bardzo wyraźnie. Był to rzeczywiście ptaszek, ale ptaszek niewiele większy od naszego wróbla. I on miał zęby w otwartym dziobku.

— Gek, gek... gegege... — powtórzył jeszcze raz ptaszek, przekrzywiając główkę, by lepiej widzieć chłopców.

— Ptaszku, ptaszku... — wabił go Romek. — Zaśpiewaj teraz wyłącznie dla nas.

Ptak nie dał się długo prosić. Zaświergolił kilka razy z rzędu, jak pozytywka.

— Zaczynam się niepokoić i poważnie zastanawiać — rozpoczął Kopruch z marsową miną — czy czasami paleontologia ⁷¹ nie chce nas wystrychnąć na dudka. Zaczynam mianowicie powątpiewać, czy ta cała arka zwierząt pochodzi od stegocefala ⁷².

— I ja tak myślę — poparł go Lonek.

— A ja przeciwnie — zawołał Romek.

— I ja nie zgadzam się z tobą, Kopruch — odezwał się Proksz. — Musimy wziąć pod uwagę to, że między stegocefalem i dinozaurami, ssakami i ptakami leżą może setki milionów lat. Przecież na naszych oczach ogrodnik zmienia gatunki roślin, kwiatów. Hodowcy stworzyli muła, krzyżówki najróżnorodniejszych kur, gęsi, kaczek, królików. A czego może dokonać przyroda w ciągu ogromnych milionów lat?

Iguanodony, chrzęszcząc jeszcze w zaroślach, oddalały się coraz dalej, a natura znowu oddychała ciszą i spokojem. Usiedli więc wszyscy dokoła Józka Proksza, który objął przewodnictwo w dyskusji. Wtedy Kopruch wydobył z kieszeni pięć lizaków i począł je wręczać po kolei swoim kolegom.

— Pewnie dzień niezwykle uroczysty — zauważył Romek.

— No chyba. Dostałem list. Przeczytam go wam.

„Krzysztofie!

Chwila czasu, a potem ruszamy znowu dalej i dalej. Mamy jednak dosyć włóczęgi. Tym bardziej, że dokuczają wspomnienia i trochę wyrzuty sumienia. Spowodował je Murzynek Bokoboko, długi dryblas. Spojrzenia jak Ty, uśmiech jak Ty, ruchy takie same, jak Twoje. Otrzymałam od Bokoboko statuetkę — cacko. Fetysz. Bokoboko powiada, że wyobraża zmarłego przodka, duch jego wcielił się w misterne drewno. Jeszcze dzisiaj wysyłam Ci statuetkę.

Gdy ją otrzymasz, stań obok i mów do niej w imieniu najdroższego zmarłego: „Och, biada, biada mi; straciłem najdroższego przyjaciela, moją radość, tego, którego słowa mnie krzepiły, którego widok mnie pocieszał. Nieszczęście! Nie ma go już. Co się ze mną stanie? Okrutne duchy, dlaczegoście mi go odebrały? Zniewalacie mnie, bym umarł. Duchy opiekuńcze mego drogiego, moje duchy, zwróćcie mi go, gdyż inaczej nie będę żył. Och, och, już umieram.”

Wtedy zmarły tak ci się poskarży: „Panie wielki, jestem, sierotą w krainie zmarłych. Pragnę mieć przyjaciela przy mym boku, takiego, którego pokocham. Bądź laskaw, panie, przyślij mi go, aby był moim towarzyszem, aby mnie ogrzewał w zimnej, wilgotnej ziemi”. W przesyłce jeszcze kilka innych drobiazgów.

Całuję, pozdrawiam.

Matka”.

— Świetnie — odezwał się Proksz — a od ojca? Bo na pewno jest i drugi list. Można to wywnioskować z pokaźnej ilości lizaków.

— Mogę was zapewnić, że nie będzie ich już więcej. Ojciec, to jak wiecie, typ człowieka, który ściga się z czasem. Posłuchajcie jednak:

„Krzysiu!!!

Bokoboko naciągnął Twego ojca na wieczne pióro „pelikan”, którego trzonek ogryzałeś w dzieciństwie. Więc teraz mam wyrzuty sumienia. Przepadło. Chciał także adapter. Zadowolił się w końcu wodą kolońską, dwiema żyletkami „rawa-lux”, paczką tytoniu i plastikowym kubkiem. Za to dodał zielony turban. Wszystko w paczce. Niespodzianka też. Lecimy dalej!

Bądź grzeczny.

Ojciec”.

— Narzekałeś — rzekł Romek — że cię rodzice zaniedbują. Nie ma jednak tygodnia, żeby nie przyszła wiadomość od nich.

— Dlatego właśnie powiedziałem, że nie będzie już więcej lizaków.

— Pewnie zastąpisz je fajką — śmiał się Janek Paszenda.

— Idziemy dalej! — zawołał Proksz. — Właśnie widzę coś ciekawego. O, znowu woda. Patrzcie, tam w tym ciemnym zakątku. Widzicie, widzicie?

Rozmawiali teraz szeptem. Przyczyną tego było stworzenie z tułowiem tłustego szczeniaka, ubranego w owłosioną skórę. Wyszło właśnie z nory i zanurzyło się w wodzie. Miało kaczy dziób i bobrzy ogon.

— Wiecie, co to jest? — szeptał Paszenda. — To dziobak! Mówię wam, dziobak!

Dziobak nurkował i znowu wypływał. Widzieli go wciąż dokładnie, choć oddalał się coraz bardziej. W pewnej chwili przepadł w wodzie. Wynurzył się z niej dopiero po minucie.

Wybuchnęli wrzawą zdumionych głosów, gdy przepadł na zakręcie. Prędko jednak się uciszeli, bo na drzewie, wysokim i rozłożystym, z wydłużonymi i błyszczącymi listeczkami, ujrzeli dwa malutkie, nie większe od żaby zwierzątko. Były to jednak prawdziwe monstra⁷³. Prawie całą powierzchnię głowy zajmowały ogromne oczy. Jedno ze zwierzątek wyszczerzyło na chłopców pyszczek z groteskowym grymasem.

— Co to jest? — zapytał Lonek. — Jakiś mały diabełek. Brrr, koszmar.

Kiedy później pan Matys stał się uczestnikiem ich wypraw, opowiedzieli mu o tym właśnie spotkaniu. Stary profesor wyjaśnił im, że wyrak-upiór, bo tak nazywa się to stworzenie, przetrwał do naszych czasów. Jest oni obecnie dalekim przodkiem małp.

— Ha — odezwał się Kopruch — śmiech człowieka bierze, gdy się na takie coś patrzy. I wszystko ma pochodzić od stegocefala. Takie mnóstwo zwierząt. Nic z tego nie rozumiem. Weźcie na przykład tego wspólnego naszego przodka. Siedziało to malutkie, zastraszone w dziupli, a teraz buduje samoloty odrzutowe, rakiety kosmiczne i tym podobne rzeczy.

— A ewolucja⁷⁴? — wtrącił Paszenda.

— Tak, tak — rzekł Romek Lukanek — to warunki naturalne stwarzają nowe zwierzęta. Przykład: królik australijski. Dopóki był w Europie, żył sobie zwyczajnie: kopał nory, w nocy wychodził na żer. A w nowej ojczyźnie drapie się za pożywieniem na drzewa, a nawet zakłada gniazda w dziuplach...

— A dzwonec sprowadzony do Australii? — rzucił pytanie Paszenda.

— Wiem, rzuca się na ziarno, skowronek na nasienie buraka, indyjski szpak na kury i gołębie, a inny jeszcze szpak na owoce, piżmak zaś z Ameryki, karmiący się tam roślinami, u nas pożera ryby. Wiecie, co mi przyszło do głowy? Gdybyśmy tak stopniowali wielkość zwierząt od diplodoka, któregośmy jeszcze nie widzieli, poprzez mszyce, potem bakterię, wirusa... Nic wam to nie mówi?

— Doszlibyśmy, jak mówi profesor Matys, do związków białkowych.

— Ha!

— Co to znaczy... „ha?”

— Zapomniałeś o małym atomie, i o niezmiernym wszechświecie. Czy na takim malutkim świecie, jak atom, nie może się znajdować na przykład Leon Obartel, Paszenda, Proksz, Lukanek no i Kopruch? W mini-miniaturze. Przecież wiemy, że w kropelce wody żyją swobodnie i pływają jak w morzu różne pierwotniaki... To jest moja oryginalna myśl. Mógłbym ją nawet opatentować. Muszę o tym powiedzieć panu Matysowi...

— Ha, ha, ha...

— Z czego się śmiejecie? Jeżeli Einstein wam udowadnia, że można się nie starzeć lecąc z szybkością światła, to według mojej teorii w centymetrze na przykład drzewa, ziemi, czy żelaza może istnieć takie życie, o jakim się nikomu na świecie nie śniło.

Gotował się nowy wybuch śmiechu, ale w chwili, w której młode gardła wyrzucić go

miały na prastary las, ziemia pod nogami chłopców znowu zadygotała.

Ruszyli naprzód, trochę zaniepokojeni. Lecz już po paru krokach zapomnieli o tym drzeniu, gdyż zajęło ich znowu niesłychane bogactwo flory kredowej. Spotykali palmy, rozpościerające wspaniałe wachlarze nad nieśmiało wyrastającymi paprociami. Do uszu wędrowców docierały liczniejsze już głosy ptaków. Na jednej z palm siedział taki właśnie upierzony dziwak podobny do zimorodka, który podlatywał co chwila do góry, sadowił się na cętkowanym pniu i stukał w niego, aż drzazgi leciały. Egzotyczne kształty miało drzewo-olbrzym, które podobnie jak figowiec, tworzyło z gałęziami wrosłymi w ziemię całą kolumnadę prawdziwie leśnej świątyni. Było pod nim mroczno, a promienie słoneczne przeciskały się przez gęste listowie na leśne podłoże niby przez kolorowe witraże. Trzeba było przystanąć, żeby podziwiać bodaj przez moment brązowe zwierzątko zawieszona głową na dół na gałązce jakiegoś drzewa. Jego atramentowe oczy zatrzymały się na przybyszach jakby z wymówką, że przerwali mu wysmienity sen.

— Co to jest? — dowiadywał się Lonek.

— Ktoś z naszych — odparł Kopruch. — W każdym razie ciekawa poza, warto by spróbować, czy dobrze się tak śpi.

I nagle brązowy kształt rozhuśtał się, jak akrobata cynkowy na trapezie i — spłynął na kształt latawca na odległą gałąź. Dwie błony u boków ciała umożliwiły mu tę podróż, a pięć palców u nóg pozwoliło zwierzęciu ucześcić się mocno gałęzi.

Na rosochatej sykomorze ⁷⁵ zamarło jeszcze dziwniejsze stworzenie. Na jego fantazyjnie zadartym ogonie siedziały jego dzieci i badały karbunkułowymi ślepkami to, co się działo pod drzewem.

— Pewnie dydelf ⁷⁶ — zastanawiał się Paszenda — albo coś do niego bardzo podobnego. Istne zatrzęsienie potomków. Jedenaście na ogonie i grzbiecie, a w torbie jeszcze jedno...

Po paru jeszcze krokach stanęli naprzeciw wielkiej, otwartej, płaskiej przestrzeni, podobnej do rozległego pastwiska pod lasem. Wrażenie to ugruntowało się jeszcze bardziej w nich, kiedy ujrzeli, że w wysokiej trawie poruszały się cienie jakichś wielkich zwierząt. Można je było wziąć z tej odległości za pasące się stado krów.

— Horrendum! — jęknął znowu Kopruch. — Niesłychane!

— Cholewa! — wybuchnął Proksz. — Warto było, warto było...

Nie powiedział jednak ze zdenerwowania co warto było, ale wszyscy wiedzieli, o co chodzi. Był to bowiem widok jedyny, jakiego nigdy w życiu się nie zapomina. Brakło tutaj pana Duszki, ale i bez niego chłopcy odgadli, że mają do czynienia z gadami, kredowymi gadami. W odległości nie większej niżli pół setki metrów poruszały się wolno wielkie i małe osobniki upstrzone w niesamowite, karmazynowe narośla. Na grzbiecie zwłaszcza, od drobnej główki do nasady ogona, wyrastały krwawe płaty sterczące z ciała jak olbrzymie kogucie grzebienie. Długi wrzecionowaty ogon nastroszony był ostrymi kolcami.

Gady zbliżyły się ociężale, widać było dokładnie każdy szczegół. Przede wszystkim fantastycznie rysowała się oryginalna ozdoba głowy i grzbietu.

— Zastanawiałem się — odezwał się po cichu Kopruch, poprawiając okulary na nosie — po co straszylom taki elegancki grzebień. I doszedłem do wniosku, że zabezpieczają się nim przed napastnikami. Rabuś najczęściej atakuje kark i grzbiet. Tam też wystają największe łuski. Najczulszych więc miejsc bronią pancerne wypustki, a kolczasty ogon razi skutecznie wroga. Jeden cios, a już dziura w brzuchu.

— No tak — rzekł Proksz — ale mogą to być tylko domysły. Potrzebny jest pan Duszka... Ten się zna na wszystkim!

Później pan Duszka rzeczywiście to potwierdził. Według niego nowy dinozaur nosił nazwę stegozaura ⁷⁷. Śmiejąc się dodał, że ten roślinozerny gad ma mózg, który przekrojem nie różni się od rdzenia pacierzowego.

Ale oni w tej chwili tego nie wiedzieli, spostrzegli jednak małą główkę gada, potem

zaczęli badać z odległości rogowe płaty zwierzęcia. Nigdy czegoś podobnego nie widzieli.

— Pasą się spokojnie — mówił Paszenda. — Prawdziwe krówki na ugorze. Brakuje jeszcze fujarki wiejskiego pastucha. Mówcie sobie co chcecie, ale kreda to nie tylko jatka rzeźnicza...

— Eureka! — krzyknął Kopruch i zastygł w miejscu z wniebowziętą miną. — Zaczyna się koncert. Jest więc j pastuszek.

Gdzieś z bujnej roślinności dochodził do nich słodki, spokojny głosik ptasiego flecika. Można więc było myśleć o ciszy niedzielnego ranka, w którym przyroda zażywa raz w tygodniu zasłużonego odpoczynku, nie niepokojona przez nikogo.

Nie był to jednak spokój zupełny. Przecież była to kreda. Nie zawsze cisza i ukojenie panowały w przyrodzie. Zło i przewrotność czały się w każdej fałdzie soczystej zieleni. Wkrótce już błogi ten stan zmacony został diabelskim wrzaskiem. Fujarka umilkła. Gdzieś zaszumiały gałęzie. Chłopcy czuli, jak im się włosy jeżą na głowach, jak im mrówki biegają po kręgosłupach, jak cierpną cali. Pod lasem rozgrywał się dramat. Jeden z młodych stegozaurów tam właśnie zbliżył się nieostrożnie, i tam dopełnił się jego los. Nad powalonym w trawie stał na dwóch nogach olbrzymi dinozaur szczerząc straszne zęby i rycząc zwycięsko.

Liczne stado stegozaurów ogarnęła panika. Ale tylko na chwilę. Prędko bowiem gady uległy jakiemś samoobronnemu rygorowi. Utworzyły błyskawicznie z żywych swych ciał obronny pierścień, wystawiając na zewnątrz groźne ogony, którymi wywijają jak maczugami.

— Zadziwiające — rzekł Kopruch przyciszonym głosem — że jedne zwierzęta żywią się płodami ziemi, roślinkami po to, żeby same stały się pożywieniem dla innych. Dinozaurowi potrzebny był befsztyk, choć soczystych sałatek starczyłoby tutaj dla wszystkich. Powiedzcie, i to ma być sprawiedliwość.

Nikt mu na to nie odpowiedział. Gapiono się przez pewien czas na rozkołysane ogony stegozaurów. Ta ich obrona była oczywiście zbędna, nie napastowany przez nikogo drapieżnik pochłonięty był tylko swoim łupem. Ale chłopców, mimo że byli w gromadce, obleciał teraz strach. Spotkanie z drapieżnym dinozaurem? Potworność!

Zawrócili i podążyli szybkim marszem do czekających na nich starszych towarzyszy, eroeksplorera i sąsiedztwa świata rzeczywistego i bezpiecznego. Dotarli tam dość szybko. Tutaj czekało na nich nowe widowisko, tym razem niesłychanie komiczne. Panowie tworzyli koło i zajęci byli czymś bardzo żywo. Wybuchali też co chwila beztroskim śmiechem. Kopruch, najwyższy z chłopców, pierwszy spostrzegł to, co się tam działo; na obszernym placu harcowały dziwne zwierzęta podobne do kangurów. Skakały one gromadnie, potem pierzchały bez przyczyny, zawracały i kładły się potulnie na ziemię. Istne dzieciaki. Były skupione, ciche, zachowywały się uroczo, spoglądając na przygodnych widzów swymi oślimi oczami naiwnie i ufnie.

— Cóż to za pajace? — zawołał Lonek i ruszył naprzód w stronę zwierząt, zdejmując przy tym torbę ze swego ramienia.

— Obartel — ostrzegł go Kopruch — torbę zostaw, bo je przestraszysz.

Lonek jednak wyciągnął z torby ciasteczko i podał je pierwszemu z brzegu kangurowatemu zwierzęciu, Wysunęło ono wilgotny język, ale potem, pewnie dla swawoli, podbiło nosem prezent Lonka. Wtedy chłopiec podstawił kapryśnikowi całą torbę. „Kangur” zanurzył swój głupawy pyszczek w torbie, jak szkapa w worku z obrokiem i podrzucił ją tak samo, jak poprzednio ciastko. Torba spadła i zakryła mu łeb. „Kangur” zerwał się na nogi i począł bezładnie skakać dokoła. Jego towarzysze, przerażeni nie znaną im maską, rozpętali naraz tak karkołomną rejteradę, że można było boki zrywać ze śmiechu.

— Ale głuptas! — złościł się Kopruch na Lonka. — Zerwijże mu ten idiotyczny kaptur z głowy.

— Jak? — pytał Lonek tańcząc w kółku równie beznadziejnie, jak ogłupiały torbacz. — Jak? Porwie mi torbę i ucieknie z nią w świat... Krzysiu, Romku, pomocy!

Skoczyli więc ławą na ratunek, tymczasem Lonek podwoił wysiłki, by odzyskać swoją torbę. W chwili, w której prawie mu się to udało, „kangur” rzucił się na oślep, prosto przed siebie, z fatalną przyłbicą na oślej główce.

— Och, pajace, pajace — śmiał się Plecionka, wycierając chusteczką łzy w oczach. — Niech go lichy porwie, tego Lonka!

Wkrótce jednak znowu zapomniano o śmiesznym incydencie, bo kredowy krajobraz otwierał inne podwoje z widokiem na czarującą partię lasu liściastego. Przed wędrującymi rozstępowały się łagodnie drzewa, wreszcie ukazała się duża wyrwa porośla wysoką, ostrą jak żyłki trawą i zalana powodzią słonecznego światła.

— Stop!... Uwaga!... — zawołał Osiecki.

Ostrzeżenie to nie odnosiło się wszakże do niebezpiecznej trawy, lecz do czegoś, co się z niej wyłoniło o wyglądzie tak zaskakującym, że wszyscy od razu znieruchomieli. Nikt się też już nie odezwał. Byłże to monument z brązu, czy skała, którą przyroda uformowała na modłę istot, które w niej żyły? Raczej zwierzę. Gad. Na pewno dinozaur, w dodatku jeszcze bardziej niezwykły od tych, które napotykali dotąd w krajobrazie kredowym. W końcu ktoś nie wytrzymał, szepnął przejętym głosem:

— Jakiś zwariowany rogacz!

— Ładny mi rogacz — drwił ktoś inny po cichu. — Domek z betonu i stali.

— Panie inżynierze — pytali chłopcy — pójdziemy chyba na przekór temu zawalidrodze.

— Gdyby taki runął na kogoś — wzdrygał się Józek Proksz — zmiażdżyłby go na marmoladę. Zostałaby po nim tylko mokra plama na ziemi.

— Być może, choć to gad roślinożerny — tłumaczył szeptem pan Duszka.

Łeb dinozaura uzbrojony był w trzy potężne rogi, i a jego przedłużenie stanowiła ogromna koncha — pancerny kołnierz, szatańska kryza. Wszystko to nadawało zwierzęciu wygląd istoty apokaliptycznej⁷⁸.

— Dinozaur rogaty — informował po cichutku Duszka — może nawet sam triceratops⁷⁹. Ma przeszło półmetrowe rogi.

Triceratops nawet nie drgnął. W doskonały sposób naśladował samotną opokę, porzuconą przez siły przyrody pod lasem. Głowę miał podniesioną, jakby węszył w ich kierunku. Czy widział grupkę zdumionych ludzi? Może tak. Pierwszy róg na nosie — krótki zakrzywiony bagnet — trochę ośmieszał jego właściciela, natomiast dwa, umieszczone nad oczami, podobne były do nastroszonych brwi, odpychających i groźnych.

Rozmowa toczyła się wciąż szeptem. Głosy mówiących zacierały się niemal przy ustach.

— Do czego potrzebne mu akurat takie rogi?

— Czyż nie ma tu wrogów? Broni się przed nimi, opierając się o drzewo czy skałę, a napastnik nadziewa się na niego jak na rożen.

Wielka bestia wreszcie się poruszyła. Stało się to w tej samej sekundzie, w której ziemia ponownie zadrżała.

— Może jednak ustąpimy mu z drogi — proponował inżynier Duszka. — Upór jest cechą istot małego umysłu. Triceratops ma mniej mózgu niżli kotek w swej główce.

— Ależ to kolos — zdumiewał się ojciec Romka — Istny traktor!

— Raczej spychacz — dorzucił Plecionka. — Buldożer pierwszej klasy!

Usuwano się więc spychaczowi zgodnie z radą pana Duszki: wolno i ostrożnie, żeby nie spowodować u triceratopsa jakiegoś gwałtownego odruchu. Jak to wszakże zwykle bywa, zamiary niweczy ktoś zgoła trzeci, najczęściej nieoczekiwany, wskakujący do akcji jak starożytna *deus ex machina*⁸⁰. Stało się to i tutaj. Pojawienie się tego trzeciego wyprzedziły przytłumione pohukiwania i nawoływanie: „Panie profesorze Matys! Panie profesorze, szukam pana”. Po chwili pojawił się na widowni pan Pogorzałek z nieodłącznym aparatem fotografi-

czynym u boku. Głos i postać zastukały mocno do zakutego mózdzku dinozaura. Zareagował też z miejsca na tę prowokację. Jego bryłowate cielsko ruszyło jak walec, miażdżąc po drodze każdą przeszkodę. Przerazenie skuło nogi pana Pogorzałka. Zrozumiał, że atak skierowany jest na niego. Sparaliżowały go czerwone, złe ślepie, fukanie, parskanie nieznanego potwora, jego straszna sylwetka zbliżająca się jak lokomotywa. Przed potwornym rogiem, przed strato-

waniem, mogła go uratować jedynie natychmiastowa ucieczka.

— Biada mu, jeśli był w kabinie translukacyjnej — rzekł pan Lukanek jakby do siebie, ale wszyscy doskonale go słyszeli.

Zaczęli więc wołać na pana Pogorzałka, by nie stał, lecz uciekał, co sił w nogach. Ale dlaczego tkwił wciąż w tym samym miejscu jak słup soli? Prędszej, prędszej, „skała” jest tuż tuż. O, wali się na niego! W ostatniej chwili instynkt samozachowawczy zmusił redaktora do ucieczki. Uskoczył w bok. Triceratops, pędząc z szaleńczą szybkością, minął pana Pogorzał-

ka.

— Do nas, do nas! — wrzeszczeli wszyscy zgodnie. — Szybciej.

Pan redaktor miał ręce nogi. odbiegł daleko od potwora i był już pod murem lasu. Wystarczyło więc parę kroków, by zaszyć się bezpiecznie w zaroślach, ale teraz instynkt towarzyski silniejszy był od rozwagi. Obrócił się ostro na pięcie i już chciał ruszyć do wołających, kiedy spostrzegł, że straszliwy rogacz pędzi znowu na niego z bagnetem wymierzonym prosto w jego serce, Pan Pogorzałek i tym razem odskoczył. Lecz taka zabawa zagrzała dinozaura do nowych czynów. I od tej chwili nie było już końca igraszkom triceratopsa z człowiekiem. Jeden gonił, a drugi odskakiwał w ostatniej chwili.

— Do lasu, człowieku! — krzyknął pan Lukanek. — Do lasu!

Podziałało to na ofiarę dinozaurowskich zakusów jak okrzyk majtka w bocianim gnieździe: ład! Pan Pogorzałek wrósł na moment w ziemię, wykonał dwa szalenie prędkie skręty i zniknął za parawanem drzew. Triceratops zdumiał się tak bardzo, że wreszcie przystanął i wpatrywał się bezmyślnie w punkt, w którym przepadł człowiek. Widocznie jednak wnet o nim zapomniał, schylił bowiem swój rogaty łeb i urwał pyskiem wiecheć trawy, ale go nie połykał.

— Koniec zabawy — śmiał się zawsze wesoły pan Plecionka. — Jeśli to był pan Pogorzałek, nigdy go już nie zobaczymy. Trafił tu przypadkowo, czyli przekradł się mimo zaostrożonej czujności naszego opiekuna.

— Porozmawialibyśmy wreszcie z nim o tym, by pozwolono nam dokończyć naszych eksperymentów... Można by go nawet zaprosić na nie pod warunkiem zachowania naszej sprawy w tajemnicy do lata przyszłego roku...

— Najchętniej natarłbym mu trochę uszu — rzekł Plecionka. — Pomścił nas jednak triceratops.

Spojrzeli jeszcze raz na otumanionego dinozaura, który nadal z zielskiem w paszczy gapił się przed siebie, w plamę lasu, jakby się spodziewał, że stamtąd pojawi się śmieszne stworzenie, by harcować na nowo po leśnym pustkowiu.

Ruszono dalej. Niebawem rażąca szarość wyrwy leśnej zaczęła się zmieniać, nabierając coraz żywszych barw. Najpierw pojawiły się krzewy, potem olbrzymie drzewa. Objęła ich knieja swym miłym, chłodnym półmrokiem i ciszą, która towarzyszy wszystkim leśnym uroczyskom. Tylko spośród liści słychać było symfonię koncertujących tam zębatych ptaków. Nie dziwiło to jednak już nikogo, za to zwrócono uwagę na coś innego. Na drzewach, jak na małych estradach, ukazywały się drobne zwierzątka futerkowe. Ich elastyczne, pełne wdzięku ruchy, ciepłe i bystre spojrzenia, działały kojąco na patrzących.

— Ssaki, to już inny świat — powiedział w głębokiej zadumie ojciec Romka. — Swojski, pociągający, serdeczny.

— Są przecież najwyższym szczeblem w rozwoju czworonogów — odparł Duszka. — No i... jest wreszcie!

Był to triumf, był to krzyk niemal odkrywczy, radosny. Dlatego obracali się na wszystkie strony, pytając:

— Kto? Kto?

— Wasz przodek — żartował inżynier.

— To kudłate bobo?

Na gałęzi kucalo ciemne, włochate stworzonko z wielkimi oczami. Było dziwnie zahukane. Z pyszczka sterczały mu ku przodowi arcybrzydkie zęby, które go szpeciły, ale równocześnie wyodrębniały z rzeszy innych zwierząt. Kopruch zawołał więc:

— Ech, znowu pan żartuje.

— Ja? Żartuję? Spójrz na palce tego dziwaka. O, trzyma się nimi gałęzi. Kciuk jest taki, jak u człowieka. Nawet stopy mają pięć palców chwytnych. Po tym poznasz bliskich krewnych człowieka. Jest naturalnie jeszcze wiele innych cech wspólnych, ale o tym mówiono wam chyba w szkole.

— Żeby sprawdzić, czy pan ma rację, trzeba więc znowu czekać, aż to maleństwo urośnie.

— Tak. Potrwa to kilka milionów lat. Potem przodek nasz zejdzie na ziemię. Ale co tu dużo mówić. Widać przecież, że toto ma już myślące oczy. Nie takie jak głupawy, uparty triceratops.

Stali teraz na szczycie górk. Na południu ciągnęły się szerokie połacie stepowych płaszczyn, dzierganych niskimi krzewami. Widny tam był falisty horyzont z niewyraźnym zarysem gór.

— Poznajecie tę panoramę? — padło pytanie doktora Osieckiego.

— Góry.

— To chyba Karpaty.

— Są w trakcie powstawania — oznajmił niespodzianie Duszka. — Jest i wulkan. Widzicie? Coś tam w każdym razie błyska. Stąd ta nieustanna „febra” ziemi. W kredzie właśnie powstawały niektóre z naszych ojczystych gór.

— Diplodoki! — krzyknął naraz Lonek.

— Gdzie?

— Na wschodzie, w tej wielkiej dolinie. W wodzie!

Istotnie, w rozległych misach wodnych, promienie słoneczne zapalały się niby drewniane zapalki. Zacierało to nieco obraz jezior, ale za to szmaragdowe ich kontury rysowały się bardzo wyraźnie. Jeszcze lepiej widoczne były tam pewne poruszające się sylwetki: masywne, popielatozielone.

— Diplodoki? — zastanawiał się Duszka przysłaniając oczy dłonią.

— Ma pan co do tego wątpliwości? — zapytał pan Lukanek. — Myśli pan, że nie są to żyjące istoty?

— Mam wątpliwości, czy to są właśnie diplodoki. Możemy je ostatecznie i tak nazwać, chociaż diplodoki i brontozaury⁸¹ odkryto jedynie w Ameryce. Niech to jednak będą nasze miejscowe diplodoki. Bo i takie tu pewnie istniały. Najlepiej się o tym przekonać, podchodząc do nich. Proponuję więc ten nowy i ostatni już dzisiaj wypad.

Pan profesor Matys strawił bardzo pożytecznie całe przedpołudnie. Oglądał bowiem, zapominając o całym świecie, przedziwne archaiczne okazy. Czogała obdarował go na drogę zębem mamuta, skamieniałym belemnitem⁸² i odciskiem owada w skale. Pan Matys miał doskonałą wyobraźnię, a w dodatku subtelne wyczucie anatoma. Toteż wracając od Czogały konstruował w myśli obraz wielkiego, lodowcowego słonia, który całkowicie zaprzętnął jego umysł.

Doszedł więc w doskonałym nastroju do przystanku autobusowego, ale tutaj poinformował go jakiś człowiek w paradnym stroju górniczym (prawdopodobnie wybierał się na jakąś

uroczystość barbórkową), że autobus profesora odjechał przed dwiema godzinami, a następny będzie dopiero za godzinę. Pan Matys, chcąc sprawdzić właściwy czas, grzebał po kieszeniach, ale nie mógł znaleźć swego zegarka. Górnik zauważył z uśmiechem, że profesor ma go na ręce.

Profesor nieco się zmieszał, przeprosił górnika i ruszył dalej ku dolinie na przechadzkę. Nie uszedł daleko, gdy raptem krajobraz się zmienił. Pana Matysa otaczały dziwne, nieznanne drzewa i krzewy, a w pewnej chwili zauważył przed sobą niezwykle stworzenie, podskakujące na dwóch nogach jak człowiek. I dopiero wtenczas profesor przypomniał sobie o celu swej dzisiejszej wycieczki. Nic go jednak nie obchodziło, co przeszło, pamięć jego notowała to, co się rysowało przed nim. Potwór o wroście chłopaka czternastoletniego, szeroka miednica, mięsisty ogon, służący za ster i podporę. Cóż to za dziwoląg! Potwór jednak obrzuciwszy go spojrzeniem, szusnął w krzaki, a pan Matys pełen ogromnego zdurnienia pomaszerował dalej. Po pewnym czasie otwarła się przed samotnym wędrowcem wielka dolina, w której lśniły duże płachty wód. Profesor Matys, przytomniejąc coraz bardziej, zwrócił swe uważne oczy na tę właśnie część krajobrazu. Coś się tam poruszało, coś przechadzało na brzegu tafli wodnej, coś mąciło jezioro i znowu wystawiało ogromne szyje.

— *Horribile dictu* * — wyraził swoje bezmierne zdziwienie pan Matys. — Sen, czy rzeczywistość.

I wypróbowanym sposobem uszczypnął się mocno w łokieć. Odczuł najwyraźniej ból. Przetarł oczy i spojrzał, nic się nie zmieniło. Widział w oddali gigantyczne stworzenia, przekraczające rozmiarami to, co dobrze funkcjonująca wyobraźnia potrafiła sobie na podstawie przesłanek naukowych odtworzyć.

— Boże — szepnął biolog z przejęciem do siebie — toć to „dźwigi”, żywe żurawie! Z łatwością sięgną do okien trzeciego piętra. Zwariowałem! Nie, protestuję! Jestem normalnym człowiekiem. Nigdy jeszcze coś podobnego mi się nie przydarzyło.

Profesor Matys przystanął zmęczony. Lecz nie marsz zmęczył go tak bardzo, ale intensywne myślenie. Zestawiał i porównywał, konfrontował obraz z tym, co mu jego rozsądek dyktował. Na próżno. Więc jeszcze raz próbował uszczypnięciem siebie rozwiać straszne zjawy. Gdy to nie pomogło, dotknął ciężkich darów Czogały. Były. Zaczerpnął pełną piersią powietrza. Czuł wyraźnie zapach otoczenia. Schylił się i ułamał drobną gałązkę cyprysu, który przecież nigdy tutaj nie rósł. Gniótł ją w dłoni, zachwycał się jej wonią.

— *Horribile dictu!* — powtórzył głośniejsze, co zawsze robił, gdy stawał wobec konieczności rozplątania jakiegoś problemu. — Żurawie ze strasznymi kabinami. Policzmyż, panie Matys, ile ich jest! Dwa, trzy, cztery, sześć... Nie, cztery znikły w wodzie.

Liczył i wciąż się mylił. Z tej bowiem strony jezioru spacerował jeden taki cudaczny „egzemplarz”, ale, na Boga, z wody wynurzyły się ponownie cztery „dźwigi”, a tam, na drugim brzegu...

— Czuję, że oszaleję — szeptał. — Przecież to niemożliwe!

Zamknął oczy, a otworzył je tylko wysiłkiem woli. Tym samym wysiłkiem opanował wzruszenie, zdumienie, wszystkie uczucia. Trzeba naukowo podejść do sprawy, Naukowo. Przywołał więc na pomoc pamięć, logikę, wiedzę, która mogłaby rozwikłać tę straszną sprawę. Wiedza jednak dyktowała mu nazwę taką, że się wzdrygał. Wreszcie wybelkotał ją pod przymusem:

— Diplodok!

Ale jakże to możliwe? Gdyby nawet przyjąć, że się nie myli. Skąd się tutaj wzięły? Profesor Sylwester na uniwersytecie wykluczał ich istnienie na polskich ziemiach.

— Diplodok!! — szeptał.

Szeptał, a nie spuszczał oczu z obrazu szwendających się gadów. Potem jednak oga-

* *Horribile dictu* — strach powiedzieć, o zgrozo!

męło go jakby szaleństwo, wrzasnął z całych sił i rzucił się naprzód. Pędził jak młody człowiek, a wiatr rozwiewał jego bujną, siwą czuprynę. Diplodoki, diplodoki! Był już bliżej, widział je jeszcze wyraźniej. Właśnie z wody wynurzyły się ponownie owe strasznie, strasznie wydłużone szyje. Jeszcze parę kroków, a będzie je mógł dotknąć, badać, klasyfikować.

— Diplodoki! — krzyknął.

Gady podniosły szyje i spojrzały na intruza, opętanego pasją odkrywania, ale wtedy w wyglądzie słonecznego krajobrazu zaszła jakaś zmiana. Wszystko to przygasło o jeden ton, a diplodoki, czy brontozaury widoczne były jakby przez słoneczne okulary. Parę sekund później światło jeszcze bardziej pociemniało. Profesor Matys wrósł w ziemię, a oczy jego napełniły się dziką niemal rozpaczą. Czuł, że przybył za późno. Jedno wszakże jeszcze zobaczył w tej ostatniej fazie niezwykłego krajobrazu. Nad jego głową przeciągało stado łachmaniastych pteranodonów, dążące do wód jeziora. Gady te były bez ogonów i nie przewyższały wielkością domowych gęsi. Potem nastąpił mrok i wszystko znikło. A razem z tym nadzieja, że obraz wróci.

Biolog ocierał twarz z potu. Był u kresu sił. A sceptycyzm podcinał jeszcze bardziej jego niedawne nadzieje. Nękało go przekonanie, że stał się po prostu ofiarą chorobliwego przywidzenia. Czuł, że jest naprawdę chory. Zawrócił i podążył chwiejnym krokiem do przystanku autobusowego.

— Diplodoki! — szeptał.

Przybył do domu dopiero późnym wieczorem. Zjadł kolację bez apetytu, a na pytania żony odpowiadał półsłówkami, a może nawet niedorzecznie. Pani Matysowa przyniosła jakąś torbę, wypełnioną kamieniami.

— Co to za torba? — indagowała męża.

— Diplodok.

— Nie rozumiem.

Pan profesor nie wiedział jak torba znalazła się w jego posiadaniu. Była i już. Później przyszła noc, męcząca, bezsenna. Pan Matys zestawiał fakty, nawiązywał w myślach do „bajdurzenia” Kalemby, które wcale nie było bajdurzeniem, i okazało się prawdą. Gdy więc rano zwał się z łóżka, wiedział już, że nie oglądał zjawy. Obrazy wczorajsze były dziełem ludzi, genialnych wynalazców. Postanowił, że rozwiąże zagadkę, nie spocznie, aż pozna tę tajemnicę.

W ten sposób narodził się jeszcze jeden łowca minionego czasu.

W tym czasie, w którym profesor Matys doznawał swych najgłębszych wzruszeń na widok potworności i gigantyczności zwierząt, Józek Proksz maszerował ze swoimi kolegami już po drodze. Oczywiście eroeksplorator nie działał na tej pościeli lasu, toteż nic się w tym miejscu nie zmieniło. Czy aby na pewno?

— No, Józek — rzucił Kopruch — nie ma twego ojca...

— Miał być pod dębem.

— A może zjadł go tyranozaur — żartował Lonek Obartel.

— Nie ma obawy. Mój stary to zuch nie lada. Żresz tą zobaczycie.

Stanęli wszyscy, wyężając wzrok i słuch na wszystkie strony. I wtedy zdawało im się, że gdzieś tam pod lasem tętni gwar głosów, rozlegają się gromkie okrzyki, słychać echo jakby bójki.

— Słyszycie? Mój stary z kimś się kłóci. Poznają jego głos — rzekł Proksz i ruszył ostro naprzód. Przyjaciele rzucili się za nim. Mijali cichy dom Czogałów, kuźnię, dąb ze spłowiętym świątkiem. Dopiero gdy las się rozrzedzał, przypomnieli sobie, że w kuźni Czogała więził Kalembę.

— Nie ma czasu — rzekł Proksz. — Spieszmy się, bo tam się coś dzieje.

Więc ruszyli teraz ławą ku źródłu wzmagającego się hałasu. Gdy wydostali się z lasu,

ujrzeli nagle przyczynę bojowych wrzasków. Na drodze kręcili się ludzie, sami mężczyźni. Wyglądało na to, że dowodzi nimi kowal Czogała. W odległości jakichś dwudziestu metrów stał czarny samochód, a do niego usiłował się przedostać chyłkiem jakiś człowiek ze skrzywionym na bakier kapeluszem. Podżegani przez Czogałę ludzie schylali się do przydrożnego bajorka, lepili w nim kule z błota i atakowali samochód.

— Hurra na wroga! — wrzeszczał kowal. — Celujcie dobrze, koledzy, bo to szpieg. Dalej żywo. Ognia!! Pif, paf! Jeszcze, jeszcze!

Kule plaskały o samochód. W tej też chwili jakiś człowiek zdołał wskoczyć do samochodu. Motor zawarczał, a czarny wóz oblepiony plastrami mokrej ziemi wyrwał się prześladowcom, pędząc coraz szybciej ku wsi.

— Widzisz, Kopruch! — wołał Proksz podnieconym głosem. — To robota na sto dwa. Haloo, tata, co to wszystko znaczy? Czy to nasz wspólny znajomy?

— Ten sam, który...

Do chłopców, zaskoczonych tym wydarzeniem, zbliżał się szczupły mężczyzna w płaszczu, z szalikiem mocno owiniętym dokoła szyi. Szedł wolno, jakby się zataczając. Jego ziemistą twarz rozpałały silne rumieńce. Śmiał się, wycierając wiechciem trawy umorusane ręce.

— No i co, tata? — dopytywał się Józek.

— Wszystko w porządku. Widziałeś, jak wiał? Przyjechał dopiero przed chwilą, ale Ignac miał go już na oku. Szpieg. Nie umiał nawet po polsku.

— Cholewa. No dobrze, ale skąd tylu mężczyzn?

— A bo ja wiem.

— Chyba nie przywędrowali z tobą, tata? — pytał Józek podejrzliwie.

— Być może, że przyszli za mną. Szepnęło się temu i owemu o mirażu, więc byli ciekawii.

— To niedobrze, tata. Było ich osiemnastu...

— Na pewno.

— I widzieli wszystko?

— Wyłowił ich wszystkich Ignac i zaprowadził do siebie.

— A ty, tata?

— Stałem chwilę pod dębem, ale potem poszedłem do pasieki Czogały...

— I nie widziałeś tyranozaura?

— Widziałem, jak wypadł z lasu z aparatem fotograficznym. Miał rozwiane włosy i wytrzeszczone oczy,

— Och, tata, tata, muszę ci to wszystko wytłumaczyć. Opowiem ci w domu o tyranozaurze. Chodźmy, ojczu, biorę cię na „Kometę”. Szkoda, że nic nie widziałeś. Przegoniłeś jednak złego człowieka. Jesteś bohaterem.

— Cieszę się, że tak mówisz. — Dziękuję za uznanie, Józek.

GDY KOŃ BYŁ WIELKOŚCI PSA

Pan Matys zjawił się na lekcji zmęczony, jakby wrócił z bardzo dalekiej a wyczerpującej podróży. Mimo to dobre jego oczy pałały — uśmiechał się pełen zadowolenia, czymś uradowany. Profesor postawił na stole dużą kratkowaną torbę i przytrzymał ją mocno ręką. Czyżby się obawiał, że wymknie się z niej jakieś niezwykle lichy?

— Di-plo-dok...

— Dzień dobry, panie profesorze.

— Di-plo-dok. Proszę zapamiętać sobie to słowo, moi drodzy. Diplodok. Tak, widziałem wczoraj żywego diplodoka...

Milczał. W klasie krzyżowały się zdziwione spojrzenia, z ust do ust wędrowały uśmiechy. Pan Matys wyglądał teraz jak wieszcz, który za chwilę wygłosić ma wzniosły wiersz.

— Byłem na wycieczce — mówił dalej profesor — spotkała mnie tam przygoda o jakiej nigdy nie śniłem. Los bowiem pozwolił mi ujrzeć diplodoka żywego, takiego, który żył kiedyś przed milionami lat. Diplodok...

— Był pan profesor w ogrodzie zoologicznym? — zapytała któraś z naiwniejszych dziewcząt.

— Kto mówi o ogrodzie zoologicznym? Powiedziałem wyraźnie, że los pozwolił mi go ujrzeć takim, jakim był ongiś, a więc żywym stworzeniem. Diplodoków już nie ma, moja kochana. Byłem nad Odrą. Wracałem około godziny trzynastej, gdy nagle otworzyły się przede mną najcudowniejsze wrota z widokiem na jezioro, w którym brodziły diplodoki. Inne okupowały brzegi wody. Proszę się nie śmiać. Wysokość piętnaście metrów, długość koło dwudziestu do dwudziestu pięciu metrów. Proszę się nie śmiać, bo mówię prawdę.

Pan Matys, nie bacząc na głosy zdziwienia i lekkie półuśmieszki, rozpoczął wykład o kredzie. Opowiedział o objawach życia tej epoki z taką dokładnością, że ci, którzy widzieli to życie, zdumieli się jego wiedzą. W końcu profesor wydobył z torby stare relikty z podobnym pietyzmem, z jakim kapłan celebrytuje monstrancję.

— Panie profesorze — rzekł pod koniec lekcji Lonek Obartel, zbliżając się do nauczyciela — ja nie chciałem... ale to moja torba. Zgubiłem ją wczoraj.

— To wobec tego i ty widziałeś diplodoki.

— Widziałem, panie profesorze.

— Świetnie, więc nie jestem kłamcą. Powiedz wszystkim, coś widział, zwłaszcza tym, co drwią z nauki. Prawdy nie należy zatajać, jak to uczy przykład Galileusza, Giordana Bruno i Kopernika. Aha, torba. Nie wiem w jaki sposób dostała się w moje ręce, ale bierz, jeśli twoja.

— Dziękuję, panie profesorze. Gdyby jednak panu była jeszcze potrzebna, to chętnie poczekam. Ja zawsze dla pana profesora...

Pan Matys zapakował wobec tego swój skarb na powrót do torby, potem skierował się do drzwi. Zaraz za progiem spotkał się z panem Osieckim.

— Chwileczkę, panie doktorze. Czy pan słyszał o pewnych zjawiskach optycznych w naszej okolicy? Mówi się o nich bardzo głośno.

— O tak.

— Czy pan w to wierzy?

— Być może.

— A czy pan interesuje się w ogóle fizyką?

— Muszę. To przecież mój przedmiot nauczania.

— Słusznie, zapomniałem o tym. Z odpowiedzi jednak mogę wywnioskować, że zapamiętuje się pan sceptycznie na te wydarzenia. Podobnie jak ja do niedawna, Panie doktorze, dam panu okazję do sprostowania swego sądu... Chodźmy tam, pod okno. Panie kolego, jestem na tropie sensacyjnego wynalazku. Dotarłem niemal do źródła miraży. Genialna maszyna, oparta na zasadzie promieniowania. Twórcą tego jest kowal. Co, pan oponuje?

— Panie profesorze, kowal? Tego już za wiele. Zmiłuj się pan...

— Niech pan się zastanowi. Kowale zawsze w historii stanowili odrębny klan ludzi. Mogę służyć cytatami... Mniejsza zresztą o to. W każdym razie widziałem na własne oczy, co potrafi kowal wydobyć z otchłani wieków. Fantastyczne obrazy. Niech pan słucha: zapraszam pana na niedzielną wycieczkę. Jedziemy rannym autobusem nad Odrę...

— Dobrze, lecz umówmy się inaczej. Właśnie w przyszłą niedzielę wybieram się z

moimi przyjaciółmi w tym samym kierunku. Jedziemy autem ciężarowym, ale znajdzie się w nim jeszcze miejsce dla pana. Czekać będziemy na pana już o godzinie siódmej za skrzyżowaniem poniżej rynku.

— Zgoda, panie kolego. Muszę sobie to zanotować. Chwileczkę.

— Raczej niech pan nie notuje. Przyjdzie po pana mój siostrzeniec, Krzyś Kopruch. Zna go pan przecież?

— Doskonale. Powiedział raz do mnie: dziadku.

— To podobne do niego. Na pewno nie było to jednak złośliwe. W gruncie rzeczy jest dobrym chłopakiem.

— I ja tak myślę. Interesuje się biologią. Dobry uczeń.

Odeszli od okna, rozmawiając jak przyjaciele, którzy mają sobie wiele do powiedzenia. Profesor Matys wyczuł w młodym koledze bratnią duszę, która dzieliła jego zainteresowania. Toteż otworzył kraciatą torbę Lonka i pozwolił młodemu nauczycielowi do niej zajrzeć.

— Interesujące, panie profesorze — rzekł pan Osiecki pełnym szacunku głosem. — Przyjaciół mój, inżynier Duszka, ma ciekawy zbiór osobliwych, skamieniałych małżów i amonitów⁸³ kredowych. Jeden z nich ma średnicę prawie dwóch metrów.

Była to woda na młyn profesora Matysa. Jak się okazało, był nieomylny w stawianiu diagnoz biologicznych. Opowiadał, zapalając się coraz bardziej, o jeżowcach⁸⁴ i gruboskorupowych inoceramach⁸⁵ okresu kredowego, o życiu zwierząt w tej dobie na lądzie i w wodzie. Spacerując tak doszli aż pod drzwi kancelarii. Właśnie wtedy wypadł z nich woźny, stary, wąsaty Kuczaty i krzyknął:

— Pana profesora Matysa proszą do telefonu.

Obaj panowie weszli więc do pokoju, a profesor Matys podszedł do telefonu. Widać było, że zacny biolog rzadko miał do czynienia z telefonem, że czarny aparacik napawa go lękiem, rozstraja nerwy.

— Halo!... To ja, Matys. Z kim mam przyjemność?... Nie słyszę. Poczta, pewnie linia przerwana!!!... Coo? Halo!

— Panie profesorze — odezwała się sekretarka z cicha, ale dobitnie — niech pan obróci słuchawkę. Mikrofon do ust. Mikrofon...

A gdy roztrzęsiony profesor mimo to nie umiał sobie poradzić ze słuchawką, wstała i przywróciła jej sensowne położenie. Rozstroiło to jeszcze bardziej staruszka, przybliżył mikrofon do samych ust i krzyczał stentorowym głosem:

— Mirabile dictu 86... Czy odezwie się wreszcie ktoś?... Nareszcie! Mam ciszej... Dlaczego? — pan Matys zniżył więc głos i mówił prawie szeptem: — Dowiem się wreszcie, kto mówi?... Redaktor Pogorzałek? Co, mam znowu głośniej?... Czy co widziałem? Tak, dyplodoki. Tak. Słucham bardzo pilnie... Szczegółowo, dokładniej!.. Nie, nie hipopotam, nie nosorożec, nie tapir...

Z trzema rogami?... Mam: tri-ce-ra-tops. Kreda!... Zdziwiająca przygoda? O panu Kalembie nic nie wiem. Co, mam mówić, ciszej? Br... Brontozaur? Głupstwo, proszę pana. Jak? Na dwóch nogach, zębata wieża?... Coo? *Horribile dictu!!!*

Pan Matys trzasnął słuchawką o biurko i z wyrazem zdziwienia w oczach wyprostował się nienaturalnie wpatrując się bez zrozumienia w drzwi. Twarz jego była szara. Sekretarka podsunęła mu ponownie słuchawkę, ale on nie chciał już rozmawiać. Pan Osiecki zbliżył się do starego profesora i dotknął delikatnie jego ramienia. Lecz pan Matys go nie widział, porwał nagle torbę i energicznie pomaszerował w kierunku drzwi mruczając pod nosem:

— Tyranozaur.

W niedzielę rano Kopruch zgłosił się do pana Matysa. Profesor czekał już na niego przy uchylonych drzwiach.

— Aha, jesteś, Koperkwas...

— Nie, panie profesorze, Kopruch.

— Przecież siebie zapisałem: Koperkwas. Ciekawe, Koperkwas... Ale mogłem się pomylić, nigdy nie miałem pamięci do nazwisk. Chodźmy, chłopcze. Wziąłem płaszcz zimowy, bo już chłodno.

Byli na drodze. Na dworze panował przejmujący chłód. W dodatku wiał północny wiatr, który przenikał ich do kości.

— To ty właśnie, Koperkwas, opowiadałeś mi kiedyś — rozpoczął pan Matys pogawędkę mimo dokuczliwego wietrzyska — że naszą ziemię zamieszkiwały ongiś potwornie brzydkie zwierzęta, nieprawdaż?

— Tak, panie profesorze.

— Tak, co innego potwór na obrazie, a co innego w rzeczywistości.

Profesor zapalił się w rozmowie i zaczął opowiadać o faunie kredowej, której okazy wciąż jeszcze jak żywe tkwiły w jego wyobraźni. Kopruch dowiedział się więc, że w tym okresie istniał już gigantyczny tyranozaur, który poruszał się w postawie wyprostowanej, napędzając potwornym rykiem kredowy krajobraz. Jego długość wynosiła piętnaście metrów. Pan Matys wspomniał o redaktorze Pogorzałku, który widział tę straszną bestię. Przeraził się jej zaś tak, że począł uciekać bez pamięci, aż wydostał się z kredy na świat współczesny.

Profesor i jego grzeczny uczeń dotarli wreszcie do skrzyżowania, za którym już błyszczały czerwone pozycyjne światelka samochodu. Pan Matys zdziwił się oryginalnym wyglądem samochodu i przyczepy, lecz gdy się dowiedział, że towarzysze doktora Osieckiego to dwaj inżynierowie i pracownik zakładu w mieście, nie stawiał zbędnych pytań, przypuszczając, że to transport fabryki, który konwojują.

— Panie profesorze, szybko — rzucił pan Osiecki wychylając się z samochodu — poznajemy już oddech zbliżającej się zimy, a trzeba by jeszcze jednej dla nas niedzieli...

— Żeby mądry kowal urządził dla nas jeszcze jeden seans co? — dokończył pogodnie profesor.

Gdy się wreszcie wszystko rozpoczęło, zapomnieli o zimnych podmuchach grudniowego wiatru, bo zrobiło się naraz ciepło, a nawet gorąco. Dokoła otaczał gromadkę ludzi śliczny gaj palmowy z czupurnymi koronami pod czaszą słonecznego nieba. Pan Matys z trudem tylko hamował westchnienia pełne zachwytu. Jego roztargnione zazwyczaj oczy przemieniły się w ostry, badawczy instrument, wychytujący każdy szczegół archaicznego obrazu z naukową wnikliwością i dokładnością.

— Panie profesorze — dopytywał się Kopruch — jaki to okres w dziejach naszej ziemi?

— Musimy jeszcze chwilę poczekać, Koperkwas. Widzimy jedynie drzewa. Muszę przyznać, że niezwykle: wspaniałe palmy, wiecznie zielone dęby. Są i wawrzyny, nawet sobie nie wyobrażałem, że mogą być takie wysokie. Około osiemnastu metrów. Tamte, to pewnie sagowce. Słowem flora subtropikalna ⁸⁷. Mógłby to być trzeciorzęd w erze kenozoicznej ⁸⁸. Chyba to będzie era ssaków, tak jak przed nią była era gadów. Czy się mylę? Zobaczymy.

— Na pewno pan się nie myli, panie profesorze — rzekł pan Duszka z uśmiechem na swej nie ogolonej dzisiaj twarzy. — To prawdziwy trzeciorzęd.

Pan Matys, chciwy wrażeń, wysunął się naprzód, za nim jak cienie poszli chłopcy, wierząc, że od profesora dowiedzą się wielu ciekawych rzeczy, a poza tym można będzie się pośmiać. O, chociażby z tego Koperkwas. Przed nimi zmieniały się jak w kalejdoskopie przepiękne krajobrazy, ale, jak byli tego pewni, brakło w nim człowieka. Wszędzie urzekała ich egzotyka wspaniałej przyrody. Stanęli przed drzewem laurowym, czyli wawrzynem, którego lśniące, jakby ze skóry wykrojone liście przyciągały wzrok i powonienie. Uczniowie profesora wiedzieli tylko tyle o nich, że używa się ich w stanie suszonym jako przyprawy w kuchni pod nazwą liści bobkowych. Pan Matys wiedział o nich więcej.

— Do nastania epoki lodowcowej — mówił profesor — wawrzyn nie był drzewem rzadkim w Europie. Dzisiaj rośnie w krajach śródziemnomorskich, a dociera do południowej Francji, Szwajcarii, a również do Anglii. Nie pielęgnowany dziczeje bardzo łatwo. No, aromat

przyjemny, prawda, Koperkwas? Liści wawrzynowych o specyficznym korzennym zapachu używano niegdyś jako leku ludowego. Do tego samego celu służą jeszcze teraz równie korzenne owoce. Są nadzwyczaj wonne, gorzkawe w smaku i odpowiednio tłuste, zawierają bowiem blisko jeden procent olejku eterycznego, a zawarty w nich laurocerin⁸⁹ o wzorze chemicznym $C_{39}H_{74}O_6$ da się skryształizować. Z owoców wawrzynu produkuje się zielony, półpłynny olej laurowy. Przeznacza się go do nacierania mięśni. Na południu Europy ma on jeszcze inne zastosowanie. Smaruje się nim masarskie lady sklepowe, korzenny jego zapach ma odstraszać muchy. W starożytności było to drzewo bogów, poświęcano je szczególnie Apollinowi. Jako *corona triumphalis*⁹⁰ gałązki wawrzynu zdobiły często głowy zwycięzców. Jest jeszcze i dzisiaj symbolem sławy. Chciałeś coś powiedzieć, Koperkwas?

— Nie, nie, panie profesorze — tyle tylko, że się nazywam Kopruch.

— To ciekawe. Aha, mam już. Mylę cię zawsze z kolegą uniwersyteckim Koperkwasem, a ty się nazywasz, powiadasz: Kopersztych.

— Nie, całkiem prosto: Kopruch.

— Nie zapomnę, Koper. Idziemy dalej, panowie.

Lonek Obartel wyprzedził już profesora i swoich kolegów. Był, jak zawsze, ruchliwy i żywy, toteż jego niespokojna natura pchała go co chwila w bliskie zarośla. Buszował w nich niby wyżeł za łupem myśliwskim. Było to chyba pożyteczne, bo niedługo potem postyszeli jego krzyk, krzyk o brzmieniu alarmującym, ale odpowiednio stłumiony i ostrożny.

— No co? — rzucił Kopruch szeptem, gdy zastał go w postawie skupionej i nasłuchującej. — Odkryłeś co nowego?

— Czy nic nie widzisz? Nic?

W zarośla wsunął się pan Matys, a za nim reszta chłopców. Nikt z nich jednak nie widział żadnej zmiany w otoczeniu. Wszyscy słyszeli natomiast, że jakiś śpiewak leśny zawodzi długie, perliste trele, a z głębi lasu odpowiada z przekomarzaniem się falujący, długi gwizd. Ptaki śpiewały bardziej melodyjnie niżli w kredzie. Podczas gdy młodzi wciąż jeszcze szukali oczyma obiektu alarmu Obartla, pan Matys wykrył go prędko pod drzewem.

— Iguanodon? — Lonek wyszeptał pytanie do ucha starego profesora.

Pan Matys jednak nie odpowiadał. Jego ręka wysunęła się ponad siwą głowę i nakazywała ciszę. Wtedy dopiero wszyscy spostrzegli olbrzymie zwierzę, które stojąc na tylnych nogach opierało przednie, trójpalczaste o pień drzewa.

— HUUU... — dziwił się Paszenda. — Głowa sięga aż pod koronę drzewa.

Olbrzym odgryzał niemal z pedantyczną dokładnością gałązkę po gałązce i miażdżąc je w potężnych żuchwach, połykał bez pośpiechu. Ku zdziwieniu chłopców profesor powiedział głośno:

— Chalikoterium⁹¹... Nie krępujcie się, panowie. Można głośno mówić, jego to nie peszy. A więc: chalikoterium, w dodatku ssak. Ale to jeszcze nie osobliwość trzeciorzędu. Jeśli uważnie będziecie słuchali, dojdą was dziwne, bardzo dziwne głosy.

Więc zamilkli posłusznie, wkrótce też wśród ptasich piosenek plątać się poczęły inne dźwięki. Były to jakby gromadne, piekielne chichoty, śmiech rozbrzmiewający w wysokich tonach, rzenie.

— Panie profesorze — zagadnął Proksz biologa — czy o tych odgłosach pan myśli?

— Tak, właśnie o te głosy chodzi. Są nikłe, ale dochodzą nas z bliska. To... konie.

Józek Proksz zaczął się trząść ze śmiechu, a jego przyjaciele wpatrywali się w starego profesora jak w dobrego żartownisia. Potem nagle Kopruch się schylił błyskawicznie i szarpnął czymś, co ruszało się, żyło, usiłowało się wymknąć, a wydawało z siebie przeraźliwe głosy strachu, a może i bólu.

— Kopera, proszę go puścić — zawołał pan Matys. — Nie znoszę, gdy wyrządza się krzywdę dzieciom i zwierzętom.

I tu niespodzianka: z krzewów wysypało się stado podobnie małych zwierzątek. Wszy-

stkie wśród oszałamiającego pisku pędziły prosto na chalikoterium, zajętego niewzruszenie ogołacaniem drzewa z gałęzi i liści. Tymczasem Kopruch, wbrew życzeniu profesora, nie wypuszczał swego łupu z rąk. Co więcej, przyciągnął szamocącego się malucha do siebie i począł gładzić jego włochatą skórę.

— Słabeusz, panie profesorze. Co to za okaz?

— To koń.

— Koń?

Chłopcy skakali jak opętani, śmiali się i rzeli głośniejsz niżli trzeciorzędowe konie. Kopruch objął jeszcze mocniej swego konika, który nie był większy od lisa, ale wierzganiem nóg zdradzał siłę i właściwość posługiwania się nimi w swojej obronie. Kopruch podniósł go za przednie kończyny, a wtedy ktoś z pozostałych krzyknął zdumiony:

— Nie ma kopyt. Przednie nogi mają cztery palce, a tylne trzy.

— Z biegiem czasu wszystkie przekształca się w nogi jednopalcowe — mówił pan Matys.

Nie ulegało wątpliwości, że jeniec Koprucha ma wiele cech wspólnych z prawdziwym koniem. Głowa jego była kształtna, końska. Malutki konik zjeżył grzywę i machał włosiem ogona, jakby opędzał się przed muchami. Nagle nastąpiło to, czego można spodziewać się było po koniu znajdującym się w opresjach. Konik wierzgnął z wszystkich sił i trafił tylnym „kopytem” Romka Lukanka, który przewrócił się, jak długi. Fiknął również koziołka Kopruch, który stał w pobliżu Romka, a konik rwał w dal za swymi towarzyszami.

— *Horribile dictu!* — wykrzyknął pan Matys.

Ta przygoda nie przeszkodziła łowcom minionego czasu kontynuować swą wyprawę w głąb trzeciorzędowego krajobrazu, bogatego w rozliczne gatunki drzew. Były tutaj tuje-żywotniki ze stożkowatymi koronami, pachnące kamforą, były cyprysy smukłe i nadobne, wreszcie gigantyczne sekwoje, wznoszące się nad bujną zielenią jak cienie skamieniałych olbrzymów. W rączym potoku ujrano żabę nie różniącą się niczym od współczesnych. W trawie spotykano ślimaki i mnóstwo owadów.

„Cek, cek, cek...” — usłyszeli w dalszej wędrówce nie znany im głos. Głosów tych wciąż przybywało, w końcu zestroiły się one razem i powstał z tego wspaniały koncert, w którym uczestniczyły najróżnorodniejsze instrumenty ptasie, od smyczkowych i dętych począwszy, a skończywszy na perkusyjnych. Wyobraźnia nasunęła chłopcom obraz milczącej puszczy karbonu, w której życie obrazowały ruchy ważek, gadów i niektórych ryb pancernych.

— Motyl, motyl — entuzjazmował się Proksz, biegnąc za szkarłatnofioletowym płatem, szybującym między drzewami.

— Tak — potwierdził pan Matys i przymrużył oczy, żeby ten barwny okaz lepiej widzieć. — Są już motyle. Są już wszystkie zwierzęta.

— Prócz człowieka, panie profesorze — dorzucił Kopruch.

— Istnieją jednak jego przodkowie, Koperszmyt.

Z kolei inne wydarzenie przyciągnęło ich pałające ciekawością oczy. W poprzek alei palmowej, którą przemierzali powoli i uważnie, przebiegł niesamowicie wielki ptak, podobny do strusia, ale przewyższający go znacznie wzrostem. Piątka łowców minionego czasu spojrziała na swego profesora.

— Można by go nawet nazwać strusiem — wyjaśniał pan Matys — strusiem moa⁹², który przetrwał do niedawna w Nowej Zelandii. Wytępiono go tam jednak doszczętnie. Moa miał około trzech i pół metra wysokości.

Ogromny kompleks lasu palmowego zastygł na łagodnych zboczach niewielkiego wzniesienia, nie odważył się już przekroczyć jeziora, za którym czernił się bór drzew mirtowatych. Tutaj właśnie czekała na szperaczy osobliwości nowa niespodzianka. Ujrzeli bowiem jakiegoś zwinnego gimnastyka, który przeskakiwał z gałęzi na gałąź, wreszcie z drzewa na

drzewo.

— *Mirabile dictu!* — przywitał profesor okrzykiem zgrabnego skoczka. — Oto go macie!

— Kogo, panie profesorze? — zawołał Proksz.

— Naszego przodka, małpiatkę. Przed nią były tupaje⁹³, w przyszłości będą małpy, potem małpolud, a w końcu przyjdzie człowiek.

— Mały berbec — zastanawiał się Kopruch — nie większy od kuny, ale w trzeciorzędzie, jak widać, wszystko jest w miniaturze. Popatrzcie gapi się na nas. Jakie mądre ma oczy!

Ogrom tych oczu przerażał patrzących. Zapewne drzemał w nich wielki zasób sił duchowych. Mała twarzyczka z przeogromnymi latarniami źrenic nosiła znamię rodzącej się inteligencji. Małpiatka, zaskoczona tym spotkaniem, zaprzestała swych karkołomnych skoków i usiadła zupełnie po ludzku na konarze, przy czym dolne kończyny z pięciu palcami oparła na niższej gałęzi. Oczy obserwatorów instynktownie spoczęły na „rękach” małpiatki.

Nie przyłączył się do tych milczących badań jedynie Lonek Obartel, który hasał tak długo pod drzewami, aż wreszcie zwrócił uwagę reszty towarzystwa swym hałaśliwym zachowaniem. Spostreegli, że pucołowaty chłopiec mocuje się z jakimś zwierzęciem mniejszym od psa. Lonek podskakiwał, wrzeszczał i podciągał coś, co wydłużało się jak taśma gumowa. Lecz ta taśma należała do zwierzęcia, które krążąc na owej uwięzi dokoła chłopca, trąbiło i wywijalo wściekle niedużym ogonkiem.

— Widzicie go, drugi głuptas — zachnął się stary profesor. — Daleś zły przykład, Koperszmyt, swemu koledze.

— Panie profesorze — sprostował znowu Kopruch — pan profesor znowu przekreślił moje nazwisko. Kopruch...

Byli już blisko Lonka. Zwierzę pokryte było szarą sierścią, a gumę pętającą je z prześladowcą stanowił po prostu długi nos.

— Obartel — wrzasnął na niego Kopruch — przestań maltretować tego biedaka. Panie profesorze, nad kim on się znęca?

— Nad słoniem — odparł pan Matys niezadowolony z okrutnej zabawy chłopca ze zwierzątkiem. — Jest to oczywiście przodek słonia...

Lonek przestraszony karcącym wzrokiem profesora, wypuścił słonika, a ten pocwałował za tabunem koników nieprzytomny ze strachu trąbiąc jak zepsuty puzon.

Lonek, nieco zmieszany, otrząpywał dłonie, lecz słyszał, jak pan Matys gani jego postępowanie:

— Nigdy by tego nie zrobił, gdyby wiedział, że zwierzęta w darze od przyrody otrzymały te same uczucia, co człowiek. Znają więc obok radości życia również cierpienie, strach i ból. Chcecie przykładu? — profesor założył ręce za siebie, jak to robił podczas wykładu. — Mój sąsiad, pan Arłamowski, był właścicielem pięknego wilczura. Wszyscy w okolicy bardzo się bali tego psa. Była to bowiem bestia odważna i nie cofająca się przed nikim. Opowiadano o nim, że rozprawił się z groźną szajką złodziejską, która usiłowała wkraść się do domu. A ja tego bohatera zmusiłem do ucieczki. I to do jakiej. Gdy biegł pod moim oknem, spuściłem niechący kłębek papieru na ziemię. Wilczur zawył potwornie i rzucił się pełen przerażenia naprzód. Nie widziałem, by się oglądnał za siebie chociaż na moment.

— Panie profesorze, a polowanie...

— Polowanie? Wiem, co myślisz. Jest sporo ludzi, którzy się nim delektują. Polowanie nazywają pasjonującym sportem. Sport, Koperszmyt. Taki właśnie sportowiec napisał kiedyś w gazecie, że zając podczas huku i jazgotu psów emocjonuje się nie mniej od myśliwego. Wyżywa się, powiada taki, krew w nim gra, chce wygrać, zwyciężyć, jakby tu co było do wygrania. Wpakuje się w malutkie ciało kilkadziesiąt śrutów i koniec. Może jest rozkosz śmierci? Co, chłopaki? Jestem więc wrogiem polowania. Uważam wszystkie zwierzęta za moich krewniaków.

— A pan profesor... — Kopruch zamilkł, ale spojrzawszy w łagodne oczy pana Matysa, dokończył — wcale nie je mięsa? O, tak na przykład dobrą kielbasę...

Pan Matys spojrzał zdumiony na swego ucznia, potem się roześmiał.

— Oczywiście, że nie jem. Był jednak czas, gdy się mięsem rozkoszowałem. W gospodarstwie mego ojca chował się miły baranek Perliputek. Strasznie go lubiłem i chętnie bawiłem się z nim. Pewnego dnia zapadła w domu straszna decyzja: trzeba zabić Perliputka. Płakałem, wojowałem, ale nic to nie pomogło. Perliputka zobaczyłem nazajutrz w postaci pieczeni na półmisku...

— I co, panie profesorze?

Profesor milczał, ale po chwili dokończył swego opowiadania:

— Jadłem mego Perliputka i płakałem... Gorzko płakałem.

Chłopcy stali bezradnie dokoła swego profesora, Obartel trzymał się na uboczu. Nikt z nich nie wiedział, jak się zachować wobec tego zwierzenia, czy uderzyć w ton rozrzewnienia, któremu profesor pod wpływem tego wspomnienia się poddawał, czy też obrócić wszystko w śmiech. Na szczęście odezwał się Proksz.

— Panie profesorze — zawołał nagle — chwileczkę...

— A to ty, Lukanek — otrząsnął się pan Matys ze swej zadumy. — Bardzo mi się podobało, gdy nazwałeś mnie swego czasu dziadkiem. Pomyślałem sobie wtedy: oto chłopak, który szanuje me siwe włosy.

— Bardzo pana przepraszam, ale zawsze tak wpadam, panie profesorze — bronił się rozpaczliwie Proksz — a to przez moje głupie zagrania. Chciałem jeszcze sprostować, że jestem Proksz... Niech pan spojrzy na to drzewo: czy to sosna?

— Sosna, mój kochasiu. Solidna sosna, ale bursztynowa. Trochę dziwne, że widzimy ją tutaj pod Bramą Morawską, gdyż przywykliśmy łączyć ją z północną Polską, z Morzem Bałtyckim, ale ona sięgała aż po Karpaty. Bursztyn to właśnie żywica tej sosny. Patrzenie, chłopcy: w tym miejscu akurat sosna zasklepia swoją ranę żywicą. Tutaj ranę spowodowały ostre zęby wiewiórki, a tam na pniu pewnie dzięcioł z czerwoną czapeczką swoim mocnym dziobem. O, właśnie dzięcioł siedzi na pniu następnej sosny.

Istotnie, widzieli go wyraźnie. Nie różnił się jednak zupełnie od znanego im w lasach współczesnych.

— W ogóle kaleczył biedaczkę, kto tylko chciał. Zwierząt bowiem w borze sosny bursztynowej jest przecież mnóstwo: grasują w nim koty, kuny, torbacze. Dołem znowu przedzierają się jelenie, tapiry, niedźwiedzie, no i te maluchy, które sprawiały wam taką radość. Każde z tych zwierząt w jakimś stopniu niszczyło sosnę i pobudzało ją do wydzielania żywicy. W moim zbiorze mam bursztyn ze zwęgloną drzazgą. Myślę, że w bursztynowiec uderzył piorun, zapalając jego pień. Sosna potem leczyła swoje okaleczenia eliksirem-sokiem, który po milionach lat dotarł do nas w postaci bursztynu.

— Sądząc po ilości zwierząt trzeciorzędu, które pan profesor wyliczył — odezwał się Paszenda — można by wysnuć wniosek, że żyły już wtedy wszystkie znane nam zwierzęta.

— Tak, tak właśnie jest, Paszenda — profesorowi udało się po raz pierwszy wymienić prawdziwie nazwisko swego ucznia. — Zapamiętaj sobie, że przyroda w tym okresie, jakby była niezadowolona ze swego dzieła. Zdawało się jej, że spartaczyła nieco ssaki. Wobec tego przystąpiła do różnicowania i gruntowniejszego ich wyspecjalizowania. Przodkowie koni i słoni z biegiem czasu zwiększać będą wymiary swych ciał.

— Proszę pana, jeszcze jedno dziwne drzewo.

— Dziwnych drzew jest tu znacznie więcej. To jest cynamonowiec, który przy oziębianiu się naszej strefy wycofał się aż do Cejlonu.

— A korę jego gałązek używamy jako przyprawę.

— Tak, tak. Pyszny jest ryż z cynamonem. Ale... ale... cóż się to dzieje? Zauważyliście, kochani?

— Panie profesorze, eroeksplorier przestaje pracować...
— No dobrze, co to jest eroeksplorier?
— Przypuszczamy, że urządzenie, które wyławia promienie z przeszłości ziemi. Trzeba nam spieszyc do kabiny translokacyjnej.

Jeszcze nigdy Proksza nie trafil taki niepokoj, jak dzisiaj. Wciaz myslal o ojcu obserwujacym gdzieś z ukrycia owe dziwolagi trzeciorzedu. Moze peknel z uciechy, gdy widzial maciupenkne koniki, moze widok karzelkowatego slonia wywoływal u niego salwy smiechu, Kto wie, czy nie widzial pięciopalcowej kozy lub antylopy. Frajda i tyle.

Niepokoj nie opuszczal Proksza, totez gdy tylko eroeksplorier zamiknel, odlaczyl sie od swych przyjaciol, nurknel jak kamien w zarośla i, buszujac w nich, pedzil na ostep ku drodze. Wydostal sie wreszcie na szlak jezdnny i rozejrzal dokoła. Odetchnel, gdy ujrzel ojca jakby drzemiacego pod wielkim debem. Otulony w wlochaty plaszcz, z ciepla czapka wciśnięta na uszy opieral sie o jego pien. Jozek zakradl sie po cichu do niego i juz, juz mial zawolac, gdy nagle uderzyl go inny widok. Spomiedzy drzew wynurzac sie poczelu ludzie. Byla to spora gromada, a wciaz jeszcze pojawiali sie inni.

— Ojczy, skad wzeli sie tutaj ci ludzie? — krzyknel.
— Ogladali zapewne miraz.
— To twoi znajomi?
— Tak, a takze znajomi moich znajomych. Wiesz, jak to wszystko ciekawe sensacji.
— Alez to cala dywizja ciekawskich. Czy wiesz, co z tego wyniknie?
— Rozejda sie spokojnie do domow...
— Jesli sie o tym dowie moj profesor, to umarlem w butach. Przez ciebie, przez twoich znajomych. Jest ich juz koło pol setki. I jeszcze wydostaja sie z lasu, z doliny.
— Moze nawet nic nie widzieli, bo wyplaszal wszystkich Ignacy Czogała.
— Tato, jestem w rozpaczy. Zlamalem slowo dla ciebie, bo chcialem, bys sie troche rozerwal. Bierzmy nogi za pas i uciekajmy jak najszybciej. „Kometa” czeka.

ODCZYT REDAKTORA POGORZAŁKA

Wszyscy, ktorzy interesowali sie nadal sprawa zagadkowości zjawisk optycznych, szukali daremnie przez dwa tygodnie wzmianki o niej w gazecie. Dopiero we wtorek, a wiec po niedzielnej wycieczce w trzeciorzed, „Echo Dnia” zamiescilo krótkie ogłoszenie, związane w jakis sposob z wydarzeniami, które podzialaly na wyobraźnie czytelnikow, jak komunikat o pierwszym ladowaniu ludzi na Ksiezycu. Sam tytul mial sensacyjne brzmienie:

„CZY DINOZAURY BYLY POD BRAMA MORAWSKA”

Redaktor Alojzy Pogorzalek wyglosi w srode, dnia 12 grudnia o godzinie 14.00 w Domu Kultury odczyt pod powyższym tytułem. Prelekcje redaktora ilustrowac beda rewelacyjne przewrocza z autentycznymi zwierzetami przedpotopowymi. Taśma magnetofonowa zaś odtworzy prawdziwe glosy niektórych przedstawicieli fauny okresu kredy. Udzial w tej niecodziennej imprezie zapowiedzieli pan profesor Matys i znany dobrze czytelnikom naszego pisma pan Fortunat Kalemba. Chcemy na dodatek zdradzic, ze tematem odczytu beda doznania i przygody redaktora, ktoremu sie udalo wkraśc w zaczarowany swiat, stworzony przez genialnych ludzi naszego wieku.

Zapraszamy wszystkich na odczyt naszego redaktora, szczególnie zaś tych, którzy swego czasu z napięciem śledzili „miraże” z ulicy Polnej. Wstęp wolny.”

Był do doskonały bodziec, by rozentuzjasmować wszystkich tych, którzy pielgrzymowali przed kilku tygodniami na Gławę, żeby naocznie się przekonać, ile prawdy zawierają korespondencje Kalemby o mamidlach optycznych. Krótka ta notatka poruszyła również tych, którzy przyjęli postawę tylko obserwatorów, a przyjmowali wieści o „mirażach” z uśmiezkami. Dla nich nadarzyła się okazja, by wreszcie przygwoździć tych panów, którzy je rozsiewali. Toteż już na dwie godziny przed odczytem mała sala świetlicy zaczęła się napełniać ludźmi w różnym wieku. Niektórzy nawet goście nie mogąc się do niej dostać, okupowali długi korytarz. Organizatorom spotkania nie pozostało nic innego, jak przenieść się do obszernej sali teatralnej. W krótkim też czasie zajęto wszystkie miejsca siedzące, reszta zaś stała pod ścianami. Mimo tego niepowszedniego tłoku dwaj kowale, Czogała i Kalemba, potrafili sobie zdobyć miejsca w pierwszym rzędzie. Rywale usiedli obok siebie. Pan Kalemba przyciskał do kącika ust granatową chusteczkę, jakby go zęby bolały. Wzrok jego spoczywał na fałdach wielkiej pluszowej kurtyny, spoza której wystrzeliwały jasne promyki świetlne. Można się było spodziewać, że zafaluje w każdej chwili i odsłoni redaktora Podgorzałka z aparatem projekcyjnym i magnetofonem. Przyjaciele i gromadka innych licealistów usadowili się w drugim rzędzie. Widzieli stąd dobrze, co się na amfiteatralnie wzniesionych krzesłach działo. Spostreegli też wkrótce swoich opiekunów, którzy zajmowali miejsca w tyle.

— Świetnie — cieszył się Kopruch — nigdy bym nie uwierzył, że ludzi ta sprawa tak pociąga.

— Na co czekają? — pytał Proksz. — Minęła czternasta.

Pływały dalsze minuty, a ciemna zasłona przed widzami, oświetlona przytłumionym blaskiem kinkietów, zwisała dalej w mrocznym bezruchu. Ktoś za plecami chłopców rozpuszczał wersję, że zanosi się na porządną bujdzę, gdyż prelegent prawdopodobnie stchórzył, nie mając publiczności nic do powiedzenia. Jednak za kotarą coś się działo. Dochodziły stamtąd zdenerwowane głosy, w końcu kurtyna drgnęła, a z jej fałdów wynurzył się redaktor Pogorzałek.

— Proszę państwa — zawołał, gdy się uciszyło — czy na sali jest pan Matys?

Dopiero po dłuższej chwili przyplął skądś czyjś głos:

— Nie ma.

— Naprawdę nie ma? Panie Matys!

— Dowiedział się, że w niedalekim lesie rosną dwie daglezie ⁹⁴, więc poszedł tam pieszo — informował znowuż głos.

— Obiecał, że będzie o czternastej. A pan Kalemba?

Publiczność zamilkła zupełnie, bo poczęła się interesować tropieniem tych dwóch postaci. Wreszcie z cisy, jak makiem zasiał, wydobył się prawie tuż u stóp pytającego stłumiony głos:

— Tak, hmm... jestem.

— Panie Kalemba, prosimy na scenę. Musimy jednak jeszcze poczekać na pana profesora Matysa, którego świadectwo i objaśnienia naukowe będą potrzebne przy omawianiu naszego dzisiejszego tematu. Pan Matys spóźni się zapewne parę minut, więc trzeba nam jeszcze odrobinę cierpliwości...

Na sali eksplodowały tu i ówdzie wybuchy śmiechu. Redaktor jednak, przywykły do kapryśności czytelników, a pewnie i słuchaczy, puścił te wyskoki mimo uszu i zaczął jeszcze raz nakłaniać pana Kalembę do przeniesienia się na scenę. Kowal zwrócił się wtedy po raz pierwszy w stronę swego sąsiada, jakby stamtąd przyjąć miała dyspensa od milczenia. Nastąpiło krótkie skrzyżowanie spojrzeń, potem Kalemba nie odrywając chusteczki od ust wymamrotał:

— Będę mówił z mego miejsca.

Sala na powrót się rozszumiała, rozległy się gwizdy i okrzyki.

— Zaczynać! — darł się ktoś spod ściany.

— Człowiek wyrwał się na momencik z roboty — odezwał się jakiś głos — i to sposobem angielskim, a teraz się dowiaduje tylko tego, że pan profesor Matys jest potrzebny, aby zmordowanemu pracą człowiekowi pomóc w oglądaniu „dymogiaura”.

To stwierdzenie rozśmieszyło niektórych, więc padały docinki i dowcipy. Redaktor Pogorzałek wolał tego nie słuchać, skrył się zatem w zmarszczce kurtyny. Było to jakby hasło do wywołania większej porcji wesołości. Lecz tumult ten ukrócił gromki głos z pierwszego rzędu. Z fotela podniosła się okazała postać:

— Cisza, proszę panów. Nie jesteśmy jeszcze w menażerii dinozaurów, ale w przybytku kultury, gdzie nawet najzuchwalsze stwierdzenia przyjmować należy z godnością i spokojem. Proszę o zachowanie powagi.

Były to mocne słowa. Człowiek, który je wypowiadał obrzucał zebranych śmiałym, nieustraszonym spojrzeniem. Toteż na pewien czas zapanowała idealna cisza, która jednak już wkrótce było zakłócana rozmowami i śmiechem. Niecierpliwi pohukiwali lub nawet piali w stronę zakrytej wciąż sceny. Śladem tych głosów poszła gawiedź, mająca w zanadru zawsze tyle siły, by najtęższe autorytety doprowadzić do rozpacz. Właśnie wtedy wydarzyło się coś, co podziałało na wszystkich jak ów piorun z jasnego nieba. Wielki gmach zatrzęsł się nagle w swoich posadach, potem targnął nim potworny grzmot. Rozległ się straszliwy ryk przerażający się chwilami w grozę budzące wycie. W tych dźwiękach było coś tak nieludzkiego i drapieżnego, że większa część zebranych na sali zerwała się z miejsc, zuchowata natomiast młodzież z przerażeniem poczęła się rozglądać po sali za źródłem tej niezwyklej kakofonii ⁹⁵. Trwożliwi zaś zwrócili swe poszarzałe twarze ku wyjściu, by zmierzyć szanse ratunku w razie koniecznej ucieczki.

W chwili wszakże największego podniecenia pojawiła się w przejściu jasna głowa pana Matysa. Widok profesora rozładował w mgnieniu oka zdenerwowanie publiczności. Pan Matys kroczył w kierunku sceny, zatrzymując się co chwilę i przysłuchując się uważnie straszliwej fanfarze głosów. Twarz profesora płomieniała jakby w ekstazie, a oczy błyszczały. I tak dążąc do celu, pan Matys przystawał jeszcze kilka razy, wreszcie znikł. Minutę później zamarły ku zadowoleniu pozostałych okropne dźwięki.

Na sali gotowała się nowa wrzawa, ale nim doszło do jej wybuchu, rozsunęła się bezszelestnie kurtyna i z jaskrawo oświetlonej sceny uśmiechnął się redaktor Pogorzałek. Obok niego na niskim stoliku znajdował się magnetofon, na innym jakieś drobiazgi, wreszcie skromnie na uboczu ulokował się przy stole profesor Matys. Redaktor nie potrzebował uciszać widowni, wszystkie bowiem oczy były w nim utkwione. Panu Matysowi pod wpływem doniosłości chwili zdawało się, że tylko serca publiczności biją za głośno.

Drodzy czytelnicy, mili sympatycy naszego czasopisma — rozpoczął redaktor Pogorzałek przesyłając swój triumfalny uśmiezek areopagowi ⁹⁶ redakcyjnemu siedzącemu w pierwszych fotelach, mrugnął do pana Matysa, a potem ciągnął dalej — drodzy państwo, czy trzeba wam tłumaczyć, co oznaczał przed paru minutami ów piekielny skowyt? To złowrogie, szkaradne, drapieżne, bestialskie, apokaliptyczne wycie?

— To był on! — rzekł redaktor ściszym głosem.

— Kto, do diabła? — wrzasnął szeroki w barach jegomość, stojąc oparty o ścianę sali.

— Największa bestia okresu kredy: drapieżny dinozaur.

— Gdzie go pan widział? I co to wszystko ma znaczyć? — wołano z środkowych rzędów. — Czekamy na odczyt. Mów pan wreszcie, bo nic z tego nie rozumiemy.

Otrzeźwiło to redaktora. Należało przystąpić do rzeczy, do odczytu i po kolei przedstawiać fakty, które widział i przeżywał. Przeprosił więc pana Matysa i zespół redakcyjny, jakby te żądania od nich wyszły, a potem zaczął czytać. Sala pogrążyła się w zupełnej ciszy,

sluchajac tego, co pan Pogorzałek widzial i przezywaf. W toku wszelako tej relacji trzeba bylo powolywac sie czesto na pana Kalembę. Redaktor czekaf wtedy na potwierdzenie przytoczonego zdarzenia, lecz „fruwajacy reporter” nie odrywaf chusteczki od ust, udajac, iz nie do niego mowia. A kiedy redaktor nacieraf silniej, Kalemba potwierdzaf to nieznaczny ruchem glowy lub zaprzeczaf energicznie mimika i wytrzeszczaniem oczu. Widownia bawila sie tym swietnie.

— Wiecie co? — rzekf Kopruch do swoich przyjaciol. — Owinal go wokol malego palca.

— Kto, kogo?

— Pan Czogała, Kalembę. Co on z nim zrobil? Można peknać ze smiechu...

Tymczasem redaktor „Echa Dnia” nie zrazony milczeniem swiadka, rozposcieraf przed swymi sluchaczami coraz bardziej niezwykle obrazy z przeszlosci ziemi, ilustrujac je od razu na bialym ekranie przezrociami z rzutnika. Aby uprzecdzić zarzuty nieprawdziwosci obrazow, prelegent zaznaczyl, ze sa one wytworem pewnego arcygenialnego wynalazku. Pan Pogorzałek mowil entuzjastycznie, zapalaf sie chwilami do tego stopnia, ze wykrzykiwaf przy opisywaniu oryginalnych zwierzat jak sprawozdawca na meczu pilki noznej. W ten sposob dotarf do ostatniego etapu swoich wypraw w mroki dziejow ziemi pod Bramą Morawską. Wtedy wlasnie nalezalo sie powolac na pana Matysa. Profesor, ktory juz od dluzszego czasu sledzil i wywody, i kalejdoskopowe barwy na plotnie, wysunaf sie naprzod, relacjonujac bardzo powaznie to, co sam widzial. Wsród baśniowych drzew pojawil sie wreszcie straszny drapiezny dinozaur. Pan Pogorzałek zaanonsowaf go gwałtownym okrzykiem:

— Tyranozaur. Wszak dobrze mowię, panie profesorze?

— Tak, to prawdziwy tyranozaur.

Wielki potwór ziaf zębata paszczęka, a w tej samej chwili magnetofon odtworzyl jego straszliwy ryk. Gdy sie wreszcie uciszyl, sala odetchnęła. Przeszła przez nia jakby fala ulgi.

Odczyt dobiegl konca. Pan redaktor Pogorzałek usunaf sie skromnie, lecz zadowolony na bok i skrzyzowaf ręce na piersi jak wódz, ktory po wspanialym zwyciestwie oczekuje naleznych mu laurów.

— Bujda na resorach — pokrzykiwaf z ciemnej sali jakis osobnik.

Ten okrzyk byl jakby zakonczeniem spotkania. Nikt jednak nie ruszaf sie jeszcze z miejsca. Wobec tego redaktor Pogorzałek nachylil sie do swych kolegow redakcyjnych i poczaf sie z nimi naradzac. Sala ucichła, i tam bowiem toczyly sie narady, a moze rowniez dyskusje. Totez z chwila wezwania zebranych do zabierania glasu podniosl sie z przednich rzędow mlody czlowiek ze smolistymi, wygiętymi jak podkowa wusami i zmierzaf prosto ku scenie.

Przybywszy na miejsce, zwrócił sie na wpol do widowni, na wpol do redaktora Pogorzałka i rzekf:

— Proszę pana, zanotowalem sobie w moim zeszytc kilka pytan związanych z pańskim interesujacym, ale i kontrowersyjnym odczytem. Mogę rozpocząć, prawda?

— Bardzo proszę. W przypadkach wątpliwych zwrócimy sie do pana profesora Matysa.

Wąsacz zajrzaf do zeszytu, a potem rozpoczął mowic, wyraźnie akcentujac kazde slowo:

— O ile mi wiadomo, kości dinozaurów znalezione na pustyni Centralnej Azji oraz w Ameryce, ściślej w Stanach Zjednoczonych...

— Jeszcze ściślej — dodaf jakis informator z tego samego rzędu, co dyskutant na scenie — w stanie Nowy Meksyk.

— Dziękuję — odparł z uśmiechem wąsacz — wlasnie chcialem to powiedziec. Nigdy nie slyszalem, zeby dinozaury, a coz dopiero mowic tyranozaurus zyly na naszych ziemiach. Jesli sie nie myle, nie ma takich znalezisk w naszej okolicy. I nie bylo wykopalisk, ktore by uzasadniaty pana poglady, czy tez sugestie. Drugie zagadnienie. No, muszę przyznac, ze

zaszokowały mnie przede wszystkim straszliwe hałasy magnetofonu, a nie obrazy, bo te łatwo sfabrykować. Można je też kupić w księgarniach lub w sklepach Cezasu. Wróćmy jednak do głosu rzekomego tyranozaura. Tyranozaur? A dlaczego nie piła tartaczna, syrena fabryczna lub koncert bucza straży pożarnej? W każdym razie jakiś mechaniczny zgrzyt maszyn, czy jeszcze coś bardziej hałaśliwego. Następna wątpliwość. Co to za wynalazek? Pisaliście o tym w gazecie, a teraz ponownie o tym słyszymy. Pan wybacz mi moją szczerość, ale tacy już jesteśmy: ludzie dwudziestego wieku. Nie wierzymy w bajki. Żądamy dowodów, prawdy, logiki. A tego nie ma w całości pańskiego odczytu.

— Mogę panu dać słowo, że niczego nie zmyśliłem. Obrazy i dźwięki są autentyczne, moje twierdzenia nie do obalenia — bronił swej pozycji redaktor, gdy dyskutant powrócił na swoje miejsce. — Na szczęście nie byłem jedynym obserwatorem. Oto, państwo, macie pana Kalembę, który pierwszy przecież zwrócił uwagę społeczeństwa na niezwykle dziwne. Jest poza tym pan profesor Matys, a może jeszcze inni, którzy z równym napięciem, choć na ubożu, śledzili owe „bajki”. O dinozaurach mówić będzie pan profesor. Ja jeszcze o wynalazku. I ja jestem, proszę państwa, człowiekiem dwudziestego wieku, człowiekiem ery księżycowej, więc starałem się dotrzeć do źródła tych baśniowych obrazów. Mogę tylko tyle panu powiedzieć, że ta cudowna aparatura, stwarzająca według pana wizje i bajki, a według mnie wydobywająca z otchłani milionów lat życie naszej starej ziemi, znajduje się na wielkim siedmionowym samochodzie i przyczepie. Wynalazcy mogą się więc dowolnie przemieszczać z miejsca na miejsce, wybierając ustronne zakątki, gdzie mogą kontynuować swoje doświadczenia. O właścicielach tej przenośnej maszyneryi nic panu nie powiem, bo trudno ich wykryć. Widziałem ich tylko raz podczas pewnej przygody i to dość pobieżnie. Była to grupka ludzi składająca się z sześciu siedmiu albo ośmiu osób.

Słowa redaktora przyprawione były lekką irytacją i ironią. Lecz później zagościł na jego ustach nieznaczący uśmiech triumfu, gdy zwrócił się do pana Matysa z prośbą o wypowiedzenie własnego zdania o dinozaurach pod Bramą Morawską.

Profesor po uporządkowaniu swych notatek na stole, zgarnął je, podszedł z nimi na skraj sceny. Był wspaniały w swoim spokoju i pewności siebie, toteż na widowni zapanowało kompletne milczenie, milczenie głębokie i życzliwe.

— Miał rację przedmówca pana redaktora Pogorzałka — ciągnął dalej pan Matys z ogromną powagą — gdy umiejscowił dinozaury na dwóch przeciwległych kontynentach, bo tam właśnie znaleziono ich szkielety. I nie powinniśmy czuć się dotknięci jego sceptycyzmem, albowiem dowodzi to jego trzeźwości i rozwagi w sprawach, które mają duże znaczenie dla nauki. Jeśli wszakże potworne te giganty przetrwały tam właśnie, to nie dlatego, że żyły jedynie na tych obszarach, ale że zachowały je dla nas korzystne warunki geologiczne. Sławne chirotherium pozostawiło tylko ślad swej pięciopalcowej stopy na ziemi, innych dowodów jego istnienia nie ma, a uczeni odtworzyli kształt jego cielska tylko na tej podstawie. Nie mamy więc żadnych dowodów, że człapały tutaj na progu Bramy Morawskiej, ale nie znaczy to, że nie mogły w tym miejscu istnieć. Wiele jeszcze tajemnic kryje nasza droga ziemia, część z nich wydobędzie nauka, ale większa część nigdy nie zostanie wydobyta na światło dzienne. Bądźmy jednak dobrej myśli, to, co widziałem, napawa mnie optymizmem. Człowiek jest myślącym stworzeniem. Dowodem tego ów wspaniały wynalazek, o którym wspominał pan redaktor Pogorzałek.

Stary profesor zapalał się coraz bardziej. Ponieważ intrygowały go zawsze straszne dinozaury i tyranozaurowe, więc zaczął je opisywać dokładnie i barwnie, kreśląc w malowniczych słowach wielkość, wygląd i sposoby bytowania olbrzymich gadów.

— Jeśli więc były, panie profesorze — odezwał się jakiś młody głos, pełen szacunku — to co się z nimi stało? Dlaczego wyginęły?

— Ha, dlaczego wyginęły? Kto to wie? Są różne przypuszczenia. Jedno mówi, że to metabolizm⁹⁷ przyczynił się do ich zguby: ich przemiana materii nie potrafiła się przystoso-

wać do zmienionych warunków życiowych, czyli do nowo powstałych roślin. Inna hipoteza głosi, że zagładę zgotowały im małe ssaki. Bardziej inteligentne, bardziej obrotne i bardziej przedsiębiorcze. Zważmy, obywatele, że mózg diplodoka był przekroju orzeszka, a więc nieprzydatny do rozwoju jakiegokolwiek inteligentnej myśli.

— Jak to małe ssaki? Dlaczego, panie profesorze? Czy je gromadnie atakowały i pożerały?'— padło nowe, natarczywe pytanie.

— Po prostu zjadały kolosom jaja, pozbawiając ich przez to potomstwa.

Skupienie na twarzach słuchaczy, wyraźne zainteresowanie wyjaśnieniami starego profesora, skłoniły go do odmalowania dziwnej fauny trzeciorzędu. Była to więc historia owych rżących koników oraz przodków słonia tak maciupieńkich, że gdy je pan Matys porównał wielkością do świni i psa, widownia parsknęła gromkim śmiechem. Lecz ten właśnie swobodny nastrój sali podziałał na pana Kalembę. Wszystkie wspomnienia biologa przeorywały jego serce i burzyły drzemiące tam dotąd uczucia, skłaniając go do buntu przeciwko czyjejś mocy, która zmuszała go do milczenia. Wstał więc z hałasem, przerywając profesorowi w pół zdania i wrzasnął buńczucznie:

— Proszę natychmiast o głos!

Na to zerwał się rozpromieniony redaktor i począł zachęcać Kalembę bardzo gorliwie:

— Ależ, panie Kalemba, uprzejmie prosimy. Prosimy do nas, do stołu. Niech pan się nie waha. Jest pan koronnym świadkiem tych zjawisk.

Pan Kalemba przez chwilę zastanawiał się, wahał... Minęła może minuta, a wezwany milczał, potem dopiero skrzywił się jak po ataku nagłego bólu. Przycisnąwszy chusteczkę do ust, jęknął głosem pełnym rozpacz:

— Och, bardzo prze... przepraszam. Jak widzicie, państwo, nie mogę jednak dzisiaj przemawiać mimo szczerej ochoty.

— Niech pan jednak mówi — zawołano z sali.

— Nie mogę.

Kalemba zaprzeczył jeszcze raz głową i opadł z powrotem na swoje miejsce. Pan Matys, trochę zdziwiony takim niezrozumiałym wyskokiem, opanował się szybko i dokończył już spokojnie wykładu o cudacznym wyglądzie zwierząt w trzeciorzędzie.

ZIMA BEZ EROEKSPŁORERA

Nazajutrz po odczycie redaktora Pogorzałka odezwała się niespodziewanie zima. Już od rana dmuchać zaczęła tumanami wielkich, gęstych śnieżnych piór. Wkrótce też zabieliły się pola, bezlistne drzewa przeistoczyły się w waciane bałwany, dachy domów zaś okryły puchowe czapy. Do wieczora zima wytępiła naokoło wszelką czerń, wszędzie panowała jaskrawa biel śniegu.

— A więc macie — rzekł Proksz melancholijnie — I wykończyła nas zima. Nie będzie więcej przygód.

Mógł to być rzeczywiście koniec wszelkich wędrówek w nieznaną ery ziemi, tym bardziej, że już następnego dnia dało się odczuć kilkustopniowy spadek temperatury. Nic też nie zwiastowało, by zanosić się mogło na ocieplenie. I tak oto bezcenny skarb naukowy w pudle starego wozu i przyczepy wrócił z tułaczki, by znowu na pewien okres osiąść w niepozornej szopie. Nikt już od tej chwili, nawet wszędobylscy reporterzy, nie zabłądził na odludną drogę. Nikt też chyłkiem nie skradał się pod drewniany budynek, nikt nie wlepiął ciekawych oczu w szare, wyblakłe okienka.

— Koniec — dopowiedział Kopruch. — Nie będzie więcej eroeksplorerek uciekała na poligony doświadczalne. I nie będzie nikt w ciągu zimy śledził jego ucieczki.

Martwota, cisza, spokój przez wiele dni. A jednak wieczorami skrzypiały na Polnej wie-rzeje bramy, majaczyły na śniegu sylwetki żywych stworzeń, rozlegały się tłumione słowa, rozblyskiwały światła, wypełzając z baraku.

— Powinienem się nawet cieszyć, że nastąpiło takie próżnowanie — mówił kiedy indziej Józek do Romka. — Nie masz pojęcia, ilem się strachu najadł, gdy mój stary w dobroci serca organizował darmowe bilety na seanse trzeciorzędu. Myślę, że się nam to wszystko jakoś upiekło. A jak tam twoje sprawy, Romanie?

— Myślisz pewnie o moim ojcu. Wydaje mi się, że łagodniejemy obaj coraz bardziej. Przebywam teraz często blisko ojca, a on przekonał się chyba, że nie jestem straconym człowiekiem... Muszę przyznać, Józek, że atmosfera w domu się zmienia. Nie jest mi już tak ciężko, jak dawniej. A ten Brytan... Jest wreszcie pies...

— To poważne ustępstwo ze strony twoich rodziców, zwłaszcza matki.

— Rozumiem to doskonale. A jednak Brytan nie zastąpi mi Łaty. Było to brzydkie psisko i biedne. Tę brzydotę jednak wyrównywał przymilnością i przywiązaniem. Gdzież on się teraz podziwia?

— Włóczy się po wsiach. Ale z ciebie to taka cicha woda...

— A jednak przeżywam wiele rzeczy głęboko. Wiem już, co to dramat. Choć te drama-ty dotyczą na pozór rzeczy błahych.

— Prędko się zrażasz, a ja nie. Na twojej twarzy odbija się to, co czujesz, co cię martwi, co raduje. Ze mną, to nie taka łatwa sprawa. Zacinam się, bronię się twardo, gdy czuję, że tonę.

— Nie mówmy lepiej o tym, Józek.

— Powiedz wszystko, to ci ulży. Nie ma spraw dotyczących mojego ojca, których bym ci nie opowiedział.

— Powiedziałem ci więcej, niżli komu innemu.

— Myślę, że powinniśmy trzymać sztamę.

— Masz rację...

Nie dokończyli tej rozmowy, bo zjawił się Kopruch, jak zwykle nagle, zaskakując obu przyjaciół nowym wyrażeniem ze swego bogatego słownika:

— *Panta rei*, mości przyjaciele.

— Mów tak, filozofie, żebyśmy cię rozumieli — rzekł Józek Proksz.

— Słuszna uwaga. *Panta rei* znaczy: wszystko płynie. Powiedział to grecki filozof Heraklit.

— Po minie twojej poznaję, że coś rzeczywiście płynie. Mów!

— Każda rzecz, każde wydarzenie ma swój początek i swój koniec. I dlatego paczka nadana w Afryce dostała się wreszcie na naszą pocztę. A obecnie jest już w domu, u mnie. Znajduje się w niej turban, fetysz, są i inne drobiazgi, a na dodatek mamy tatusiowego królika w cylindrze. Czy pomyliłem się, Józek, mówiąc wam kiedyś o bombowych pomysłach mego papy?

— Jeśli to jest australijski królik, to rzeczywiście...

— Eee, królik. Mówię to w przenośni. Mały, spreparowany krokodylek nilowy. Mumia...

— Żartujesz?

— Ja? I wiecie, co zrobiłem? Poleciałem z tym brzdącem do profesora Matysa. Przyjął prezent z takim wzruszeniem, że ledwo się nie rozpląkał. Ręce ci mu drżą, powieki latają, broda się trzęsie. „Koperszmyt, to dla mnie?” — zapytał. — Koperszmyt, rozumiecie? Nawet zaczyna mi się podobać to nazwisko...

— No tak — powiedział Proksz, poruszywszy się żywo — w encyklopedycznej pamięci

profesora nie ma zakamarków na pospolite drobiazgi. Fajna rzecz: Koperszmyt... Że on sobie akurat to zapamiętał. Ja bym już jutro nie mógł sobie przypomnieć takiego nazwiska. Krokodyl, mówisz? Zawahałbym się jednak na twoim miejscu...

— Nie zastanawiałem się nawet chwili. Lubię starego belfra, wy go też przecież lubicie. Polubiłem go jeszcze bardziej, gdy rzekł tak: „Koperszmyt, rylec mej pamięci wygrawerował w granicie ten napis: Koperszmyt-Krokodyl. Bezwarunkowo utrwalić!” Kopruch, panie profesorze — poprawiłem. „Ależ dobrze, kochanie. Kopruch: duży, złoty chłopak, zdaje się, w okularach”.

Dwa dni po paczce nadeszła też wiadomość z Warszawy. Babcia Krzysia donosiła, że znana im dobrze dziewczynka odzyska całkowicie zdrowie. Był to wtorek, a w środę koło południa piątka chłopców wychodząc ze szkoły, spostrzegła masywną postać kowala Czogały. Stał on na boisku, jak żołnierz na widocie. Na ich widok gwałtownie poskoczył ku nim. Chłopcy sądząc, że to najzwyklejszy napad na nich, pierzchnęli niby wróble przed kotem.

— Stójcie, koledzy — ryknął kowal. — Za kogo mnie macie? Dlaczego uciekacie?

Jego żylaste ramię przygarnęło najbliższego, Koprucha, do szerokiej piersi, aż chłopakowi tchu zabrakło.

— Drogi chłopcze, nie wrywaj się, bo cię nie puszcę. Przyleciałem z tym zamiarem, by was po kolei uściskać, podziękować za przyjaźń do niej. Czy wiecie, że Jolka widzi? Jest szczęśliwa, będzie was oglądała zdrowymi oczyma.

Reszta przyjaciół Koprucha zawróciła, wstydzając się trochę tej dzikiej rejterady. Czogała witał jednego po drugim serdecznie, brał ich w ramiona i ścisnął aż im kości trzeszczały. Wreszcie podnosił to tego, to owego i podrzucał ich w górę jak gumowe piłki.

— Co za radość. Hura!

I tak oto stary człowiek, chełpiący się zawsze swą stalową strukturą, roztopiał się niby wosk na słońcu. Oni weseląc się hałaśliwie, wykręcali się z imadła jego uścisków. Potem przyszła kolej na gwałtowne potrząsanie rąk, jeszcze boleśniejsze niżli węzowe sploty jego ramion.

— Wszystkich was, przyjaciele — mówił — zamknąłem w moim sercu. Z żoną razem dziękujemy. To, co zrobiliście dla naszej córki, pamiętać będziemy do końca życia.

Ojciec Jolki znikł już za murami szkoły, a oni stali wciąż jeszcze w miejscu, wybuchając co chwila śmiechem i okładając się wzajemnie żartobliwymi kuksańcami, choć czuli jeszcze w kościach dotkliwie uściski szczęśliwego kowala.

Nadszedł ostatni dzień nauki przed świętami. Przyjaciele rozstać się mieli na kilka tygodni. A choć cieszyli się na ferie, serca wypełniał im lekki smutek i również żal, że się niebawem przyjdzie pożegnać. Prosz już z rana zjawił się w klasie objuczony sporą paczką, narażając się na dokuczliwe uwagi kolegów. Przez wszystkie też lekcje otaczał go obłok przyjemnego aromatu pieczonego ciasta.

— Tak, Koperszmyt — rozpoczął po lekcjach — jedziemy każdy w swoją stronę. I jakoś...

— Jakoś nam głupio, Józek.

— Jakbyś mi z ust to wyjął. Krzysztof, stary koniu, chciałem jeszcze coś powiedzieć, ałem na śmierć zapomniał. Roman, co to było?

— Żebym ja to wiedział. Może o tym, co jest pod ławką. Miałeś napomknąć.

— Sza. ...Wujek jedzie z tobą, co?

— Musi, choć wolałby być przy swoim eroeksplorerze. Trzeba wam wiedzieć, że tworzymy tam na miejscu całą rodzinę: dziadek, babcia, wujek i ja. Urządząmy wspólnie święta. Żona mego dziadka i mój właściwy dziadek zginęli w powstaniu... Wczoraj wujek napomknął, że mogą tam być jeszcze moi rodzice... Wyobrażacie sobie, co by to było?

— To dopiero będą nudy u inżynierów bez naszego profesora — wtrącił Lonek. —

Przypuszczam, że ci też nie mają swoich rodzin...

— Chciałeś powiedzieć: żon. Wynalazcy nie mają czasu na życie prywatne. Gdzieś to już słyszałem.

— O ile wiem — odrzekł Kopruch — to pan Plecionka był już blisko tego celu, ale zapomniał pojechać na swój ślub. Narzeczona i jego przyszli teściowie nie mogą mu tego zapomnieć.

— To zrozumiałe.

— Aha! — krzyknął nagle Józek z odkrywczym błyskiem w oczach. — Przypomniałem sobie, Krzysztofie.

— Co?

Proksz sięgnął pod ławkę i wydobyl stamtąd sporą paczkę, rozsiewającą przyjemne wonie.

— Masz!

— No dobrze, ale co to ma znaczyć?

— To dla ciebie i dla pana profesora Osieckiego. Nie zdradz jednak, że to ode mnie.

— Przez wszystkie lekcje drażnił mnie ten zapach, pobudzając mój apetyt w niewiarygodny sposób. Co to właściwie jest?

— Makagigi⁹⁸. Myślę, że się nie rozczarujesz. Jeśli koniecznie będą chcieli znać autora tych „delikatesów” powiesz, że to od mojego starego. To za bilet na podglądanie obrazów eroeksplorera. Wiesz, że mój stary to robił. Inna rzecz, że wypadło trochę inaczej niżli to było zaplanowane. Cóż chcecie, poczciwiec i tyle. Trzymaj się, Krzysztof. Do zobaczenia!

— Hej, hej, Proksz, Józek! Wariacie! Jak to, nie chcesz się ze mną pożegnać? Nigdy bym nie był przypuszczał...

— I ja. ... Zawsze mnie zastanawiały twoje lizaki. Coś ci wtedy dolegało. Potem złościłeś się, często niepotrzebnie...

— Przede wszystkim na mnie — śmiał się Obartel. — Za to, że niby mnie w domu rozpieszczają.

— Nie ma co do tego wracać. W zasadzie jednak trzeba się wczuć w naszych starych. W ich życie i troski... Żegnaj, filozofie, a nie zapomnij o Jolce.

— Chyba ją odwiedzisz, Krzysiu — zawołał Romek. — Jeśli tak, to przekaz jej nasze pozdrowienia.

— Możecie na mnie liczyć.

Po kilkunastu dniach zespoliła ich znowu nauka, szkoła, wspólne zainteresowania, chłopięce ideały. Kopruch wrócił odświeżony, pogodny i radosny. Święta spędził z rodzicami, którzy przylecieli samolotem z Algieru do Warszawy. A chociaż wyfrunęli podobni do przelotnych ptaków znowu w daleki świat, obiecali Krzysztofowi, że zjawią się w kraju w lecie, by już na zawsze osiąść w ojczyźnie.

— Tak — mówił Kopruch — chociaż piękne są cudze kraje, ale najlepiej czują się moi rodziciele między swoimi.

— No, a co mała Jolka?

— Tak się złożyło, że byliśmy wszyscy u niej razem z mamą i babcią. Widziałem ją więc, ale wyobraźcie sobie, że ona mnie też spostrzegła. Nasze spotkanie odbywało się w zaciemnionej sali, w trochę tajemniczym oświetleniu. Ona w dodatku patrzyła na mnie przez ciemne okulary. Fantastyczne misterium Najlepsze to to, że ma mnie absolutnie za kogoś innego. Kopruch według niej to przyjemny grubasek z puciołowatymi policzkami. A ciebie, Józek, myli z Romkiem. Opowiedziałem jej o Koperszmycie. Nie wiedziałem, że umie się śmiać tak serdecznie. Przyjemny szkrab. Mówiliśmy również o eroeksplorerze i sprawach z nim związanych...

Ale i w tej długiej zimie zdarzały się okresy, w których ciepłe wiatry wiejące od Bramy Morawskiej zlizywały śnieg i wydobywały spod niego czarną ziemię wraz z jej wypłowiałymi

roślinami. Podczas pewnej słonecznej i ciepłej niedzieli rozległ się przed domem Romka klaskson motocykla.

— „Kometę” — zawołał Romek i podniósł się od stołu, na którym leżały rozłożone do nauki podręczniki.

— Pewnie to ten twój Józek — powiedziała matka. — Przyrowadź go do domu.

Romek wybiegł na podwórze. Przy płocie stał rzeczywiście Józek, przyzywając go machaniem ręki.

— Cześć, Lukanek — rzekł Proksz. — Widzę, że jesteś zdziwiony. Nie spodziewałeś się mnie. Jest ładna pogoda, więc powiedziałem sobie, że można zaryzykować jazdę na „Komecie”. Co słyhać?

— Stara bieda, Józek. Wejdz do domu. Moja matka na ciebie czeka...

— Czekaj. To ten wasz Brytan, tak się drze na mnie?

— Tak.

— Wstrętny zółcielec. No, trudno, myślałeś przecież o zastępcy Łaty. Ale to zupełny falsyfikat.

— Mówisz tak, jakbyś znał Łatę.

— Łata na pewno jest brzydszy. A złodziej nie z tej ziemi...

— Skąd wiesz? — śmiał się Romek.

— Buchnął nam cały bochenek pszennego chleba.

— Żartujesz.

— Dopadłem go jednak i przywiozłem ze sobą. Jechałem wolno, a łązega biegł obok „Kometry”.

— Józek, wciąż się ciebie żarty trzymają.

— Łata! — krzyknął Proksz na drogę.

Na to odezwało się stamtąd radosne szczekanie. Józek zwrócił się do Romka.

— Kłamię? — rzucił krótko Proksz. — Ten czy nie ten?

Romek nie czekał dłużej, pomknął jak strzała przez furtkę na drogę. Niebawem dojrzał „Kometę” i żółtego szkaradnika, obtańcowującego motor i szczerzącego do niego fantastycznie rozradowany pysk.

— Łata! — darł się chłopak.

Proksz stał obok i spoglądał wyrozumiale na scenę powitalną chłopca z psem, na ich wrzaski i jazgoty, wreszcie na opętańcze ruchy jednego i drugiego. Kiedy jednak „Kometę” poddawać się zaczęła temu weselu, dygocząc niebezpiecznie, Józek położył kres tej szaleńczej zabawie.

— Dosyć, wariacie — krzyknął. — Wywróćcie „Kometę”. No, Romek, co teraz? Co będzie z Łatą?

— Nie wiem — odparł chłopiec bezradnym głosem.

— Mam go zabrać z powrotem? Mój stary już się nim zaopiekował. Może on...

— Bardzo ci dziękuję, Józek. Nigdy ci tego nie zapomnę.

— Pożytku żadnego z niego nie będzie, bo to — jak mówiłem — rzeżymieszek.

— Nie powinieneś się na niego złościć — wtrącił szybko Romek — jeśli wziął, to z głodu. Prawda, Łata?

— Słuchaj, Roman, niedobrze, że się do wszystkiego mieszam, ale przywiązałem się do ciebie. Pamiętam, jakieś mnie pocieszał...

— Dlaczego mówisz tak dziwnie do mnie?

— Po prostu chcę ci powiedzieć, że możesz sobie Łatę zatrzymać.

— Nie rozumiem.

— W piekarni, tak jak i u fryzjera wie się wszystko, co dzieje się w obrębie jednej mili. Mój stary zasięgał informacji o wszystkich psich włóczęgach. Łata nietrudny był do rozszyfrowania. Przyrowadzono go już w czwartek.

— Nic mi nie mówiłeś.

— To była tajemnica, rozumiesz? W sobotę wstąpiłem do fabryki, do twojego starego, aby go życzliwie usposobić do Łaty. Nic mu, naturalnie, nie wspomniałem, że Łaciarz to urodzony kleptomani.

— Józek, znowu przesadzasz. Ty nie wiesz, co znaczy głód... No, a co mój tatuś?

— Zgodził się zaraz, jakby na psa czekał, aby go wziąć do waszego domu.

— Józek, nie wiem, jak ci mam dziękować. Jesteś jednak najwspanialszym kolegą. Masz złote serce...

— Daj spokój, bo się pogniewam. Inna rzecz, że jestem tym, co ładuje sobie nowe kłopoty na głowę. Zostawiam bowiem u was Łatę, a zabieram Brytana. Dałem słowo twemu staremu, że ulokuję go w dobrych rękach. Twój ojciec go lubi, wiesz... Zajmę się waszym Brytanem. Bierz nareszcie swego Łatę, idziemy po jego sobowtóra.

Tak się złożyło, że żadna wyprawa z eroeksploracją nie mogła obejść się bez Lonka Obartla. Stał się bowiem z biegiem czasu nieodłącznym ogniwem zgranej piątki chłopców. Nim jednak doszło do tego serdecznego zżycia się z puciołowatym chłopcem. Romek i Józek nieraz zadawali sobie pytanie, jak Lonek znalazł się właściwie w ich gronie. Razu jednego Proksz nie owijając niczego w bawełnę, zapytał o to Koprucha. Wielki chłopiec podrapał się w głowę, potem rozłożył śmiesznie ręce.

— Prawdę powiedziawszy, strzeliło mi to po prostu do głowy po tej bójce z nim — stwierdził Kopruch. — Miałem wtedy trochę wyrzutów sumienia za moje niewybredne słowa, a i poczułem również dobrze jeden z jego rozpaczliwych ciosów. Nie przypuszczałem, że umie tak młócić. Uwielbiam siłę fizyczną. A co powiecie o tej groźnej babci? Nawet nie wiem dokładnie, co przeważało.

— No dobrze, ale powierzyć mu tajemnicę eroeksplorera...

— Na próbę obarczyłem go moim własnym sekretem. Pewnym szkolnym grzeszkiem i zabroniłem o tym mówić. Kiedy nie puścił pary z gęby, poszedłem do wujka, który prosił mnie parę dni przedtem, bym wybrał w klasie dwóch zaufanych chłopców, prócz was oczywiście. Wziąłem, jak wiecie, Leona i Janka Paszendę, który mnie denerwował swoją niewiarą i wyśmiewaniem cudownego widowiska. Poza tym nic nie miałem przeciwko Paszendzie, jest to bowiem złoty chłopak. Aż się prosiło, żeby z nim zawrzeć przyjaźń po wsze czasy.

Nastał już marzec, lecz śnieg trzymał się jeszcze uporczywie pól i lasów. Pewnego jednak dnia wiatr od wielkiej Bramy Moraw zawiął sporymi podmuchami ciepłego powietrza na ziemię nadodrzańską. Przyszła więc odwilż, a po paru dniach cała przyroda zbudziła się nagle z wiosennymi rumieńcami. Słońce pieściło ciepłem zieleniejące zagony, a skądś zjawily się pierwsze szpaki. Wiosna występuje na tej połaci kraju o całe dwa tygodnie wcześniej, toteż można było poczytać to wszystko za jej zwiastunów.

Właśnie w tym czasie stał się sławnym niepozorny chłopczyzna, Leon Obartel. Pisały o nim gazety, a pan Pogorzałek z „Echa Dnia” przeprowadził z bohaterem wydarzenia długi wywiad. Gdy o tym mówiono, Lonka nie było w szkole.

— Ale niespodzianka — zdumiewał się Kopruch — nikt z was by nie przypuszczał, prawda? Ja jedyny przeczułem go w tym ciosie...

— Powiadają — rzekł Proksz, trąc w zamyśleniu ucho — że się przy tym poranił. Nic groźnego, bo leży w łóżku, w domu. Nie ma innej rady, tylko trzeba go odwiedzić. Zbieramy się więc po lekcjach i idziemy do niego.

Kopruchowi nie bardzo przemawiały te odwiedziny do przekonania. W tej bowiem chwili zamajaczyła w jego wspomnieniach straszna babka Lonka. W końcu jednak uległ perswazjom swoich przyjaciół.

Lonek mieszkał niedaleko na przedmieściu, w pięknej willi. Chłopcom otworzyła drzwi starsza pani. Kopruch poznał ją zaraz i przesunął się na sam koniec ogonka kolegów. Mimo to pani dostrzegła jego przede wszystkim.

— Aha, to pan — powiedziała babka Lonka, taksując go surowym wzrokiem. — Proszę dalej. Lonek siedzi w pokoju. Poranił się trochę podczas tego wypadku. No i co powiecie o swym koledze? Nie dzielny to chłopak?

Pragnąc zrobić starszycie przyjemność, wyrażali minami swe uwielbienie dla zucha. Krzyś zaś w duszy był jej wdzięczny, że nie wspomniała o historii z pyzą. Maszerowali więc teraz cicho za przewodniczką przez długi, ładny przedpokój. Byli nieco zmieszani, poruszali się niezgrabnie, potracając się wzajemnie. Nagle rozwarły się drzwi i znad stołu w pokoju wybiegł im naprzeciw zdumiony wzrok bohatera. Obok niego siedział jego dziadek, ten którego wąsy podziwiał zawsze Kopruch. Na stole była szachownica z figurami, a dziadek Lonka trzymał właśnie jedną z nich w palcach, by przesunąć ją na upatrzone pole. I tak obaj, on i wnuk, zastygli jak w fotograficznej pozie z oczami zwróconymi na wchodzących.

— O wilku mowa, a wilk tu — zaanonsowała gości suchym głosem babcia. — Wspominałeś przed chwilą o nich i już są. Cały czas zastanawiał się nad tym, co powie na to Kopruch.

— Eee, babciu, to nie tak było — prostował Lonek, któremu z wolna policzki poczęły się różowić. — Mówiłem, że kiedy już chciałem stchórzyć, słyszałem jego głos: „No co, baranie, czego się wahasz? To twoja szansa.”

Roześmieli się wszyscy nie wyłączając babki, a wąsaty dziadek trząśł się jeszcze cały ze śmiechu. Potem jednak podniósł się i uściśnął każdemu z chłopców rękę. Jego żona skinęła na niego i — chłopcy zostali sami w pokoju.

— No, iii?... — rzucił Kopruch, zerkając ukradkiem na obandażowaną rękę Lonka Obartla.

— Nic — uśmiechnął się skromnie zuch. — Cieszę się, żeście przyszli. Jutro będę już w szkole. Zresztą chciałem iść zaraz, ale mnie nie puszczono.

— Skromność skromnością — zauważył znowu Kopruch — ale chcemy wiedzieć, jak się to wszystko stało.

— Całkiem zwyczajnie. Było ciepło, więc wybiegłem na ulicę. Znaleźli się zaraz kompani, z którymi polecałem na sąsiednie podwórze, gdzie zazwyczaj grało się w piłkę nożną. Znalazła się też piłka, więc zaczęliśmy grać. Graliśmy już dość długo, gdy zjawił się jakiś berbec i zawołał: „Tam się pali.” — Nikt go jednak nie słuchał, bo tak zajęci byliśmy grą. Dopiero, gdy ktoś z naszych strzelił gola, usłyszeliśmy wołanie malca. Ktoś więc zapytał: „Gdzie się pali, mały?” Pokazał ręką na dom naszych sąsiadów. Coś się nam wydawało, że rzeczywiście nie wszystko tam jest w porządku. Podbiegamy do bramy. Zamknięta. Wtedy chłopaki mnie podnoszą, zaglądam w okno. Ogień. I pełno dymu. Cofam się, truchleję. Koledzy krzyczą: „Pożar.” Dwóch pobiegło na złamanie karku, żeby alarmować ludzi i straż pożarną.

Zgroza, mówię wam. A tu jeden z tych, co to się gapili, powiedział, że pani Grabowska wysyła i zostawiła małe dziecko w łóžeczku. Wspiąłem się jeszcze raz na okno. Niedaleko okna leżało takie maleństwo i w ogóle się nie ruszało. Zeskoczyłem z okna i miałem ochotę wiać. A wtenczas usłyszałem twój głos: „Czego się wahasz, baranie? Wal w szybę i ratuj dziecko”. Owinąłem rękę szalikiem i cały się trząśłem. Potem buch. Brzdęk. Leci szyba. Przystałem się już bać. Włożyłem rękę do środka i otworzyłem okno. A stamtąd waliło piekło: żar i dym.

— I wlałeś?...

Lonek skinął głową i ciągnął swą opowieść dalej:

— Porwałem to małe, było nieprzytomne, wyszedłem na dwór, a tam już byli zgromadzeni ludzie. To wszystko, Kopruch.

Zapanowało milczenie, dopiero po pewnym czasie zabrał głos znowu Krzyś.

— Nie wiedziałem, że z ciebie taki wiarus. Powiedz jednak, co znaczą słowa: „To twoja szansa”? Czy to wiązało się z naszą sprawą?

Lonk nie od razu odpowiedział. Spoglądał Kopruchowi w oczy, potem dopiero rzekł:
— Byłem w twoich oczach maminsynkiem.

Kopruch wyciągnął rękę do Lonka, a „wiarus” podał mu swoją. Nastąpił silny uścisk dłoni, wreszcie Kopruch rzekł:

— Ano, co ci powiem, to ci powiem, Leon — Kopruch szukał w pamięci najodpowiedniejszego wyrażenia — powiedziało się to w przypiływie pewnej niechęci. W rzeczywistości przeczuwałem w tobie zucha. A koledzy mogą poświadczyć, że czuję dotąd respekt przed twoją pięścią.

SKARPA MAMUTÓW

Pewnego dnia do cichego domku pod lasem wróciła dziewczynka, która do niedawna jeszcze była niewidoma. Teraz poznała już błękit nieba, krwawą bliznę nad okiem zamierającego słońca, posępną czerń zimowego boru, wreszcie barwę świeżego, nieskalanego śniegu iskrzącego się diamentowymi igielkami w promieniach słońca. Lecz dziewczyna nie oglądała nigdy dotąd wiosennych posłańców, wypełzających spod zimowego puchu w postaci ślicznych kielichów i dzwonek.

Kiedy więc nareszcie pojawiły się pierwsze bazy, dziewczyna szalała z radości. Doczekała się w końcu wiosny: zieleni, mnóstwa kwiatów, motyli, ptaków i całej wspaniałości barw. Rozpoczął się właśnie maj.

W jedną z tych pogodnych i ciepłych majowych niedziel, grupka ludzi spotkała się na kopcu najwyższego wzniesienia nad doliną Odry. Na forpocztach lasu, małych a wdzięcznych zagajnikach, rysowały się cienie wątego jeszcze, ale już rozkwitającego życia. Hen, na południu, silniej też barwiła się długa, obła niecka, w której od niepamiętnych czasów płynęła Odra. Tam też wyrzynały się proste drogi obramowane bielą kwitnących czereśni.

— Cieszę się, panie doktorze — powiedział pan Czogała w imieniu paru obecnych osób — że jesteśmy wreszcie razem. Przedstawiam państwu mojego wypróbowanego przyjaciela, pana Kalembę. Bardzo się obecnie przyjaźnimy.

Kalemba mruknął coś pod nosem, co mogło być również protestem przeciw temu oświadczeniu. Ale za to pan Osiecki był przekonany, że jest to zgodne z prawdą, przywitał więc dawnych rywali pogodnym uśmiechem.

— Cieszymy się bardzo z obecności panów. Usuwamy bariery, które nas niepotrzebnie dzieliły. Oto moi towarzysze. Ale tej pani nie znam.

— Nie poznaje jej pan? To przecież moja Jolka, którą pan widział w Warszawie. Jolka zawdzięcza pańskiemu ojcu, panu profesorowi to, że widzi.

Dziewczynka zarumieniła się lekko, dygając przy tym wdzięcznie. Słuchała uważnie, co do niej mówią i odpowiadała zaraz przytomnie i zwięźle. Każde zaś jej słowo przepojone było uczuciem szczęścia, gdyż widziała przecież wszystko przez swoje ciemne okulary. Pełna radości ze spotkania zwróciła się do przyjaciół, chciała z nimi porozmawiać, ale nie zdążyła. Zbliżał się bowiem pan Matys, którego wszyscy niecierpliwie oczekiwali. Szedł spiesźnie, ale nie wygodną, szeroką drogą, tylko miedzą wśród pól i spłowiiałych wrzosów na ugorach. Za profesorem podskakiwał jak wrona redaktor Pogorzałek. Wyglądał, jakby popędzał pana Matysa. Słyszano nawet ów poganiający głos:

— Panie profesorze, szybciej, szybciej.

— Mój złoty — oburzył się dobroduszy zazwyczaj pan Matys — nie wyzionę przecież ducha dla pańskiej przyjemności.

— Oni czekają na nas. Nie chce pan ich poznać?

— Nie, bo już ich znam.

Pan Matys nie był w dobrym humorze. Znajdował się w oplakanyim stanie. Był mokry i powalany błotem. Jedynie siatka na długim kijku służąca do łowienia motyli była sucha.

Pan Pogorzałek rzucił się teraz naprzód, lecz na pagórku stanął jak wryty, ocknął się rychło ze zdumienia i zawołał:

— Tych panów przecież znam. Panowie, a gdzie są wynalazcy?

— To przecież oni — podpowiedział mu Kalemba.

— Pozwolą panowie, że się przedstawię...

— Spóźnieni jesteśmy, przyjaciele — rzekł pan Matys, ocierając twarz beretem. — Zapędziłem się za pierwszym w tej wiosnie motylem zwanym *Papilio podalirius*¹⁰⁰ i wylądowałem, wyobraźcie sobie, w błocie. W błocie, panowie...

Tymczasem potężny eroeksplorator pod lasem brzęczał i dygotał: czekał cierpliwie na pana Matysa, zajętego wylewaniem wody z butów i wyżymaniem nieszczęsnych nogawek. Po tej czynności dopiero stary nauczyciel podniósł głowę i — oniemiał na chwilę wołając w najwyższym zdumieniu:

— *Mirabile dictu!* Czy to możliwe?

W tych paru bowiem minutach, w których pan Matys koncentrował uwagę na swojej garderobie, eroeksplorator zrobił swoje. W otoczeniu jego zaszły ogromne zmiany. Pan Matys ujrzał dokoła siebie rudy dywan drobnych traw, borówek i brusznic. Gdzieś wyrastała niska, skulona sosenka lub skarłowaciała brzoźka. Panu Matysowi zdawało się chwilami, że znajduje się na podhałdowym ugorze z jego typowymi jeżynami i ziołami. O odrębności tutejszej flory wszakże przekonał go niepozorny, niebieski kwiatek. Była to goryczka. Pan Matys uklękł obok niej. Ktoś jednak czuwał nad profesorem. Czyjeś mocne, ale troskliwe ręce poprowadziły biologa, lekko się opierającego, do kabiny translokacyjnej. Pan Matys, wciąż jeszcze oszołomiony, wyszedł z niej, powtarzając:

— Mam, już wiem. To prawdziwa tundra... Tundra...

— Tak jest, panie profesorze, to tundra — posłyszał obok siebie głos redaktora Pogorzałka. — To chyba lato w tundrze, panie profesorze?

— Chyba tak.

Profesor schylał się co chwila, badając to kolorową stroiczkę, to znowu dziewiczy pierwiosnek. Słońce grzało łagodnie, choć nie z tą mocą, z jaką zazwyczaj oblewało wiosenny krajobraz. Pan Matys przystanął, a z nim redaktor Pogorzałek. Zobaczyli bowiem pierwsze żyjące stworzenia. Mieli przed sobą zbocze pagórka, podziurawione jak ser szwajcarski. Z otworów tych wyglądały pyszczki jakichś zaciekawionych zwierzątek.

— Lemingi¹⁰¹ — mamrotał profesor coraz bardziej osłupiały — Koper... Koperkwas, chłopcze, szybko do nas.

— Już, panie profesorze. Jestem. Jesteśmy zresztą wszyscy wraz z naszą koleżanką Jolą. Chciałbym tylko uprzejmie zauważyć, że nazywam się...

— W tej chwili interesuje mnie tylko jedna zasadnicza rzecz: lemingi, mieszkańcy dalekiej północy. Hej, a tam co znowu? Widzicie?

W trawie ukazał się lis. Poruszał się jak beztróski włóczęga, zmierzając bez ceregieli do kolonii lemingów.

Lecz lis ten różnił się znacznie od tych, które żyją we współczesnych lasach. Był mniejszy, miał tępy i gruby pysk, okrągłe uszy i krótkie nogi. Poza tym sierść lisa była szaroziemista.

— Lis polarny — dziwił się pan Matys. — Bezczelny, planuje sobie ucztę u lemingów.

Było to jednak dziwne lisisko. Opryszek ten nie okazywał żadnego lęku na widok ludzi. Usiadł sobie i począł obserwować obce mu stworzenia, potem przeniósł swe chytro-głupiutkie oczy na torebkę dziewczyny. Wtedy, kiedy się tego najmniej spodziewano, skoczył i wyrwał

torebkę z jej ręki. Chłopięca świta Jolki, wyjąc wniebogłosy, ścigać poczęła zuchwałego złodzieja. Ponieważ kiwający się łup pętał lisowi nogi, Lonek rychło dopadł jego szarawej kity. Szarpnął mocno i — piękna ozdoba lisa została w ręku chłopca. Torebka potoczyła się w bok, a lis uciekał wzdłuż podnóża pagórka bez ogona.

— Można ryczeć ze śmiechu — zawołał Kopruch. — I pomyśleć, że trzeba było akurat Obartla, żeby takiej wariackiej sztuki dokonać.

Zachowanie się lisa było jednak nadal tak niezwykle, że nie spuszczano go z oczu. Lis przylgnął nagle do ziemi, wreszcie począł gonić za swym „bezogoniem” jak oszalała karuzela. Zapomniano na pewien czas o tundrze i jej przejawach życia. Chwilę później nowy wrzask Lonka kazał patrzącym zwrócić uwagę na innego lisa, który również usiłował skraść torebkę Jolki, lecz i tego spłoszyły groźne okrzyki chłopców.

— Tak — rozpoczął pan Matys objaśniająco — żyją w gromadzie. Jest ich tu w pobliżu znacznie więcej. Jak widzicie, mają inne obyczaje od naszych. Inną też budowę i inny... ogon.

— Proszę pana, lekko tylko pociągnąłem — tłumaczył się Lonek — i odkleił się zaraz.

— Lisy te szalenie kradną, nawet rzeczy, które się nie nadają do konsumpcji. Poza tym są bezczelne i nic sobie z niczego nie robią. Tylko...

Profesor nie dokończył, bo redaktor Pogorzałek zaczął się ni stąd, ni zowąd popisywać karkołomnym płasem. Przy każdym zaś ruchu zapadał się coraz głębiej w grząskie podłoże. Niebawem wyjaśniła się sprawa dziwnych płasów pana Pogorzałka, który w popłochu zaczął krzyczeć:

— Uciekać! Komary!

Była to ucieczka bezplanowa, chaotyczna, a kąśliwy obłok sterował przede wszystkim za dezerterującym redaktorem. Nie otrząsnęli się jeszcze dobrze z tej przygody, gdy zaskoczyło wszystkich krótkie, skowyczące ujadanie. Oczom ich ukazał się przedziwny widok. Od ziemi odrywał się właśnie olbrzymi orzeł, a w jego szponach miotał się... lis. Ten bez ogona. Lecz lis nie zachowywał się biernie w powietrzu, usiłował pyskiem capnąć orła za nogę.

— Boże — westchnęła dziewczyna — co on z nim zrobi?

— Co zrobi? — pan Matys również próbował odgadnąć zamiary orła. — Gdy orzeł opuści się na ziemię, lis mu ucieknie albo w jakiś sposób podgryzie szyję napastnika.

— Niesamowita ta tundra — wzdrygnęła się dziewczynka. — Lis poluje na lemingi, orzeł na lisa, a lis na odmianę pragnie zagryźć orła.

— To dopiero początek — powiedział Romek.

Tymczasem skrzydlaty drapieжник zrobił to, czego się w ogóle nie spodziewali. Wzbił się pod sam pułap nieba, zawisł tam na minutę w postaci szarej plameczki i wypuścił swą ofiarę. Widzieli, jak nad nimi powiększał się mały punkcik, jak zbliżał się do ziemi, a później zobaczyli jak orzeł spływa w dół. W chwili, w której lis zderzył się z ziemią, ptak runął na niego niby grom i — poleciał ze swoją ofiarą ku Bramie Morawskiej.

— Jolka — odezwał się Romek — opanuj się, bo pewnie gorsze rzeczy będziemy oglądać.

Spod nóg szusnęł im przerażony szarak, ale i on był odmienny od tych, które znali. Był jaśniejszej barwy, a w zimie, jak się Romek dowiedział od pana Matysa, zamieniał się w zupełnego bielaka.

Nad głowami ich błękitniała kryształowa patera nieba, ale i stamtąd dochodziły oznaki życia. Z gęganiem bowiem przeciągały pod tym urzekającym błękitem dzikie gęsi w jednoramiennym kluczu, zjawiały się też tam czarne jak smoła płyty. Były to kruki. Wkrótce potem oderwały się od ziemi kuropatwy obrzucając przenikliwymi wyzwickami intruzów.

— Panie profesorze — rzekł pan Pogorzałek do niezwykle skupionego pana Matysa — jeśli spotkamy na swej dalszej drodze kury, to pakujemy manatki i wracamy do domu.

Wnet jednak musiał redaktor zmienić zdanie, bo ku zdumieniu maszerujących wynurzyło się z brzozonego zarośla zwierzę prawdziwie egzotyczne.

— No, ma pan, redaktorze — drwił profesor. — Hiena. Zazwyczaj trzyma się gór, jaskiń, ale przywędrowała pewnie spod Sudetów za swym panem...

Hiena oddalała się spiesznie z podkulonym ogonem.

I oto znowu pojawił się obraz jak nie z tundry. Na słonecznej, niby batogami wychłostanej polanie baraszkowało dwanaście lisiątek. Były tak rozkosznie zgrabne, a tak po dziecinnemu się bawiły, że ludzie zaciekawieni tym widokiem przestali do siebie szeptać. Tylko profesor przytłumionym głosem informował całe towarzystwo:

— Obfite potomstwo. Nasze lisy nie dochodzą do takiej liczby, lecz polarne mają więcej wrogów, więc przyroda musi się liczyć z wielkim ich ubytkiem.

Nagle zagrzmiało coś tak potwornie, że nawet liski się przeraziły. Przepadły w norze, jakby je tam wmiótł podmuch tego straszego odgłosu. Po raz pierwszy odczytać można było z twarzy pana Matysa zafrapowanie.

— To lew, moi państwo — zdumienie na twarzy profesora się spotęgowało.

— Nigdy w to nie uwierzę — odezwał się redaktor.

— Zobacz pan jeszcze coś więcej. Gdzie hiena, tam lew.

Jeszcze nie ochłonęli z wrażenia, gdy do uszu strwożonych ludzi dotarło dudnienie ziemi, które rosło i potężniało. Naraz też zjawił się ogromny tabun rogatych zwierząt, który przeleciał obok nich na podobieństwo krótkiej wichury. Zwierzęta goniła trwoga, przerażenie i śmierć.

Dopiero po dłuższej pauzie względnej ciszy ktoś oznajmił półgłosem:

— Reny.

Na zielonej kępie ucztowały już dwa lwy. Opodał nich tkwiła nieruchomo hiena. Wpatrywała się gorejącymi ślepiami w biesiadę królów, zbliżając się do nich i wycofując po każdym groźniejszym pomruku lwów.

Byli szczęśliwi, kiedy znowu znaleźli się na skarpie. Tu jednak uderzył ich tak niesamowity widok, że jeszcze raz oniemieli. Cała wielka dolina Odry była teraz srebrzystym morzem.

— Patrzcie uważnie — zachęcał teraz pan Matys — to pradolina Odry. Do niej spływają stopione lody z północy, a woda ma tylko jedno ujście: na południe, przez Beczwę do Dunaju.

— Roman — krzyknął Proksz — i oto mamy sens bajki mojej babci.

Nad wodą połyskującą w słońcu unosiły się gromady najrozmaitszego ptactwa. Przeciągały one również nad głowami patrzących; niemal dotykały skrzydłami ich głów. Teraz jednak nie były to pteranodony, które napęniały ich taką odrazą. Wspaniałe stado łabędzi leciało w stronę pra-Odry.

— Kiedyś tu powstanie zaporą wodna — mówił pan Matys — a dolinę wypełni podobnie urocze „morze”.

Bez czyjejkolwiek zachęty usiedli wszyscy na skarpie, spoglądając w milczeniu na piękny krajobraz. Tylko Kopruch z Prokszem wymieniali jeszcze swoje spostrzeżenia. Wreszcie Krzyś zajął również miejsce obok Lonka i wtedy posłyszał za sobą jakąś dziwną rozmowę.

— Proksz, przestałbyś się wygłupiać — rzucił Kopruch gderliwie za siebie. — Wariat. Kto to widział, żeby sam ze sobą rozmawiać...

Na to rozległ się czyjś dziecięcy, ostry skrzek:

— Eeaa...

— Kim ty jesteś, chłopaczku?

— Eeaa... Eeaa...

— Słyszycie — powiedział Koprach — jaki wspaniały dialog odstawia Józef Proksz?

— Ja... Józef, Proksz naturalnie, a ty?

— Eeaa. Eeaa... — zabrzmiały dwa jeszcze bardziej zdumione okrzyki.
— No, wszystko jasne. Ty: Eeaa, ja: Józef, a tam: Kopruch. Rozumiesz?
— Rozumiesz? — dziki, skrzekliwy głosik naśladował Józka. — Owytisz...
— Owytisz? Ja? Niee... Ja, Józef! — Proksz wskazywał palcem na siebie — ja Józef.
— Uze, Uze... — domyślał się drugi głos.

Najpierw otrzeźwiał redaktor Pogorzałek. Jego instynkt reporterski przepowiedział mu, że coś się dzieje za jego plecami. Obrócił się i zerwał na równe nogi.

— Co to wszystko znaczy? Kim jest ten rozczochraniec? — zapytał ostro.

Głos redaktora był niemal przerażony, toteż wszyscy pozrywali się z miejsc i zwrócili tam, skąd dochodziły głosy. Przed Józkiem stał chłopiec w wieku może dwunastu lat. Był półnagi, biodra jego opinała niedbale skórka zwierzęca przytrzymywana szelką na lewym ramieniu. Nieznajomy był śmigłym, opalonym i zdrowym chłopcem z długimi, ciemnymi włosami i błyszczącymi jak brylanty oczami. Robił wrażenie małego dzikuska. Chłopiec dzierzył w rękę białą, odartą z łyka witkę wierzbową z nawleczonymi na niej rybami.

— Kto to jest? — zapytał łagodniejszym już głosem redaktor.

— Jakiś „Eja” — odparł Proksz, zajęty dokładnym analizowaniem obcego chłopca. — Nie wiem, skąd się tutaj wziął. Obróciłem się, i wtedy go zobaczyłem. Neandertalczyk ¹⁰², albo coś w tym gatunku.

— Pozwólcie, że ja z nim porozmawiam — rzekł Kopruch i odsunął na bok Proksza. — Hej, ty Eja? Eja, tak?

Dzikusek potrząsnął przecząco czupryniastą głową i wskazując na siebie, odparł:

— Udra.

— Ha, Udra. Wspaniale. Zaraz przypuszczałem, że nie Eja. A ja, ja jestem Kopruch, to... Proksz, to Obartel, Lukanek, a to Jola.

Udra wlepił swe zdumione oczy w dziewczynkę. Wydała mu się zjawiskiem, bóstwem z zielonymi listkami na oczach. Dlaczego? Spostrzegł już przedtem lodowe szybki na źrenicach Koprucha, ale nie zrobiło to na nim wielkiego wrażenia. Sam bowiem z przyjacielem nieraz w podobny sposób przykładali mrożne płyty „kamienia wody” do oczu.

Tymczasem profesor Matys odsunął się nieco na bok i zastanawiał się głośno, dlaczego dzikusek nazywa siebie Udrą. Inny kłopot miał pan Pogorzałek, zauważył dopiero teraz, że nie ma aparatu fotograficznego, a chciał utrwalić na błonie Udrę.

— Udra — wmieszał się do rozmowy znowu Proksz — ty naprawdę jesteś Udra?

Udra potwierdził to żywo głową. Potem wskazał na dolinę z błyszczącym lustrem wody. Wreszcie się schylił, udając że nurkuje. Po chwili zdjął zgrabnie jedną z ryb z witki i — począł ją surową pożerać.

— Mam! — wrzasnął pan Matys triumfalnie. — Wydra, on nazywa się Wydrą.

Udra zajęty rybą nie przeląkł się krzyku. Zsunął z wierzbowego pręta drugą rybę, spojrział onieśmielony na Jolkę, potem z rybą na dłoni ruszył w jej stronę.

— Jest, jest...

Dziewczynka cofnęła się blada z odrazy. A Udra z rosnącą nieśmiałością prosił:

— Udra jeść rybę. Jedz!

— Ryba surowa — odezwał się Lonek, poklepując Udrę poufale po łopatce. — Brr, nie jeść!

Lonek pokazywał rękami snujący się ku górze dym, i ciepło bijące z główni ogniska, i rybę piekącą się na patelni z pryskającym tłuszczem, oblizywanie omaszczonych palców. Czegóż, Boże, nie da się wyrazić gestykulacją. Lonek zakończył wymownym ruchem ręki: gładził brzuch i przewracał z rozkoszy białkami oczu.

Udra wyraźnie zmarkotniał, zawiedziony nawłókl z powrotem rybę na wiklinowy kij.

— Udra — zapytał Paszenda — a gdzie mamut? Mamut.

— Marnot, eee... marnot — Udrą wyrzucił ze siebie kilka szybkich, nieartykułowanych

dźwięków i pokazywał ręką w różne strony. Zrozumieli.

— Jest tam, i tam, i tam.

— Udra — rzeki znowu Lonek — lepiej, żebyś mówił po polsku.

— Lukanek — powiedział pan Matys, myśląc jak zwykle nazwisko — trzeba zrozumieć, że pobratymcy Udry nie znali właściwie tego, co nazywamy językiem. Każda horda, ród albo i rodzina posługiwała się własnym zasobem słów. Poza tym słownik tych ludzi był bardzo ubogi. Wystarczy posłuchać Wydrę.

Naraz Udra wydał z siebie dziki, gardłowy dźwięk. Było to owo: eaaa, ale z inną intonacją, inną barwą głosu. Po kilkunastu sekundach odpowiedział mu od strony jeziora identyczny okrzyk. Chwilę później wynurzył się zza piaszczystego pagórka chłopak większy i roślejszy od Udry. I on również wracał z rybami. Wnet też zobaczono, że niesie w ręku harpun z opalonym ostrzem.

— Wlkas, to Wlkas, to Wlkas — naśladował Udra Koprucha, przedstawiając nowo przybyłego.

— Wlkas? — zastanawiał się Proksz. — Udra, co być Wlkas? To... on?

Udra rzucił się na ziemię i jał wyc przeciągle, zawodząco.

— Wilk — wyjaśnił profesor Matys. — Tak, chodzi o wilka. Ten drugi rozprawił się widocznie kiedyś z wilkiem, nazwano go Wilkiem. Wlkas.

Wlkas i Udra ustawili się obok siebie, można ich było więc doskonale porównać. Udra wyglądał prawie tak, jak podrastający chłopak dwudziestego wieku. Co innego Wlkas. Miał on twarz dużą, z niskim, uciekającym ku czaszce czołem. Nad szerokim, spłaszczonym nosem uwydatniały się mocne wały nadoczodołowe, zza grubych warg wychylały się potężne, nierówne zęby. Ta niemal dzika twarz miała jednak rozumne, głęboko osadzone oczy.

Lonek wyswobodził oszczep z dłoni Wlkasa, oceniając, że to kiepska broń na mamuta. Wlkas jakby go zrozumiał, zachnął się bowiem pogardliwym prychnięciem, wydarł oszczep ze śmiesznie białej dłoni Lonka — głaszcząc czarne ostrze — wykrzykiwał coś, co mogło znaczyć: dobry, bardzo dobry oszczep.

Udra przytakiwał gorliwie. Chwalebny oszczep. Ginęły od niego wilki, srogie wilki, służył też za harpun, a nawet wrył się w nogę mamuta. Nic nie mogło powstrzymać potoku bełkotliwych słów obu chłopców, dopiero nagły gwałt wszczęty przez nadbiegającego skądś redaktora Pogorzałka położył kres zachwytom nad oszczepem.

— Mamuty! Szukałem aparatu fotograficznego i nagle je ujrzałem. Panowie, za mną.

Ruszyli wszyscy do ataku. Na przedzie pędził redaktor Pogorzałek, wkrótce jednak Wlkas i Udra wyprzedzili go znacznie. Nieco stateczniej biegł pan Matys, lecz i jego nogi wprawiały w ruch nie lada motor, była to ciekawość i pasja badacza. Potem wszakże, jak na rozkaz, wszyscy się zatrzymali.

Tak, mamuty były tuż, tuż przed nimi. Odsłonił je nagle rzedniejący coraz bardziej las. Był to pierwszy w tundrze borek z prawdziwymi drzewami, których brunatne pnie gorzały miedzią w słońcu. Stworzyły go zapewne cieplejsze poddmuchy południa przedostające się na tę połąć ziemi przez Bramę Morawską.

W tej chwili jednak wszyscy zwrócili oczy w kierunku stadka zwierząt, sunęły pomalutku na przedpolu zieleni. Było to tak niezwykle, że nikt nie ośmielił się zmacić ciszy tu panującej. Nie słychać było nawet szeptów. Może tylko oddechy były głośniejsze i serca biły mocniej. A jednak ktoś z tej gromadki potrafił wymknąć się wszystkim. Był to Wlkas, który rozsunął bezszelestnie gałęzie i przepadł bez śladu. Mały Udra zaś pilnował, żeby te dziwne istoty obok nie spłoszyły zwierzyny łownej. A one bezwiednie podporządkowały się jego nakazującym lub ostrzegawczym gestom. Jedynie redaktor Pogorzałek, zajęty odnalezionym aparatem fotograficznym i kasetkami z błoną, nie zwracał żadnej uwagi na groźne grymasy Udry, ale też i nie zachowywał się zbyt głośno.

A tam poniżej przesuwwały się wolno kosmate cielska. Jedno, drugie... siódme, ósme.

Pan Matys, oparty o drzewo, wyglądał jakby się modlił. Widział z rozrzewnieniem, jak roztopne mamy popędzały dzieci swoje trąbami ku plastron wonnych ziół i soczystych traw. Na czele stada wysuwał się wciąż kolos wśród tych kolosów: stary włochacz, wędrująca góra, mierząca więcej niżli trzy metry wysokości. Jego wielka głowa podnosiła się co chwila, strzygąc małymi, kudłatymi uszami. Jeszcze większy podziw budziła potężna trąba przewodnika. Gdy skierował ją w stronę boru, uwagę patrzących przykuły potworne kły skrzycone niby zawadiackie wasy. Były niezwykle kształtem i wielkością.

— Wspaniale — wyszeptał pan Matys, choć według łowieckich przepisów Udry szepty były surowo zakazane. — Wierzcie mi, chłopcy, że te kły mają co najmniej cztery metry, a każdy z nich waży koło dwustu kilogramów.

W tej jednakże chwili stado mamucie czymś się zaniepokoiło. Surowe, karcące spojrzenie Udry świadczyło, że mogło to być nieopatrzone odezwanie się profesora. W każdym razie matki trącały mamucięta trąbami i spychały je do środka między wał ochronny żywych fortoc. Przewodnik gromady trwał nieruchomo z podniesioną trąbą. Czyżby zwierzył niebezpieczeństwo? Tak widocznie było, bo spostrzegawczy Lonek dawał znaki, że nie są sami. Istotnie, gdzieniegdzie poruszały się gałązki, jakby tręcane wietrzykiem. Wreszcie z gąszczu krzewów wychyliła się czyjaś twarz podobna do groteskowej maski. Potem naraz zaroilo się dokoła od dzikich postaci odzianych w płachcie zwierzęcych skór; widoczne były oszczepy, maczugi, brązowe ręce uzbrojone w kamienie, twarze malowane ochrą, błyszczące oczy, rude i czarne kudły. Mignęła też wśród nich twarz Wlkasa, tego, który zmobilizował ród Jastrzębi.

Mamuty, coraz bardziej niespokojne, dokonywały dalszych przegrupowań, wzmacniały flanki waligórami stada i — sposobiły się do walki. Rzecz dziwna; nie bór je napawał lękiem, ale wiklinowe zarośla po przeciwnej stronie.

I oto niespodziewanie zagrział głos przewodnika.

Mamuty wbrew oczekiwaniom runęły prosto na las. Horda ukrytych w nim myśliwych rozpierchła się jak jesienne listowie tarמושzone przez wiatr. Zatrzęsła się ziemia, trzeszczały drzewa, niektóre z nich łamały się z łatwością pod naporem mamutów. Tak, szedł żywioł.

— Eeaaa — zabrzmiał las.

— Eeaaa — wrzeszczał Udra i Wlkas biegnący znowu razem obok rozszalałych zwierząt.

— Eeaaa — zawył Lonek Obartel, goniąc trop w trop za nimi.

— Eeaaa — ryczał jak bawół redaktor Pogorzałek, zapominając o aparacie fotograficznym i o całym świecie.

Był, jak reszta prześladowców, dzikim, pierwotnym człowiekiem. Pan Matys chwycił się za głowę i zamknął oczy. Pragnął nic nie słyszeć i nic nie widzieć.

— Panie profesorze — jęczała Jolka — to straszne. Po co oni wszyscy tak wrzeszczą?

— I pomyśleć — rzekł pan Matys po głębokim namyśle — że jeden z tych olbrzymów mógłby się rozprawić z całą hordą. A tutaj to zupełny ich pogrom. Dlaczego wrzeszczą?... Myślę, że dla wzbudzenia strachu, moje dziecko. Alboż to najbardziej potulny pies nie wywołuje u nas nagłego lęku, gdy zawarczy trochę głośniejszy i gniewniejszy? Chwileczkę, popatrzcie! Wielki przodownik się broni...

Mamut widocznie zapragnął walki, chciał zatrzymać nagonkę, ratować stado. Więc roztrzaskał o pień drzewa pierwszego napastnika, porywał innych, deptał, miażdżył nienawistne istoty, które raziły go pałkami, gałęziami, kamieniami i oszczepami. Stokroć bardziej jednak doprowadzała go do szału wrzawa dręczycieli. Pierzchali więc przed nim jak przed lawiną śnieżną, rozgniatającą wszystko na swej drodze.

Zostawiono w końcu broniącego się mamuta w spokoju i ruszono naprzód. Wśród napierających znajdował się także redaktor Pogorzałek.

— Eeaa — krzyknął i skoczył za oddalającymi się odgłosami polowania.

— Eeaa — zawtórowali łowcy mamutów i poszli w jego ślady.

Potem wszystko ucichło. Mamut trwał jeszcze chwilę w miejscu, wreszcie i on obrał ten sam kierunek. Instynktownie pocwałował do skarpy. Gdy stanął nad jej stromym brzegiem, zatrąbił żałością i zwiesił głowę. Przybył za późno. Na dnie przepaści leżało pogruchothane stado, dobijane przez ludzi.

Prawie nikt z przypadkowych myśliwych, uczestniczących z dziką zapamiętałością w pościgu za mamutami, nie zdawał sobie sprawy z tragicznych skutków tego polowania. Dla nich była to zabawa, niezwykła przygoda. Dla drugiej strony, dla nękanych, była to śmierć. Teraz stanęli wstrząśnięci na pobojuwisku. Redaktor Pogorzałek szedł jakby w transie. Włosy miał rozmięzwione, oczy gorzały dziką namiętnością. Trzymając w ręku nieodłączny aparat fotograficzny dotarł do pierwszej ofiary łowów: drgającego w ostatnich konwulsjach mamucika. Redaktor, nie wiadomo czy z litości, czy też po prostu z ciekawości, uklękł, a wtedy to dosięgła go zemsta „malca”. Cios trąbą był tak celny i silny, że pan Pogorzałek padając prze-koziołkował się aż do stóp towarzysza.

Chłopcy pomogli mu usłuznie wstać. Pan Pogorzałek, krzywiąc się z bólu, obmacywał każdą część swego ciała. Czuł cios mamucika w każdej swojej najmniejszej nawet kostce.

— Zdaje się — rzekł stękając — że wszystko w porządku. Ten cios trąbą był zasłużoną karą za atawistyczny ¹⁰³ pęd do pierwotnych form polowania. W rzeczywistości żał mi tego biedactwa.

Usta Jolki, które zadrgały w uśmiechu na widok porażki redaktora-tropiciela mamutów, teraz ponownie ściągnęły się w smutku.

— Dlaczego oni ich tak mordują? — zawołała z oburzeniem.

— Spróbujmy ich zrozumieć — rzekł pan Matys poważnie. — Nieczęsto nadarza się ludziom taka okazja, by zapolować skutecznie na mamuty. Mięso mamutów jest im potrzebne do życia. I tutaj zawiodła głoszona przez nas prawda, że silniejszy zwycięża słabego. W tym wypadku było na odwrót.

— Czym ich więc zwyciężyli? — zapytał Proksz. — Ludzie mieli tylko kamienie,, kije, maczugi, no... ogniste głownie i płonące polana...

— Nie tym pokonano olbrzymów. Rozumem, Obartel...

Pan Pogorzałek, rad, że wyszedł cało z opresji, gotów teraz był filozofować na ten właśnie temat. Uśmiechnął się sceptycznie i rzekł:

— Rozumem, panie profesorze? Nie mają przecież ani luku, ani porządnego oszczepu. Zupełna dzicz, niewiele mądrzejsza od zwierząt. Nie widziałem nawet krzemienia u nich.

— Lecz zwróćcie uwagę na to, jaką sprytną pułapkę przygotowali na mamuty. Rozum podyktował im plan działania: wszczęcie ogłuszającego wrzasku, rozsypka w tyralierę, atakowanie w najdogodniejszych chwilach i miejscach, pędzenie ofiar w kierunku pułapki. I tutaj właśnie człowiek wykazał swą wyjątkową inteligencję. Niech się pan nie martwi. Przyjdzie luk ze strzałą, miedź, brąz i żelazo. Przyniesie to ludziom rozum.

Profesor musiał jednak zaprzestać tych dociekań, bo oto znaleźli się nagle w takim otoczeniu, o jakim im się nie śniło. Dokoła nich zaroiło się od żywych, dwunożnych istot. W pierwszej chwili sądzono, że są to małpy, gdyż poruszały się zwinnie, skakały na czworakach, wywijają przydługimi ramionami. Byli to jednak członkowie plemienia Udry, straszący swymi żółtymi twarzami, wypełniający powietrze gardłowym wrzaskiem. Wielcy i mali, kobiety i dziewczęta.

Niespodzianie mrowie to całe formować się zaczęło w długi korowód, który tętnić począł jakimś dzikim, zajmującym ładem. Pulsował, drgał, kołysał się w lewo, w prawo, cofał się, znowu ruszał naprzód. Żywy ten wieniec toczył się w krąg, dokoła nieruchomych cielsk mamutów: zawrotnie szybko, dziko. Z gardzieli płasających wydobywał się monotony, ochrypły, śpiewny bełkot, który w pewnych chwilach wybuchał triumfującym zewem:

— Eeaaa!

Echo unosiło go z doliny na skarpe, gdzie samotny mamut przeżywał klęskę swego

rodu. Z korowodu oderwała się jedna z tych dzikich, zwycięstwem upojonych postaci: półdiabeł, półczłowiek. Czarne, siwiejące długie włosy spięte były skórzaną opaską, za nią tkwiły trzy jastrzębie pióra. Ściągnęła rena z nanizanymi na nim zębami wilków, niedźwiedzi i hien zdołało jego brunatną szyję. Osobnik ten wdrapał się z małpią zwinnością po głowie jednego z pogruchootanych mamutów na jego grzbiet i podniósłszy ku górze dwa oszczepy, krzyknął:

— Aaa!... Girigaja!

Jego pobratymcy zwrócili się żółtymi twarzami do niego, wreszcie podnosząc oczy na mamuta, stojącego na skarpie, zawyli śpiewnie:

— Aaa!... Girigaja!

Było to wezwanie Góry Żywej tkwiącej jak spiżowe bóstwo na wzniesieniu. Girigaja-Góra Żywa, czyli mamut, przyjmowała zaklęcia oraz błagania pogromców jej bliskich obojętnie i posępnie. Było coś tak przejmującego w postawie mamuta, że Jolka zachlipała nad jego żalonym losem. Tymczasem wódz pogromców apelował dalej do sumienia Góry Żywej:

— Heee, Girigaja, wielki Girigaja, mężny Girigaja!

— Eeaaa!...

— Ród Jastrzębi cię prosi, opoko mięsa...

— Eeaaa!...

— Abyś zrozumiał konieczność Jastrzębi...

— Eeaaa!...

— Abyś gniew swój wyrzucił z siebie węzem głowy!

— Eeaaa!...

— Abyś ród ten szanował, jak on ciebie szanuje, abyś nie skąpił mu mięsa, skóry i zębów...

— Eeaaa!...

— Mam dosyć tego „eeeeaa” — zachnął się redaktor Pogorzałek, przysłuchujący się z coraz większą obawą zaklęciom Jastrzębi. — Panie profesorze, wujmy póki czas. Oni się podniecają, w końcu dobiorą się do nas i zjedzą razem z butami.

— Nie — uśmiechał się pan Matys — w tej chwili mają mięsa pod dostatkiem. Poza tym dzielnieś im pan sekundował w mamucich łowach. Zresztą zjadają tylko jeńców, których zdobyli w potyczkach z innymi hordami...

— A więc to jednak prawda? Ładna historia...

— Można być tego pewnym.

Zaklęcia wszakże już zamierały, korowód kołysał się jeszcze na kształt czołgającego się węża, ale już rozpadał się coraz bardziej na mniejsze, wciąż podrygujące grupki, które w końcu rozpoczynały własne obrzędowe tańce. Gdzieś u podnóża skarpy buchnęły płomienie. Rozpoczęło się ćwiartowanie ciał mamutów. Posługiwano się przy tym kamiennymi nożami, ostrzami brzeszczy kościanych, skorupami muszli, szczapkami drewna, ba, nawet nieuzbrojonymi palcami.

— Czy nie sądzicie, panowie, że możemy się powoli wycofywać? — rzekł roztropnie pan Matys. — Szukajmy innych przygód w podlodowcowej tundrze.

— Och — zżymała się również Jolka — nie mogę się już na to patrzeć. Czy nie lepiej by zrobili, gdyby uprawiali ziemię? Dlaczego nie mają domów jak my?

— Moja droga — tłumaczył cierpliwie pan Matys — nie doszli jeszcze do tego. Teraz są myśliwymi. Przywędrowali prawdopodobnie z Moraw, może spod dzisiejszego Brna do tej tundry obfitej w zwierzynę. Mają na pewno już domy, oczywiście nie takie jak my. Budują szałas z kości mamutów, a pokrywają je ich skórą.

Zawrócili, ale w tej chwili pojawił się przed nimi Udra z wielką, parującą jeszcze wątrobą. Stał przed dziewczynką i wyciągnął do niej zakrwawione dłonie z cennym darem. Lecz gdy ona wzdrygnęła się na widok tego surowego, czerwonego płatu, Udra wbił w niego swoje ostre zęby i jął nimi wyszarpywać spore kęsy, które z widoczną rozkoszą połykał.

— Wątroba dobra — mrucał po swojemu — och, jaka dobra.

— Nie, niedobra — rzekł Proksz, domyślając się, że takie właśnie znaczenie mają słowa Udry. — Nam robi się słabo, Udra, gdy się na twój krwawy befsztyk patrzymy. Słabo, rozumiesz?

— Owytisz...

— U nas — dodał Lonek Obartel, zakreślając ręką kształt patelni, i uzupełniając rysunek dźwiękiem naśladowczym: — pyr, pyr, piecze się to na patelni, bo usmażona na ogniu — tu Lonek zatarł ręce i pokazał spiralę dymu pnącego się ku niebu — wątróbka jest pyszna.

— Aj, aj, aj — powtórzył dziki chłopiec, odgryzł z wątroby kolejny kęs, połknął, a potem usiłował Lonka swym smakołykiem nakarmić.

— Lubię tego Udre, jak Boga kocham — rzekł Kopruch. — Fajny chłopak, ale teraz po pana oświadczeniu. panie profesorze, podejrzewam i jego. Może pożarłby mnie, gdyby był głodny.

Udra ze swym rarytasem krążył wciąż jeszcze dokoła Jolki, oferując go jej mimiką oraz gestami. Niech tylko skosztuje, on przecież z dobroci, ze szczodroblewości. A mięsa teraz jest w bród, tylko wątroby mało. Dziewczyna jednak wyraźnie pogardziła jego podarunkiem. Udra więc zawrócił. Lecz oddalając się wykrzykiwał coś wesoło do tych, którzy go tak dzisiaj ubawili. Za chwilę zniknął za drzewami.

I oto wszystko już pozostało za nimi: Udra, Wilkas, Jastrzębie ze swoją hałaśliwą uczcią, krwawe pobojuwisko, a na górze Girigaja-Góra Żywa. Właśnie gdy się tego nie spodziewali, rozległ się jego potężny głos. Był to długi, żalobny hejnał, który targał złudną ciszą tundry i budził niepokój w duszy ludzkiej.

Gdy przedarli się przez zielone zasięki kosówki, płożącej się swymi długimi pędami po ziemi, opowiadający o czymś z zapalem redaktor Pogorzałek nagle zamilkł. Profesor Matys, przywykły do ciągłego jego gadania, zbudził się jak młynarz pod wpływem nagłego milczenia kamieni młyńskich. Pan Pogorzałek wskazywał ręką na kilka wielkich cieni poruszających się wolno za kosodrzewiną.

— Nosorożce, moi panowie — informował profesor szeptem.

Gdzieś im się plątały w pamięci opowieści o uporze i głupocie tych zwierząt, więc skęcili machinalnie w lewo. Przed nimi ścieliła się teraz typowa, bezkresna tundra z rzadkimi, niskimi krzewami, karłowatymi sosnami i brzożami. W oddali wyrastał garb pagórka, a u jego podnóża wylegiwali się jacyś drobni mieszkańcy podlodowcowej tundry. Rozległ się ostry świst i wszystkie te stworzenia znikły w licznych jamach pagórka.

— Świstaki — oznajmił lakonicznie pan Matys.

— Czy nie sądzi pan, panie profesorze — badał redaktor opinię pana Matysa — że pojawią się tutaj znowu palmy i zwierzęta Afryki, że w naszej strefie geograficznej zażyją kiedyś ludzie klimatu tropikalnego?

— Być może. Ziemia nasza podlega ciągłym zmianom. Przecież między głównymi zlodowaceniami istniały interglacjały¹⁰⁴ z większymi ociepleniami. Możliwe, że do takiego właśnie ocieplenia nasz stary glob steruje.

Podczas tego profesorskiego horoskopu młodzi byli już daleko w tundrze, dochodził jednak stamtąd jeszcze śmiech i rozmowa. Nagle wszystkie te głosy zamarły, a pan Matys spostrzegł zdziwiony, że jego uczniowie zamienili się w przysłowiowe słupy soli. Pan Matys nie wiedział jeszcze, co zaszło, ale gdy spojrzał uważniej w kierunku, gdzie tkwili uczniowie, zdębiał jak i tamci. Wreszcie dał upust swemu zdumieniu znanymi słowami:

— *Horribile dictu!* Panie redaktorze, uszczypnij mnie pan w ramię. Kamera, kręcić, kręcić, bo tego nigdy już w życiu nie zobaczymy.

— Halucynacje... Ani jednej rzeczy nie widzę, która by warta była błony fotograficznej.

— Proszę pana, to przecież sadyby naszych Jastrzębi. Co za fatalna pomyłka. Dotąd mniemałem, że łowcy mieszkają w jaskiniach. A to przecież najwyraźniej szałas.

Pan Matys zapomniał o tundrze, o niespodziankach, które co chwila wyłaniały się ze wszystkich stron, zaskakując go niezwykłościami. Zapomniał przede wszystkim o zachowaniu ostrożności, o potrzebnym tutaj milczeniu. Zapomniał też o redaktorze Pogorzałku i jego największej bolączce: defekcie aparatu fotograficznego.

Stary profesor pędził na spotkanie z osadą. Był odświeżony, młody, gibki, przedsiębiorczy, jak ci wszyscy, co zdobywają najwyższe szczyty świata lub też jak ci, którzy dotrzeć muszą do wytkniętego celu kosztem największych ofiar, nawet życia. W takim stanie nie widział też swoich uczniów, którzy snadź z podobnym wzruszeniem obrali sobie ten sam cel. Była to rzeczywiście duża osada łowców, najprawdopodobniej Jastrzębi. Rysowała się coraz wyraźniej na tle stepotundry z rozsianymi gdzieś pęczkami bujnej zieleni i szarymi głazami narzutowymi. Był to jakby kraal¹⁰⁵ pierwotnych ludzi, którego kolczasta zeriba¹⁰⁶ strzegła przed najściem większych drapieżców. Tundra bowiem była w nie obfita.

Tamci, przybywszy pod obóz, czekali na swego przewodnika. Wreszcie wspólnie rozpoczęli marsz do osady. Szalasy zwracały się szczytami na południe. Widać było, że porzucano je w pośpiechu, bo wiele wejść do nich było otwartych.

— Czy mam wierzyć, że naprawdę oglądam to własnymi oczami? — zdumiewał się pan Matys.

Powiedziawszy to, ruszył pierwszy wzdłuż ochronnych zasieków. Naraz otwarło się przed nim wejście do osady. Znowu nie zabezpieczone. Jastrzębie na wieść o pojawieniu się mamutów zapomnieli o środkach ostrożności. Pan Matys skręcił bez wahania w uliczkę obozu i zatrzymał się po kilkunastu krokach przed pierwszym szałasem: prymitywną budowlą z kości i skór mamucich.

— Boże, Boże — szeptał profesor z taką troską w głosie, jakby się bał, że to wszystko przed nim zapadnie się na zawsze w ziemię.

Obok niego stanął redaktor Pogorzałek. Twarz dziennikarza była jednocześnie markotna i czujna. Zdawało się teraz, że i on zaczyna powątpiewać, czy rzeczywiście ogląda wieś koczowniców na jawie.

— Gdyby nie mój pech... — mamrotał redaktor.

— Niech pan pyta — zachęcał go pan Matys źle zrozumiawszy jego mruczenie.

— Gdzie właściwie podział się pan Kalemba?

— Możemy się o niego nie martwić. To, co pan zapomniał, on na pewno uzupełni.

Profesor zajrzał do środka skórzanej chatki. Wszystkie głowy tłoczyły się dokoła niego. Podłoga wysłana była obszernym, kudłatym futrem niedźwiedzim służącym widocznie za leże właścicielom szałasu. Z panującego tam półmroku wynurzały się zaczęły osobliwe części budowy pomieszczenia. Podstawę szałasu stanowiła miednica mamuta: ogromny i solidny krąg kości. Dwuspadowy dach tworzyły żebra i skóra tego olbrzyma. Wścibski i znowu bardzo aktywny redaktor Pogorzałek odkrył wkrótce, że wiele tych schronień zbudowano na zuchwach i łopatkach mamucich.

Ponieważ nigdzie nie było widać żywego ducha, więc poczynali sobie pewniej i śmielej badając koczownicze osiedle. Niebawem wszakże spłoszył wszystkich przytłumiony okrzyk dziewczyny. Wskazywała niemo, ruchem głowy tylko, na śmietnik zagracony kośćmi upolowanych zwierząt.

— Co to? — zapytała.

— Iii — odezwał się redaktor Pogorzałek, odzyskawszy już na powrót wrodzoną ruchliwość i inicjatywę — zwyczajna rzecz: rupieciarnia... Warto jednak zbadać, co się w tym kryje.

Zaledwie jednak zrobił kilka kroków, a spoza sporego kopca wyskoczyła grupa burych zwierząt z wyglądu podobnych do psów.

— Jastrzębie mają psy — zawołał Kopruch.

— Nie, Kop...

— Kopruch — uprzedził szybko roztargnionego profesora chłopiec.

— Pamiętam: *Crocodylus niloticus*¹⁰⁷. Ale zastanawiam się. Koperszmyt, dlaczego nie chcesz, żebym cię nazywał Koperszmytem. Koperszmyt jest wielkim uczonym...

— Przyzwyczaiłem się jednak, panie profesorze, do swojego nazwiska, ma ono tak przyjemne brzmienie, a poza tym tak nazywał się mój ojciec, a także dziadek.

— Racja. A wiesz dlaczego zaprzeczyłem, kiedy mówiłeś, że to są psy? Bo to są szakale, *canis aureus*, jeśli się nie mylę. Być może, iż nie są zupełnie dzikie. Towarzyszą przecież człowiekowi bez przerwy, dając dobroczyńcy nawet w nocy wyciem znać, że go nie odstąpiły. A teraz w czasie nieobecności gospodarzy szperają w osadzie. O, zaglądną nawet do szałasów.

Po paru krokach inna niepowszednia przeszkoda przykuła profesora i jego towarzyszy do miejsc. Był to czyjś śpiewny lament, czy też płaczliwy monolog. Ujrzeni w końcu jego autora. Był to starzec z twarzą tak pomarszczoną, jak owoc dzikiej płonki po długiej zimie. Siedząc na głazie bódł przed sobą ziemię oszczepem. Był ślepcem, gdyż nie spostrzegał ludzi przed sobą i — nie raziło go gorejące oko słońca, w które wbił swój wzrok.

„Biedny dziadunio”, jak go szeptem nazywała Jolka, śpiewał o Girigai-Górze Żywej, dostawczynie dobrego mięsa, smacznego mięsa. On go będzie jadł, on Szczupak. Dobry Girigaja zawsze się zjawi, gdy kończą się zapasy. Gdy tak Szczupak będzie śpiewał, nadejdzie prawnuk Wlkas ze świeżutką wątrową a Szczupak zje ją całą.

Wędrowcom nie było teraz wesoło na duszy. Nie nastrajał ich tak smutno widok starca, ani nawet uczujący w dali głośno przy wtórze rozpaczliwego trąbienia mamuta — góry Jastrzębie, lecz działał na nich krajobraz, jaki się ścielił przed ich oczami. Niby był strojny w wiosenną szatę, a przecież przetykany smutkiem jesieni. W takim dziwnym nastroju usłyszeli jakiś krzyk. Poznali, że to wołał człowiek z ich środowiska, człowiek potrzebujący natychmiastowej pomocy.

Ujrzeni go nagle. Niedaleko nich widoczna była barczysta postać kowala Czogały. Ale dlaczego się nie ruszał? Co znaczył ów kiel mamuci? Czogała wyglądał w nim jak spętany żółty wąż.

— Ratunku!

— Pan Czogała przywiązany do zęba — odezwał się Lonek, powstrzymując wzbierający w nim chichot.

Rzucili się więc hurmem do uwięzionego. Otoczyli go raptem kołem, ale nie wiedzieli od czego zacząć. Jolka zawisła na jego szyi, a on pokrzykiwał ponad jej głową:

— Koledzy, gotuje się nieszczęście. Nie ma chwili do stracenia. Dalej, zerwijcie ze mnie te pęta. Jolka, dziecko, nic mi nie jest, zrób miejsce chłopcom, niech zaczną działać.

Czogała był wolny. Nie spojrzawszy na nikogo, zerwał się natychmiast do biegu na południe, ku skarpie, gdzie stał eroexplorer. Redaktor towarzyszył mu jak cień, słuchając urywanych wyjaśnień kowala.

— Z dzikimi zwierzętami, panie, to zabawa, ale niech tylko wmiesza się w to człowiek, zaraz zacznie się wszystko gmatwać. Ci dzicy złapali mnie i Kalembę. On się wykupił długopisem, którym potem jakiś mamuci kacyk kreślił te wielkie potwory na nieowłosionej stronie skóry zwierzęcej... — Pan Czogała zaczerpnąwszy potężny haust powietrza, uzupełnił swoje opowiadanie — ... a na koniec dorysowywał im wąsy podobne do mioteł brzozowych. Teraz jednak, kolego, eroexplorerowi grozi zagłada! Tempo, tempo!...

Romek nie słuchał już śmiechu Lonka Obartla, popchnął mocno Proksza i zawołał:

— Józek, na przelaj. Będziemy tam pierwsi.

Zboczyli przeto raptem w prawo, odrywając się od głównej grupy. Natomiast pan Matys z Jolką zostali w tyle. Przyrodnik gubił się w domysłach, i nie umiał ani rusz dopatrzeć się sensu w tej zabójczej gonitwie.

Tymczasem drogę Prokszowi i Romkowi zatarasowało kilka nie znanych im znowu

zwierząt. Ni to krowy, ni to inne kopytne. Poruszały się na niskich nogach, miały włochate chomąto dokoła rogatego łba. Zwierzęta znieruchomiały na widok pędzących chłopców. Potem, jak za uderzeniem gongu, pierzchły galopem w tundrę. Pan Matys, który obserwował z dala to zabawne spotkanie, wyjaśnił później, że były to woły piźmowe.

Po tym krótkim postoju przyjaciele rzucili się do bliskiej już górki, za którą stacjonował eroeksplorcer. Oddzielało ich od niej jeszcze kilkanaście kroków, gdy Proksz pierwszy spostrzegł człowieka zachowującego się dziwnie. Człowiek ten zataczał się bowiem i łapał rękami za czoło. Sylwetka jego wydawało mu się jakby znajoma.

— Naciskaj hamulec, Lukanek — wrzeszczał piskliwie, potem ściszej głoś, dodał: — Nie chcę cię martwić, ale twojemu staremu coś się stało. Wyciera dłońmi oczy.

— Tatusiu!

— Romek? Pomóż mi, zaprowadź mnie do jakiejś kałuży z wodą. Zaszedł mnie z boku i sygnął prawdopodobnie pieprzem w oczy...

Proksz mimo wielokrotnych już postanowień znowu się zapomniał.

— Kto to był, ojczulku? — zapytał z odcieniem współczucia w głosie.

— Nie mogę się opędzić myśli, że to ten sam, który od jesieni ubiegłego roku towarzyszy nam jak cień w naszych wyprawach. Prawie zawsze niewidzialny...

— O nie, wujku — przerwał mu żywo Proksz — pamiętasz, jak mu pan Czogała z auta zrobił wielkanocną kraszanke? Wszyscy go wtedy widzieli...

Józek Proksz ujął pana Lukanka mocno w pól i prowadził go zdecydowanie do najbliższej studzienki. Głos, którym pocieszał cierpiącego, był ciepły i kojący.

— No, wujku — mówił — jeszcze dwa kroczyki i pozbędziesz się tego piekła w oczach. Jesteśmy na miejscu, przed nami *aqua vitae*, czyli woda życia...

Pan Lukanek zanurzył chciwie pałającą twarz w krynicznej i lodowatej wodzie, działającej niby uzdrawiający balsam. Toteż z piersi wymknęło mu się westchnienie głębokiej ulgi. Kiedy jednak chłopcy pochyliłi się nad nim, by mu pomóc w opłukiwaniu oczu, odtrącił ich szorstko i mruknął:

— Dam sobie teraz sam radę. Pamiętajcie: eroeksplorcer w niebezpieczeństwie. Trzeba alarmować wszystkich...

— To właśnie chcieliśmy zrobić — odparł Proksz, gotując się do biegu. — O, nasi dochodzą już do górki... Idzie odsiecz. Roman, startujemy.

I jakby w tej nowinie tkwił cały bodziec działania, Proksz odsadził się istic kangurowym skokiem od przyjaciela. Romek spojrział ciepło na ojca, potem puścił się za Józkem. Biegli. Spostrzegli, że z przeciwnej strony nadciągają wynalazcy. Jeszcze minuta, jeszcze kilka kroków, potem głośniejsze sapnięcie i stanęli na szczycie wzniesienia. Roztaczał się stąd widok na lśniące lustro wody, nad którą znowu kołowało i żeglowało ptactwo.

Nic się więc nie zmieniło. Eroeksplorcer stał spokojnie na swym miejscu.

— Ale się jeszcze raz wygłupił — odezwał się nagle Proksz, który w tej właśnie chwili przeprowadził w duszy błyskawiczny remanent swoich grzechów — nie wiem, co mi strzeliło do zakutego łba, żeby nazwać twojego starego wujkiem. Wychłostam się w domu różgami.

Od dalszego jednak samobiczowania uwolniły Proksza niedalekie głosy ludzkie. To zjawił się pan redaktor Pogorzałek. Za nim, depcząc mu niemal po piętach, wynurzył się ojciec Jolki. I tak spiesznie gromadzili się przy eroeksplorcerze prawie wszyscy, bo nadchodzili również pan Matys z Jolką.

Pan Czogała doznał nagle głębokiego wzruszenia na widok swej córki. Przyciągnął Jolkę dopiero teraz do siebie i powiedział:

— Robiłem wszystko dla niej, dla Jolki. Możem nie zachowywał się zawsze właściwie, proszę mi to wybaczyć.

— Idylla — śmiał się inżynier Plecionka, spoglądając życzliwie na córkę i ojca. —

Może ten alarm był niepotrzebny, wszędzie tu spokojnie.

— O, spokojnie — kręcił głową pan Matys — a rejwach ptaków, a pogrzebowy głos mamuta, a uczujący Jastrzębie... Nigdy się takiego gwarliwego życia pod Bramą Morawską nie spodziewałem. Inna rzecz, że ja też...

Chciał powiedzieć, że też nie wierzy w niebezpieczeństwo, lecz nagle zjawił się skądś „latający reporter”, czyli pan Kalemba. I po raz pierwszy od dłuższego już czasu uśmiech okrasił jego szczupłą i nerwową twarz. Poza tym oczy płonęły mu zadowoleniem.

— Właśnie pan Kalemba — odezwał się ojciec Romka — sygnalizował wroga. Mów pan, panie Kalemba.

— Wszystko w porządku, niebezpieczeństwo minęło, panie Lukanek. Jeśli wolno mi zapytać, czy... czy te łzawiące oczy to też dzieło naszego wspólnego wroga, bo mnie usiłował w podobny sposób obezwładnić. Nie udało mu się jednak. Przybyłem w porę i przepędziłem łobuza. Wara każdemu od naszego eroeksplorera.

— Wara! — zawołał gromkim głosem pan Czogała.

— Nie przestraszcicie się, przyjaciele — ciągnął dalej pan Kalemba — w trakcie bowiem szamotania się z wiadomym facetem wyłączyłem przezornie nasz eroeksplorator, który — domyślcie się — jest mi równie drogi, jak wam wszystkim.

— Trzeba go strzec jak źrenicy oka — odezwał się znowu pan Czogała.

— Przygotujcie się więc, szanowni obywatele, bo za parę minut eroeksplorator przestanie działać.

Pan Osiecki i jego przyjaciele zamienili szybko ze sobą spojrzenia. Oto Kalemba posiadł ostatnie tajniki eroeksplorera. Mimo to, nie zatrwożyło ich to odkrycie, gdyż instynktownie odczuwali w nim bratnią duszę, gotową do każdej ofiary w obronie wynalazku. Prawdopodobnie z takim samym uczuciem spoglądała reszta towarzystwa na „latającego reportera”. Nikt też z obecnych nie protestował, gdy pan Kalemba przywłaszczył sobie przewodnictwo nad zgromadzonymi dokoła niego osobami. Wtedy właśnie stało się to, co przepowiedział. Połyskujące jezioro znikło, a tundra zapadła się w otchłań minionego czasu.

Na piaszczystej drodze zaś, wijącej się wśród wiosennie zieleniejących pól, uciekał samochód.

— Panie profesorze — zagadnął Kopruch przyrodnika na uboczu — mam tylko krótkie pytanie do pana profesora.

— Mów, drogi chłopcze.

— Wiąże się to z pewną bardzo głęboką wypowiedzią pana profesora. Wyznał nam pan, że brzydzi się rozlewem krwi, że pan profesor jest wrogiem każdego polowania na zwierzęta. Jak zachowałby się wobec tego pan żyjąc na przykład przed pięćdziesięciu tysiącami lat, będąc w dodatku jednym z Jastrzębi? Czy nie polowałby pan profesor na mamuty i czy nie spożywałby pan surowej wątroby mamuta jak Udra?

— Moja odpowiedź będzie równie krótka i treściwa, jak twoje pytanie. Polowałbym więc i jadłbym z apetytem surową wątrobę mamucią, gdyż byłbym wytworem tamtej przyrody, byłym też bliższym potomkiem moich przodków, a więc hojnie wyposażony przez naturę w pierwotne instynkty. A ponieważ nie było jeszcze cywilizacji, dostosowałbym się do tych pokarmów, które przyroda dostarczała człowiekowi najobficiej. To wszystko...

— Kopruch, panie profesorze.

— Pamiętam, Koperszmyt.

OBJAŚNIENIA TRUDNIEJSZYCH WYRAZÓW

DZIEJE ZIEMI

ARCHAIK

czyli

I. era archaiczna, najstarsza w dziejach Ziemi. Rozpoczęła się prawdopodobnie przed 4 lub 3 miliardami lat, a skończyła około 1500 milionów lat temu. W erze tej tworzy się skorupa ziemska. Okres silnej działalności górotwórczej, przejawy wulkaniczne. Brak wyraźnych śladów istot żywych. Istnieje małe prawdopodobieństwo życia organicznego na lądzie, a także w wodzie.

PROTEROZOIK

czyli

II. era proterozoiczna. Trwała przypuszczalnie od 1500 do 520 milionów lat temu. Powstały w niej zapewne pierwsze organizmy żywe. Nieliczne, a częściej niepozorne resztki skamieniałości wskazują, że mogły to być promienice, robaki i skorupiaki. Nie mamy jednak dokładnego obrazu życia w tej erze.

PALEOZOIK

czyli

III. era paleozoiczna — 520 do ok. 185 milionów lat temu. W początkowym jej stadium rośliny w postaci glonów koncentrują się w wodzie. Później na lądzie pojawiają się pierwsze rośliny, nie mają liści ani korzeni. Są to psylofity. W ciągu milionów lat dokonuje się ciągły rozwój żywych organizmów. Nad wyraz bujnie rozrasta się roślinność (paprocie, skrzypy, widłaki drewnięją i wyrastają na przeszło trzydziestometrowe olbrzymy). Drzewa te dają początek wielkim pokładom węgla kamiennego. Formują się korzystne warunki do powstania obfitej fauny morskiej i lądowej. Wyodrębniają się pierwsze kręgowce: ryby, płazy i gady. Trzecią erę w dziejach Ziemi dzielimy na następujące okresy:

1. *kambr* (510—440 milionów lat), tylko trylobity; oziębienie klimatu, przejściowe zlodowacenia
2. *ordowik* (440—360 milionów lat); korale, trylobity, graptolity, pierwsze owady lądowe, prymitywna roślinność; klimat gorący
3. *sylur* (360—320 milionów lat), psylofity, rozwój trylobitów, pierwsze ryby pancerne; klimat gorący
4. *dewon* (320—265 milionów lat), pierwsze rośliny naczyniowe; paprocie, widłaki, skrzypy, w dalszym ciągu flora psylofitowa; wielkoraki, ryby pancerne i dwudyszne, pierwsze płazy tarczogłowe; silne opady atmosferyczne
5. *karbon* (265—210 milionów lat), ogromny rozkwit paprotników; duże owady, z kręgowców: płazy tarczogłowe, pierwsze gady; klimat cieplarniany, wilgotny; węgiel
6. *perm* (210—185 milionów lat), paprotniki ustępują powoli kordaitom iglastym i miłorzębowatym; wymierają trylobity, panują nadal płazy tarczogłowe; rozwój gadów; przejściowe zlodowacenia, klimat umiarkowany, duże opady atmosferyczne

MEZOZOIK

czyli

IV. era mezozoiczna trwająca od 185 do 60 milionów lat temu. W czwartej erze ziemskiej kończy się świetność paprotników, miejsce ich zajmuje nowa roślinność: sagowce, drzewa iglaste i miłorzębowate. Erę mezozoiczną nazywa się słusznie erą gadów, gdyż osiągają one w tym czasie szczyt swego rozwoju. Są wśród nich gigantyczne zwierzęta (diplodoki, brontozaury, tyranozaury, gigantozaurowe). Pod koniec mezozoiku większa część gadów wymiera, zjawiają się liczne, inteligentniejsze ssaki. Era mezozoiczną ma trzy okresy:

1. *trias* (185—155 milionów lat); panowanie roślin nagozalążkowych (sagowce, drzewa iglaste, miłorzębowate); rozwój amonitów i belemnitów; wymierają płazy tarczogłowe, zaczyna się panowanie gadów; zjawiają się ssaki
2. *jura* (155—130 milionów lat), szczyt rozwoju gadów, mnóstwo owadów, prątniaków; drzewa iglaste i palmy; klimat gorący i wilgotny
3. *kreda* (130—60 milionów lat), wymieranie amonitów, gadów; rozwój ptaków i ssaków; rośliny dwu- i jednoliścienne; lekkie ochłodzenie

KENOZOIK

czyli

V. era kenozoiczna datująca się od 60 do 0 milionów lat temu, trwająca do dziś. Erę tę cechuje dalszy rozwój i pojawienie się nowej flory, zróżnicowanie i specjalizacja ssaków. Następuje rozwój ssaków do form wielkich; w czwartorzędzie zjawia się człowiek. Kenozoik dzieli się na dwa okresy:

1. *trzeciorzęd* (60 do 1 miliona lat), subtropikalna flora: palma, wiecznie zielone dęby, wawrzyn, przewaga drzew liściastych; dalszy rozwój ssaków, koń, słoń, małpa, zjawienie się człowieka; klimat gorący, cieplarniany
2. *czwartorzęd* (I do chwili obecnej), epoka lodowcowa, w tundrze brzoza karłowata, fauna podobna do dzisiejszej, wymarły: mamut, nosorożec włochaty, jeleni olbrzymi, niedźwiedź jaskiniowy; człowiek w epoce kamiennej

¹ **decybel** — jednostka natężenia dźwięku

² **światlik** — roślina z rodziny trędownikowatych, stosowana jako środek lekarski przy chorobach oczu

³ **brajl** — system wypukłych, nakłuwanych lub drukowanych specjalną farbą znaków (kropek), czyli alfabet dla niewidomych, wynaleziony przez niewidomego pedagoga francuskiego Braille'a (czyt. brajla); niewidomy czyta dotykiem palców.

⁴ **Mojry** — trzy boginie z mitologii greckiej (Kloto, Lachesis i Atropos, które przędły nici przeznaczenia człowieka)

⁵ **tabula rasa** — czysta, nie zapisana karta

⁶ **mane thekel fares** — groźne ostrzeżenie, dosłownie: policzone, zważone i rozproszone, przen. zapowiedź zagłady.

⁷ **eroeksplorator** — znaczenie słowa: era (jeden z pięciu, wielkich odcinków czasu, na jakie geologia dzieli historię Ziemi) + eksploracja, tzn. badanie, poszukiwanie

⁸ **psylofit** — psylofity były pierwszymi, najprymitywniejszymi roślinami, nie miały liści ani korzeni, występowały w czwartym okresie paleozoiku, dewonie (paleozoik: trzecia era w dziejach ziemi trwająca od około 520 do 185 mln lat temu; dewon: 320 do 265 mln lat temu)

⁹ **ramienionóg dewoński** — należy do gromady zwierząt morskich osiadłych, małżopodobnych; około otworu gębowego dwa spiralne ramiona, służące do oddychania i napędzania pokarmu; w paleozoiku bardzo liczne

¹⁰ **ichtiostega** — najbardziej prymitywny płaz kopalny, wykazujący w swej budowie pewne cechy rybie; była dwudyszna, tzn. oddychała zarówno w wodzie, jak i na lądzie; ichtiostega żyła w dewonie

¹¹ **cerber** — srogi i czujny dozorca

¹² **skorpion** — drapieżny pajęczak uzbrojony w potężne kleszcze i w gruczoł jadowy na końcu zaodwłocza; niektóre większe skorpiony mogą być niebezpieczne dla człowieka

¹³ **trylobit** — należy do kopalnych stawonogich skorupiaków, wymarłych całkowicie; żyły od kambru (kambr: 520 do 440 mln lat temu) do permu (perm: 210 do 185 mln lat temu) — wyginęły w tym ostatnim okresie

¹⁴ **wielkorak** — sylursko-dewoński skorupiak długości około 3 metrów, sylur: trzeci okres ery paleozoicznej trwający 360 do 320 mln lat temu

¹⁵ **dylemat** — trudny wybór między dwiema możliwościami

¹⁶ **ryba pancerna** — olbrzymia, okresu sylursko-dewońskiego, wewnątrz prawie lub zupełnie bezkostna, na zewnątrz kostny pancerz

¹⁷ **fair** — prawy, uczciwy, szlachetny

¹⁸ **karbon** — piąty okres paleozoiku, inaczej okres węglowy (265 do 210 mln lat temu), w którym tropikalny klimat i obfitość dwutlenku węgla w atmosferze spowodowały bujny rozrost paproci, skrzypów i widłaków, osiągających rozmiary potężnych drzew; szczątki tych drzew dotrwały do naszych czasów w postaci węgla kamiennego

¹⁹ **monstrum** — potwór

²⁰ **stegocefale** — grupa najstarszych przedstawicieli kopalnych płazów ziemno-wodnych, żyjących w karbonie, permie aż do końca triasu (trias: 185 do 155 milionów lat temu); stegocefale wyodrębniły się z ryb trzonopłetwych i były, sądząc po budowie, poprzednikami różnych grup gadów; nauka nazywa je płazami opancerzonymi, gdyż tułów, szczególnie brzuch, były pokryte płatami skórno-kostnymi, głowa zabezpieczona była tarczą kostną; wielkość ciała do 3 metrów

²¹ **kontemplacja** — głębokie rozmyślanie

²² **kalamity** — drzewiaste skrzypy ery paleozoicznej osiągające 30 metrów wysokości, tworzyły w karbonie wielkie puszcze, wymarły w permie; kopalne ich szczątki odnajdujemy w pokładach węgla kamiennego górnośląskiego i wałbrzyskiego zagłębia

²³ **edafozaur** — (Edaphosaurus), kolorowy jaszczur z epoki przejściowej między erą paleozoiczną i mezozoiczną, wyposażony przez przyrodę w charakterystyczny grzebień grzbietowy i fantastyczną kryzę

²⁴ **waran** — jaszczurka drapieżna o wysmukłym ciele z biczowatym, niełamliwym ogonem, służącym jako narząd obrony; żyje w Azji, Afryce i Australii; waran olbrzymi osiąga trzymetrową długość, żywi się małymi kręgowcami i jajami innych gadów

²⁵ **in extenso** — w całości, bez opuszczeń i zmian

²⁶ **lepidodendron** (czyli łuskodrzew) — wymarłe drzewo okresu karbońskiego rosnące na bagnach, a odkrywane teraz w pokładach węgla kamiennego; dzisiejszy widłak, zdobiący nierzadko jeszcze nasze stoły wielkanocne (uwaga: wszystkie gatunki widłaków chronione są ustawowo, nie wolno ich więc zrywać!) jest krewniakiem lepidodendronu; lepidodendron był olbrzymem, dochodzącym do 30 metrów wysokości, poznajemy go w odłamkach węgla po bliznach rombów występujących na jego pniu po opadłych liściach

²⁷ **kordaity** — drzewiaste rośliny kopalne z okresu karbońskiego, przypominające obecne drzewa iglaste; były to wysokie drzewa o wysmukłych pniach, rozgałęziających się na znacznej wysokości, tworząc tam gęste korony z lancetowatymi albo wstęgowymi liśćmi; dały węgiel

²⁸ **sygilarie** — kopalne rośliny drzewiaste spokrewnione z dzisiejszym widłakiem z okresu węglowego; pień sygilarii znaczony był bliznami podobnymi do pieczęci, stąd drzewa te otrzymały nazwę pieczęciowców; sygilarie to „producenci” węgla kamiennego

²⁹ **kalamity** — porównaj poprzednią o nich uwagę

³⁰ **palaeodictyopter** — chodzi zapewne o ważkopodobne owady latające, których rozmiary były wręcz zaskakujące; niektóre z nich osiągały 120 cm długości

³¹ **pareiazaur** — gad ze szczepu ssakokształtnych z cechami zarówno płaza jak i ssaka; zwierzę trawożerne z pancerzem w drobne kostki, około 3 metrów długości; żył w okresie permskim

³² **Cacops Aspidophorus** — jeden z wielkich mięsożernych gadów permskich, wyróżniających się pośród innych krewniaków pięciopalcową stopą

³³ **moschops** — trawożerny gad permski, ssakokształtny ogromnej wielkości

³⁴ **labiryntodont** — wymarły kręgowiec okresu permsko-triasowego podobny do współczesnych płazów ogoniastych; najmniejszy — wielkości salamandry, największy — wielkości krokodyla; skóra pokryta płytami kostnymi

³⁵ **symbioza** — współżycie organizmów dwu gatunków, korzystne dla obu partnerów

³⁶ **chirotherium** — kopalny gad z rodziny stegocefalów, którego wygląd odtwarza się jedynie na podstawie odcisków pięciopalcowej stopy i domysłów, gdyż uczeni nie znaleźli nic poza śladami jego kości

³⁷ **trias** — pierwszy okres mezozoiku (mezozoik: czwarta era w historii Ziemi trwająca od 185 do 60 mln lat temu); na początku triasu Europa staje się czerwoną pustynią, pokrytą pstrym piaskowcem. Na lądzie później rosną drzewa iglaste, cykadowce, miłorzęby, paprocie. Z drzew tych przetrwały do dziś araukarie, cypryśniki i jodły; fauna to gady ssakokształtne, płazy tarczogłowe, dinozaury roślinożerne i drapieżne; w morzu korale, małże, ślimaki, ogromne amonity (do 2 m); ryby kościste

³⁸ **tekodonty** — gady naczelne w triasie. Część z nich, jak małe drapieżniki, przypominające jaszczurki, poruszała się na tylnych nogach

³⁹ **dinozaury** — wymarła grupa mezozoicznych gadów lądowych, drapieżnych i roślinożernych, poruszających się bądź to na dwóch, bądź też na czterech kończynach; wielkość: 1 do 35 metrów; nieprawdopodobnie bujny ich rozwój następuje w jurze, wymierają w kredzie

⁴⁰ **belodon** — ogniwo pośrednie między krokodylem i dinozaurem, poruszał się zapewne szybciej niżli jego przodkowie w permie

⁴¹ **paleontolog** — naukowiec zajmujący się badaniem minionych epok ziemskich

⁴² **mastodontaury** — płazy kopalne, ogoniaste, triasu; niektóre osiągają 3 m długości

⁴³ **scleromochlus** — mały triasowy gad, poruszający się na tylnych kończynach

⁴⁴ **adaptować** — przystosować

⁴⁵ **diplo** — oczywiście żartobliwe spieszczenie wyrazu diplodok; diplodok, kopalny gad ery mezozoicznej z długą, esowato wygiętą szyją i długim ogonem; gad ten żywił się roślinami; należał do rzędu dinozaurów, osiągał kolosalną wielkość (26 metrów)

⁴⁶ **galar** — płaskodenny statek rzeczny do przewożenia towarów poruszany też wiosłami

⁴⁷ **cynognathus** — wymarły triasowy gad drapieżny; cynognathus należał do gadów ssakokształtnych

⁴⁸ **morze jurajskie** — w jurze (drugi okres ery mezozoicznej: 155 do 130 mln lat temu) morze wdarło się na znaczną część europejskiego lądu; Polska była niemal cała pod wodą, jedynie liczne wyspy sterczały z morza

⁴⁹ **pteranodon** — latający gad kopalny ery mezozoicznej o błoniastych skrzydłach i długim bezzębnym dziobie; błony lotne łączyły olbrzymie przednie kończyny z tułowiem; rozpiętość skrzydeł: 8 metrów

⁵⁰ **paleozoik** — porównaj uwagę o psyloficie; paleozoik charakteryzuje się licznymi skamieniałościami, które pozwoliły uczonym odtworzyć życie zwierząt i roślin tej ery

⁵¹ **mezozoik** — objaśnienie przy hasle trias; w mezozoiku pojawiają się pierwsze ptaki i ssaki

⁵² **plezjozaury** — wymarłe gady morskie z okresu jurajskiego i kredowego; plezjozaur miał głowę na długiej, węzowatej szyi, żółwiowaty, ogromny tułów, kończyny w kształcie płetw, służące nie tylko do pływania, ale i do poruszania się po lądzie (wielkość: do 15 metrów)

⁵³ **cykadowce** — rośliny z klasy wymarłych nagonasiennych, zajmujące pośrednie miejsce między paprociami a palmami

⁵⁴ **Rhamphorhynchus** — ramforynch, latający gad z grupy pterozaurów, żyjący w okresie jurajskim; błony lotne pokryte włosiem obejmowały także tylne kończyny, długi owłosiony ogon zakończony był płatem w kształcie rombu; ramforynch w stosunku do pteranodona nie był dużym gadem, rozpiętość skrzydeł wynosiła około 1 metra

⁵⁵ **tyranozaur** — drapieżny, groźny gad kopalny z grupy dinozaurów, żyjący w erze mezozoicznej; tyranozaur poruszał się na tylnych kończynach podpierając się silnym ogonem; przednie, krótkie kończyny miał niedorozwinięte; tyranozaur miał dużą, mocną głowę z uzębionymi szczękami, długość ciała do 15 metrów, wysokość 6 metrów

⁵⁶ **pterodaktyl** — mezozoiczny, wymarły gad latający, z rzędu pterozaurów, którego wielkie fałdy skórne rozpięte między bokami ciała a wydłużonymi czwartymi palcami kończyn przednich służyły jako skrzydła; pysk pterodaktyla był uzębiony, szyja giętka i krótki tułów bez ogona

⁵⁷ **parasaurolop** — kopalny gad mezozoiku, dinozaur roślinożerny żerujący przeważnie w wodzie, miał charakterystyczne nozdrza w kształcie rur, które pozwoliły mu przebywać długi czas pod wodą

⁵⁸ **kreda** — okres kredowy, tj. trzeci okres ery mezozoicznej; nazwa „kreda” pochodzi od skał kredowych, które wtedy powstały; okres ten trwał od około 130 do 60 mln lat temu; zwierzęta żyjące w kredzie to: latające gady, dinozaury, ptaki uzębione oraz ssaki, w morzu: gąbki, amonity, belemnity, gady morskie

⁵⁹ **compsognatus** — kopalny dinozaur mezozoiczny poruszający się na tylnych kończynach

⁶⁰ **archeopteryks** — gadoptak, praptak wielkości niedużej kury z okresu jurajskiego; odznaczał się już cechami wybitnie ptasimi (upierzenie, przednie kończyny przekształcone w skrzydła), choć nosił jeszcze znamiona gadzie, a więc ogon z 20 dwuwklęsłymi kręgami i szczęki z zębami; żywił się owocami; archeopteryks nie jest jednak przodkiem ptaków, lecz wymarłym bocznym ich odgałęzieniem!

⁶¹ **ichtiozaur** — morski gad kopalny, rybojaszczur z triasu i kredy, który wyglądem przypominał rekina lub delfina, o długim uzębionym pysku, z rybim ogonem i kończynami przekształconymi w płetwy; ichtiozaur jest praprzodkiem delfina; długość ciała 1—14 metrów

⁶² **iguanodon** — roślinożerny gad kopalny z grupy dinozaurów kredowych Eurazji i Ameryki; poruszał się na tylnych kończynach, podpierając potężnym ogonem, przednie krótsze kończyny uzbrojone były w sztyletowate pazury; długość ciała iguanodona 10 m, w pozycji słupekowej osiągał 5 metrów

⁶³ **scrub** (skrub) — busz australijski, składający się z wiecznie zielonej roślinności: zarośli kolczastych (akacji itp.), często nie do przebycia

⁶⁴ **sawanna** — rozległy obszar w strefie międzyzwrotnikowej pokryty roślinnością

trawiastą z pojedynczymi drzewami i krzewami

⁶⁵ **reptilia** — gady

⁶⁶ **araukaria** — wysokie, sześćdziesiąt metrów osiągające, wiecznie zielone drzewo iglaste; podkrakowskie piaskowce kryją w sobie olbrzymie, skamieniałe pnie araukarii; potomkowie mezozoicznych przodków zdobią u nas parki i lasy

⁶⁷ **konifery** — przeważnie wiecznie zielone drzewa iglaste (zaliczamy do nich również jodłę, sosnę, świerk i modrzew); konifery stanowiły główną część flory w okresie węglowym; bursztyn np. jest żywicą również przedpotopowego konifera

⁶⁸ **megalozaur** — olbrzymi mięsożerny jaszczur kopalny z okresu jurajskiego i kredowego, wyginał pod koniec kredy

⁶⁹ **ceratozaur** — wymarły, drapieżny jaszczur lądowy z okresu górnej kredy, dinozaur dług. około 5 metrów

⁷⁰ **profan** — człowiek bezczeszczący rzeczy święte, nietykalne

⁷¹ **paleontologia** — nauka o roślinach i zwierzętach minionych epok geologicznych

⁷² **stegocefal** — porównaj wcześniejsze objaśnienie

⁷³ **monstra** — straszydła, potwory

⁷⁴ **ewolucja** — stopniowe przekształcanie się i rozwijanie organizmów żywych — od form prostych do coraz wyżej zorganizowanych

⁷⁵ **sykomora** — drzewo z rodziny morwowatych, rosnące w Egipcie i Afryce, uprawiane również w niektórych krajach śródziemnomorskich dla cennego drzewa i orzeszków

⁷⁶ **dydelf** — ssak z podgromady torbaczy, zamieszkujący obecnie lasy Ameryki Północnej i Środkowej; długość ciała 90 cm, w tym 43 cm ogon; samica rodzi 12—16 młodych, które przebywają 60 dni w torbie lęgowej matki, potem sadowią się na jej grzbiecie

⁷⁷ **stegozaur** — olbrzymi gad kopalny (p. dinozaur) z okresu jurajskiego, żywiący się roślinami; stegozaur opancerzony był podwójnym kostnym grzebieniem na grzbiecie

⁷⁸ **apokaliptyczny** — złowieszczy, tajemniczy, przerażający

⁷⁹ **triceratops** — kopalny dinozaur z okresu kredowego Ameryki Północnej; żywił się roślinami, osiągał 8 metrów długości

⁸⁰ **deus ex machina** — jak spadły z nieba, niespodziewany

⁸¹ **brontozaur** — potwornej wielkości roślinożerny dinozaur z okresu jurajskiego Ameryki Północnej dochodzący do 15 i 20 metrów długości oraz siedmiometrowej wysokości; gad ten miał małą czaszkę, długą szyję — i również długi ciągnący się po ziemi ogon; jego krewniak, gigantozaur, osiągał 40 metrów wzrostu

⁸² **belemnity** — wymarłe pod koniec okresu kredowego głowonogi w kształcie strzałek, ich skamieniałości odkrywamy w naszych czasach

⁸³ **amonity** — wymarłe mięczaki z gromady głowonogów, mające przeważnie spiralnie skręconą muszlę o średnicy 1 centymetra do 2 metrów; żyły w kredzie i jurze

⁸⁴ **jeżowce** — zwierzęta morskie typu szkarłupni o ciele zazwyczaj kulistym, pokrytym kolcami (pancerz jeżowca zbudowany jest z licznych płytek wapiennych, z których wystają ruchome kolce); jeżowce istniały już od syluru

⁸⁵ **inoceramus** — czyli inoceram, mały podłużno-owalny (około 10 cm długości) o charakterystycznej rzeźbie muszli; pochodzi z okresu jurajsko-kredowego

⁸⁶ **mirabile dictu** — **horribile dictu** — częste, zdumione okrzyki profesora Matysa; łacińskie mirabile dictu oznacza: rzecz zadziwiająca; horribile dictu: o zgrozo, strach powiedzieć

⁸⁷ **subtropikalny** — flora subtropikalna występuje w strefie okołorównikowej, gdzie upalny klimat powoduje bujny rozwój roślinności; klimat taki cechował trzeciorzęd Europy środkowej, a więc i Polski

⁸⁸ **trzeciorzęd ery kenozoicznej** — era kenozoiczna (piąta, najmłodsza w dziejach Ziemi, czyli nowożytność, do której i nasze czasy zaliczamy: od około 60 mln lat temu do

dziś) dzieli się na trzeciorzęd (około 60 do 1 mln lat) i czwartorzęd (1 mln lat do 0); w trzeciorzędzie panuje na naszych ziemiach klimat subtropikalny, odpowiednio do tego kształtuje się roślinność podobna do dzisiejszej, rozwija się fauna aż do postaci dzisiejszej

⁸⁹ **laurocerin** — sól kwasu olejowego wawrzynu

⁹⁰ **corona triumphalis** — korona, wieniec (wieniec laurowy)

⁸¹ **chalikoterium** — wielki trójpalczasty ssak trzeciorzędu

⁹² **moa** — należy do rzędu wymarłych olbrzymich ptaków nie latających, nielicznych, które przeżyły do naszych czasów w Nowej Zelandii; wytępiono go tam zupełnie w XIX w., moa żył najliczniej w plejstocenie (starsza epoka czwartorzędu trwająca od 1 mln do około 10 tysięcy lat temu)

⁹³ **tupaje** — rodzina nadrzędnych ssaków, zewnętrznie podobnych do wiewiórki, zamieszkująca obecnie jeszcze wyspy Archipelagu Malajskiego, Filipin i Indii; niektórzy uczeni skłonni są przypuszczać, że tupaj jest pradawnym przodkiem dzisiejszego człowieka

⁹⁴ **daglezja** — daglezja czyli jedlica zielona, gigantyczne, stumetrowe, wiecznie zielone drzewo z rodziny sosnowatych ze sprężystymi, zwisającymi gałęziami o grubych igłach; przypomina świerk, rośnie w północnej Ameryce, w Polsce w parkach, a również uprawiana jest sporadycznie w lasach

⁹⁵ **kakofonia** — nieharmonijne, niezgodne i rażące współbrzmienie dźwięków

⁹⁶ **areopag** — grono poważnych osobistości rozstrzygających sprawę autorytatywnie

⁹⁷ **metabolizm** — przemiana materii; pobieranie przez żywe organizmy substancji niezbędnych do życia, przyswajanie ich i rozkładanie; na skutek zmienionych warunków życia wielkie gady utraciły tę zdolność

⁹⁸ **makasisi** (makagiga) — rodzaj ciastka ze smażonych razem: maku, miodu, migdałów i niekiedy orzechów

⁹⁹ **misterium** — obrzęd religijny dla wtajemniczonych

¹⁰⁰ **Papilio podalirius** — motyl, paż żeglarz, czas lotu: maj — czerwiec

¹⁰¹ **leming** — gryzoń z rodziny norników wielkości około 1 cm (z ogonem) żyje i dziś gromadnie w okolicach podgórskich i górskich na północy, w Norwegii; znany ze swych sporadycznych, a nie wyjaśnionych masowych wędrówek, w których przeważnie ginie od drapieżców lub topi się w morzu

¹⁰² **neandertalczyk** — wymarły gatunek człowieka; szczątki jego znaleziono w dolinie rzeki Neander (Neandertal) w Niemczech; neandertalczyk odznaczał się niskim wzrostem, masywną budową ciała, skośnym czołem i grubymi wałami nadoczodołowymi; mieszkał w jaskiniach, trudnił się łowiectwem i zbieractwem

¹⁰³ **atawizm** — występowanie u współczesnych, cywilizowanych ludzi cech pierwotnych, które w ciągu długich tysiącleci istnienia rodu ludzkiego zanikły lub zostały przytłumione

¹⁰⁴ **interglacjał** — dłuższy, cieplejszy okres między dwoma zlodowaceniami; na opisywanej właśnie ziemi nastąpiło takie akurat ocieplenie, w zasięgu wszakże mroźnego tchnienia lodowca znajdowała się tundra; glacjał — to okres zlodowacenia

¹⁰⁵ **kraal** — obronne osiedle pasterskie plemion Afryki południowej

¹⁰⁶ **zeriba** — ogrodzenie z ciemistych krzewów, chroniące obozowisko przed dzikimi zwierzętami

¹⁰⁷ **crocodilus niloticus** — krokodyl nilowy

SPIS TREŚCI

Pechowy chłopiec	002
Zagadkowa dziewczyna	007
Instrumenty muzyczne doktora Iksika	010
W życiu jest pełno zasadzek i niespodzianek	015
Co się dzieje na ulicy Polnej?	020
Nad cichą doliną Odry	025
Nowy uczeń wciąż jeszcze tajemniczy	034
Przez keson translokacyjny	037
W permie licho drzemie	045
Przyznanie się do winy	054
Chirotherium	056
Czy możliwe jest spotkanie z małopoludem w jurze	066
Lekarz i pacjent	076
Dlaczego pan Matys się spóźnia	080
Kredowe iguanodony	082
Gdy koń był wielkości psa	098
Odczyt redaktora Pogorzałka	106
Zima bez eroeksplorera	111
Skarpa mamutów	118
Objaśnienia trudniejszych wyrazów	132